



## Najpiękniejsza

Aleksandra Jakubowska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA (2011)

---

Rating: ★★☆☆☆

Tags: Literatura Współczesna

MIŁOŚĆ, PRZYJAŹŃ, UCZCIWOŚĆ  
W ŚWIECIE BRUDNYCH INTERESÓW  
I NIECZYSTYCH INTENCJI

Bardzo ważny minister, w jakimś tajemniczym celu, notorycznie urywa się ochronie. Bezwzględna dziennikarka zrobi wszystko dla kariery. Senator w obawie przed skandalem ulega szantażowi i wprowadza poprawki do ustawy. Uczciwy prokurator zostaje oskarżony i trafia do więzienia, gdzie jest chroniony przez gangstera. Ojciec premiera przestaje odbierać telefony od syna.

Co rządzi postępowaniem ludzi władzy i kto ma tę władzę? Politycy czy przestępcy?

Meliny na Pradze i konkurs piękności, miasteczko na prowincji i bogate rezydencje nad Jeziorem Genewskim, areszt śledczy i korytarze kancelarii premiera – to miejsca, w których toczy się akcja.

Czytelnicy sami znajdą odpowiedź na pytanie, czy ta powieść to tylko literacka fikcja, czy też Aleksandra Jakubowska odnosi się w niej do swojej przeszłości i ludzi, których kiedyś spotkała.

źródło opisu: Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, 2011

źródło okładki: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

# Najpiękniejsza

Aleksandra Jakubowska

# Spis treści

[Redakcja](#)

[Część pierwsza – Agata](#)

[Część druga – Kara](#)

[Część trzecia – Ewelina](#)

[Część czwarta – Kasia](#)

[Część piąta – Anita](#)

[Część szósta – Irena](#)

[Część siódma – Nina](#)

[Epilog](#)

[O Wydawcy](#)

# Redakcja

Projekt okładki: *Karolina Michałowska*  
Redakcja: *Halina Hałajkiewicz*  
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*  
Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*  
Korekta: *Katarzyna Szajowska*

© by Aleksandra Jakubowska  
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2011

Wszystkie postacie w tej książce (oprócz Malty) są fikcyjne.  
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych  
– żywych czy umarłych – jest przypadkowe.

ISBN 978-83-7758-094-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2011  
Wydanie I

*Moim najbliższym:  
Maciejowi, Piotrowi i Irenie*

*Róża kwitnie, bo kwitnie, nie pyta: dlaczego  
I nie zważa, czy ludzie, że rośnie, dostrzegą*

*JOHANNES SCHEFFLER,  
zwany ANGELUSEM SILESIUSEM, 1624–1677  
(w przekładzie Adama Szcherbowski)*

# Część pierwsza

Agata

Mucha zataczała się w swojej leniwej wędrówce po suficie. Mozolnie przebierając nogami, starała się dotrzeć do dużej, brzydkiej plamy, kształtem przypominającej Afrykę.

Agata otworzyła drugie oko. Przyszło jej to z trudem. Lepka maź sklejąca powieki stawiała całkiem solidny opór. „Co to jest?” – pomyślała z lękiem. Chciała dotknąć oczu, ale żadna z rąk nie zareagowała na rozpaczliwe próby ich uniesienia. Po chwili paniki uświadomiła sobie, że to tusz. Najlepszy, wodoodporny. „Widocznie także czasoodporny” – zauważyła ironicznie, usiłując przypomnieć sobie, kiedy go nałożyła na rzęsy.

Nagle z przerażeniem odkryła, że nie zna sufitu, w który od kilku chwil tępo się wpatruje, śledząc olbrzymią muchę. Owad zdążył już osiągnąć kontynent afrykański, a teraz, czyszcząc tylne nogi, najwyraźniej się zastanawiał, czy ruszyć dalej w podróż do wielkiego pęknięcia otoczonego zwieszającymi się wokół brudnożółtymi płatami tynku.

„Gdzie ja jestem?!”. Usiłowała podnieść głowę, ale ta, tak jak ręce, odmówiła posłuszeństwa. Poczula w skroniach przeszywający ból, a sufit – dla niej w tym momencie jedyny na ziemi punkt odniesienia – zaczął kołysać się w prawo i lewo.

„Teraz mucha spadnie na mnie i zacznie chodzić po mojej twarzy, szyi, całym ciele, zostawiając odrażające ślady tych wszystkich wstrętnych rzeczy, po których przedtem łąziła”. Odruch obrzydzenia wstrząsnął jej ciałem. Poczula mdłości. Z wielkim wysiłkiem odwróciła głowę... i zobaczyła obok twarzy dziewczyny. Dziewczyny, którą widziała pierwszy raz w życiu. Martwej dziewczyny.

Promienie słońca nieśmiało przesuwały się w kierunku małego domku na obrzeżach Pszczelina. Pierwsze minęły już rynek otoczony renesansowymi kamieniczkami z podcieniami i musnęły wieżę białego kościółka, załśniły na miedzianym dachu plebanii, zajrzały w witryny sklepików, apteki, fryzjera; mimochodem przemknęły po kilku straganach, wokół których uwijały się ciepło opatulone kobiety, wykładając warzywa i owoce, by wreszcie chyżo mijając boczne uliczki, dotrzeć do rzeki i do skarpy, na której w małym, zadbanym ogródku stał piętrowy drewniany dom...

Kasię jak zwykle obudziły pierwsze promienie słońca. Szybko wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Widok, jaki się stamtąd roztaczał, niezmiennie zapierał jej dech w piersiach. Bez względu na porę roku skarpa i rzeka były nieustającym wyzwaniem i tajemnicą. Kasia nigdy nie była przygotowana na to, co zobaczy. Codziennie zdumienie i radość towarzyszyły jej w czasie tych kilkunastu minut całkowitej samotności i wyjątkowego poczucia jedności ze światem, który ją otaczał.

Wschód słońca barwił na czerwono przeciwległy brzeg, wydobywając z kry świetliste smugi odbijające się w nurcie nieujarzmionym jeszcze przez mrozy. Pokryta szronem skarpa dodawała do tego blasku swoje własne lśnienie. Spod bieli przebijały szmaragdy niepokonanej przez zimę trawy, a szadź na drzewach i krzewach w ogródku odbierała bezlistnym gałęziom surowość, strojąc je w setki kryształów godnych królewskiego diademu.

Miasteczko budziło się do życia w swoim sennym, prowincjonalnym rytmie. Z pobliskiego klasztoru dochodziły dźwięki dzwonu zwołujące siostry na modlitwę, a z oddali dobiegał szum samochodów dostawczych wiozących towary w stronę rynku. Prychanie konia i pokrzykiwania woźnicy wyraźnie wskazywały, że miejskie targowisko zaczyna nowy dzień.

Kasia, zapatrzona i zasłuchana, w ostatniej chwili usłyszała skrzypienie obluźwanej deski przed swoim pokojem. Szybko zanurkowała do łóżka i naciągnęła kołdrę, ukrywając pod nią twarz. Drzwi uchyliły się bezszelestnie i na facjatkę cichutko wkroczyły dwie drobne istotki.

– Ona udaje! – wykrzyknęła z oburzeniem Misia.

– Doprawdy, droga Katarzyno – przemówiła Isia swoim dorosłym tonem – już najwyższy czas wstawać. Obowiązki...

– ...czekają – dorzuciła Misia.

– Jesteś za nas odpowiedzialna...

– Sama nam wbijałaś do głowy, że najpierw obowiązek, a potem przyjemność.

– Jesteśmy głodne! Nie możemy znaleźć skarpetek! Spóźnimy się do szkoły! – Duet lamentował całkiem poważnie i Kasia z lekkim zniecierpliwieniem, ale także rozbawieniem, podjęła tę codzienną poranną grę. Wysunęła spod kołdry głowę, popatrzyła surowo na bliźniaczki i poważnym tonem oznajmiła:

– Podobno panienki są już dorosłe. Czyżbym się przesłyszała wczoraj, kiedy dwie przemądrzałe pannice zapewniały mnie, że są już wystarczająco duże, by oglądać do północy *Wywiad z wampirem*? A skoro tak, to lodówka jest w kuchni, skarpetki w szufladzie, a wy doskonale wiecie, co robić, żeby nie spóźnić się do szkoły.

– Kasiuuu! – zajęczały Misia i Isia – przecież nam nie pozwoliłaś oglądać, więc dziś rano już nie jesteśmy dorosłe. – Dziewczynki wskoczyły z impetem na stare, trzeszczące łóżko Kasi, zaczęły ją łaskotać i na przemian całować. – Kasieńko kochana, wstawaj, nikt nie robi tak dobrych kanapek jak ty – podlizywały się beczelnie – i takiego pysznego kakao!

Uśmiech pojawił się na twarzy Kasi, a w oczach niezmierna tkliwość, gdy patrzyła na te dwie rozbrykane dziesięciolatki, które siedem lat temu pojawiły się w jej życiu. Czasami karciała się w duchu, że na zbyt wiele im pozwala, że są trochę rozpuszczone, przemądrzałe i nad wiek dojrzałe, ale gdy kolejny raz sobie uświadamiała, jak okrutnie zostały doświadczone przez los, miłość, którą je obdarzała, przynosiła rozgrzeszenie.

Wstała, zagarnęła ramionami obie dziewczynki i tak powędrowały razem do kuchni.

Bodzio ostrożnie zajrzał do hotelowej restauracji. O tej porze świeciła pustkami i chyba tylko jeden stolik w ciemnym kącie był zajęty, co wywnioskował z postawy kelnera, pochylonego nad niewyraźną sylwetką gościa.

Podszedł powoli, stanął obok stolika i zamarł. To jego szef siedział tu zgarbiony, w dzinsach i wymiętej koszuli. A kiedy podniósł głowę, by na niego spojrzeć, w jego nieogolonej twarzy Bodzio ujrzał oczy tak udręczone, że aż przeszedł go dreszcz.

– Szefie, co się stało? – wyszeptał.

Marek chwilę milczał, a potem wychrypiął:

– Siadaj, Bodziu, walniesz łufę?



Bodzio zbyt dobrze znał swego szefa, by w lot pojąć, że musiało się stać coś niewyobrażalnie strasznego, skoro Marek, zawsze wymuskany, pachnący najlepszą wodą kolońską i nienagannie ubrany, człowiek właściwie niepijący, siedzi bladym świtem przy butelce wódki i śledzi w śmietanie, a przy tym wszystkim wygląda jak menel spod budki z piwem. „Boże, nawalony jak stodoła, co się stało? Zbankrutowaliśmy, jest nieuleczalnie chory, zabił kogoś w pijanym widzie?” – kotłowało się w głowie Bodzia, który po raz pierwszy chyba od wielu lat nie wiedział, co robić.

– Szefie, jest szósta rano, musimy zaraz jechać, zarząd czeka.

– Pieprzę zarząd! Bodziu, pij!

Bodzio posłusznie usiadł. Marek kiwnął na kelnera, który podbiegł szybkim truchcikiem.

– Pół litra, kieliszek i śledź dla pana – zadysponował.

Bodzio aż się skręcił. Swego czasu nie wylewał za kołnierza, ale już od dość dawna cenił sobie dobre trunki, sączone przy odpowiedniej okazji. Czasami w weekendy, kiedy Marek dawał mu wolne, lubił siadać z drinkiem w dłoni (burbon z piwem imbirowym, w którym się rozsmakował, gdy szef rozkręcał filię firmy w Stanach, ulubiony podobno koktajl Amerykanów). Ale czysta i śledź w śmietanie o szóstej rano?!

Wiele sobie obiecywał po tej wspólnej wyprawie do kraju. Interesy szefa w Europie, Azji i Stanach szły doskonale i nic nie wskazywało, aby pozycja przedsiębiorstwa mogła zostać zachwiana. Wielokrotnie namawiał Marka, by odwiedził kraj, z którego wyemigrował kilkanaście lat temu, ale ten zawsze znajdował jakąś wymówkę. Nie przyjechał nawet na otwarcie filii w Warszawie, wykręcając się ważnymi negocjacjami z Chińczykami. Filia od pięciu lat rozrastała się, przynosząc całkiem niezłe zyski w skali całego przedsiębiorstwa, ale szef przekazał kontakty z zarządem swojemu zastępcy, dobrodusznemu Litwinowi o polskich korzeniach, twierdząc, że Viktor dobrze dogada się z Polakami.

I nagle, pewnego dnia, gdy Bodzio, pilnie wezwany, wszedł do gabinetu Marka, zobaczył szefa siedzącego przed komputerem z wyrazem osłupienia na twarzy. Zatrzymał się w progu i patrzył, jak Marek dochodzi do siebie, a osłupienie powoli zamienia się w rzadko u niego widywany szeroki uśmiech.

– Bodziu, jedziemy do Polski! – oznajmił, ciągle z tym zaskakującym uśmiechem.

– Kiedy? – Bodzio wiedział, w jakich sytuacjach nie należy zadawać zbędnych pytań.

– Natychmiast!

I tak oto wyruszyli z Luksemburga kilka dni temu, a przez cały ten czas Bodzio nie mógł przestać się dziwić, bo jeszcze nigdy nie widział szefa w takim stanie. Marek nareszcie zaczął cieszyć się życiem. Wszystko go interesowało, ciekawiło, nie przestawał komentować z ożywieniem tego, co znalazło się w zasięgu wzroku.

Wreszcie odważył się i zapytał:

– Szefie, a właściwie to po co jedziemy?

Marek spojrzał na niego z rozbawioną miną.

– Zjawimy się w filii z niezapowiedzianą wizytą i sprawdzimy, jak sobie radzą.

Bodzio poczuł się urażony. Tyle lat razem, tyle wspólnych przeżyć, tyle wzajemnych długów wdzięczności i ten człowiek, który podobno nie miał przed nim żadnych tajemnic, beczelnie robi go w bambuko. Bodzio nadał się, naburmuszył, by wyraźnie dać do zrozumienia, jak ciężko jest obrażony na szefa, który widocznie w przypiływie jakiegoś oszołomienia nagle zaczął go uważać za idiotę.

Marek poklepał go pojednawczo po ramieniu.

– Bodziu, obrażają się tylko służące, a ty jesteś przecież przyjacielem. Pierwszy się dowiesz, jak przyjdzie czas.

Bodzio, ugłaskany określeniem „przyjacieli”, mocniej nacisnął gaz i postanowił niczemu się już nie dziwić.

I oto teraz siedział naprzeciw człowiekowi, któremu był oddany ponad życie, i patrzył, jak ten systematycznie i konsekwentnie usiłuje upić się do nieprzytomności, tak jakby tylko taki stan mógł pokonać bezmierny ból, wyzierający z jego oczu.

Irena z niechęcią otworzyła drzwi luksusowego samochodu, usiadła i włączyła silnik. Lekko nacisnęła pedał i ruszyła powoli z podziemnego parkingu komfortowego apartamentowca. „Szósta rano to nie jest dobra pora na rozpoczynanie dnia pracy” – pomyślała, uświadamiając sobie jednocześnie, że często dopiero o świcie pracę kończyła. Była typową sową – potrafiła siedzieć nocami, ale pod warunkiem, że nikt nie wyrwie jej z łóżka przed południem. Niestety, zdarzały się wyjątkowe sytuacje, w których Irena musiała zmienić swoje nawyki. „Bycie własną szefową jest czasami uciążliwe – westchnęła z rezygnacją. – Gdybym miała szefa, mogłabym zadzwonić, że jestem ciężko chora, miałam wypadek albo w moim domu wybuchł pożar...” – pomarzyła przez chwilę.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Z irytacją podniosła słuchawkę. Numer zastrzeżony. „Wszyscy się ukrywają!”. Ze złością nacisnęła przycisk.

– Słucham – rzuciła oschłym tonem.

– To ja – niski, zmysłowy głos rozlegający się w słuchawce był Irenie dobrze znany.

– Anita, skończ z tą konspiracją, mój telefon jest czysty, nie po to tyle płacę odpowiednim ludziom, by jakiś gnojek mnie podsłuchiwał. Czego chcesz? – warknęła.

– O, wcześniej wstałyśmy, lewą nóżką, worki pod oczami, nieświeża cera, dużo czasu straconego na makijaż.

Anita wiedziała, na ile sobie może pozwolić, ale czasami szarżowała niepotrzebnie i Irena po raz nie wiadomo który pomyślała, że wreszcie jej cierpliwość się wyczerpie i Anita do końca życia będzie żałowała niepotrzebnej brawury. „Teraz jesteś mi potrzebna, ale nawet nie wiesz, co z tobą mogę zrobić, gdy uznam, że twoje możliwości się skończyły” – pomyślała z mściwą satysfakcją.

– Czego chcesz? – powtórzyła niecierpliwie.

– Dostałam cynk, że minister Pokorski jest w mieszkaniu swojej kochanki, aktorki Ewy Papis. Musi stamtąd lada moment wyjść, bo o ósmej ma naradę u premiera. Ten romans jest bardzo skrzętnie skrywany, trwa podobno od roku, a dopiero teraz to wypłynęło. Mam to dać do gazety czy rezerwujesz sobie pierwszeństwo? Nie wzięłam fotoreportera, sama zrobię zdjęcia.

Irena zastanowiła się przez chwilę.

– Masz pewność, że twój informator nie sprzedaje newsa innej gazecie?

Anita roześmiała się.

– Mam na niego takiego haka, że nawet o tym nie pomyśli.

Irena podjęła decyzję.

– Nie będziemy niszczyć życia biednemu człowiekowi, który zbłądził i być może już ma wyrzuty sumienia. Żona, czworo dzieci, wartości chrześcijańskie na sztandarach partii, która go wyniosła do władzy – zatroskała się obłudnie. – Trzeba mu dać szansę. Zrób pełną dokumentację, tylko zapisz na swoim prywatnym laptopie, nie na redakcyjnym. Przyjdzie czas, gdy pan minister Pokorski będzie mógł nam wyświadczyć przysługę w zamian za tę, którą mu dziś robimy.

– Auuu! – usłyszała jęk zawodu Anity.

Irenę cieszyło, że Anita uwielbia niszczyć ludzi. Nie dociekała, co sprawiło, że ta śliczna, uzdolniona i bardzo inteligentna dziennikarka nienawidzi bliźnich i z największą przyjemnością wykańcza wielkich, a czasami i maluczkich tego świata. Tym bardziej była przydatna, bo nie tylko wypełniała polecenia Ireny, ale wykazywała się niekiedy całkiem sporą inicjatywą.

– Nie płacz, Balladyno – mruknęła pojednawczo. – W zamian dostajesz na tacy głowę prezesa Kikuta. Niestety, głosował na posiedzeniu rady nadzorczej nie tak, jak mu radziłam, i mój klient jest bardzo niezadowolony. Ja też, bo ładna suma przemknęła mi koło nosa, a poza tym wiesz, jak nie lubię być nieskuteczna. Myślę, że za te zdjęcia z agencji towarzyskiej możesz nawet dostać premię. Prezes poważnej rady nadzorczej jednego z największych polskich przedsiębiorstw na czworakach, w kagańcu i na smyczy, chłostany szpicrutą... Mój Boże, nikt w biznesie nie potraktuje go już poważnie – zachichotała i rozłączyła się, nie czekając na piski zachwytu Anity.

Wreszcie wyjechała z garażu. Miasto pomrukiwało leniwie, jak zwykle na początku dnia, ale jeszcze wolno, ospale, szykując się do szybszego startu. Irena postanowiła, że dzisiejszy dzień musi być udany. Ostatnio dwie, trzy zakończone niepowodzeniem akcje mocno nadwerżyły jej poczucie wartości. Obawiała się naprawdę, czy wieść o nich nie przedostanie się do potencjalnych klientów. Musiała przecież utrzymać opinię osoby, która potrafi wszystko załatwić. Niech nadal szeptają sobie na ucho jej nazwisko i ukradkiem, jak największą tajemnicę, przekazują numer telefonu. Niech nadal pocztą pantoflową roznosi się, że jest osoba, która bardzo wiele może. Tylko wybrani znajdą do niej dojście. Każda plotka, każda niepoehlebna opinia może zachwiać imperium budowanym skutecznie przez tyle lat.

„Senatorze Rozłucki, ma pan dzisiaj ostatnią szansę”. Zajechała drogę przestraszonemu punto, trąbiąc i migając światłami. „Będzie się panu wydawało, że ma do czynienia z damą, ale ja w głębi duszy nadal jestem nieodrodną córką handlary z Bazaru Różyckiego. Takiej nikt bezkarnie nie podskoczy!”.

Nie czuła mrozu. Wręcz przeciwnie. Całe wewnętrzne zimno, tłumione przez lata emocje, niepewność i wahanie, ciągnęła walka z sobą i tkwiąca jak cierń w starej ranie wątpliwość, czy dobrze postępuje – wszystko to nagle z niej wyparowało. Marta nigdy tak bardzo nie była pewna decyzji, którą podjęła. Stała przed dworcem autobusowym, ściskając bilet w rękę i modląc się, by jak najszybciej podstawiono autobus.

Świt przygnał w to miejsce szarych, zmęczonych i zdeterminowanych ludzi, którzy z rezygnacją i bez zbytnich nadziei zmierzali ku jakimś swoim, zwykle nierealnym, celom, z mizerną resztką wiary w to, że może tym razem się powiedzie, że coś albo ktoś odmieni ich życie.

Marta chciała do nich krzyknąć: „Ludzie, uwierzcie, wszystko może się zdarzyć, nie traćcie nadziei”. Chciała podzielić się z nimi swoją tajemną, odkrytą dzisiejszej nocy wiedzą, oddać trochę ciepła i światła, które się w niej pojawiły i nieśmiało zaczęły tworzyć ją na nowo. A może tylko pozwoliły odnaleźć tę utraconą wiele lat temu?

Autobus podjechał na stanowisko. Marta, wstydząc się trochę swojego uniesienia sprzed chwili, szybko wskoczyła na stopień i skierowała się w stronę pojedynczego miejsca. Poczucie wspólnoty z ludźmi na dworcu, które przed chwilą tak silnie odczuwała, zamieniło się w egoistyczną potrzebę, by w samotności móc jeszcze raz przeżyć ostatnie kilkanaście godzin. Nie po to, by się zastanawiać, czy postąpiła słusznie, lecz po to, by cieszyć się siłą tej nowej Marty, którą poznawała z coraz większym zachwytem. Jeszcze raz przed oczyma stanęła jej poszarzała, pełna bólu twarz Marka, na którą zerknęła, zanim zatrzasnęła hotelowe drzwi, ale natychmiast przesłonił ją obraz innego mężczyzny. Jan patrzył na nią wczoraj, stojąc w progu ich mieszkania, z rozpaczą człowieka, któremu zawałił się świat i dla którego nie ma już nadziei.

„Szybciej – pomyślała. – Dlaczego ten autobus tak się wleczel!”. Chciała już być w domu, przytulić się do Jana i powiedzieć mu to wszystko, co dotarło do niej dopiero dzisiejszej nocy. „A jeśli go tam nie będzie? Jeżeli odszedł?”. Strach ściał jej krew w żyłach, poczuła nagle dreszcze, kiedy uświadomiła sobie, co może stracić.

„Myśl!!! Z każdej sytuacji jest wyjście! Agata, myśl!” – z odległej przeszłości napłynęły słowa ojca.

Mdłości pojawiały się falami, głowę wypełniała szara, brudna wata, bolały ją mięśnie i coraz wyraźniej zaczął do niej docierać odór brudu, biedy i... śmierci. Zmusiła się do spojrzenia na martwą dziewczynę. Szeroko otwarte, puste oczy. Długie, pozlepiane żelem jasne włosy z wyraźnie ciemnymi odrostami. Rozmazany, ostry makijaż. Króciutki, srebrny tani top udający Dolce & Gabbanę z podrabianą metką tak wszyszą, by od razu było ją widać. Długie, chude nogi obciążone czarnymi kabaretkami wystające spod czerwonej skórzanej spódnicy.

Podniosła się z trudem i wtedy spostrzegła sterczącą z ręki dziewczyny igłę. „Boże, narkomanka!”. Spojrzała uważniej na leżące obok ciało i dopiero wtedy zauważyła, jak bardzo dziewczyna była zabiedzona. Sterczące żebra, maleńki biust, zapadnięte policzki. To nie śmierć pokryła szarawym odcieniem jej ciało, ona tylko pogłębiła i zakończyła proces powolnego odchodzenia, którego początek stanowiła ta nieznaną dotąd chwila uniesienia, kiedy po pierwszym proszku nędza istnienia zamieniła świat w miejsce pełne fajerwerków, radości i przyjaznych ludzi; miejsce bez strachu i bólu. „Agato, myśl! Myśl i działaj, nigdy odwrotnie!” – słowa ojca zabrzmiały tak wyraźnie, jakby stał obok.

Zwlokła się z łóżka i rozejrzała wokół. Dostrzegła na ścianie mały, zardzewiały żeliwny zlew z kapiącym kranem. Włokąc się nogą za nogą, podeszła do ściany i odkręciła wodę. Z kranu pociekła wątlą strużką ciemnobrunatna ciecz. Ledwo zaczerpnęła pierwszy łyk, gdy mdłości powróciły z szarpającą wewnętrzną siłą. Padła na kolana i zaczęła wymiotować, skręcana paroksyzmami bólu. Kiedy atak minął, podniosła się z trudem i z uporem pochyliła głowę nad zlewem. Piła powoli obrzydliwą, ciepłą wodę o metalicznym posmaku, z niepokojem czekając na kolejny atak mdłości, na szczęście jednak nie nastąpił. „Agato, myśl, myśl i działaj, grozi ci niebezpieczeństwo!” – głos ojca natarczywie brzmiał w jej głowie, wypierając strach i otepienie, którym najchętniej by się poddała, gdy już zrozumiała, że to nie koszmarny sen, tylko równie okropna rzeczywistość.

Postanowiła nie myśleć o tym, jak się znalazła w obskurnym barłogu z trupem martwej nastolatki u boku, lecz uciekać stąd jak najdalej. „Powoli, zastanów się chwilę, potem działaj!”. Zirytowana usiłowała zlekceważyć głos natrętnie odwołujący się do jej zdrowego rozsądku. Zdrowy rozsądek w takich okolicznościach! Rozejrzała się jednak ponownie po pokoju, tym razem z większą uwagą.

Rozpadające się łóżko z przybrudzoną, tanią pościelą z kory; stół z resztkami jedzenia i kilkoma butelkami po alkoholu; stara lampka nocna; wnęka ze stojakiem na miednicę i wiadro, którą można było oddzielić od reszty pomieszczenia kretonową zasłoną, teraz zsunietą i smętnie zwisającą z ledwie trzymającego się ściany pręta.

Pokój sprawiał wrażenie opuszczonego, lecz groźnego miejsca; popękane ściany emanowały fluidami zła, tak jakby jego

dotychczasowym mieszkańcom nigdy nie przydarzyło się w nim nic dobrego, jakby mury nasiąkały wyłącznie niegodziwością i przemocą, których w nich doświadczano. Wykładzina, pierwotnie zielona, była poprzecierana i upstrzona licznymi plamami, których nikt nawet nie usiłował usunąć.

Nagle wzrok Agaty przykuł mały biały prostokącik leżący pod stołem, tak nierealny w tym mikroświecie jak czysty, dziewiczy płatek śniegu w czarnym błocie. Podniosła go z podłogi, odwróciła i zamarła.

Na zrobionym polaroidem zdjęciu to ona, półnaga, leżała w objęciach dziewczyny, wówczas jeszcze żywej, trzymając w dłoni strzykawkę i usiłując skupić zamglony wzrok na drugiej igle, którą dziewczyna wkłuwała właśnie w jej ramię.

Oprzytomniała. Miała wrażenie, jakby stała obok i na zimno, bez emocji, obserwowała, co robi ta druga Agata. Sprawdziła, czy w pokoju nie ma innych zdjęć. Dokładnie splukała zlew i usunęła z podłogi wymiociny. Znalazła swoją torbę, rzuconą za łóżko, pobieżnie sprawdziła zawartość. Uznała, że wszystko jest chyba na miejscu, łącznie z portfelem, po czym, dostrzegłszy w rogu pokoju reklamówkę, wrzuciła do niej cztery szklanki, paczkę papierosów, zapalniczkę i wreszcie igłę, którą wyciągnęła, usiłując nie patrzeć, z ręki dziewczyny i dołożyła do znalezionych pod łóżkiem strzykawkę. Zastanowiła się chwilę, czego dotykała i gdzie mogła zostawić odciski. Brudną szmatą wytarła klamkę i powoli uchyliła drzwi. Ciągnął się za nimi ciemny, pusty korytarz z jasną plamą światła padającego z okna na półpiętrze drewnianych, wykoślawionych schodów.

Cicho zamknęła za sobą drzwi, zdjęła szpilki i po cichu zbiegła na dół.

Karaluch z rozkoszą pociągnął kolejny łyk piwa.

– Za to kocham kapitalizm! – wykrzyknął z entuzjazmem i wytarł pianę, która osiadła na czarnym, cienkim wąsiku. Maks z trudem ukrył grymas pogardy.

– Za piwo? Nie masz innych powodów?

– Nie. Za to, że nie muszę czekać do trzynastej. – Uśmiechnął się i zaczął tłumaczyć Maksowi wyrozumiale i cierpliwie jak dziecku: – Przedtem, jak chciałeś się napić o świcie, to szukałeś meliny. Jak już znalazłeś, to mamcia mogła nie mieć piwa, tylko czystą albo bimber. A ciebie suszyło właśnie na piwo. Nawet jak już znalazłeś metę z piwem, to mogły wpaść psy i zabrać cię na dołek. Czterdzieści osiem godzin nie tylko bez browaru, ale też bez fajek, a czasami i wody! A teraz popatrz – zatoczył ręką szeroki łuk – bar czynny całą dobę, browarek, jaki chcesz, i nikt się do ciebie nie przyczepi, że o siódmej rano chlejesz procenty.

Maks przyjrzał mu się uważnie. Już żałował, że dał się namówić na tę przerwę w robocie. Kiedy jednak przypomniał sobie męczenie kumpla, ten nieustający szmer przymilnego nagabywania, namawiania, prośby, westchnął z rezygnacją: „Z kim ja muszę pracować!”. Zerknął na mizerną postać siedzącego naprzeciw mężczyzny i zaczął się zastanawiać nad jego ksywą.

Karaluch trochę przypominał karakona – chude nóżki, odwłok z wystającym brzuchem, mała główka ozdobiona wątym, zakręconym na końcach wąsikiem, wreszcie czarne wąskie rurki i wiecznie rozpięta ciemnobrązowa kurteczka. „Ale to nie wygląd” – doszedł do wniosku Maks. Bardziej chyba chodzi o to, że Karaluch najlepiej czuje się w ciemnościach: w brudnych zaułkach Pragi, obskurnych kamienicach z meliną na każdym piętrze, gdzie zawsze można trafić na jakąś imprezkę urządzaną przez złodziei i paserów, u których można zasięgnąć języka lub od czasu do czasu nadać im jakąś robotę.

To jego żerowisko coraz bardziej się jednak kurczyło. Stare kamienice remontowano albo wyburzano, a na ich miejscu powstawały biurowce i domy dla bogatych. Zapyziałe mordownie, w których można było spotkać swojaków i wychylić setę, zagryzając tatarskim bez zastanawiania się, jak długo stał w szklanej gablocie, były wypierane przez bistra, restauracje, sieciowe fast foody czy udające francuski klimat kawiarnie, w których przesiadywali nowi mieszkańcy, okreśłani przez kumpli Karalucha obraźliwym mianem popaprańców. Jasne, że musiał nienawidzić tego, co „nowe”, odbierające mu poczucie bezpieczeństwa, zmuszające go do wycofywania się w coraz bardziej ograniczoną strefę mroku, nieczystości i przestępstw, w której się wychował i poza którą nie wyobrażał sobie życia. Nawet w barze, w którym przysiedli pół godziny temu, Karaluch wybrał najciemniejszy kąt i skulił się w cieniu rzucanym przez sztuczną roślinę. „Dlatego jestem na niego skazany?” – pomyślał z rezygnacją Maks, który do tej roboty musiał znaleźć kogoś takiego jak Karaluch.

Maks, zawodowy żołnierz, komandos, zaledwie pół roku temu wrócił do kraju po kolejnej zagranicznej misji. Praga była dla niego miejscem równie egzotycznym jak góry Afganistanu, a nie miał czasu, by bawić się w wielotygodniowe rozpoznanie. Musiał mieć człowieka stąd i kilka dni temu takiego właśnie znalazł w jednej z praskich melin. „A teraz mam go w garści jak prawdziwego karalucha, który nie zdążył uciec, zanim nagle zapłonęła żarówka”. Dotknął ręką trzymanej w kieszeni komórki zawierającej kilkuminutowe nagranie dające mu absolutną władzę nad tą nędną imitacją człowieka, którą wbrew sobie musiał tolerować. Zaciśnął z całych sił dłoń na telefonie: „Podskocz, a rozdepczę cię jak prawdziwego robala”.

Dźwięk drugiej komórki z numerem, pod który dzwoniła tylko jedna osoba, przerwał Maksowi rozkoszne wizje zginięcia Karalucha.

– Słucham.

– Załatwione?

Głos w słuchawce był jak zwykle nieprzyjemnie wyniosły i zimny. Maks przez chwilę w popłochu myślał, co powiedzieć, bo sam zdawał sobie sprawę z tego, iż przerwa na piwo to błąd, który może zachwiać wiarą dzwoniącego w profesjonalizm byłego komandosa.

– Jesteśmy w trakcie – znalazł najbliższą prawdy odpowiedź.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Zadzwoń, jak skończycie. Z automatu, pod trzeci numer.

Sygnal przerwanej połączenia zabrzmiał złowieszczo i Maksem nagle wstrząsnął dreszcz podobny do tego w afgańskich górach, kiedy instynktownie wyczuwał, że za chwilę zaatakują talibowie. Zerwał się z miejsca.

– Karaluch, płac, zwijamy się stąd.

Zostawili pieniądze na stoliku i wyszli niepostrzeżenie, korzystając z zamieszania przy wejściu wywołanego przez grupę małych. Minęli dwie przecznice i znaleźli się przed bramą starej, podupadłej kamienicy. Maks rozejrzał się wokół, kiwnął na Karalucha i weszli przez bramę na zaśmiecone podwórko studnie, otoczone ze wszystkich stron murami, w których straszyły puste, zabite niedbale deskami okna. Zatrzymali się przed wejściem do klatki schodowej.

Maks nachylił się do ucha kumpla, nie zważając na odór potu i brudnego ubrania.

– Pamiętasz, Karaluch, co mamy teraz zrobić? – szepnął.

– Ta... królownę odstawić gdzieś do Śródmieścia, a dziwkę wyrzucić kilka ulic stąd. Maks, a co będzie, jak się ockną i zaczęły kumać, że coś jest nie tak?

– Trzeba było pomyśleć o tym, zanim mnie wyciągnął na piwo – wysyczał ze złością Maks. – Idziemy.

Czujnie rozejrzeli się i ostrożnie zaczęli wspiąć po jęczących schodach. Opuszczona kamienica, jakby w przecuciu nadchodzącego kresu istnienia, wydawała zadziwiające odgłosy, które sprawiły, że Karaluch zaczął się bać. Szedł za Maksem i nerwowo oglądał się za siebie. Choć wiedział, że opuszczony budynek obwieszony tablicami informującymi o niebezpieczeństwie zawalenia omijają nawet

bezdumni, udzielił mu się niepokój Maks.

Podeszli do drzwi na pierwszym piętrze i powoli je uchyliłi.

– O, kurwa! – wyszeptał Karaluch – gdzie lalunia?! – Rzucił się w stronę łóżka i zaczął potrząsać leżącym tam ciałem. – Obudź się, szmato, gdzie ona jest? – Uderzył na odlew, aż głowa dziewczyny z hukiem uderzyła o żelazną poręcz łóżka.

– Uspokój się, Karaluch, nie widzisz, że ona już jest sztywna? Za mocno ją naszprycowałeś.

– Co ty, Maks, przecież ty dałeś mi strzykawkę, ćpunka miała dostać nagrodę za te zdjęcia, nie było w umowie, że ją załatwimy!

Karaluch, który popełnił w życiu wiele niegodziwości, nigdy nie zabił. Owszem, łał razem z kumplami opornych handlarzy zapominających czasami o haraczu, potrafił nieźle przyłożyć kolejnym konkubinom, ale zabić?!

– Przystań się trząść, patałachu – wycedził Maks. – Ty ją zabiłeś, mam nagrane na komórce, jak ładujesz w nią ten złoty strzał. Módl się, żebym tylko ja to oglądał. A teraz morda w kubeł, zostaw tę wywłokę i zmywamy się stąd. Masz zdjęcia?

Karaluch nerwowo sięgnął do kieszeni kurtki.

– Mam, Maks – westchnął z ulgą.

Maks zaczął się zastanawiać.

– Słuchaj, gnojku, daliśmy dupy. Ty to małe piwo, nie liczysz się w tej grze, ale ja... Jak ja tak mogłem spieprzyć tę robotę! Dawaj zdjęcia i słuchaj uważnie. Pójdiesz i dyskretnie... Wiesz, co to znaczy dyskretnie? Tak, żeby pół Pragi od razu nie plotkowało, że kogoś szukasz. No więc pójdiesz i uruchomisz te swoje męty. Ktoś musiał ją widzieć, jakiś złotowa mógł ją wieźć. Będziesz jej szukał tu, na Pradze. Nawet jeśli ocknęła się za wcześnie, dostała taką dawkę, że nie myśli logicznie. Może nie wiezieć, kim jest, gdzie jest i jak tu się znalazła. Ja sprawdzę jej dom. Jak coś znajdziesz, to dzwoń, tylko nic nie mów. Pół godziny po twoim telefonie spotkamy się tam, gdzie zwykle. Jak ja zadzwonię, weźmiesz dupę w troki najszybciej jak możesz i przyjdiesz w to miejsce. Rozumiesz?

Karaluch rozpaczliwie potakiwał, usiłując zapamiętać słowa Maks'a i czerpiąc siłę z jego zdecydowania. Zaczynał wierzyć, że wyjdzie cało z tej opresji i że Maks jest jedyną osobą, na której ochronę może liczyć.

Na ulicy Maks poklepał Karalucha protekcyjnie po plecach, odwrócił się i sięgnął do kieszeni po komórkę. Zerknął przez ramię i kiedy zobaczył znikającą za rogiem, drobiącą pospieszonymi kroczkami sylwetkę, z rozpaczą popatrzył na klawiaturę małego telefonu i pomyślał: „Co ja mu powiem?”.

Dotąd Maks bał się dwóch rzeczy: śmiertelnej, powoli wyniszczającej choroby i węży. Teraz uzmysłowił sobie, że boi się również człowieka, do którego musi zadzwonić. Przypomniał sobie instrukcje – z automatu, na trzecią komórkę.

Zaczerpnął głęboko zimny haust powietrza i ruszył przed siebie.

Senator Rozłucki budził się powoli, coraz wyraźniej odczuwając miłe podniecenie i świadomość, że dzisiaj wydarzy się coś wyjątkowego. Usiłował sobie przypomnieć, co to ma być. Senat ma przerwę, nie musi jechać do Warszawy? Nie, to nie to. Wieczorne spotkanie? Podniecająca perspektywa, ale to chyba też nie... „Mam! Napiszą o mnie!” – cały się rozjaśnił na wspomnienie wczorajszej rozmowy. Miły damski głos w telefonicznej słuchawce rozbrzmiewał niczym anielskie pienia.

– Panie senatorze, jestem pańską wielbicelką, śledzę pańską karierę polityczną i wierzę, że jest pan w stanie osiągnąć najwyższe stanowiska w państwie – usiłował skromnie protestować, ale damski głos ciągnął nieprzerwanie – i boli mnie, że pańska mrówcza praca i oddanie dla ojczyzny nie są powszechnie znane.

Senator w duchu przyznał jej całkowitą rację. Jego też to bolało. Może gdyby był posłem, przebiłby się do mediów jakąś celną myślą rzuconą do mikrofonu na sejmowym korytarzu, błyskotliwym bon motem, ciętą ripostą z sejmowej trybuny. Ale bycie jednym ze stu senatorów izby, którą wyraźnie wszyscy, na czele z dziennikarzami, lekceważyli, nie dawało mu takiej szansy. Damski głos wylewał dalsze litry miodu na jego próżne ego.

– Pan zasługuje na znacznie więcej, ludzie muszą się o panu dowiedzieć.

– Ale to nie takie proste – usiłował wtrącić, gdy dama nabierała powietrza, by kontynuować swoje peany.

– Ja panu chcę pomóc – rzekła zdecydowanie. – Posiadam pewną poufną wiadomość. – Senator wstrzymał oddech. – Jutro jest zwyczajowy dzień dyżurów parlamentarzystów w terenie, prawda?

Rozłucki rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, kiedy są te dyżury, bo od początku kadencji w swoim biurze zjawiał się raz na miesiąc, wyłącznie po to, by podpisać przelewy, delegacje i listę płac jedyne go asystenta, którego musiał zatrudnić, a który dumnie obnosił się z tytułem dyrektora biura senackiego, marnym dodatkiem do jego nędznej pensji wyznaczonej przez chorobliwie skąpego senatora. Kobieta kontynuowała, uznając swoje pytanie za retoryczne.

– Wielki ogólnopolski dziennik będzie jutro sprawdzał, jak dyżuruje dziesięciu losowo wybranych parlamentarzystów. Ośmiu posłów i dwóch senatorów. Pan jest na tej liście! – wykrzyknęła z entuzjazmem.

Senator zamarł.

– I... co? – wyszeptał trwożliwie.

– Jak to co? – irytacja w głosie damy była wyraźna – tylko pan będzie o tym wiedział. Inni, jak zwykle, przeproszam za wyrażenie, oleją dyżury i obywateli, swoich wyborców, którzy przyjdą z prośbą o pomoc. Tylko pan będzie w pogotowiu, tylko pan pochyli się nad losem ludzi, którzy panu zaufali, pan stanie się przykładem dla swoich kolegów, a władze partii na pewno pomyślą, jak wykorzystają pańską dobrą prasę i pozwolą panu wypłynąć na szerokie wody wielkiej polityki.

– Jak ja się pani odwdzięczę?! – Już widział kolorowe zdjęcia na pierwszej stronie wyłożonej w kiosku popularnej bulwarówki, już czuł te poklepywania po plecach, widział zawiść w oczach kolegów i uznanie szefa klubu. A może nawet sam premier zwróci na niego uwagę?!

– Moją nagrodą będzie zajęcie przez pana należnego mu miejsca w życiu publicznym – odrzekła zdecydowanie kobieta i rozłączyła się, a senator jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, jakby chciał przedłużyć tę magiczną chwilę, która wniosła w jego życie tyle nadziei.

To było zaledwie wczoraj, ledwo zdążył uprzedzić asystenta, że pojawi się dziś w biurze o dziesiątej i będzie przyjmował interesantów. Poleciał mu kupić jakieś kwiaty, oczywiście na rachunek biura, i trochę posprzątać.

Sięgnął po elektroniczny budzik stojący przy łóżku i przestawił alarm na ósmą. „Jeszcze godzina drzemki” – pomyślał i natychmiast zasnął z błogim uśmiechem na ustach.

Zamyślona Kasia powoli popijała kawę, kiedy poczuła zimny dotyk na gołej łydce. Malta cichutko podeszła do swojej pani i trącała ją wilgotnym nosem, domagając się uwagi, pieszczot lub jakiejś małej porannej przekąski. Kasia czule pogłaskała ciemną głowę suczki, otrzymując w zamian łapę, którą energicznie uściśnęła.

– Co, obżyrku, już jesteś głodna?

Malta wymownie spojrzała w stronę lodówki, więc Kasia wyjęła parówkę i dała psu. Przyglądała się chwilę, jak przysmak ginie w



potężnych szczękach suki, myśląc o tym, że bardzo wyrosła przez te kilkanaście miesięcy.

Przypomniała sobie ów dzień, kiedy podając w barze kawę, usłyszała wizz opon i przeraźliwy pisk. Wyskoczyła z baru i zobaczyła najpierw znikający tył samochodu, a potem utykającą małą kulkę, która rozpaczliwie usiłowała dogonić auto. Szybko podbiegła. Szczeniak cicho popiskiwał, gdy brała go na ręce, a tylna łapka smętnie zwisała, wygięta pod nienaturalnym kątem.

Doktor Kącki przyzwyczajony do tego, że Kasia od zawsze przynosiła mu wszelkie zwierzęce nieszczęścia, jak to żartobliwie określał, orzekł, że łapa nie jest złamana, tylko mocno potłuczona, a szczeniak jest wyjątkowo rasowym owczarkiem niemieckim. Zdumiona Kasia, która uważała krzywdzenie bezbronnych dzieci i zwierząt za największą zbrodnię, próbowała jakoś wytłumaczyć całe wydarzenie.

– Ale przecież taki pies musi dużo kosztować! Ci ludzie, jeśli nie mają serca, to chociaż powinni zastanowić się nad tym, że tracą tyle pieniędzy! – tłumaczyła weterynarzowi.

Kącki, który opinię Kasi podzielał bez zastrzeżeń i leczył wiele zwierząt za darmo, bo po prostu je kochał, popatrzył na nią wyrozumiale.

– Droga Kasiu, ci ludzie oprócz tego, że nie mają sumienia, nie mieli też najmniejszego pojęcia o tej rasie. Popatrz na te uszy, widzisz? Jedno stoi, drugie jest klapnięte. Uznali, że pies ma defekt, i po prostu wyrzucili szczeniaka jak jakieś popsute urządzenie. Stać ich, kupią sobie następnego, tak jak co roku wymieniają telewizor, zmywarkę czy kuchenkę mikrofalową na najnowszy model. Nie wiedzieli, ignoranci, że to się zdarza w tej rasie. Jedno ucho staje wcześniej, drugie czasami znacznie później. Co z nią zrobisz? Bo to jest suczka.

Kasia spojrzała na szczeniaka, który po przeciwbólowym zastrzyku uciuchł i leżał przytulony do jej stopy. Pochyliła się, podniosła małą główkę z oklapniętym uchem i spojrzała w brązowe oczy. To, co zobaczyła, wystarczyło jej do podjęcia decyzji.

– Zabieram ją do domu – rzekła stanowczo.

Kącki z troską pokręcił głową.

– A mama? Wiesz, że jest uczulona na sierść?

Dziewczyna popatrzyła na doktora z nagłym chłodem.

– Ona jest uczulona na wszystko. A wie pan głównie na co? Na życie i innych ludzi! Chociaż raz nie będzie tak, jak ona chce.

Delikatnie podniosła suczkę z podłogi i energicznie wymaszerowała z przychodni. Na schodach przytuliła pieska i szepnęła mu w stojące uszko:

– Jesteś moja, wiesz? Będziesz się nazywała Malta i w ten sposób będę miała swoją prywatną wyspę. – Malta podniosła pysk i polizała Kasię w szyję.

I tak oto Kasia zyskała kogoś, kto kochał ją bezgranicznie i bezwarunkowo i komu mogła powierzyć wszystkie swoje troski, smutki i tajemnice bez obawy, że zostanie wyśmiana, skrytykowana czy wręcz zlekceważona. Malta strzygła wspaniale postawionymi uszami, wyczuwała jej nastrój i machała radośnie ogonem albo wtulała pysk pod pachę dziewczyny, posapując i wzdychając, tak jakby mówiła: wiem, że nie jest ci lekko, ale nie martw się, będzie dobrze, a poza tym przecież JA jestem przy tobie.

A teraz to wielkie, wspaniałe, złotobrazowo-czarne psisko leżało u stóp Kasi, drzemiąc spokojnie, lecz czujnie, tak by natychmiast zareagować na wszystko, co mogłoby zagrażać jej pani...

Bliźniaczki wybiegły kilkanaście minut temu, spiesząc się na przedlekcyjną próbę chóru, pracę Kasia zaczynała w południe, tak więc siedziała w tej błogiej ciszy, a jej myśli wolno dryfowały w świecie fantazji, dokąd tak często uciekała. Nagle ostry jak brzytwa krzyk przerwał spokój poranka.

– Katarzyna! Kaśka! Gdzie jest ta dziewczyna?

Malta podwinęła ogon pod siebie i wtuliła z rezygnacją nos między łapy, a Kasia wstała i z westchnieniem zaczęła wspinać się po schodach, przygarbiona, tak jakby wielki ciężar spoczywał na jej barkach. Ostrożnie pchnęła uchylone drzwi i weszła do środka.

Pokój spowity był mrokiem. Ciemne, ciężkie zasłony nie przepuszczały odrobiny światła i jedynym punktem odniesienia była mała lampka, dająca mdły poblask spod ciemnobrązowego abażuru. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach ciężkich perfum, lekarstw, kamfory, charakterystyczny dla pomieszczeń, które rzadko bywały wietrzone.

– Dzień dobry, mam, czego sobie życzysz?

– Nareszcie! Mogłabym tu umrzeć, leżeć całymi dniami i nikt by się nie zainteresował, co się ze mną stało! – jękliwy, przepelniony goryczą i żalem głos wydobywał się z głębi pokoju, gdzie stało potężne rzeźbione łóżko, zarzucone stosem jasiczków, poduszek i poduszczynek, wśród których tkwiła ledwie widoczna głowa kobiety w średnim wieku.

– Tylko nie zapalaj światła! I nie rozsuwaj zasłon! Całą noc nie spałam, miałam potężną migrenę, ale oczywiście nikt nawet tu nie zajrzał, mogłabym skonać, a was by to wcale nie obeszło!

Kasia zagryzła wargi i nic nie powiedziała, choć zaglądała w nocy do matki i widziała, jak wtulona w swoje poduszeczki smacznie chrapie, naszpikowana środkami nasennymi i uspokajającymi, bez których nie mogła żyć.

– Czy zamorzenie mnie głodem też macie w planach? – wyszczała jadowicie matka Kasi.

– Nie, mam. Co zjesz?

– Coś lekkiego, źle się czuję, chyba jestem podziębiona, daj mi termometr. Zrób mi dwa jajka na miękko, jeden tost i zieloną herbatę. A potem zadzwon do doktora Pietraszkiewicza i zamów go na popołudnie. Muszę z nim przedyskutować objawy, jakie miałam w nocy. Podejrzewam, że to nerwica żołądka. Poza tym kończą mi się lekarstwa.

Lekkim machnięciem ręki dała Kasi do zrozumienia, że to już koniec porannej audycji.

Kasia zeszła do kuchni, włączyła toster, nastawiła wodę na jajka i herbatę, a potem ciężko przysiadła przy kuchennym stole. Malta podniosła głowę i popatrzyła na nią pytająco.

– Nic nowego, Maltuniu. Jak zwykle: ciężko cierpiąca matka i wyrodna córka o kamiennym sercu. – Poklepała suczkę po głowie i znowu dopadły ją przynębiające myśli.

„Jak można nie kochać własnej matki? – z wyrzutem stawiała sobie ciągle to pytanie. – Kiedy to się stało? Kto kogo odtrącił? A może matka wyczerpała całą swoją miłość, może oddała ją ojcu, a kiedy go zabrakło, z egoizmu i bezwzględności stworzyła sobie świat, w którym mogła istnieć bez niego? A może to stało się wcześniej? Może dlatego ojciec, udręczony jej obsesyjnym uczuciem, zazdrością, rejteradą przed beznadziejnym życiem w wyimaginowane choroby, coraz częściej uciekał z domu i wreszcie znalazł miejsce dające ukojenie udręczonemu sercu?”

Kasia pamiętała ze szczegółami ów koszmarny dzień siedem lat temu. Siedziały z matką w kuchni. Kasia odrabiała lekcje, matka paliła papierosa i co chwila nerwowo zerkała na zegarek. Poderwała się, gdy usłyszała szczęknięcie klamki, już miała podbiec do wejścia, kiedy w drzwiach domu stanął ojciec, trzymając na rękach dwie maleńkie, opatulone przemoczonymi pelerynkami istotki. Matka zamarła. Ojciec ostrożnie postawił je na podłodze, zsunął kaptury i Kasia zobaczyła dwie małe, identyczne, zapłakane buzie, otoczone skręconymi od wilgoci rudymi pierścionkami włosów o takim samym jak u ojca i Kasi odcieniu.

Ojciec, odpowiadając na nieme pytanie widoczne w oczach matki, powiedział spokojnie:

– To jest Isia, a to Misia. Moje córki. Wczoraj umarła ich matka. Mam nadzieję, że otoczysz je opieką. Ze względu na okoliczności nie wymagam, żebyś usiłowała zastąpić im matkę, ale spróbuj być dla nich dobra. Chociaż nie wiem, czy to potrafisz, więc mała korekta – nie bądź dla nich zła.

Podniósł rękę i wykonał zdecydowany ruch dłonią, kiedy zobaczył, że matka usiłuje coś wykrzyknąć.

– Nie będziemy dzisiaj o tym rozmawiać. Dziewczynki są przerażone i zmęczone. Nakarm je i połóż spać. Ja muszę wracać i pochować ich matkę. Nie utrudniaj mi tego.

Odwrócił się i wyszedł.

Kasia spojrzała na dwie malutkie figurki, kurczowo trzymające się za ręce, i zobaczyła, że z ich oczu, zielonych tak jak jej, płyną ciurkiem wielkie łzy. Zerknęła na matkę i kiedy spostrzegła, że ta zaciska w nienawistnym grymasie usta, odwraca się i wchodzi po schodach na górę, zrozumiała, że właśnie skończyło się jej dzieciństwo.

Odpowiedzialność to nie jest słowo, które staje się treścią życia trzynastoletka. Ale nie to zadecydowało, że Kasia podeszła do dziewczynek, przytuliła je i powiedziała:

– Cześć, jestem waszą siostrą, mam na imię Kasia i będę się wami opiekowała, kochała was i rozpieszczała.

Wiedziała, czym jest samotność małego dziecka. Bolesnie odczuwała odtrącenie i przekonanie, że jest dla matki wiecznym przypomnieniem, jak zmarnowała życie i ile szans straciła przez niechcianą ciążę. I choć ojciec uwielbiał Kasię i w czasie rzadkich pobytów w domu ciągle udawadniał, jaka jest ważna i kochana, dziewczynce brakowało czułości matki, jej troski, zainteresowania, choćby odrobiny miłości spośród licznych codziennych obowiązków, wykonywanych sumiennie, lecz bez uczucia. „Dostaniecie tyle miłości, na ile tylko będzie mnie stać” – przyrzekła w duszy bliźniaczkom i delikatnie zaczęła rozpinać przemoczone pelerynki.

Jan stracił poczucie czasu. Siedział tak już wiele godzin i czekał. Zerknął w okno. Przez szpary w zasłonach wnikało do pokoju szare światło zimowego poranka. Takiego samego jak wtedy, gdy za Martą zamknęły się drzwi. Uświadomił sobie, że musiała minąć doba od tego momentu. Kropla w morzu odwiecznego czekania na Martę!

Przez te wszystkie lata miał nadzieję, że nadejdzie taka chwila, gdy go wreszcie pokocha, stanie się czuła i oddana. Już wtedy, przy tej wiejskiej kapliczce zrozumiał, że nie może niczego żądać ani zbyt wiele oczekiwać. Intuicyjnie wyczuwał, że tylko bezwarunkowa zgoda na przyjęcie Marty takiej, jaka jest, może w przyszłości coś zmienić. Łudził się, że jego miłości starczy dla dwojga. I czekał. Wczoraj, kiedy oznajmiła, że wyjeżdża, by spotkać się z Markiem, coś w nim pękło. Nie powiedział słowa i patrzył bezradnie, jak zamyka za sobą drzwi. Razem z nią odeszła nadzieja...

Pamiętał dokładnie chwilę, kiedy zwrócił na nią uwagę.

Był w maturalnej klasie, stał przed szkołą i czekał na kumpla, któremu obiecał ściągę na dzisiejszy sprawdzian. Nerwowo zerkał na zegarek, bo szkolny wozy zwanym Kubłem, postrach wszystkich uczniów, słynął z nieprzeciętnej punktualności i nikt nie chciał zjawić się po tym, jak o ósmej zamkną drzwi.

I wtedy ją zobaczył. Biegła lekko, wymachując plecakiem, a niemal całkiem czarne włosy powiewały wokół radosnej, zarumienionej ślicznej twarzy. Zatrzymała się przed samą szkołą i odetchnęła z ulgą, gdy stwierdziła, że drzwi jeszcze stoją otworem. Spojrzała przelotnie na Jana, uśmiechnęła się, powiedziała: – Cześć. – I zniknęła w półmroku szkolnego korytarza.

Dla Jana w tej chwili świat stanął w miejscu. Poczuł radość i smutek, tęsknotę i ukojenie i zrozumiał, że bez tej dziewczyny nie ma dla niego życia. Stał bez ruchu, zapamiętując ten moment, w głębokim przekonaniu, iż wiele razy będzie go odtwarzał w pamięci, i dopiero kuksaniec kumpla wyrwał go z przyjemnego oszołomienia.

Od tej pory uważnie obserwował Martę, choć ciągle nie miał odwagi, by ją bliżej poznać. Dowiedział się, że jej ojciec jest lekarzem, który wygrał konkurs na stanowisko dyrektora miejscowego szpitala i przeniósł się wraz z rodziną do Ogrodownik kilka tygodni temu. Marta zaczęła chodzić do pierwszej klasy i bardzo szybko stała się jedną z najbardziej lubianych uczennic, zarówno przez rówieśników, jak i przez nauczycieli. Przyciągała jak magnes. Zawsze otaczało ją grono przyjaciółek „aż do grobowej deski”, a chłopcy wodzili za nią cielecym wzrokiem.

Podobnie było z jej rodzicami. Zostali zaakceptowani przez miejscową elitę i zaczęli bywać w domach notabli niewielkiego miasteczka. Jan, którego ojciec, właściciel apteki w rynku, będącej w posiadaniu rodziny od kilkudziesięciu lat, należał do tego grona, miał więc okazję spotykać Martę poza szkołą. Szybko jednak zrozumiał, że dziewczyna widzi w nim wyłącznie starszego kolegę z liceum i traktuje w taki sam przyjazny sposób jak wielu znajomych. Uznał, że nie nadszedł odpowiedni moment, by próbować powiedzieć jej o swoich uczuciach, i czekał, zadowolając się tymi chwilami, gdy mógł z nią zamienić kilka słów w czasie przerwy między lekcjami albo w pobliskiej kawiarence okupowanej tłumnie przez licealistów.

Zdał maturę i, wypełniając wolę ojca, egzaminy na farmację. Bał się momentu wyjazdu na studia i rozstania z Martą, ale z drugiej strony akademickie miasto nie było zbyt oddalone od Ogrodownik i weekendy mógł spędzać w domu.

Był wtedy na trzecim roku. Przyjechał do domu na kilka dni po wyjątkowo ciężkiej sesji i jak zawsze nie mógł się doczekać chwili, kiedy zobaczy Martę. Zamieniwszy kilka słów z matką, drżącą ciągle o syna w „wielkim mieście”, pobiegł do kawiarenki, gdzie miał nadzieję spotkać dziewczynę. Wszedł do zadymionego wnętrza, przetaił okulary i spojrzał w głąb lokalu.

Marta siedziała przy stoliku z wysokim brunetem i patrzyła na niego tak, że Jan natychmiast wszystko zrozumiał. Marta była zakochana! Odwrócił się na pięcie, wyszedł z kawiarni, wrócił do domu i następnego dnia wyjechał wczesnym rankiem, tłumacząc zawiedzionym rodzicom, że wypadł mu nagle jakiś egzamin, do którego musi się przygotować w uczelnianym laboratorium. Nie chciał myśleć o Marcie, o chłopaku, który mu ją „zabrał”, zamknął się w sobie, nie wychodził z biblioteki i laboratoriów, wykręcał od wizyt w domu i każdego ranka zmuszał się, by wstać, oddychać, i jakoś przeżyć kolejny dzień. Zbliżały się wakacje i ostatnie egzaminy. Jan załatwił sobie praktykę w aptece przy klinice Akademii Medycznej i nie miał zamiaru pojawić się latem w Ogrodownikach.

Pewnego dnia wczesnym latem ktoś zapukał do drzwi pokoju, który wynajmował. Niechętnie wstał z łóżka, odsunął zasuwę, uchylił drzwi... i ujrzał matkę. Bez słowa przeszła przez próg, rozejrzała się szybko po zaniedbanym, pełnym książek, skryptów i pustych opakowań po jedzeniu na wynos pomieszczeniu, usiadła na jedynym krześle i popatrzyła na Jana. Zobaczyła bladą, mizerną twarz, zaczerwienione oczy i usta zacisnięte w grymasie bólu.

– Jedziemy do domu – powiedziała. Nie czekając na odpowiedź syna, wstała i zaczęła pakować wyciągniętą z kąta walizkę. Jan nie miał siły się sprzeciwić.

W domu rodzice o nic nie pytali, dając mu czas i tyle czułości, że aż był nią zmęczony. Włóczył się więc całymi dniami, omijając miasteczko i odkrywając wiejskie dróżki zarośnięte kolorowo kwitnącymi chwastami, zagajniki i polany wśród sosnowych lasów. Pewnego dnia kilka kilometrów za miastem poszedł skracającą w bok ścieżką i ujrzał maleńką przydrożną kapliczkę. Drewniany daszek chronił przed deszczem krzyż z Chrystusem w cierniowej koronie, dając jednocześnie cień wiejskim bukietom świadczącym o pamięci, nadziei i wierze ludzi, którzy je tam składali. Przysiadł na wykoślawionej ławeczce i dopiero wtedy dostrzegł skuloną postać, skrywaną dotąd przez rosnącą obok kępkę młodych brzoźek. Poczuł zażenowanie, iż przerywa komuś tak intymną chwilę, podniósł się, chcąc po cichu odejść, gdy nagle postać wyprostowała się, odwróciła głowę i Jan ujrzał zapłakaną twarz Marty. Podniosła się i podeszła do niego powoli.

– Jestem w ciąży – powiedziała. – Nie mam nikogo, komu mogłabym o tym powiedzieć. Jeśli rodzice się dowiedzą, wyrzucą mnie z domu, bo nie zgodzę się na aborcję. Chcę urodzić to dziecko, nawet jeśli jego ojciec okazał się kłamcą i łajdakiem.

– Wyjdź za mnie – powiedział nieśmiało Jan i spojrzał w zapłakane oczy z miłością, która go przez cały czas wypełniała.

– Ale ja cię nie Kocham – odpowiedziała smutno Marta i wdzięczna za słowa, które przed chwilą wypowiedział, z czułością uściśnęła

dłoń Jana.

– To teraz nieważne. Wezmę tyle, ile mi dasz. Może nie będziesz szczęśliwa, ale będziesz bezpieczna i spokojna. Marto, kocham cię od tak dawna! Może i ty w końcu mnie pokochasz. O nic nie będę pytał, nic nie chcę wiedzieć, ale jestem pewny jednego – chcę być z tobą, chcę widzieć twój uśmiech, patrzeć w twoje oczy i sprawić, byś zapomniała o tym, co cię spotkało.

Marta spojrzała na niego uważnie.

– I dasz mi czas? Nie będziesz zły, niecierpliwy, nie będziesz mi wymawiał, że jestem zimna, nieczuła i niewdzięczna?

– Marto, przysięgam na to miejsce, w którym się dziś spotkaliśmy, że nigdy nie usłyszysz ode mnie słowa wyrzutu, że będę cię kochał z całego serca, nawet jeśli w zamian nic nie otrzymam.

– Mam tylko jeden warunek – powiedziała Marta po chwili milczenia. – Nigdy nie okażesz dziecku, które urodzę, że nie jest twoje. Chcę, by miało ojca, którego będzie mogło szanować.

– Przysięgam – odpowiedział Jan i tkliwie ucałował jej dłoń.

Palma musiała już być w sztok pijana. „Dobrze, że sztuczna” – rozgrzeszył się Bodzio, który ukradkiem wylewał do donicy kolejne setki. Spojrzał na Marka i stwierdził, że szef odplynął na dobre. Wcześniej usiłował go nakłonić do zwierzeń, ale słyszał tylko: pij, Bodziu. Po czym następowała kolejna propozycja bruderszaftu, na którą odpowiadał z żelazną konsekwencją: „Po nazwisku to po pysku, a po imieniu też nie będę mówił, szefie”. Pstryknął palcami na kelnera.

– Panie starszy, ten gość chwilę tu posiedzi, zaraz wróć. – Rzucił na stół plik banknotów i wybiegł z restauracji, odprowadzany gorliwymi ukłonami kelnera.

W apartamencie Marka panował pozorny spokój, ale bystre oko Bodzia wypatrzyło stolik nakryty na dwie osoby, smętnie tkwiącą w kubelku nieotwartą butelkę szampana i pełną petów popielniczkę. Wyciągnął walizy i zaczął wrzucać do nich zawartość hotelowej szafy oraz rzeczy leżące na fotelach i łóżku. Na końcu wyłączył laptop i delikatnie umieścił go w pokrowcu. Jego rzeczy były już w samochodzie, więc zszedł do recepcji i kartą kredytową firmy, którą zwykle płacił za służbowe wydatki, uregulował rachunki. Wrócił do restauracji i korzystając z pomocy usłużnego kelnera, wyciągnął Marka zza stolika. Gdy już umieścili go w samochodzie, Bodzio wyjął kolejne banknoty i ze słowami: – Nic pan nie widział – wcisnął je w dłoń kelnera.

Usiadł za kierownicą i zaczął się zastanawiać, co dalej. Wiedział z doświadczenia, że potrzeba dobrych kilku godzin, żeby Marek odzyskał świadomość, a co za tym idzie zdolność podejmowania decyzji, i zrozumiał, że teraz on jest za wszystko odpowiedzialny. Zarząd warszawskiej firmy zbierze się w południe, by poznać wreszcie szefa. Bodzio nie mógł dopuścić do kompromitacji. Zadzwonił do asystentki Marka w Luksemburgu i w imieniu szefa kazał odwołać spotkanie i poinformować, że zarząd zostanie wkrótce powiadomiony o nowym terminie.

Odwrócił głowę, sprawdził, czy Marek jest dobrze przypięty pasami, i wolno ruszył. „O reszcie pomyślę później” – zdecydował i skupił się na GPS-ie, który miał szybko wyprowadzić go z miasta na drogę do stolicy.

Portier leniwie przerzucał strony kolorowego pisemka i pozornie nie zwracał uwagi na wejście, ale Maks wolał nie ryzykować. Poczekał przed automatyczną bramą garażu i kiedy ta zaczęła się podnosić, niepostrzeżenie wślizgnął się do środka za wjeżdżającym samochodem. Bacznie rozejrzał się wewnątrz, zlokalizował kamerę i zasłaniając dłonią twarz, przemknął w stronę windy. Zachowując maksymalną ostrożność i unikając monitoringu, odnalazł na ósmym piętrze mieszkanie dziewczyny. Bezszelestnie podszedł do drzwi i chwilę nasłuchiwał. Z lekkim wahaniem nacisnął dzwonek i schował się za załamaniem muru. Usłyszał dźwięczny gong, odczekał chwilę, ponowił próbę i doszedł do wniosku, że nikt mu tych drzwi nie otworzy. Wyjął z kieszeni komplet wytrychów. Po kilku podejściach zapadki zamka kliknęły, a Maks, odczekawszy moment, stanął w progu mieszkania.

Wszedł ostrożnie i zerknął w głąb pomieszczenia. Była to wielka przestrzeń, z oknem na całą ścianę, przysłoniętą teraz żaluzjami. Spod sufitu sączyło się łagodne światło, którego źródła nie mógł zlokalizować. Niewiele nowoczesnych mebli, kilka obrazów na ścianach w stylu, którego nie znosił i które złośliwie określał mianem bohomazów. Pod ścianą stało stare biureczko z mnóstwem szuflad i szufladek, a na jego blacie nowoczesny komputer.

Maks podszedł do biurka i systematycznie zaczął przeglądać szuflady. Rachunki, stare listy, szkice, rysunki... „Samo nieużyteczne barachło” – stwierdził. Włączył komputer i z zadumą popatrzył na ekran. Laptop nawet nie zażądał hasła! Wyciągnął z kieszeni pendrive i przegrał całą zawartość twardego dysku. Intuicja mu mówiła, że niczego tam nie znajdzie, lecz pomny dzisiejszej wpadki wolał dmuchać na zimne.

Wbudowane w ściany szafy zawierały mnóstwo markowych ciuchów, a na pawlaczu stał komplet walizek od Louisa Vuittona. Zajrzał do łazienki, stwierdził, że wygląda normalnie, jak to łazienka baby, dotknął suchego dna wanny i wrócił do olbrzymiego pokoju. Na łóżku leżało kilka sukienek, tak jakby ktoś nie mógł się zdecydować, którą wybrać. Obok nich niewielki kalendarzyk, który Maks natychmiast schował do kieszeni. Ruszył w kierunku drzwi.

Mieszkanie nie sprawiało wrażenia, jakby ktoś opuścił je w popłochu. Wszystko, w ocenie Makska, było na swoim miejscu. Przed wyjściem jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wnętrze. Zauważył niemowlęce buciki z różowej włóczki, wiszące na gwoździu wbitym pośrodku wolnego od obrazów sporego kawałka ściany. „Walnięta artystka” – prychnął z pogardą i lekko zatrzasnął za sobą drzwi.

Poprawił muszkę, jeszcze raz spryskał się wodą kolońską i przyglądając włosy, zerknął w lusterko. Ujrzał w nim twarz senatora Rzeczypospolitej Polskiej – szlachetną i przystojną. Zadowolony z tego, co zobaczył, wyszedł z mieszkania i udał się do biura.

Zimowy chłód nie robił na nim wrażenia, szedł lekkim krokiem, uchylając kapelusza przed napotkanymi kobietami, niezrażony ich zdziwieniem wywołanym ukłonami nieznanego. „Wkrótce wszyscy będą mnie znali” – pomyślał z satysfakcją, wspinając się po schodach zaniedbanego nieco budynku, w którym wynajmował wyjątkowo tanio lokal biurowy. Pod drzwiami nie kłębił się tłum wyczekujących interesantów, ale Rozłucki, nie przejmując się tym, energicznie wkroczył do maleńkiego holu, w którym już czekał na niego mocno przerażony asystent. Od wczoraj głowił się nad tym, co skłoniło senatora do tak niezwykłego zachowania.

– No i co? – Rozłucki niedbale rzucił kapelusz oraz płaszcz asystentowi, przekroczył próg gabinetu i zasiadł za biurkiem z nieskazitelnie czystym, pustym blatem.

– Nic, panie senatorze. A co miałyby być? – lęklonie rzucił asystent.

– Interesanci! Obywatele oczekujący mojej pomocy.

Słowa „obywatele” i „pomocy” padające z ust Rozłuckiego wprawiły w takie osłupienie jego współpracownika, iż zamarł z na wpół otwartymi ustami.



– Idź do holu i jak tylko ktoś przyjdzie, szybko go do mnie wprowadź!  
Asystent odzyskał zdolność poruszania się i czmychnął natychmiast sprzed oczu szefa, a ten sięgnął do szuflady po stary numer popularnego tabloidu i zaczął sobie wyobrażać swoje zdjęcie na pierwszej stronie.

Po jakimś czasie usłyszał ciche pukanie i w drzwiach stanął rozpromieniony asystent.

– Jest!

– No to wprowadzaj, ośle! – Rozłucki poderwał się zza biurka i uśmiechnął dobrotliwie na widok wchodzącej kobiety.

– Łaskawa pani zechce spocząć. Czym mogę służyć? Jaka niesprawiedliwość panią spotkała? – Giął się w lansadach, usadzając interesantkę w mocno zdezelowanym fotelu, po czym usiadł po drugiej stronie biurka i ukradkiem zaczął się jej przyglądać. Zauważył czarny, klasyczny kostium w doskonałym gatunku i pojedynczy sznur pereł na szyi. Twarz była gładka, chyba bez makijażu, ale Rozłucki wiedział, choć nie miał w tej kwestii zbyt wiele doświadczenia, iż takie wrażenie może być mylące. Nie potrafił też określić jej wieku. Mogła mieć trzydzieści, ale równie dobrze i pięćdziesiąt lat. Gładkie, jasne włosy zaczesane za uszy sięgały szyi. Kiedy podniosła dłoń i położyła je na skraju biurka, pochylając się w jego stronę, zauważył, iż poza perłami nie nosiła żadnej innej biżuterii. Przeniósł wzrok z dłoni na twarz kobiety i napotkał spojrzenie jasnych, obojętnych oczu. Poczł lekkie mrowienie na karku i już mniej pewnie wykrztusił: – A więc czym mogę...

– Proszę się nie wysilać, senatorze – przerwała zimno kobieta i lekki półuśmiezek zagościł na jej twarzy – nic nie jest takie, jak się panu wydaje. Ja nie jestem interesantką, pan nie będzie bohaterem mediów i jeśli nie postąpi pan tak, jak za chwilę powiem, zgniotę pana jak pluskwę.

– Ale...

– Milczeć i słuchać! – Kobieta pochyliła się w jego stronę i poczuł lekki zapach piżma. Nie wiedział, czy to perfumy, czy też strach ogarniający go z coraz większą mocą sprawił, że zaczął się pocić.

Kobieta sięgnęła do torebki, rzuciła na stół plik kartek i jedno zdjęcie.

– Był pan i jest nikim. Wygrał pan dwa lata temu wybory, bo pańska partia musiała wycofać lepszego kandydata. Niestety, jakiś nadgorliwiec wyciągnął z Instytutu Pamięci Historycznej jego teczkę. Oprócz tego jest pan głupi, skoro sądzi, iż atrament plami tylko kobiety. Pańskie miłosne uniesienia przelane na papier są żenujące. To kopie, oryginały są dobrze zabezpieczone. No i to zdjęcie! Jak pan, taki ostrożny, przewidujący do tego stopnia, że kilka dni przed wyborami ożenił się z biedną starą panną, obiecując jej opiekę w zamian za formalny jedynie związek, mógł się tak zapomnieć?!

Senator drżącą ręką sięgnął po zdjęcie i jęknął.

– Tak, to pana wielka miłość, młody efeb pozbawiony skrupułów, który sprzedał pana bez odrobiny sentymentu. Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, jak pan skończy, jeśli te materiały dostaną się do prasy?

– Czego pani chce? – Głos Rozłuckiego wyrażał pełną kapitulację.

– Żeby okazał pan rozsądek. Pańska partia nie toleruje tego ty-pu, powiedzmy delikatnie, zachowań. Kościół już pana nie poprze. Wybory za dwa lata. Po takim skandalu nie będzie pan mógł wrócić do swojej szkółki. Ale ja chcę panu dać szansę.

Senator spojrział na kobietę i tym razem na jej twarzy zobaczył łagodny uśmiech. Ponownie sięgnęła do eleganckiej torebki i wyciągnęła jeszcze jedną kartkę.

– Do senatu wpłynęła nowelizacja ustawy o grach losowych. Niestety, sejm wprowadził do niej pewne zmiany, które mogą, ogólnie mówiąc, nieco skomplikować interesy moich znajomych. Pan wniesie poprawkę, która to wyprostuje. Tylko tyle. W zamian za to zapomnimy o tym – wskazała ręką na zdjęcie – niefortunnym wydarzeniu. Grupa, którą reprezentuję, zapewni panu przyszłość. Jeśli nie w senacie, to w jednej z firm moich zleceniodawców, niezwiązanych z hazardem. Będzie pan miał pieniądze i takich chłoptasiów, jakich pan zapragnie – zakończyła cynicznie.

– To szantaż! – usiłował zachować resztki godności.

– Tak? A jak pan to udowodni? Jest pan tak mało znaczącą postacią, że nawet pana nie podsłuchują. Moi ludzie sprawdzili biuro, mieszkanie i pańskie telefony.

Rozłucki siedział z pochyloną głową. Kobieta wyjęła papierosa i pstryknęła wyrafinowanie prostą złotą zapalniczką. Spokojnie wydmuchiwała dym i czekała.

Po dłuższej chwili podniósł głowę, rzucił jej nienawistne spojrzenie i wyciągnął rękę po kartkę. Kobieta ukryła uśmiech triumfu. Rozłucki czytał chwilę w skupieniu, a potem podniósł wzrok i ze zdumieniem spojrział na kobietę.

– Nie rozumiem... Co to zmienia? Dwa przecinki, słowo „albo”...

Irena z politowaniem pokiwała głową i w przypiływie dobrego humoru postanowiła nieco oświecić senatora.

– Mieszać w projektach ustaw tak, że wszyscy od razu to zauważą, mogą albo głupcy, albo idealisci. Dla tych pierwszych jest miejsce w polityce, o drugich – zapomnijmy. Czasem wystarczy nawet nie furtka, ale maleńki przesmyk, tak by urzędnik napisał rozporządzenie, którym ani posłowie, ani jego szef nie zwracają sobie głowy. I tak się załatwia prawdziwe interesy w tym kraju, panie senatorze!

Rozłucki powoli złożył kartkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Gratuluję, właśnie się pan uratował.

Irena wyszła na zewnątrz i głęboko odetchnęła. Sięgnęła po komórkę, wystukała numer i rzuciła do telefonu:

– Panie Karolu, zamówiony towar dotrze w terminie. – Schowała telefon, po czym ruszyła w kierunku zaparkowanego kilka przecznicy dalej samochodu.

Senator siedział nieruchomo jeszcze kilkanaście minut po wyjściu kobiety. W końcu cyniczny uśmiezek pojawił się na jego twarzy. Był przecież mistrzem w wywijaniu się z nieprzyjemnych sytuacji, a właściwie odwracaniu ich na swoją korzyść. A dziś posiadał właśnie wiedzę, która kiedyś, w przyszłości, bardzo może mu się przydać. I nie będzie wtedy siedział jak szczur zahipnotyzowany wzrokiem węża, który go za chwilę pożre. To on, senator Rozłucki, będzie wtedy dyktował warunki. Ta bezczelna baba jeszcze o tym nie wie, ale przekona się, kto jest prawdziwym graczem i kto na koniec będzie rozdawał karty.

Bank nie reklamował się w telewizji, nie nęcił tanimi kredytami, nie zachęcał drobnych ciułaczy do zakładania osobistych rachunków. Był filią znanego z dyskrecji i niechęci do rozgłosu zagranicznego banku inwestycyjnego, obsługującego wyłącznie VIP-ów.

Prezes polskiego oddziału, Rafał Koliński, zawsze przekraczał jego progi z poczuciem dumy i zadowolenia. Dzisiaj nie mógł jednak odnaleźć tych uczuć. Żle spał, zerwał się wczesnym rankiem i z godziny na godzinę narastał w nim nieokreślony niepokój. Dzwonił do mieszkania Agaty, na jej komórkę, w końcu po dziesiątej do galerii córki, ale miła dziewczyna, którą Agata niedawno zatrudniła, poinformowała go, że od trzech dni nie widziała szefowej. Owszem, Agata dzwoniła wczoraj wczesnym popołudniem, wspominała, że ma imprezowe plany na wieczór i być może pojawi się dzisiaj, bo wstępnie umówiła się z młodym artystą. Następnie panienka wyszeptwała do słuchawki, że zirytowany malarz siedzi tu już od godziny, a Agata jest nieuchwytna.



Koliński wszedł do swojego sekretariatu. Przywitał się z panią Zofią, starszą dystyngowaną osobą znającą biegle trzy języki, która już od dwudziestu lat towarzyszyła mu w bankowej karierze. Poprosił, by próbowała połączyć go z córką i wezwała wiceprezesa. Nie mógł usiedzieć na miejscu, przemierzał wielki gabinet od drzwi do okna i zastanawiał się, gdzie jest Agata. Wprawdzie była dorosła i prowadziła samodzielne życie, w którym dla niego było coraz mniej miejsca, ale łącząca ich magiczna więź trwała nadal. Wejście zastępcy przerwało te rozmyślenia. Poprosił kolegę, by go dzisiaj wyręczył w paru sprawach, i szybko wyszedł z gabinetu, w przelocie dysponując podstawienie samochodu. Kazał jechać do mieszkania córki.

Nowoczesny wieżowiec lśnił słabo odbitymi promieniami anemicznego zimowego słońca, stwarzając wrażenie spokoju, dostatku i bezpieczeństwa. Portier, widząc go w prog, zerwał się zza marmurowego blatu i pochylił w pełnym szacunku ukłonie.

– Witam szanownego pana prezesa.

– Czy moja córka jest u siebie? – spytał Koliński, wstrzymując oddech.

– Zaczęłam zmianę o szóstej, nie widziałem, by wychodziła.

Koliński minął go bez słowa i pobiegł do windy. Gdy stanął wreszcie przed drzwiami mieszkania córki, niecierpliwie nacisnął guzik gongu, wiedząc, iż Agata nie znosi być zaskakiwana. Cisza, która nastąpiła po dźwięcznej melodystycznej dobiegającej z drugiej strony, wzmogła jego niepokój. Wyciągnął z kieszeni klucz otrzymany od córki wraz z prośbą, by używał go oszczędnie, i wszedł do mieszkania. Gdy zobaczył na ścianie niemowlęce buciki, ostatekiem sił podszedł do łóżka, usiadł i ukrył pobladałą twarz w dłoniach. Pojął, że Agata ma kłopoty. Poważne kłopoty.

Przypomniał sobie dzień sprzed wielu lat, gdy niespodziewanie wrócił wcześniej do domu...

Agata miała już pięć lat, a on nareszcie mógł patrzeć na nią bez gniewu i żalu. Długo nie umiał pogodzić się ze śmiercią żony, dziecko go drażniło i przypominało, że przyszło na świat kosztem jej życia. Nianie zmieniały się jak rękawiczki, mała rosła cicha i spokojna w swoim dziecięcym świecie pluszaków, kolorowych kredek i wiecznej nieobecności ojca w domu.

Wreszcie spotkał kobietę, która swoją czułością i oddaniem ukoła jego stare, niezabliźnione rany. Zatrudniona tuż po ukończeniu prawa w banku, w którym był wówczas wiceprezesa, z uwielbieniem wpatrywała się w niego na zwoływanych raz w tygodniu odprawach personelu. Po kilku spotkaniach i delegacyjnym wyjeździe Koliński stwierdził, iż nadszedł czas, by zakończyć samotne życie. Oświadczyły zostały przyjęte z entuzjazmem i prawniczka wkrótce wprowadziła się do Rafała. Uznał, że nianie mogą w pewnym zakresie zostać zastąpione przez przyszłą żonę, która kończyła pracę późnym popołudniem i szalała z zachwytu nad Agatą od czasu, gdy ją wreszcie poznała.

Wszedł wtedy do domu, cichutko, by zrobić niespodziankę narzeczonej, i zamarł w pół kroku, kiedy usłyszał cichy płacz dziecka i wysoki, nieprzyjemny kobiecy krzyk.

– Zamknij się, przeklęty bachorze! Nie dość, że tracę najlepsze chwile życia, wycierając twój zasmarkany nos, to jeszcze jesteś niewdzięczna. No i co tak patrzysz na mnie tymi swoimi wielkimi ślepiami? Myślisz, że się wzruszę? Poczekaj, jak tylko wyjdę za twojego ojca, to ci pokażę, co to jest dyscyplina i posłuszeństwo! Na razie muszę być grzeczna i miła, ale wkrótce zaprowadzę tu swoje porządki.

Rafał wpadł do łazienki. Zobaczył, jak prawniczka szarpie szcزتką długie, jasne włosy Agaty. Zobaczył grymas strachu na twarzy kobiety, gdy zorientowała się, że stoi w drzwiach. I ujrzał w lustrze wielkie, niebieskie, zapłakane oczy... nie, nie Agaty, swojej żony! Oczy patrzyły na niego z wyrzutem i zdawały się mówić: „Dlaczego pozwalasz krzywdzić nasze dziecko? Tak czekałam na jej narodziny, tak ją kochałam! Rafale, dlaczego? Ja przecież nadal w niej żyję!”

Czerwona mgła przesłoniła mu oczy. Opanował się tylko dlatego, że nie chciał jeszcze bardziej przestraszyć małej.

– Daję ci pół godziny na spakowanie. Możesz zabrać, co chcesz, ale nie chcę cię więcej widzieć.

– Kochanie, to nie jest tak, jak myślisz...

– Ani słowa! Wyjdź stąd!

Podszedł do córki, wziął ją na ręce i mocno przytulił. Czuł, jak drżała, a łzy spływały na kołnierzyk jego koszuli. Gdy usłyszał głośny trzask drzwi, wyniósł małą do jej pokoju, posadził na łóżku.

– Zaraz przyjdę, córeńko. Poczekaj chwilę.

Kiedy wrócił, Agata siedziała tak, jak ją zostawił.

– Od początku była dla ciebie taka niedobra?

Mała kiwnęła głową.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Dziecko spojrzało z trwogą na drzwi.

– Nie bój się, maleńka, już nigdy jej nie zobaczysz. Powiedz, dlaczego?

– Mówiła... że mnie... nie kochasz, że... nie uwierzysz. Że kłamczuchy trafiają do sierocińca, gdzie dostają klapsy i kary... mówiła...

Rafał poczuł w sercu ból nie do zniesienia.

– Dostyc, skarbie, nic już nie mów, wszystko wiem.

Posadził córkę na kolanach, przytulił i wyjął z kieszeni maleńkie różowe buciki.

– Agatko, wiesz, co to jest?

– Tak, tatusiu, to buciki dla dzidziusia.

– Widzisz, te buciki zrobiła twoja mama. Tak bardzo czekała, kiedy się urodzisz! Siedziała szczęśliwa w tym pokoju, który dla ciebie urządziła, i dziergała te buciki, choć nigdy nie miała ani cierpliwości, ani zdolności do ręcznych robótek. Kiedy się z niej śmiałem i pytałem, po co się tak męczy, skoro możemy kupić ile chce takich bucików, odpowiadała, że takich nigdy nie kupię, bo są utkane nie z włóczki, ale z czystej matczynej miłości. I mówiła, że gdy jej zabraknie, one będą cię chronić przed wszelkim złem tego świata...

Zasłuchana Agata podniosła na niego oczy i zapytała cichutko:

– Tatusiu, skoro mnie tak kochała, dlaczego odeszła?

Rafał długo się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Kochanie, mama nie odeszła. Jest zawsze przy nas, tylko w innym świecie. Widzi, jak rośniesz, pięknie rysujesz, jak z każdym dniem stajesz się coraz bardziej do niej podobna. Gdyby mogła wybierać, na pewno chciałaby zostać z nami. Pamiętaj o tym.

– Dobrze, że ty jesteś, tatusiu, chociaż cię nigdy nie ma.

Poczuł się podle.

– To się zmieni. Wyjedziemy stąd do innego kraju, będę mniej pracował i zawsze będziemy razem. I zawrzemy taką umowę...

– Co to znaczy „zawrzemy umowę”?

– Przepraszam, zapomniałem, że rozmawiam z małą dziewczynką, a nie z moim zastępcą w pracy.

Agata uśmiechnęła się nieśmiało.

– To znaczy, moja piękna i mądra córko, że jak będziesz potrzebowała pomocy, zawiesz te buciki tutaj, na tym samotnym gwoźdźniku, a ja się zjawię i cię obronię.

– Tak jak rycerz królowę? Nawet przed smokiem?

– Nawet przed stu smokami!

Buciki zawisły na ścianie trzy razy. Gdy Agata przeżyła pierwszy miłosny zawód i wyplakiwała swoją „czarną rozpacz”, zawodząc, że „nienawidzi chłopaków”, że jak Ofelia pójdzie do klasztoru, a właściwie, chcąc być wierna Szekspirowi, musi się utopić. Drugi raz po miążdżącej recenzji jej pierwszej wystawy, napisanej przez „jakiegoś głupka, który nie odróżnia prawdziwej sztuki od komercyjnego kiczu”, któremu ona jeszcze „pokaże!”, co zrealizowała zresztą z żelazną konsekwencją, ciężko pracując przez dwa lata, no i teraz, po raz pierwszy w jej nowym mieszkaniu.

Koliński zdawał sobie sprawę, że tamte „wielkie tragedie” przeżywała młoda, wrażliwa, szalenie emocjonalna dziewczyna. Dziś Agata zbliżała się do trzydziestki, miała za sobą sporo sukcesów, zarówno artystycznych, jak i biznesowych, i czasami lekko, choć z czułością podśmiewała się z tego „różowego SOS”, jak to określała.

„Dlaczego nie zadzwoniła, nie zostawiła jakiejś wiadomości” – głowił się zrozpaczony. I nagle pojął, iż Agata mogła zostawić tylko taki znak, którego nikt oprócz niego nie zrozumie.

Pan Karol odłożył telefon i pełen zadowolenia uśmiech zagościł na jego twarzy. Irena po raz kolejny udowodniła, że jej usługi są niezastąpione.

Hydra ochroni najcenniejszy ze swoich filarów finansowych, pozwalający prac pieniądze zarobione w mniej legalny sposób. Automaty do gry były jednym ze sposobów prania kasy z narkotyków, prostytucji i innych działań organizacji, którą kierował tajemniczy Pan Nowak. Karol cieszył się, że będzie mógł przekazać bossowi dobrą informację, ale mocno się zafrasował, gdy przypomniał sobie o największym zmartwieniu Hydry. „Co za idiota z niego, nie miał się kiedy zabić!”

Z niecierpliwością spojrzął na jedną z leżących na biurku komórek. Maks już dawno powinien zadzwonić. Jakby w odpowiedzi na jego niecierpliwe oczekiwanie telefon zaczął wibrować. Karol w milczeniu słuchał swojego rozmówcy.

– Za piętnaście minut tam, gdzie zawsze. Przynies zdjęcia – rzucił lodowato i rozłączył się. Kiedy pomyślał, że za godzinę Pan Nowak dopadnie go na Skypie, żeby wysłuchać codziennego raportu, zimna strużka potu spłynęła po jego czole. „Co ja mu powiem” – myślał nerwowo i po chwili uświadomił sobie, że bardziej boi się tego, co usłyszy w odpowiedzi.

Kasia oparła się o ladę baru i korzystając z chwili mniejszego ruchu, zaczęła przyglądać się podróżnym pijącym przy stolikach kawę, jedzącym wczesny obiad lub tkwiącym nad szklanką słomkowożółtej herbaty, tak jak ta dziewczyna w rogu.

Uwielbiała ukradkiem obserwować klientów i domyślać się, kim są, co robią i dokąd zmierzają w swej podróży, w której przystanek w barze przy stacji benzynowej jest tylko nic nieznaczącym epizodem.

Pod oknem siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, w eleganckim garniturze, który nieco maskował jego przysadzistą sylwetkę, właśnie zamówił trzecią już kawę dla swojego towarzysza i łagodnie mu perswadował, by ją wypić. Tamten, niedbale ubrany w dżinsy i gruby niebieski sweter, sprawiał wrażenie nieobecnego i próby swojego kolegi zwyczajnie ignorował.

Kasia pomyślała, że jest w nim coś intrygującego. Otaczała go aura smutku, rezygnacji i jakiejś bolesnej tajemnicy. Miał ciemne, lekko falujące, modnie przycięte włosy muśnięte przedwczesną siwizną, smagle zapadłe policzki i oczy, które choć lekko zamglone i nieobecne, wywarły na niej ogromne wrażenie.

Otrząsnęła się natychmiast i przeniosła wzrok na siedzącą w pobliżu kobietę. Wytworne futro nieco zsunięte z ramion, czarny kostium i białe perły dawały efekt wyrafinowanej elegancji, a na jej ustach snuł się pełen satysfakcji uśmiech. „Wygląda zupełnie jak kot pani Marii po wypiciu talerzyka słodkiej śmietanki. Tylko brakuje, by za chwilę oblażała się z głośnym pomrukiem” – zachichotała w duchu, wyobrażając sobie tę scenę.

W tym momencie uświadomiła sobie, że dziewczyna w rogu siedzi nad nietkniętą herbatą od prawie dwóch godzin. Przyjrzała się jej uważnie. Ubrana była w kuse, mocno znoszone paletko, a spod stolika wystawały niemodne kozaki. Ciemne, krótko obcięte włosy miały w sobie coś nienaturalnego i po chwili Kasia zorientowała się, że to musi być peruka. U stóp dziewczyny stała mocno wypchana reklamówka, a na krzeselku obok leżała torebka sprawiająca wrażenie, jakby należała do kogoś zupełnie innego. Szlachetna, ciemnobrązowa skóra, dyskretnie spatynowane zapięcia i fason, jaki Kasia widziała tylko w kolorowych tygodnikach. „Coś jest nie tak” – pomyślała, ale w tej samej chwili spostrzegła za szybą wpatrującego się w nią z uwielbieniem pana Czesia, więc przerwała swoje obserwacje i zachęcająco skinęła ręką. Czesio wślizgnął się nieśmiało i skulił w najdalszym kącie, przy stoliku za filarem.

Kasia poszła na zaplecze i nalała szczerą ręką pełen talerz żurku, dokładając spory kawałek białej kiełbasy i jajko na twardo. Kończyła układać chleb w koszyczku, gdy nagle usłyszała za sobą nieprzyjemny szepc szefowej.

– Znowu dokarmiasz tego menela?! Tyle razy ci mówiłam, że masz go stąd pogonić. Śmierdzi i odstrasza klientów!

– Ale jest prawie pusto, usiadł z boku... – usiłowała bronić się Kasia.

– Pamiętaj, skończ z tym. Tym razem nie będę robiła awantury i nie wykopię go na dwór.

– Dziękuję.

– I tak potrączę ci z pensji za ten żurek!

Kasia, wybiegając z kuchni, szybko chwyciła talerz i koszyczek. Gdy je stawiała przed Czesiem, ten spojrzął na nią z głęboką wdzięcznością.

– Ty jedna masz serce, Kasiu. – I zaczął łapczywie siorbać gorącą zupę, zagryzając potężnymi kęsami chleba.

– Na zdrowie, panie Czesiu – powiedziała serdecznie. „Czesio nie jest menelem” – kontynuowała w duchu rozmowę z szefową. „Przecież pani wie, że prowadził własną firmę, miał dom i rodzinę. Życie dostatecznie go już skrzywdziło. Wszystko stracił. Ludziom trzeba pomagać!”. I usłyszała w myślach odpowiedź szefowej: „Nie licz na innych, jak sama sobie nie pomożesz!”. – Akurat! – odburknęła pod nosem i szybko pobiegła posprzątać stoliki, które właśnie zwalniali dwaj mężczyźni i elegancka kobieta.

Gdy wróciła za bar, jej spojrzenie znowu powędrowało w stronę dziewczyny w rogu. Siedziała nieruchomo, podpierając twarz dłońmi, patrząc ciągle w jeden punkt. „Co takiego intrygującego może być w zwyczajnej solniczce?” – zdziwiła się Kasia. Rozejrzała się po sali, w której oprócz pana Czesia i dziewczyny nie było żywego ducha, i z wahaniem ruszyła przed siebie.

– Proszę pani!

Agata uniosła głowę i ujrzała przed sobą młodziankę dziewczynę w ogromnych brzydkich okularach, obszernym szaroburym, robionym ręcznie swetrze i workowatych spodniach. Włosy, rude i przetłuszczone, miała zaplecione w długi warkocz. Pomyślała: „Jakie brzydactwo!”. Ale kiedy jeszcze raz spojrziała na jej twarz, z zaskoczeniem stwierdziła, że dziewczyna ma prześliczny uśmiech. Całą ją rozjaśniał, a jego ciepło dotarło nawet do strwożonego serca Agaty.

– Proszę pani, może podać gorącą herbatę, ta już zupełnie wystygła.

– Tak, proszę.

Dziewczyna za chwilę wróciła, postawiła przed Agatą szklankę i niepewnie usiadła naprzeciwko.

Agata, zaskoczona, spojrziała na nią pytająco. Kasia nabrała odwagi. Oczy nieznanym przypominały wzrok Malty, kiedy podnosiła ją,

porzuconą na stacyjnym parkingu. „Kto cię skrzywdził?” – chciała zapytać, ale nie śmiała. Zamiast tego zaczęła delikatnie:

– Wiem, że to niestosowne, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Może mnie pani odprawić, ale obserwuję panią od jakiegoś czasu i czuję, że coś się stało, że potrzebuje pani pomocy. – Zawahała się, nie znajdując słów, które wyraziłyby jej niepokój i współczucie.

Agata żachnęła się, ale po chwili spojrzała uważniej na dziewczynę.

– Widziałam, jak przyniosłaś zupę temu biedakowi i nie wzięłaś od niego pieniędzy.

– Bo on ich nie ma. To pan Czesio, znam go od wielu lat. Był szanowanym w Pszczelinie przedsiębiorcą. Wie pani, kiedyś na takich mówiło się „prywatna inicjatywa”. Potem pan Czesio rozwinął działalność, stworzył prężną spółkę, zaczął eksportować swoje wędliny na Zachód, a w Polsce były wręcz rozchwytywane. Miał piękny dom, żonę i dwójkę udanych dzieci...

– I co się stało?

Kasia się zawahała.

– Kiedyś mi opowiedział, ale w zaufaniu...

Agata wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

– Zaufaj mi, a ja też ci zaufam.

– Przyjechał jakiś obcy. Chciał kupić firmę pana Czesia. Ten wyrzucił faceta z biura. Kilka tygodni później miejscowy bank odmówił mu kredytu obrotowego bez jakiegokolwiek uzasadnienia. Potem zaginęły trzy transporty mięsa do Niemiec. Kilku największych krajowych odbiorców wycofało się ze wstępnych umów. Pewnego dnia o świcie do domu wkroczyła policja. Zamknęli go na trzy miesiące. W tym czasie stracił wszystko. Do firmy wszedł syndyk, zablokowano konta, zajęto hipotekę domu. Żona wniosła o rozwód i wyjechała z Pszczelina. Syndyk sprzedał dom i firmę bez licytacji, za marne grosze. Prokuratura w końcu umorzyła śledztwo, ale dla pana Czesia to już nie miało znaczenia. Teraz jego była firma to...

I Kasia wymieniła nazwę jednej z najbardziej prężnych giełdowych spółek.

– Pan Czesio powiedział mi, że zabrakło mu odwagi, żeby skończyć z sobą. Włóczy się po Pszczelinie, zbiera puszkę, makulaturę, dobrzy ludzie przytykają oczy, gdy widzą go śpiącego przy śmietniku albo w piwnicy. Znam jego opowieść na pamięć, tyle razy wyjaśniał mi te fachowe terminy... Tylko ja go słucham. – Kasia zamilkła na chwilę.

– Macie tu papierosy? Przynies mi paczkę i zapalniczkę. W zasadzie nie palę, ale...

Gdy Kasia wróciła, Agata przypaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Popatrzyła uważnie na Kasię i pochylając się nad stolikiem, zapytała:

– Jak masz na imię?

– Katarzyna.

– A więc słuchaj, Kasiu. Obdarzyłaś mnie zaufaniem i ja to doceniam. Nie pytaj o nic, tylko posłuchaj.

Kasia gorliwie skinęła głową.

– Nie wiem, co robić, nie mam dokąd pójść i potwornie się boję. Nie zrobiłam nic złego, ale zostałam wplątana w sytuację, której nie rozumiem. Potrzebuję kilku dni, żeby to przemyśleć. Mam pieniądze, ale czuję, że nie mogę iść do hotelu, a tym bardziej wrócić do domu. Czy jesteś w stanie mi pomóc, Katarzyno?

– Tak, ale... Czy może mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie?

– To zależy od jego treści.

– Czy pani... ukradła tę torebkę?

Zaskoczona Agata roześmiała się głośno.

– Nie, Kasiu, daję słowo. Kiedyś ci to wyjaśnię.

Pan Karol wrócił do biura mocno zafrasowany. Plan, który Maks przedstawił mu kilka dni temu, wydawał się idealny, i tym bardziej nie mógł zrozumieć, co nie wypaliło.

Włączył komputer, zalogował się i czekał. Jak zwykle punktualnie odezwał się charakterystyczny sygnał. Karol kliknął myszką i na ekranie ukazało się mroczne pomieszczenie z niewyraźną sylwetką w tle.

Mężczyzna siedzący za biurkiem, którego blat oświetlała stojąca z boku lampa, odezwał się głosem zniekształconym przez syntetyzator.

– Witam, Panie Karolu. Jak nasze sprawy?

– Nieco się skomplikowały.

Następnie Pan Karol, unikając komentarza, zrelacjonował poranne wydarzenia.

– Dziewczyny nigdzie nie możemy znaleźć, zniknęła strzykawka z jej odciskami palców, mamy tylko zdjęcia. O trupie ćpunka możemy w każdej chwili anonimowo zawiadomić policję. Ekipy remontowe wejdą do budynku na nasz sygnał i wtedy, w ostateczności, mogą znaleźć zwłoki. Możemy też je wcześniej stamtąd zabrać.

Pan Nowak nie pozostawił mu żadnych złudzeń.

– Jestem bardzo niezadowolony, Panie Karolu. Pański człowiek ostatni raz popełnił błąd. Proszę mu przekazać, że dostanie jeszcze jedną szansę i jeśli jej nie wykorzysta, rozstaniemy się z nim definitywnie. Nie muszę panu tłumaczyć, co znaczy w naszej organizacji „definitywnie”. A teraz robi pan tak...

I Pan Nowak zaczął wydawać szczegółowe instrukcje.

Na palcach wychodził z sypialni przeladowanego antykami apartamentu, gdy nagle rozległ się sygnał telefonu. Szybko podskoczył do obfitego złożonego biureczka na cudacznie wygiętych nóżkach i podniósł słuchawkę, bojąc się, że ostry dzwonek obudzi Marka.

– Pan prezes?

Nieznamy głos po drugiej stronie zupełnie go zaskoczył.

– Ta... – odpowiedział niepewnie.

– Jakże się cieszę, Wirski jestem, mniemam, że szanowny pan prezes kojarzy, szef warszawskiego oddziału.

Bodzio w popłochu rzucił okiem na drzwi sypialni. Marek nie może ani rozmawiać, ani się pokazać w takim stanie!

– Jestem w hotelowym lobby i koniecznie muszę z panem prezesem zamienić dwa słowa. Liczyłem na południowe spotkanie u nas, ale... to sprawa niecierpiąca zwłoki!

Bodzio przeżegnał się i odchrząknął. „Skaczę na główkę do pustego basenu, ale jakie mam wyjście?” – pomyślał i z determinacją rzucił do słuchawki:

– Zaraz zejść.

Przejrzał się w lustrze, poprawił krawat i wyszedł na hotelowy korytarz.

W lobby było pustawo i od razu zauważył tuż przy wejściu zaszuszonego człowieczka nerwowo przestępującego z nogi na nogę. Godnie

wkroczył do środka i wyciągnął rękę.

– Pan Wirski, przypuszczam?

Człowieczek pokraśniał, nerwowo poprawił okulary i wyrzucił z siebie potok słów, ściskając jednocześnie z ogromnym przejęciem dłón Bodzia.

– To zaszczyt, panie prezesie, po tylu latach! Wszyscy w firmie z niecierpliwością czekaliśmy na ten moment! Do tej pory był pan dla nas mityczną postacią, twórcą naszego sukcesu...

– Siadaj pan. – Bodzio bezceremonialnie przerwał Wirskiemu. – Nie bądź pan taki zakręcony jak ruski termos i gadaj, o co chodzi.

Rozparł się wygodnie w fotelu, przypominając sobie, jak Marek mówił, że ludzie puszcza mimo uszu chamskie odzywki, przemilczą afronty i będą starali się nie zauważać prostactwa, jeśli to wszystko jest poparte solidną kasą.

Marek twierdził cynicznie:

– Widzisz, Bodziu, w pewnych sferach dobre wychowanie, wykwintne maniery, piaget na rękę i garnitur od Armaniego wywierają wrażenie. Ale widziałeś kiedyś, żeby dolar czy euro obraziły się, jak je bierzesz z brudnych rąk? Jeżeli musisz robić interesy z prostakami, to je po prostu robisz i nie zastanawiasz się, czy to rani twoje poczucie estetyki.

Bodzio uznał zatem, że Wirski musi go przyjąć takiego, jaki jest. „Szefie, będę się starał, jak mogę – obiecał w duchu Markowi – ale jak coś sknocę, to będzie pańska wina. Nie trzeba było tak chlać!”.

Czując się całkowicie rozgrzeszony, protekcyjnie kiwnął ręką w stronę Wirskiego, dając mu do zrozumienia, iż jest gotów go wysłuchać.

Wirski zaczął skomplikowany wywód dotyczący jakiejś umowy, zastrzeżeń prawników, komplikacji w związku z niejasnymi przepisami w różny sposób interpretowanymi przez podejmujących decyzję urzędników. Bodzio nic z tego nie rozumiał poza tym, że sprawa nie jest wcale tak pilna, jak przedstawiał to Wirski przez telefon.

– Przestań pan już dyrdymalić, zmęczony jestem po podróży i nie mam głowy, żeby się tym dzisiaj zajmować. Prześlij pan wszystkie dokumenty wraz z opiniami prawników e-mailem, tu masz pan prywatny adres. – Wyjął z kieszeni wizytówkę Marka. – Jutro rano na spokojnie pomyślę i skontaktuję się z panem. A teraz napijmy się po jednym za spotkanie. Kelner, dwa burbony z lodem i piwo imbirowe obok.

Stykając się szklanką z Bodziem, Wirski pomyślał sobie, iż prezes jest bardzo... oryginalnym człowiekiem, i z tym większym podziwem patrzył na szefa, któremu ukryte wprawdzie, ale na pewno bezdyskusyjne zdolności, inteligencja i charyzma pozwoliły stworzyć tak doskonale działającą korporacyjną maszynę.

Koliński poczekał, aż limuzyna odjedzie, i powoli skierował się w stronę furtki w solidnym ogrodzeniu otaczającym jego willę. Wyłączył kurtynę alarmową otaczającą posiadłość, wyjął pocztę ze skrzynki i poszedł w stronę frontowych drzwi.

Srebrne modrzewie w ścisłym szpalerze wytyczającym ścieżkę lekko ugiwały się w podmuchach przenikliwego, lodowatego wiatru. Postawił kołnierz płaszcza, chwilę mocował się z zamkiem i wreszcie wszedł do ciepłego wnętrza.

Zaczął przeglądać trzymane w ręku papiery, odrzucając na bok reklamy, i wtedy jego uwagę zwróciła niepozorna szara koperta zaadresowana drukowanymi literami: „Pan Prezes. Do rąk własnych”. Przez myśl mu przemknęły sceny z amerykańskich kryminałów, w których zawsze znalezienie takiej koperty zwiastowało dalsze tragiczne wydarzenia. Rzucił płaszcz na fotel i wszedł do salonu. Usiadł i przez dłuższą chwilę z drżeniem serca wpatrywał się w szary papier, bojąc się poznać zawartość koperty. W końcu rozerwał ją energicznym szarpnięciem. Wyjął ze środka zdjęcie. Nie wierzył własnym oczom, kiedy rozpoznał na nim swoją córkę zabawiającą się z chudą małą. Obie były prawie nagie, a niedwuznaczna poza, w jakiej się znajdowały, nie wymagała uruchomienia wyobraźni. Odwrócił fotkę zrobioną prawdopodobnie polaroidem i przeczytał napis umieszczony na jej odwrocie. „Wkrótce się skontaktujemy. Trzymaj się z daleka od policji!”.

Siedział i zastanawiał się, co zrobić. Podeszedł powoli do telefonu i wybrał numer. Kiedy usłyszał męski głos, powiedział spokojnie:

– Dzień dobry, tu Rafał Koliński z Discreet Banku. Chciałbym pana zawiadomić, iż jutro o ósmej możemy podpisać kredyt dla pana firmy. Warunki tak dobre jak w naszym oddziale w Paryżu. Wiem, że to dla pana bardzo pilna sprawa, dlatego zająłem się nią osobiście.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki chwilę milczał, a potem odrzekł:

– Dziękuję, będę na pewno. Do widzenia.

Pomyślał, że prezes po raz pierwszy uruchomił czerwony alarm: ósma rano, francuska kawiarnia na Saskiej Kępie, sprawa bardzo pilna i osobista. Zafrasował się mocno, rozejrzał po wynajętym biurze firmy, która była przykrywką dla jego prawdziwej działalności, i doszedł do wniosku, że nie ma żadnych danych, by przygotować jakiś plan. Podniósł się zatem, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi ozdobione małą tabliczką z niewiele mówiącą nazwą „Staszki i Synowie”.

Delikatnie dotknęła klamki. Drzwi nie były zamknięte. Pchnęła je lekko i zajrzała przez szparę. Zaniepokoiła ją cisza i mrok zalegający wszystkie kąty mieszkania. Niepewnie weszła, zapaliła światło i zobaczyła Jana tam, gdzie go wczoraj zostawiła. Nawet nie podniósł głowy, choć stukot jej obcasów wdarł się nieprzyjemnie we wszechobejmującą ciszę. Powoli podeszła, leciutko pogładziła go po głowie i przytuliła. Całowała czoło, powieki, policzki, lecz kiedy musnęła wargami jego usta, odsunął ją stanowczo i zapytał obcym, pozbawionym emocji głosem:

– Wróciłaś?

Marta usiadła obok niego na krześle.

– Nie, Janie. Ja nigdy tak naprawdę nie odeszłam. Spotkałam się z Markiem tylko po to, by mu powiedzieć, że ojciec mojego syna jest tu. I że jest człowiekiem, którego od dawna kocham, choć tak długo nie chciałam w to uwierzyć. Pielęgnowałam w sobie żal, rozpacz, nienawiść i nie widziałam, jak one niczym trujące ziele usiłują zabić to, co od dawna we mnie kiełkowało. Obserwowałam, jak wstawałaś w nocy do Michałka, jak go tuliłaś, gdy myślałaś, że nie widzę. Pamiętam pierwszą szkolną akademię, gdy powtarzałaś, poruszając bezdźwięcznie ustami: „Rada mała, że się śmieli, kiedy mogła udać człeka...”. I zaciskałaś nerwowo kciuki, bo nasz syn był tak stremowany, że ledwo mógł sobie przypomnieć początek bajki Fredry, którą miał recytować. Pamiętam, jak podczas szkolnego meczu, gdy Michał strzelił zwycięską bramkę, rzuciłaś się na szyję siedzącemu obok obcemu mężczyźnie, krzycząc z dumą: „To mój syn, mój syn!”.

Marta zamilkła na chwilę. Obrazy, sytuacje, wspomnienia z ostatnich kilkunastu lat przewijały się przed jej oczyma jak w kalejdoskopie.

– Janku, nigdy nie złamałaś przyrzeczenia złożonego tyle lat temu. Nigdy nie okazałaś, że boli cię moja obojętność, brakuje bliskości i pełnego oddania. To wszystko się skończyło. Już nie musisz kochać za dwoje. Jeśli zostało w tobie choć trochę miłości, jeśli wszystkiego nie zniszczyłam, to dzisiaj ja ci mówię: chcę być z tobą, chcę widzieć twój uśmiech, patrzeć w twoje oczy i sprawić, byś zapomniał o tym wszystkim, co cię spotkało.



Usłyszała stłumiony szloch i skołatana głowa Jana spoczęła na jej kolanach. Pochylona nad nim szeptała: ciii, i kołysała go w ramionach jak trwożliwe, zrozapcone dziecko.

Łzy bezgłośnie toczyły się po jej twarzy i łączyły się z tymi spływającymi spod powiek męża, lecz była spokojna. Wiedziała, że ten oczyszczający strumień obmywa ich życie z kurzu niedomówień, brudu niezrozumienia i daje szansę, choć nie pewność, że ich drogi w końcu się spotkają.

Wielki bungalow stojący na porośniętej starodrzewem działce sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Gdyby jednak jakiś spóźniony mieszkaniec podwarszawskiej miejscowości akurat przechodził obok i zerknął w ciemne okna, pomyślałby zapewne, że właściciele już śpią.

Sąsiedzi przestali interesować się wzniesioną kilka lat temu willą, kiedy odkryli, że odbywają się w niej liczne konferencje, kursy i szkolenia, a parkujące obok na małych uliczkach samochody błyskają numerami rejestracyjnymi z całej Polski. Ponieważ ostatnie auta zniknęły tuż po szesnastej, w soboty i niedziele nic się nie działo, a klinkierowe ogrodzenie ozdobione było dwiema mosiężnymi, solidnymi tabliczkami informującymi o działalności firmy konsultingowo-szkoleniowej, okoliczni mieszkańcy zajęli się głównie donoszeniem policji na współziomków niebiorących sobie do serca uchwały rady gminy zabraniającej palenia liści. Nowy komendant od czasu do czasu wysyłał w te okolice radiowóz, a starszy posterunkowy z marsem na twarzy upominał niesfornych obywateli, dobrze wiedząc, podobnie jak komendant, że nie należy się zbytnio interesować działalnością firmy mieszczącej się w bungalowie.

Teraz, blisko północy, w jego wnętrzu siedzieli w obszernym salonie czterej panowie. Szczelnie zaciągnięte welurowe story nie przepuszczały nawet milimetrowej smużki światła. Obszerne klubowe fotele z ciemnozielonej, lekko popękanej skóry nadającej im patynę starości stały wokół niskiego stolika wypełnionego popielniczkami i szklankami.

Zjeżdżali się w odstępach kilku minut, bezszelestnie pokonując bramę po uprzednim rzuceniu do domofonu hasła. Samochody stawiali na wybrukowanym kostką placu z tyłu budynku, zostawiając w ich wnętrzu wszystkie telefony i inne urządzenia elektroniczne.

Nie zamienili ze sobą ani słowa, dopóki w salonie nie pojawił się ostatni z nich.

Teraz wszyscy spoglądali na usadowionego wygodnie w klubowcu Pana Karola, który złożony rękę na brzuchu, kręcił palcami młynka i bacznie przyglądał się zebrany.

– Panowie, spotkaliśmy się w trybie alarmowym, ponieważ sytuacja jest skomplikowana. Pan Nowak upoważnił mnie, bym przekazał panom, iż od tej pory należy zachować szczególną czujność i ostrożność oraz powstrzymać się od działań, które potencjalnie mogłyby zagrozić naszej organizacji. Hydra od momentu swojego powstania nie przeżywała takiego kryzysu!

Szmer niepokoju rozległ się w salonie.

Pan Karol uciszył towarzyszy, podnosząc rękę:

– Spokojnie, zagrożenie istnieje, najważniejsze jednak, iż o nim wiemy i podjęliśmy kroki, które miały definitywnie wyeliminować niebezpieczeństwo. Niestety, sytuacja nieco wymknęła się spod kontroli i stąd nasze nagłe spotkanie.

Szczupły siwowłosa mężczyzna gwałtownie pochylił się w jego stronę.

– Czy pan wie, jakie podjęliśmy ryzyko, zjawiając się w tym miejscu?

– Spokojnie, Generale, proszę zachować zimną krew, od pana mogę chyba tego wymagać?

– Panie Karolu, Generał ma całkowitą rację – wtrącił się drugi z mężczyzn, ubrany w tweedową marynarkę i czarny golf. – Już sam fakt spotkania w takim gronie rodzi podejrzenia...

– Zgadzam się z Redaktorem – dorzucił trzeci mężczyzna. – Przecież pan wie, że każdy mój krok jest śledzony przez tych brudasów z teleobiektywami. Musiałem robić cuda na kiju, żeby im się urwać.

Pan Karol spojrział na nich dobrotliwie.

– Spokojnie, panowie. Bezpieczeństwo tego miejsca gwarantuje Pan Nowak. Czy w czasie naszej kilkuletniej współpracy odnieśli panowie wrażenie, iż Pan Nowak nie wie, co czyni? – zapytał z lekką pogrózką w głosie.

– Wręcz przeciwnie – rzucił sarkastycznie Redaktor.

Generał wolał milczeć, ale Minister, niepomny tego, że nie znajduje się na posiedzeniu kierownictwa swojego resortu, zażądał nieznośnym sprzeciwu tonem natychmiastowych wyjaśnień.

– To raczej my powinniśmy usłyszeć pańskie wyjaśnienia – zimno wycedził Pan Karol. – Jak to się stało, że dopuścił pan do takich poprawek w ustawie o grach losowych? Nie panujecie nad swoimi posłami? Może to zadanie przerosło pana i pańskich kolegów?

Minister pochylił głowę, a pan Karol kontynuował:

– Na szczęście senat naprawi tę pomyłkę. Proszę tylko przypilnować, żeby wówczas pański klub był bardziej zdyscyplinowany. A pan, Redaktorze, niech tym razem skutecznie przyblokuje zbyt gorliwe media. Ten jeden komentarz o „jednoręcznych bandytach” przeszedł na szczęście niezauważony, w porę ściągnął pan cugle, ale dotarły do nas wieści, że jakiś dziennikarz „Polonii” kręci się wokół prywatyzacji kombinatu Polska Miedź. To pismo, o ile dobrze pamiętam, jest w portfelu pańskiego koncernu?

Redaktor ponuro skinął głową.

– Ale to są drobiazgi, panowie. Potrzebujemy czasu, by wykonać ruchy porządkujące interesy Hydry. Pan Nowak upoważnił mnie do przekazania panom kilku ważnych informacji.

Zamilkł na chwilę, jakby zbierając myśli, a mężczyźni patrzyli na niego z nerwowym wyczekiwaniem.

– Osobą numer dwa w naszej organizacji był Pan Kowalski, księgowy. Nie mieli panowie do tej pory okazji, ani też nie było takiej potrzeby, by go poznać. Pan Nowak obdarzał go pełnym zaufaniem, ponieważ razem kilkanaście lat temu stworzyli Hydrę i uczynili z niej obecną potęgę. Mówię o Panu Kowalskim w czasie przeszłym, ponieważ nie żyje.

Szmer niepokoju rozległ się w salonie.

– To dla nas duży cios. Nie tylko dlatego, iż Pan Kowalski był osobą bardzo kreatywną i wiele jego pomysłów przyniosło naszej organizacji krociowe zyski, ale także z bardziej prozaicznego powodu. Księgowy Hydry nie zdążył opróżnić skrytki bankowej, w której zdeponował miesiąc temu pewne dokumenty, w części niezbędne do kontynuowania naszej działalności. Pozostała część papierów złożonych w depozycie to szczegółowe rozliczenia, numery tajnych szwajcarskich kont polityków i urzędników wraz z wysokością przelewanych na nie łapówek, a także kilkanaście dokumentów, które mogą skompromitować najważniejsze osoby w państwie, gdyby chciały stanąć nam na drodze.

Wzburzony Generał nie wytrzymał.

– Ależ to karygodna głupota wypuścić takie kwity z rąk i jeszcze do tego wsadzić je do banku!

– Pan Kowalski nie miał wyjścia. Dostał cynk, że jego nazwisko pojawiło się w jednym ze śledztw prowadzonych przez Główną Grupę Antykorupcyjną i istnieje niebezpieczeństwo przeszukania naszej kwatery numer trzy, a tam właśnie był sejf z dokumentami. Pan Nowak był za granicą, nie było z nim kontaktu, więc księgowy samodzielnie podjął taką decyzję. Kilkanaście dni temu Pan Nowak wrócił, uruchomił swoje kontakty i nazwisko księgowego zniknęło z akt śledztwa GGA. I właśnie wtedy, gdy Pan Kowalski jechał, by opróżnić skrytkę, z podporządkowanej ulicy wyjechał TIR prowadzony przez pijanego kierowcę. Mercedes naszego kolegi nie miał żadnych szans. Pan Kowalski zginął na miejscu w pożarze wozu. Niestety, klucz do schowka został zniszczony w takim stopniu, iż nie nadaje się do użycia. Wiemy o tym, ponieważ tylko kilkadziesiąt minut był w policyjnym depozycie. Wkrótce trafił w nasze ręce. Pańscy ludzie w policji

spisali się doskonale, Generale, gratulacje.

Generał milcząco skinął głową, nie miał bowiem pojęcia o sprawie i po raz kolejny uświadomił sobie, jak rozległą i skomplikowaną strukturę organizacyjną stworzyła Hydra. I jak łatwo usunąć jeden z jej szeregowych elementów, nie narażając całości.

– Pan Kowalski wynajął skrytkę na najkrótszy możliwy okres, na pół roku. Mamy zatem trochę czasu, by odzyskać jej zawartość. Jeśli nie zdołamy tego uczynić, jeśli do banku nie zgłoszą się spadkobiercy Pana Kowalskiego, a on takowych nie posiadał, był bowiem samotnym człowiekiem, skrytka zostanie komisyjnie otwarta i jej zawartość przekazana odpowiednim władzom. Sądzę, iż panowie nie mają wątpliwości, gdzie, ze względu na zawartość, te dokumenty mogą trafić?

Pytanie było retoryczne i Pan Karol nie oczekiwał odpowiedzi. Z zadowoleniem stwierdził, iż wywarł na audytorium piorunujące wrażenie.

– W sprawę skrytki nie będę panów angażował. Proszę tylko Generała o zgromadzenie jak najszybciej wszelkich informacji na temat Rafała Kolińskiego, dyrektora banku. Uruchomi pan także siatkę swoich informatorów, nagle bowiem zniknęła córka Kolińskiego, a to może utrudnić nam rozmowy z panem prezesem. Nie muszę dodawać, że sprawa jest absolutnie poufna i nie może pan użyć żadnej oficjalnej drogi. Dalej pan sypia z tą dziennikarką?

Generał się obruszył.

– Ależ, Panie Karolu, nas łączy coś poważniejszego!

Karol nie miał litości.

– Tak, przecieki, które pan jej podsuwa, i zostawiane niby przypadkowo akta, które przegląda, gdy pan zapada w sen po swoich seksualnych wysiłkach. Niech pan da spokój! Przecież ja tego nie potępiam. Doceniam skuteczność takich metod. Tym razem sugeruję jednak kontrolowaną wstrzeźliwość w łózkowych zwierzeniach. By jednak nie popadł pan w niełaskę pięknej damy, podrzuci jej pan trochę kwitów obciążających naszą konkurencję. Nie interesuje mnie, kogo mają ci podrabiani mafiosi w kieszeni. Nadszedł czas, by wyeliminować ich z rynku i przejąć nieudolną działalność, która tylko szkodzi Hydrze. Redaktor dopilnuje, żeby inne tytuły i telewizja pociągnęły wątek, a pańscy koledzy, Ministrze, będą bardzo aktywni na forum publicznym. Znają zresztą tę śpiewkę na pamięć. „W państwie prawa nie będziemy tolerować... nasza młoda demokracja jest zagrożona patologiami... żądamy powołania komisji śledczej” – z wrodzonym talentem parodiował polityków.

Minister nerwowo zaprotestował:

– Ależ, Panie Karolu, nie możemy dopuścić do destabilizacji mojego rządu. Pamięta pan, czym zakończyła się afera rzepakowa? Jakie efekty przyniosła sprawa podrobionych obligacji skarbowych czy wreszcie przejścia przez zachodni kapitał konsorcjum bankowego Goldenbrigde? Na szczęście nas to wtedy nie dotknęło! Musi pan jednak przyznać, że mało brakowało, a te sytuacje wymknęłyby się spod kontroli Hydry!

Pan Karol zaprzeczył:

– Tym razem tak się nie stanie. Jeżeli polecą głowy, to tylko naszych wrogów. A pan, Ministrze, niech się wreszcie weźmie do roboty. Kilka prywatyzacji, w które jesteśmy zaangażowani, ciągnie się jak brazylijski serial, najlepsze grunty w stolicy blokowane są przez konserwatora zabytków, tereny wyścigów konnych na razie poza naszym zasięgiem... Czy mam kontynuować? Hydra musi dokończyć budowę legalnego, czystego imperium biznesowego, by móc bez przeszkód kontrolować to, co dzieje się w tym kraju. I na powierzchni, i w przestępczym podziemiu.

Redaktor w końcu odważył się zadać pytanie, które nurtowało od kilku minut także Ministra i Generała:

– Czy osobiście jesteśmy zagrożeni, gdyby te papiery ujrzały światło dzienne?

– Zagrożeni?! – Pan Karol zaśmiał się szyderczo. – Będzie po was, panowie! To gorsze niż tsunami!

W odległej o kilkanaście kilometrów Warszawie Pan Nowak stuknął w klawiaturę komputera i obraz przedstawiający czterech mężczyzn, którzy w milczeniu przetrawiają widmo klęski, znikł z ekranu. Głęboko westchnął, bez satysfakcji stwierdzając, iż rzadko, a właściwie nigdy nie myli się w ocenie ludzi, i uruchomił internetowe łącze.

– Mister Smith? – odezwał się, gdy uzyskał połączenie.

– Mister Nowak! Jak pan się czuje, jaka pogoda w Warszawie?

Pan Nowak z irytacją pomyślał, iż nawet angielscy przestępcy muszą mieć w sobie coś ze stereotypu Brytyjczyka.

– Nie czas teraz na takie pogwarki – rzucił oschle bezbłędną angielszczyzną – czy pan Scor jest obecnie dostępny na rynku?

– Słyszałem, że Hydra ma małe kłopoty...

Nowak przerwał niecierpliwie.

– To drobiazgi. Co ze Scorem?

– Jest w Ameryce Łacińskiej. Jakaś mała partaninka dla Kolumbijczyków.

– Kiedy będzie wolny?

– Za trzy tygodnie.

– Okay. Jak wróci, niech nie bierze żadnego zlecenia. Proszę czekać na mój sygnał i wtedy przekaże mu pan, żeby jak najszybciej przyleciał do Warszawy.

– Czas pana Scora jest bardzo cenny... moje usługi zresztą też.

Pan Nowak poczuł się dotknięty.

– Pan mnie obraża, panie Smith. Po tylu latach współpracy?

Smith zorientował się, że przeholował.

– Przepraszam, wiem, że pan zawsze płaci swoje rachunki...

– Więc niech pan także pamięta, że nie zawsze płacę walutą.

Przerwał połączenie, nie czekając na odpowiedź Smitha. Odchylił się w fotelu, z ulgą prostując bolące plecy, i uznał, iż sytuacja jak na razie została opanowana. „Kto wie – pomyślał – może nawet Hydra na tym zyska?”.

Zimne i nieprzyjazne światło księżycy sączyło się przez szparę w okiennicach, ale to nie ono sprawiało, że Agata nie mogła sobie znaleźć miejsca na wygodnym, choć wąskim łóżku, które Kasia przygotowała dla niej w pokoiku obok swojej facjatki.

Nie mogła zapomnieć twarzy martwej dziewczyny i po raz setny zastanawiała się, jakim cudem udało jej się dotrzeć aż tutaj.

Pamiętała puste ulice Pragi, brudną, pchającą sklepowy wózek kobietę, która z niedowierzaniem przyjęła jej norki w zamian za sprany, wielki prochowiec przykrywający zgromadzone na wózku skarby, wygrzebane z pobliskich pojemników na śmieci. Kiedy przez podziemny garaż dostała się do swego mieszkania, instynktownie czuła, że powinna stamtąd jak najszybciej zniknąć. Przypomniała sobie słowa ojca, że strach nie zawsze jest zły – czasami pozwala kontrolować inne emocje.

Sięgnęła do szuflady toaletki i wyciągnęła perukę, którą miała ostatnio na balu w akademii. Zajrzała do szafy w pobliżu wejścia, gdzie Irina, Ukrainka sprzątająca jej mieszkanie, trzymała część swoich rzeczy, i podziękowała losowi, że dziewczyna musiała wrócić na jakiś

czas do kraju, by odnowić więź. Włożyła jej znoszone kozaki, płaszczyk i omotała wokół szyi pstrokatą chustę, upychając swoje rzeczy na dnie szafy i przykrywając resztą ciuchów Iriny.

Przeszła szybko do pokoju, przysiadła w kącie na podłodze i lekko nacisnęła dębowy kwadrat, który natychmiast odskoczył. Jeszcze raz z wdzięcznością pomyślała o ojcu i przeprosiła w duchu za ironiczne komentarze, gdy przekonywał ją, iż w życiu mogą, choć nie muszą, zdarzyć się sytuacje, w których zarówno bank, jak i karty kredytowe zdadzą się psu na budę. Śmiała się:

– Jak ty, finansista i bankowiec, możesz głosić takie herezje?!

Tłumaczył jej cierpliwie:

– Jesteś artystką, więc masz więcej wyobraźni niż przeciętny śmiertelnik. Możesz sobie przecież wyobrazić coś nieprzewidzianego, coś strasznego, co sprawi, że nie będziesz miała dostępu ani do banku, ani do kart. Albo nie będziesz mogła z nich skorzystać, bo przelewy, wypłaty, bankomaty zostawiają po sobie ślad. Agatko, obiecaj mi, że schowasz te pieniądze, tak byś zawsze szybko mogła je zabrać, jeśli będą ci natychmiast potrzebne. Weź je, ukryj i nawet mnie nie mów, gdzie jest schowek – powiedział i wręczył jej mocno wypchaną skórzaną teczkę wielkości biurowego kalendarza.

Wtedy nawet nie zadrżała do środka, tylko głęboko wepchnęła teczkę pod łóżko. Po kilku tygodniach uznała to jednak za wielce nierozsądne i własnoręcznie wykonała skrytkę w podłodze, z rozczuleniem wspominając profesora rzeźby, który twierdził, iż artysta powinien umieć się posługiwać każdym narzędziem, nie tylko pędzlem i dłutem.

Wstrzymała oddech, gdy zobaczyła teraz pliki dwustuzłotówek i setek euro. Nie sądziła, że jest ich aż tyle. Wcisnęła teczkę do plastikowej torby, znalezionej na blacie kuchni, dopełniła pomiętymi gazetami i rozejrzała się za torebką. Nie mogła jej zostawić w mieszkaniu, więc ją zabrała, nie przejmując się na razie tym, jak bardzo kontrastuje z całym jej wyglądem, i szybko wybiegła na korytarz. Zanim jeszcze doszła do windy, uświadomiła sobie to, co nurtowało ją od chwili odzyskania świadomości w obskurnej melinie. To nie o nią chodzi. Musi ostrzec ojca. Wróciła do mieszkania i zawiesiła na haku „różowe SOS”, wołanie o pomoc i jednocześnie ostrzeżenie...

Przesiadła się kilka razy, korzystając z miejskiej komunikacji, aż wreszcie wyłądownała na Centralnym. Znalazła na neonowym ekranie z odjazdami pociągów osobowy, który odchodził za pięć minut, szybko zjechała schodami w dół i w ostatniej chwili wskoczyła do wagonu.

Wyjrzała przez okno i odkryła z ulgą, że nikt więcej nie wsiadł. Nie wie, jak długo jechała, ogarnięta zmęczeniem i strachem, lecz gdy w końcu nieco oprzytomniała, opuściła, ostrożnie się rozglądając, prawie pusty już pociąg na najbliższej małej stacyjce. Na placu przed dworcem złapała pierwszy lepszy ruszający autobus, nie patrząc, dokąd jedzie. Była jedyną osobą, którą stary ikarus zostawił na ostatnim przystanku w pobliżu dużej stacji benzynowej. Tam w barze spotkała Kasię...

Ciekawski promień księżycy na chwilę przykuł jej uwagę. W końcu zirytowana przymknęła oczy i natychmiast zapadła w ciężki, męczący sen.

Oblepiała ją jakaś brudna, gęsta ciecz. Stała pod prysznicem i usiłowała ją z siebie zmyć, a kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że spływająca z niej woda ma czerwony kolor. Budziła się kilka razy, przerażona, ale sen powracał, a ona ciągle nie mogła zmyć z siebie tej krwi.

Dopiero nad ranem przestały dręczyć ją koszmary i nareszcie znalazła ukojenie.

# Część druga

## Kara

Bladozielony kielek krokusa z trudem przebijał się przez zamrzniętą jeszcze ziemię, szukając odrobiny ciepła i światła. Ciepły podmuch wiatru przynosił zapowiedź wiosny, ale Kara go nie czuła. Mocniej opatulila się puchową kurtką i skuliła na schodach werandy przed domem, pochłonięta wspomnieniami...

Tamten dzień był jeszcze chłodniejszy, jeszcze bardziej drżała z zimna w lichej, wiatrem podszytej kurteczce. Wszystkie dziewczynki z sierocińca takie nosiły dzięki gestowi miejscowego hurtownika, który nie mógł sprzedać tandetnego towaru na coraz bardziej wymagającym rynku. Siedziała na tych samych schodach, ścisnęła w zamrznionych rękach podniszczoną książkę i po raz setny powtarzała sobie słowa, które chciała przekazać pani Marii. Czekala tu, przed jej domem, od wczesnego poranka i myślała o swoim pierwszym spotkaniu z nauczycielką.

Dom dziecka w Pszczelinie był kolejną nadzieją w nędznym i samotnym istnieniu kilkunastoletniej Kary. Odkąd pamiętała, pojawiali się w jej życiu ludzie oglądający ją jak eksponat w muzeum, ale im była starsza, tym szybciej rozpoznawała w ich oczach rozczarowanie i wiedziała, że ojadą bez niej.

Była chuda, śniada, zawsze poważna i nieufna w stosunku do obcych. Nie potrafiła, tak jak inne dziewczynki z sierocińca, nazywać każdej zjawiającej się w nim obcej kobiety „mamą”, tulić się do niej, obejmować jej za szyję. Długo wierzyła w to, że w końcu zjawi się ta jedyna, spojrzą na siebie, bez słowa wezmą się za ręce i wyjdą z ponurego gmachu prosto w jasną, dobrą i wesołą przyszłość.

W swoje dziesiąte urodziny usłyszała przypadkowo rozmowę dwóch wychowawczyń, użalających się nad losem dziecka, którego nikt już chyba nie adoptuje.

– Ludzie są tacy egoiści! – mówiła jedna z nich. – Chcą małe, złotowłose dziewczynki o pucułowatych, rumianych policzkach i wdzięcznym uśmiechu. I jeszcze żeby nie miały więcej jak trzy, cztery lata. Wydaje im się, że wychowują je na idealne córki.

– Tak, tak – kiwała głową druga – kto by chciał takie nastroszone, nieufne stworzenie, i do tego tak wyrosnięte. Już dziesięć lat skończyła!

Kara dopiero w tej chwili zrozumiała, że mówią o niej. Przeplakała cichutko całą noc, a rano wstała milcząca, z zaciętą twarzą i gniewnym spojrzeniem. Stała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie, krnąbrna, nielubiana przez koleżanki i wychowawczynię. Gdy likwidowano sierociniec, a dzieci rozsyłano do innych placówek, cieszyła się w duchu, że tylko ona trafi do Pszczelina. Będzie udawać, że matka ją odwiedzała, że wyjechała teraz za granicę i dlatego się nie pojawia. Liczyła, że może znajdzie jakąś przyjaciółkę, polubi ją wychowawczynie, a w nowej szkole docenią jej zdolności.

Niestety, pierwszy dzień w nowym ośrodku okazał się jedną wielką katastrofą. Panowała w nim surowa dyscyplina, skomplikowany system kar i upokorzeń, a nowe koleżanki, skromne i grzeczne w obecności personelu, wieczorem pokazały jej, kto tak naprawdę rządzi i jakie „prawa” obowiązują w sierocińcu.

Do szkoły musiały wkładać ohydne granatowe fartuchy z podszewki, zakrywające szczelnie kolana i zbierające na sobie pył kredy i kurz szkolnych korytarzy. Na tle wystrojonych, kolorowych koleżanek wyglądały jak wrony z wiersza Gałczyńskiego, którym „się nie chce latać, [...] patrz okiem szalonym, wrona na wronę [...] siedzą czarne, zdrętwiałe”.

Kara z poczuciem odrzucenia, ale jednocześnie i buntu, obserwowała rozchichotane, beztroskie, często bezlitośnie okrutne w swych zachowaniach rówieśnice z miasta, których nie było stać nawet na okazanie „bidulom” pogardy, lepszej od obojętności, z jaką je traktowały. „Żeby kimś gardzić, trzeba go najpierw zauważyć – rozmyślała Kara. – Obojętność sprawia, że czujesz się nikim”. I tak się czuła aż do chwili, gdy na przerwie, pogrążona w świecie istniejącym tylko w jej wyobraźni, potrafiła szkolną piękność, córkę właściciela kilku piekarni i cukierni.

– Osleplasz! – wrzasnęła piskliwie dziewczyna. – Uważaj, jak chodzisz, znajdo!

Otoczając ją dwór zachichotał z aprobatą. Piekarsówna odwróciła się w stronę koleżanek, łaskawym uśmiechem dając do zrozumienia, że docenia ich uwielbienie i bezgraniczne oddanie, po czym rzuciła od niechcenia, tak by Kara usłyszała:

– Nie dość, że musimy przebywać w jednych murach z tymi brudnymi bękartami, to jeszcze zaczynają się tu panoszyć, jakby miały cokolwiek do powiedzenia!

Karę ogarnęła niewyobrazalna furia. Mur, który z takim trudem budowała wokół siebie przez lata, rozpadł się w jednej chwili. Ból, żal, wszystkie doznane krzywdy i niesprawiedliwości, wszystkie upokorzenia, jakich doświadczyła, i cała nienawiść do świata, który ją tak nielitościwie traktował, skupiły się w przejmującym okrzyku, z jakim rzuciła się na dziewczynę.

Ocknęła się w gabinecie dyrektorki, z niedowierzaniem patrząc na podarty fartuch i poplamione krwią ręce.

Pani Maria siedziała po drugiej stronie biurka i patrzyła na nią uważnie.

– Zanim udało się odciągnąć cię od Joli, wybiłaś jej zęb, wyrwałaś prawie połowę włosów, o podbitym oku nie wspominając.

Kara pochyliła nisko głowę i powtarzała sobie w myślach: tylko nie płacz, znieś to do końca. A jednocześnie zastanawiała się gorączkowo, jak to się mogło stać, dlaczego przestała się kontrolować i dlaczego w milczeniu nie zniosła kolejnej zniewagi.

– Nic mi nie powiesz?

Dyrektorka podała jej szklanekę wody, ale Kara nie mogła się zmusić, by wypić choć łyk. Zacięła się w swoim milczeniu i czekała z rezygnacją na kolejną niesprawiedliwość, która miała ją spotkać.

Pani Maria wstała zza biurka, zbliżyła się do Kary i uniosła rękę, lecz kiedy zorientowała się, że dziewczynka kuli się w obawie przed uderzeniem, delikatnie położyła dłoń na jej głowie i cicho powiedziała:

– Dziecko, ja nie chcę cię skrzywdzić. Spójrz na mnie i posłuchaj uważnie.

Usiadła obok Kary i zaczęła cicho mówić:

– Przemoc nie jest sposobem walki o godność i szacunek innych. Karo, nie pobijesz wszystkich złych ludzi, nie zakrzyczysz wszystkich raniących, niesprawiedliwych słów. Taką agresją krzywdzisz siebie bardziej, niż mógłby to zrobić ktoś obcy. Obserwuję cię od momentu pojawienia się w szkole i winię się za to, że nie dostrzegłam w tobie tych niedobrych, tłumionych emocji. Może za długo jestem nauczycielką, może stępiła się moja wrażliwość i zawodzi mnie intuicja.

Smutek pobrzmiwający w jej głosie sprawił, że Kara podniosła głowę i zaczęła uważniej słuchać.

– Każdy ma jakąś przeszłość i przyszłość. Od człowieka zależy, która z nich zawładnie jego teraźniejszością. Myśl o przyszłości, Karo, o tym, jakim chcesz być człowiekiem, co chcesz w życiu robić. Czy masz w sobie tyle odwagi, by zapomnieć o minionych latach? Czy potrafisz znaleźć w swoim sercu miejsce dla dobrych uczuć? Uwierz mi, nienawiść zżera człowieka jak rak. Czyni go równie złym jak ci, których chce zniszczyć w odwecie za doznane krzywdy.



Zamilkła na chwilę, wysunęła jedną z szuflad biurka i wyjęła zniszczoną książkę oprawioną w wyblakłe zielone płótno.

– Wiem, co się stało na korytarzu. Jedna z koleżanek Joli nie wytrzymała i powiedziała mi, dlaczego ją zaatakowałaś. Ale to nie jest sprawiedliwienie, Karo. Muszę cię zawiesić na miesiąc. Mam nadzieję, że ojciec Joli zachowa się rozsądnie i nie będzie pałał żądzą odwetu. To dobry, ciężko pracujący człowiek, który nieba by przychylił swojej jedynaczce. Jola rosła w przekonaniu, że jest najważniejsza na świecie i wszystko jej wolno. Porozmawiam z jej ojcem. Był kiedyś moim uczniem, mam nadzieję, że zrozumie, iż dając córce wszystko, nie dał jej najważniejszego: swojego czasu i troski. Nie zauważył w porę, jak jego ukochana córka wyrasta na samolubną, nieczułą istotę. Znasz tę książkę?

Kara zobaczyła na okładce lekko zarysowaną postać chudej dziewczynki w dziwacznym kapeluszu i tytuł *Ania z Zielonego Wzgórza*. Przecząco pokręciła głową.

– Weź ją i przeczytaj. A teraz wracaj do domu.

Kara podniosła się w milczeniu, podeszła do drzwi i nie odwracając głowy, powiedziała bezbarwnie:

– To nie jest dom. To jest miejsce...

Kolejny podmuch wiatru zawrócił Karę z tej podróży w przeszłość. Z tym większą siłą uderzyły w nią wydarzenia sprzed kilku godzin, które chciała wymazać z pamięci...

Jej partner walił pięścią w drzwi i krzychał:

– Policja! Otwierać natychmiast! – Zza drzwi dobiegał przejmujący płacz niemowlaka. W końcu wyważyli drzwi i znaleźli na podłodze kilkumiesięczne dziecko. Owinęli je kocem, wybiegli z mieszkania i na sygnale pognali do szpitala. Zostawili dziecko w rękach lekarzy i rozpoczęli poszukiwania. Nad ranem Kara pojechała do szpitala. Była zbyt zmęczona, by od razu zrozumieć słowa dyżurnego lekarza.

– Zakatowane na śmierć... liczne złamania... uraz głowy... niekarmione od kilku dni. Przykro mi, nie miało żadnych szans na przeżycie.

Nie wie, jak dojechała na komisariat.

– Kara! – usłyszała ostrzegawczy krzyk komendanta, gdy rzuciła się w stronę kompletnie pijanej pary, odprowadzanej właśnie przez jej partnera do aresztu. Zatrzymała się w ostatniej chwili, spojrzała z wyrzutem na szefa i bez słowa wyszła.

Siedziała teraz na tych schodach od kilku godzin i nie mogła wejść do domu. Zrozumiała już dawno, że nigdy nie pogodzi się ze złem, z którym obcowała na co dzień jako policjantka, ale dawno nie czuła tak przejmującego bólu, a wspomnienie płaczu zamęczonego dziecka mroźną obręczą ścisnęło jej serce.

Kasia patrzyła przez okno na siedzącą po drugiej stronie ulicy na schodach Karę. Czasami ją tam widywała i już wiedziała, że w takich sytuacjach nie może nic pomóc. Pani Maria, która kilkanaście lat temu przyjęła Karę pod swój dach i kochała jak własną córkę, powiedziała kiedyś Kasi, zaniepokojonej zachowaniem swojej starszej przyjaciółki:

– Zostaw ją, Kasiu. Każdy musi walczyć ze swoimi demonami w samotności. Kiedyś zrozumiesz, że nie wystarczy raz spojrzeć im w twarz. To ciągła konfrontacja. To dzieje się codziennie.

Agata podeszła do okna, spojrzała przez szybę i zapytała:

– Kto to jest?

Kasia przyłożyła palec do ust i obie w milczeniu obserwowały, jak w domu naprzeciwko otwierają się drzwi i starsza, siwowłosa pani podchodzi do Kary, podnosi ją z niezwykłą dla jej wieku siłą i mocno otacza ramionami. Stały tak przez chwilę, po czym powoli weszły po schodach i zniknęły we wnętrzu domu.

Pani Zofia dyskretnie zajrzała do gabinetu i widząc Kolińskiego beczynnie siedzącego za biurkiem, zaanonsowała:

– Przyszedł pan Staszek z firmy „Staszek i Synowie”. Podobno był umówiony z panem prezesem?

Koliński wyraźnie się ożywił.

– Tak, tak. Niech wejdzie.

Wysoki, szczupły mężczyzna w dobrze skrojonym eleganckim garniturze zaczął od progu:

– Witam, witam pana prezesa. Dziękuję, że osobiście zechciał mnie pan przyjąć.

Tokując dalej w tym stylu, usiadł przed biurkiem i zaczął pisać, cały czas kontynuując swój wywód:

– Wiem, że pański bank zajmuje się firmami z wyższej półki niż moja, ale mam ciekawą propozycję i myślę...

Podsunał Kolińskiemu kartkę. Ten przeczytał: „Pełno robactwa u pana. Musimy wyjść”. Włożył kartkę do niszcarki i przerwał interesantowi:

– To bardzo interesujące, ale ja osobiście nie zajmuję się tego typu sprawami. Proszę przesłać mi biznesplan, informacje o gwarancjach, jakie pan posiada, i przewidywanych terminach zwrotu inwestycji. Jedyne, co mogę obiecać, to przekazanie tych dokumentów naszym specjalistom z poleceniem pilnego przygotowania odpowiedzi. A teraz pan wybacz...

Spojrzał pytająco na mężczyznę, który znowu zaczął wylewnie dziękować i jednocześnie napisał na kartce: „Nie ma pan wozu. Spiesz się na spotkanie. Ja mam samochód”.

Koliński zorientował się natychmiast. Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu łączącego go z sekretariatem i nie naciskając przycisku, rzucił:

– Pani Zofio, skończyliśmy już rozmowę z panem Staszkiem. Proszę o natychmiastowe podstawienie wozu, mam spotkanie w ministerstwie. Jak to nie ma? Na przeglądzie? A inne? Na mieście? Ale ja nie mogę się spóźnić!

Staszek wtrącił nieśmiało:

– Gdyby pan prezes łaskawie się zgodził, to mogę podrzucić.

Koliński udał, że się zastanawia.

– No cóż, będę bardzo wdzięczny, wiceminister nie może czekać.

Wsiadli do niepozornego volkswagena i kiedy ruszyli, Staszek natychmiast zaczął mówić.

– Wóz jest czysty. Nie namierzają nas także z zewnątrz. Mam specjalne zabezpieczenia. W pańskim biurze są pluskwy, proszę nie pytać, skąd wiem. Ale to są „oficjalne” podsłuchy, powiedziałbym – rutynowe. Służby chcą wiedzieć, o czym rozmawia się w pańskim gabinecie. Liczą też, że uda im się w ten sposób zyskać na pana haka. Jest pan dla nich niewygodny, panie prezesie. Nie przejawia pan chęci do współpracy. Oni tego nie lubią.

Koliński rzucił z niechęcią:

– To ich zamartwienie. Ja mam inne. Przejdźmy do rzeczy.

– Proszę sięgnąć do kieszeni na drzwiach. W tej kopercie jest powiększenie zdjęcia, które mi pan dał. Udało się odczytać napis na pudełku zapalek leżącym na łóżku obok dziewczyny. To nazwa nowego klubu, jego otwarcie nastąpiło w przeddzień zniknięcia pańskiej

córki. Mamy pół godziny, więc będę się streszczał.

I Staszek zaczął zdawać relację ze swoich poczynąń.

Klub Rimini w ciągu kilku dni od otwarcia stał się najmodniejszym miejscem w Warszawie. Powalające z nóg wnętrza z barem pośrodku dostępnym z czterech stron, podświetlona podłoga, strefa VIP, VIP-room na sześćdziesiąt osób, trzy poziomy i wielkie plazmowe ekrany na ścianach nie zrobiły jednak na Staszku większego wrażenia.

Na kilka godzin przed otwarciem puste wnętrza wydawały się kiczowate, a brak pulsujących świateł i ludzi starannie wyselekcjonowanych na bramce oraz szum klimatyzacji zamiast muzyki potęgowały atmosferę letargu, w jaki w ciągu dnia zapadają takie miejsca.

Ochroniarz schował do kieszeni dwieście złotych i przestał na chwilę interesować się Staszkiem. Ten podszedł do baru, za którym młody chłopak ze słuchawkami na uszach robił porządek wśród butelek licznie zapełniających szklane regały. Lekko puknął go w ramię, pomachał mu przed oczyma banknotem i zyskał natychmiast jego uwagę. Dowiedział się, że przyjęto go na drugi dzień po otwarciu, kiedy dotychczasowy barman zadzwonił, że rezygnuje z pracy.

– Nie zdążyli na otwarcie z uruchomieniem monitoringu, było ponad trzysta osób, nikt z wówczas pracującego personelu nie kojarzy Agaty. Kelnerka tylko zapamiętała, że barman dłuższą chwilę rozmawiał z ostrzyżonym na jeża blondynem. Zdumiało ją, jak dostał się do środka, bo odstawał ubiorem od pozostałych gości. Miał, cytując: „taki dziwny, wojskowy wygląd”. Okazało się po dłuższym maglowaniu dziewczyny, że ten wojskowy wygląd to zielona kurtka, której nieznajomy nie zostawił w szatni. Nie mamy pewności, panie prezesie, czy córka tam była, choć nagłe zniknięcie barmana jest trochę podejrzane – kończył relację Staszek.

Koliński popatrzył na niego z rozpaczą i zapytał:

– Ale dlaczego się nie odzywają? Dlaczego nie przekazali żadnych żądań? Czy oni mają Agatę?

Staszek chwilę się zastanawiał.

– Z tego, co pan opowiadał o tych bucikach, wynika, że z mieszkania wyszła sama. Miała czas, by je powiesić na ścianie. Czy ją potem dopadli? Nie sądzę, już by się z panem ponownie skontaktowali, dali posłuchać głosu córki i przedstawili żądania. Sądzę, panie prezesie, że dała im dyla, i są, za przeproszeniem, w głębokiej dupie.

– Ale dlaczego nie daje znaku życia, dlaczego nie usiłuje się ze mną skontaktować?

Staszek nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Podjechali pod gmach ministerstwa, Koliński otworzył drzwi samochodu i wysiadając, zapytał:

– I co dalej? Co mam począć?

– Nic. Czekać. A ja rozejrzę się za tym blondynem.

Pan Nowak nie był zadowolony. Można wręcz powiedzieć, że był wściekły, choć nie leżało w jego naturze okazywanie tak silnych emocji. Dziewczyna zapadła się jak pod ziemię, Karol zbyt wolno uruchamiał akcję „zasłona dymna”, a Generał nie mógł nic znaleźć na Kolińskiego.

Spojrzał przez panoramiczne okno gabinetu i nagle uświadomił sobie, jak ponurym miejscem jest to miasto i ten kraj. Słońca jak na lekarstwo, przez trzy czwarte roku zimno, nieprzewidywalny bałagan rujnujący najbardziej misterne plany i ludzie, żądający coraz więcej, a tak mało dający w zamian. Nalane twarze z ustami pełnymi frazesów i oczami wyrażającymi chciwość. Każdego z nich można kupić, czasami tak tanio! „To przekleństwo krajów będących na dorobku – pozwolił sobie na głębszą refleksję. – Na Zachodzie przekupni politycy mają więcej klasy”.

Pomyślał, że najwyższy czas zmienić klimat. Uporządkuje sprawy Hydry, tak by Karol mógł nią na co dzień zarządzać, a sam wybierze sobie jakieś słoneczne, ciepłe miejsce wypełnione uśmiechniętymi twarzami ludzi, którzy potrafią cieszyć się życiem także wtedy, kiedy nie jest ono zbyt dostatnie.

Spojrzał przelotnie na stojący na biurku kalendarz i zły nastrój powrócił. Nie znosił czekać. Muszą zacząć działać, jeśli Hydra ma przetrwać. A potem przyjedzie pan Scor i wyczyści wszystkie brudy, jakie po sobie zostawią. Pokrzepiony tą myślą Pan Nowak stuknął w klawiaturę laptopa i połączył się z Karolem.

Przekroczył próg apartamentu i wtedy dopadł go ten zapach. Dym z papierosów, przetrawiony alkohol, pot. Otrząsnął się z obrzydzeniem i szeroko otworzył balkonowe okno, dochodząc do wniosku, że z tym smrodem nawet klimatyzacja sobie nie poradzi. Nalał do szklanki wodę prosto z lodówki, wszedł do sypialni i wylał ją na twarz pogrążonego w pijackim śnie Marka. Gdy ten otworzył przekrwione oczy, Bodzio chwycił go za kłapy koszuli, energicznie podniósł i posadził na stojącym obok łóżka fotelu.

Marek powoli odzyskiwał świadomość. Sięgnął po butelkę z resztką wódki, ale Bodzio brutalnie wytrącił mu ją z ręki.

– Czyś ty oszalał? – rzucił wściekle Marek.

– O nie! Dość tego! Teraz ja będę mówił, a szef będzie słuchał. Nie mówię i nie będę więcej mówił szefowi po imieniu, ale teraz tylko tak mogę to powiedzieć.

Marek starał się skoncentrować wzrok na twarzy Bodzia i kiedy mu się to udało, rzekł pogardliwie:

– A co mnie to obchodzi?

– Obchodzi to chłop stodołę, a teraz mnie słuchaj, gnojku! Pamiętasz ten dzień w Soho, kiedy cię dobijali w ciemnym, brudnym zaułku? Pamiętasz, kto cię wtedy wyciągnął, zawiózł do szpitala i siedział przy tobie przez trzy dni, jak byłeś w śpiączce? Pamiętasz, jak się ocknąłeś i zapytałeś: kim pan jest? A ja odpowiedziałem: Bodzio, ziomek z Warszawy. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś? „Moje życie należy do ciebie”.

Marek pochylił głowę i milczał.

– Pamiętasz, jak drętwieliśmy z zimna w wynajętym garażu, a ty snułeś marzenia o wielkiej firmie, którą zbudujesz? Jak grałem w metrze na ustnej harmonijce, żeby uzbierać parę funtów na puszkę zupy i czynsz za tę nędzną rudere? A jak zarobiłeś pierwszy milion i chciałeś mi dać połowę, a ja cię zmusiłem, żeby dalej inwestować? Wtedy powiedziałem: od dzisiaj jesteś szefem, panie Marku. I nigdy nie mogłeś mnie przekonać, że jest inaczej.

Przez te wszystkie lata byłem twoją niańką, ochroniarzem, kierowcą, milczącym powiernikiem. Ty byłeś moją jedyną rodziną. I dlatego teraz mówię: nie pozwolę ci spieprzyć życia, które kiedyś uratowałem. Nawet jak mnie wygonisz, będę w pobliżu i będę przypominał, że to, co chcesz zniszczyć, należy tylko do ciebie.

Bodzio wyrzucił z siebie ostatnie słowa, odwrócił się i powoli zaczął iść w stronę drzwi. Zatrzymał go zachrypnięty szept Marka.

– Zostań, Bodziu. Straciłem syna.

Bodzio stanął jak wryty.

– Wypytywałeś mnie, po co jedziemy do Polski. Jechałem, by odzyskać syna, o którego istnieniu nie wiedziałem aż do dnia, gdy coś

mnie podkuśiło, żeby zajrzeć na stronę internetową miasteczka, z którego uciekłem tyle lat temu.

I Marek opowiedział mu o zdjęciu burmistrza z rodziną, które znalazł na stronie.

– To była Marta! Starsza, ale ciągle piękna. Stała obok dumnego mężczyzny i obejmowała ramieniem kilkunastoletniego chłopca. On miał moje oczy, Bodziu!

Nigdy ci nie mówiłem, dlaczego uciekłem z kraju. Byłem taki szczęśliwy, kochała mnie najwspanialsza na świecie dziewczyna, razem mieliśmy wyjechać na studia, zostawić to duszne, prowincjonalne miasteczko, zacerpnąć nareszcie świeżego, ozdrowieńczego powietrza. Tamtego wieczoru, gdy Marta przyjęła zaręczynowy pierścionek, wiedziałem, że tanie srebro ze sztucznym oczkiem jest dla niej najpiękniejszym klejnotem świata. Powiedziała, że jak już stąd wyjedziemy, też mi da prezent. Odprowadziłem ją do domu. Gdy wracałem, usłyszałem klakson. Kumpie jechali do baru. Pokusa była silna, nie chciałem jeszcze wracać do klitki na strychu ciotki. Parę piw, szampański nastrój... Namówili mnie i usiadłem za kierownicą. Wyglupialiśmy się, szaleliśmy... Gdy się ocknałem, siedziałem w samochodzie z rozciętym czołem, kumpli ani śladu, a przednia szyba rozbita. Kiedy wytoczyłem się z wozu, zobaczyłem wystający spod samochodu kawałek pogiętego roweru. Nie sprawdziłem, co się stało z człowiekiem, który na nim jechał. Uciekałem stamtąd w szoku i myślałem tylko o tym, że nie mogę iść do więzienia. Marta, studia, przyszłość... Czy to wszystko ma być stracone? Spanikowałem. Decyzję podjąłem w ułamku sekundy. Wiedziałem, gdzie ciotka chowa oszczędności na czarnej godzinę. Spakowałem swoje rzeczy, napisałem krótki listeczek, że muszę wyjechać i niedługo się odezwę. Minęło wiele dni, zanim znalazłem się w Londynie. Słabo znałem język, szukałem pracy, włóczyłem się po różnych zakazanych dzielnicach. Nie miałem żadnego kontaktu z krajem, bałem się dać znak życia, bałem się, że jestem poszukiwany przez policję. Byłem zbiegiem, Bodziu!

Marek zamilkł na chwilę i sięgnął po butelkę mineralnej, którą Bodzio cały czas trzymał w zaciśniętej dłoni.

– Kiedy po wielu staraniach znalazłem pracę i dostałem pierwsze pieniądze, natychmiast zadzwoniłem do jednego z kumpli, który wówczas był ze mną w samochodzie. Okazało się, że pijak zostawił rower na środku drogi i spał obok w rowie. Zobaczyłem coś na środku jezdni i gwałtownie nacisnąłem na hamulec. Byłem bez pasów, uderzyłem głową w szybę, straciłem przytomność. Kumpie dali nogę, zostawiając mnie w aucie. Kiedy sprawa się wyjaśniła, szukali mnie bezskutecznie. Ciotka wyrzuciła ich z domu, krzycząc, że są takimi samymi złodziejami jak ja. Zapytałem o Martę. Niedawno wyszła za mąż – usłyszałem w odpowiedzi. Zrozumiałem, że nie mam po co wracać.

Bodzio pojął, dlaczego przez te wszystkie lata szef zmieniał panienki jak rękawiczki i zręcznie unikał wszystkich narzeczeńsko-mażeńskich pułapek, jakie na niego zastawiała.

– Nie wiem, co mnie podkuśiło, żeby wejść na tę stronę. Gdy zobaczyłem tego chłopca, dotarło do mnie, że to może być mój syn. Marta chciała mi coś powiedzieć przed moją ucieczką. Zdobyłem jej prywatny telefon i niewiele myśląc, zadzwoniłem. Beładnie zacząłem wyrzucać z siebie to wszystko, co wiele lat temu skazałem na niepamięć. Marta milczała, w końcu powiedziała, że spotka się ze mną w Polsce. Dlatego tu przyjechaliśmy.

Potem Marek opowiedział Bodziowi o długiej, nocnej rozmowie z Martą. O tym, jak łudził się, że razem z ich synem – tak, potwierdziła, że to jego dziecko – wyjadą za granicę, rozpoczną wszystko od początku. Nigdy nie przestał kochać Marty, a teraz pokochał także tego chłopca o niepokornym, zadziornym spojrzeniu.

– Marta to wszystko odrzuciła, Bodziu! Powiedziała, że straciłem prawa do dziecka, zostawiając ją owego dnia przed wielu laty. Długo mnie kochała i nienawidziła. Dopiero wtedy, kiedy zadzwoniłem, uświadomiła sobie, że w jej sercu wspomnienie o mnie raz na zawsze się wypaliło. Powiedziała: „Jeśli mnie naprawdę kiedyś kochałeś, przysięgnij, że już nigdy nie zakłócisz naszego spokoju – mojego i syna Jana, bo to on jest jego prawdziwym ojcem”. Była nieugięta! Gdy ją błagałem, by zmieniła zdanie, spozrzała na mnie z niesmakiem i powiedziała, bym chociaż raz zachował się z honorem. Obiecałem jej, co chciała, a ona wyszła nad ranem z pokoju, spojrzawszy na mnie ostatni raz, zanim zamknęła drzwi. W jej wzroku była radość, czułość i miłość, ale nie były one przeznaczone dla mnie... Bodziu, co ja mam zrobić?

Bodzio otarł ukradkiem łzę, udając, że wyciera nos.

– To proste – odpowiedział z udawanym wigorem – zostanie pan moim asystentem. A mój asystent nie może wyglądać i cuchnąć jak jakaś zapijaczona łachudra. Pysznic i golonko. A ja w tym czasie opowiem, jak się za szefa musiałem narobić!

„Dzienne światło jest bezlitosne – pomyślała Anita, spoglądając w lustro. – Jeszcze parę lat i przegram wyścig z tymi małolatami, które zrobią wszystko, by zająć moje miejsce”.

Wyszła z łazienki i skierowała się w stronę sypialni, po drodze zabierając ze stolika w holu na wpół opróżnioną butelkę wina. Usiadła na łóżku i dopiero kiedy wychyliła spory łyk ciemnoczerwonej cieczy, odważyła się spojrzeć na pochrapującego głośno mężczyznę. Zimnym wzrokiem powiodła po leżącej postaci i wzdrygnęła się, widząc cienką strużkę śliny spływającej z kącika jego ust. Napiła się jeszcze, chcąc zmyć winem wstręt, jaki ją ogarnął na wspomnienie wczorajszego wieczoru. Dobrze, że się lekko znieczuliła paroma koktajlami i że była w łóżku dobrą aktorką. Wyśliki Generała, by zaspokoić jej oczekiwanie, i wyraźnie rysująca się na jego twarzy duma, gdy szeptała mu potem w ucho, że jest niezrównany, że dawno nie przeżyła czegoś takiego, jeszcze raz utwierdziły ją w przekonaniu, że inteligentna kobieta bez skrupułów jest w stanie zrobić z mężczyzną wszystko. Delikatnie go trąciła.

– Kochanie, muszę niedługo wyjść, mam rano kolegium.

Generał niechętnie otworzył podpuchnięte oczy i wysunął rękę, chcąc przyciągnąć Anitę do siebie. Wywinęła się zręcznie.

– Weź szybką kąpiel, a ja zrobię śniadanie. Przecież niedługo znowu się spotkamy – szepnęła obiecująco.

Gdy usłyszała dobiegający z łazienki szum wody, otworzyła delikatnie teczkę leżącą na podłodze sypialni i zaczęła przeglądać schowane w niej dokumenty. Cicho gwizdnęła, gdy dotarła do teczki oznaczonej klauzulą „ściśle tajne”, wyjęła z kieszeni szlafroka miniaturowy aparat cyfrowy i szybko zaczęła fotografować strony zawierające dokładny opis kilku całkiem sporych gangów, działających w największych miastach Polski.

Generał dołał do wody jeszcze odrobinę płynu do kąpieli i zanurzył się w pachnącej pianie, konstatuując, że może sobie pozwolić na odrobinę relaksu, a poza tym musi przecież dać kochanej Anitce trochę czasu. Byłaby bardzo zażenowana, gdyby zaskoczył ją nad teczką.

Nie było ścian, schodów, podłogi, tylko gęsta, mokra mgła, pośrodku której tkwiły monstrualnych rozmiarów drzwi. Dobiegał zza nich głośny płacz bliźniaczek, a ona waliła pięściami w deski, czując jak dłonie grzęzną w gliniastej masie i nie może ich wydobyć, by uderzyć ponownie. Wołała o pomoc, ale nie słyszała swojego głosu. Płacz bliźniaczek zamienił się w głośny krzyk, drzwi nagle się uchyliły i stanął w nich Dziobaty. Wykrzywił twarz w uśmiechu i wyciągnął w jej kierunku rękę. Pchnął ją lekko i zaczęła spadać w bezdenną otchłań, krzycząc, by nie krzywdził sióstr. I gdy czuła, że lada moment roztrzaska się o dno, usłyszała:

– Kasiu, obudź się, Kasiu, to tylko senny koszmar.

Agata siedziała obok niej i delikatnie gładziła mokre od potu włosy dziewczyny. Kasia gwałtownie usiadła na łóżku, objęła rękoma

kolana i zawodząc cicho, kołysała się monotonnie.

– Wrócił, Dziobaty wrócił! – Podniosła głowę i Agata zobaczyła nieprzytomnie przerażone oczy.

Długo ją tuliła i szeptała uspokajające słowa, aż wreszcie Kasia odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać.

Pojawił się w ich życiu jakieś trzy lata po śmierci ojca, który zmarł na zawał kilka dni po przywiezieniu do domu bliźniaczek. Matka szalała z rozpacz, niepomna ostatnich wydarzeń. Zapomniała o upokorzeniu i zdradzie, pograżyła się w bólu i wspomnieniach młodszej miłości, pamiętając tylko o szaleńczym uczuciu, jakim od pierwszego spotkania darzyła ojca. Tylko dzięki silnym lekarstwom zdołała przeżyć pogrzeb i kilka następnych dni. Kiedy powróciła do rzeczywistości, postanowiła się pozbyć bliźniaczek.

– Zaczęła budować ojcu kapliczkę, a Isia i Misia burzyły wizerunek idealnego męża, kochanka i ojca – mówiła z goryczą Kasia. – Wiedziałam, że nie mogę do tego dopuścić. Na szczęście tata był przewidujący. Zostawił mnie i bliźniaczkom wysokie polisy, z których miałyśmy otrzymywać renty aż do uzyskania pełnoletności. Matka nie dostała nic. Zrozumiała, że bliźniaczki są jej potrzebne do życia.

Wtedy, pokonana ostatecznie, pograżyła się całkowicie w swoim świecie wymaganych chorób i proszków, które przynosiły ukojenie, a jednocześnie pozwalały łagodnie dryfować na falach wspomnień, zacierając granicę między kolejnymi dniami bez ukochanego męża.

– Tego dnia wróciłam ze szkoły do domu i usłyszałam dobiegający z kuchni śpiew matki. Było to coś tak niespodziewanego, że pobiegłam szybko, by sprawdzić, czy nie mam jakichś halucynacji. Matka stała nad kuchenką, była starannie uczesana, a odwieczny szlafrok zastąpiła kwiecista sukienka. Odwróciła głowę, uśmiechnęła się i powiedziała: „Pomóż mi, przygotuj sałatę. Będziemy miały na kolacji gościa. Mam nadzieję, że ty i te... dziewczynki potraficie zachować się przy stole. I nie odzywajcie się niepytane”.

Kasia zacisnęła mocno pięści.

– Znienawidziłyśmy go z bliźniaczkami od pierwszego wejrzenia. Był nawet dość przystojny, poza kilkoma drobnymi dziobami po ospie, ale instynktownie wyczułyśmy, że to zły człowiek.

Pan Tomasz nadskakiwał matce, prawił komplementy, podnosił się za każdym razem, gdy przypalał jej papierosa, snuł zabawne opowieści o swoich licznych podróżach przedstawiciela handlowego i starał się za wszelką cenę zyskać przychylną dziewczynkę, które nieufne i wyraźnie obojętne na jego urok siedziały milcząco przy stole.

Wprowadził się kilka dni później i przez kilka tygodni trwała idylla. Matka kwitła. Popołudniami wyprowadzała swojego nowego mężczyznę jak rasowego psa i demonstrowała na rynku znajomym. Potem siadywali w kawiarnianym ogródku, a pan Tomasz czarował grono małomiasteczkowych plotkarek, które nie kryły zachwyty podszytego zazdrością. Potem zaczął wyjeżdżać, tłumacząc, że jako przedstawiciel handlowy musi utrzymywać kontakty z klientami. Matka zamykała się pod jego nieobecność w sypialni i czekała.

– A potem było coraz gorzej. Z góry dobiegały odgłosy awantur, matka zostawała w sypialni, on schodził na dół, siadał przed telewizorem i pił. Nauczyłyśmy się z bliźniaczkami schodzić mu z drogi i ulgą przyjmowałyśmy jego przedłużające się nieobecności. Matka znowu zaczęła szpikować się proszkami i nic jej nie obchodziło. Nawet się nie kłócili. Dbał tylko o to, by miała zawsze zapas tych swoich pigułek. Dawał mi nędzne grosze z naszych rent, po ojcowsku tłumacząc, iż muszę sobie radzić, bo mama jest za delikatna, by borykać się z trudami codzienności.

Kasia zamilkła na chwilę, a Agata czekała cierpliwie, czuła bowiem, że za chwilę usłyszy coś przerażającego, że razem z Kasią będzie musiała zanurzyć się we wspomnieniach wywołujących senne koszmary.

Tego dnia niespodziewanie wrócił wcześniej, niż zapowiadał. Kasia siedziała z bliźniaczkami starannie kolorującymi obrazki, obserwując igrający w ich włosach promień słońca. Myślała o tym, jakie są śliczne i mądre, jak bardzo je kocha. Poczuli dumę, gdy sobie uświadomiła, że naprawdę udało jej się stworzyć namiastkę prawdziwej rodziny. Nagle serce zabiło jej mocniej, odwróciła głowę i zobaczyła stojącego w drzwiach Dziobatego. Tak go nazywały między sobą od owego dnia, gdy pojawił się w ich domu.

Przyglądał się bliźniaczkom z dziwnym uśmiechem, a potem odwrócił się i wyszedł bez słowa. Kasia poczuła dziwny niepokój. Kazała dziewczynkom iść do ich pokoju, a sama zaczęła ukradkiem obserwować pana Tomasza. Usiadł przed telewizorem z pełną szklanką, popijał powoli brunatny trunek i intensywnie myślał. Po jakimś czasie wstał, sięgnął do kieszeni, wyjął z niej mały flakonik i z uwagą zaczął mu się przyglądać. Podszedł na górę do sypialni matki, po chwili wrócił, dolał sobie alkoholu i znowu zasiadł przed telewizorem. Kasia pomyślała, że wszystko potoczy się jak zwykle. Wypije swoją porcję, zaśnie w fotelu, a nad ranem zniknie, udając się w kolejną służbową podróż. Cichutko przemknęła do swojej facjatki, słysząc po drodze głośną rozmowę i śmiech, dobiegający zza drzwi pokoju bliźniaczek. Nie wie, jak długo czytała, bo jak zwykle książka sprawiła, że świat przestał dla niej istnieć. Przysłumiony krzyk przerwał jej lekturę. Zaczęła uważnie nasłuchiwać, a potem zerwała się i wybiegła na korytarz. Zza drzwi łazienki na piętrze dobiegał głośny płacz bliźniaczek. Szarpnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz. Zaczęła walić w nie pięściami.

I wtedy usłyszała bełkotliwy głos Dziobatego.

– Idź do swojego pokoju, dziewczyno. Nie starasz się, małe są brudne, zaniedbane... Ale ja je porządnie wykąpię.

Chwyciła jeszcze raz za klamkę, szarpnęła, krzyknęła: – Isiu, Misiu, co się dzieje?! – Dobiegła do niej płacząca odpowiedź: – Kasiu, my się boimy, on nas dotyka... – A potem już tylko cichy szloch. Nie wiedziała, co robić. Wbiegła do sypialni matki, ale ta leżała na łóżku nieprzytomna, odurzona lekarstwami. Kiedy Kasia zaczęła ją potrząsać, wymamrotała tylko: – Dajcie mi święty spokój.

I wtedy Kasię ogarnęła ślepa furia. Zbiegła na ganek, chwyciła leżącą tam siekierę i szybko wróciła pod drzwi łazienki. Trzema uderzeniami rozwalila zamek, wpadła do środka i krzyknęła do dziewczynek, które wrywały się z rąk mężczyzny, by natychmiast uciekały. Dziobaty próbował protestować, ale kiedy zamierzyła się na niego siekierą, strach przebił się przez alkoholowe zamroczenie. Osunął się na posadzkę i patrzył bezradnie, jak Kasia powoli się cofa i wreszcie wybiega z łazienki.

– Znalazłam je nieprzytomne z przerażenia w ich ulubionej kryjówce w ogrodzie. Wiedziałam, że nie możemy teraz wrócić do domu.

W ogrodowej szopie, w której skryły się bliźniaczki, Kasia odkryła po krótkich, gorączkowych poszukiwaniach kawałki fizeliny do okrywania zimą krzaków róż. Otuliła nagie dziewczynki, rozejrzała się czujnie dookoła i popychając je przed sobą, szybko przebiegła ulicę i zastukała do drzwi sąsiadki.

– Drzwi otworzyła Kara, wychowanka pani Marii. Szybko zagarnęła nas do środka, posadziła na kanapie, okryła Isię i Misię kocem, a potem wyszła i wróciła za chwilę z gorącą herbatą. O nic nie pytała, tylko uważnie przyglądała się bliźniaczkom. Gdy zasnęły, spojrziała na mnie wyczekująco i powiedziała, że będą spać do rana. A ja poczułam, że mogę jej zaufać. Była sporo starsza ode mnie, prawie się nie znałyśmy, ale narastało we mnie przekonanie, że tylko ona może nas uratować.

Kasia opowiedziała Karze wszystko, od momentu przywiezienia bliźniaczek do domu aż do tej potwornej chwili, gdy była o krok od uderzenia siekierą człowieka, który krzywdził jej siostry. Kara wysłuchała całej opowieści, nie przerywając ani razu, potem wstała, pomogła Kasi ułożyć wygodnie siostry, pokazała, jak zablokować drzwi i włączyć alarm. Powiedziała, że niedługo wróci i że w tym domu nic im nie grozi.

– Mijały godziny, a Kara nie wracała. Początkowo każdy szmer, każdy trzask sprawiał, że podskakiwałam przerażona, myśląc, że to Dziobaty nas odnalazł, ale po jakimś czasie zmęczenie mnie pokonało. Kiedy się obudziłam, Kara siedziała naprzeciwko z poszarzałą ze zmęczenia twarzą. Spojrzałam na nią pytająco, a ona powiedziała spokojnie, że możemy wracać do domu, jak tylko dziewczynki się obudzą. Nigdy już nie zobaczymy Dziobatego, a matka nie przyjmie pod swój dach żadnego obcego mężczyzny. Gdy wstawała, jej policyjna kurtka rozchyliła się. Zobaczyłam rozpiętą kaburę i wystającą z niej broń.

– O Boże, Kasiu, czy ona go zabiła?! – wyszeptała przerażona Agata.

Kasia zamysliła się głęboko.

– Nie sędzę. Nigdy nie zapytałam Kary, co się wtedy wydarzyło. Gdy lepiej ją poznałam i stałyśmy się prawie przyjaciółkami, zrozumiałam, że jeśli będzie chciała, to mi kiedyś opowie. Ale ta chwila widać jeszcze nie nadeszła. Kara dotrzymała słowa. Dziobatego widuję tylko we śnie, a matka definitywnie wybrała swoją sypialnię i coraz mocniejsze dawki leków.

Pan Karol z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku przeglądał gazetę publikującą kolejny artykuł z cyklu „Polskie gangi”. Dziwił się, że nikogo nie zastanowiła przypadkowa zbieżność publikacji z akcją Centralnego Biura Pościgowego, które tuż przed drukiem pierwszego odcinka uderzyło w kilku miastach Polski, zatrzymując ponad sto najważniejszych osób z mafijnych struktur. Od kilku dni o niczym innym się nie pisało, nie mówiło, szefowie resortu spraw wewnętrznych, policji i prokuratury puszyli się w rozlicznych programach telewizyjnych, postowie żądali powołania specjalnej komisji śledczej, a pomniejsi przestępcy zaszyli się głęboko w swych melinach, modląc się o mniejszą aktywność stróżów prawa i zawieszając na kołku wszelkie działania.

Hydra miała oczyszczone pole, ale nie była bezpieczna. Dni tak szybko mijały, a zawartość bankowej skrytki nadal była dla nich niedostępna. Maks nie mógł znaleźć dziewczyny, w galerii mu powiedzieli, że wyjechała z kraju i nie wiadomo, kiedy wróci; Koliński był podejrzanie czysty, a Pan Nowak dał mu do zrozumienia, iż jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Mieli tylko zdjęcia. Trzeba je było zatem jak najszybciej wykorzystać.

Bar miał swoją klientelę, a jeśli ktoś obcy nieopatrznie uchylił jego drzwi, natychmiast się cofał, widząc obskurne wnętrze i wrogie spojrzenia stałych bywalców. Staszek, który w przybrudzonej szarej kurtce, berecie naciągniętym na oczy, z trzydniowym zarostem w niczym nie przypominał eleganckiego prezesa firmy „Staszek i Synowie”, niecierpliwie spoglądał na zegarek. Jego informator spóźnił się już ponad pół godziny. Zamówił jeszcze jedno piwo i wtedy ujrzał niepozorną postać wylaniającą się z gęstego obłoku dymu.

– Nie masz zegarka, Konus? – warknął zniecierpliwiony.

– Spoko, szefuniu, jedną taką robótkę musiałem skończyć, a pan tu przecież jak u siebie...

– Czego się dowiedziałeś?

– Coś śmiesz, szefuniu! Wszyscy nabrali wody w usta. Początkowo myślałem, że mają cykora po zapudłowaniu szefów, ale to coś innego.

– Konus, chcesz, żebym stracił cierpliwość?

– Spoko, szefuniu, coś mam. Na Pradze jest taka jedna, wszyscy ją znają, szwenda się po śmietnikach od lat, ciągle naspawana, pije wszystko, co ma trochę więcej procentów niż woda. Zalewajka zamiast szarych komórek. Wołają na nią Lejdi, bo jak trochę oprzytomnieje, to opowiada, jaką to wielką była kiedyś damą. No i chłopaki opowiadały, jaki miały ubaw, kiedy ją zobaczyły w futrze. Dają słowo, szefie, podobno autentyczne norki! Podleli ją trochę, żeby przepytać, gdzie je zwinęła, ale bardzo się na nich obraziła i powiedziała, że to z wymiany. Jakaś elegancka dziewczyna dała jej futro za nędzny prochowiec i podobno jeszcze dziękowała.

– Kiedy to było?

– Chłopaki mówią, że kilkanaście dni temu, ale do dzisiaj mają ubaw, jak sobie przypomną Lejdi w norkach. Ponośli kilka godzin, a jak zasnęła w parku, to jakiś męć je ukradł.

– A dziewczyna?

– Twierdzą, że stara to sobie wymyśliła, futro gdzieś zwinęła, ale bała się przyznać.

– A innych pytałeś o dziewczynę?

– Ściana, szefuniu! Nikt nic nie wie.

Uciekł wzrokiem w bok i Staszek już był pewien, że Konus nie wszystko mu powiedział. Pochylił się w jego stronę i zimno wyszeptał:

– Ty chyba, Konus, chcesz, żebym inaczej z tobą pogadał...

Konus skulił się ze strachu, ale nadal milczał. Staszek wolno się podniósł.

– Nie ma rozmowy, nie ma kasy.

Konus chwycił go za rękę, nerwowo się rozejrzył i wyszeptał trwożliwie:

– Szefuniu, to nie nasz rozmiar beretu. Niech szefunio trzyma się od tej sprawy jak najdalej. To, co teraz piszą w szmatławcach o tych gangsterach, co ich złapali, to małe piwo. Szefuniu, oni nie wiedzą, kto naprawdę tym rządzi.

– Ty mi powiesz, Konus, kto...

– Za żadne... to znaczy nie wiem, szefuniu, nic nie wiem.

– To się dowiesz! I pomyśl, kogo bardziej się boisz: ich czy mnie?

Rzucił parę banknotów na stolik i przez nikogo niezaczepiany wyszedł z baru.

Dyskretny dźwięk kwartetu smyczkowego rozplątał się w powietrzu przesyconym zapachem dobrych perfum, alkoholu i wielkich pieniędzy. Bodzio stanął w progu głównej sali i popatrzył z niepokojem na Marka. Poprawił mu muszkę i troskliwie zapytał:

– Gotowy, szefie?

Marek skinął głową.

– W porządku, Bodziu. Tylko nie pomyśl się i nie powiedz „szefie”.

– Główna pracuje! Ja jestem szefem, a szef jest moim asystentem. Nazwisko niech szef sobie wymyśli, ale imię zostawimy to samo, bo człowiek łatwo może się zapomnieć w pewnych sytuacjach. – I tu Bodzio znacząco zerknął na Marka. – A swoją drogą, kazał szef tym w Luksemburgu wsadzić mordę w kubek?

– Bodziu, to się nazywa „embargo”! Tak, całkowity zakaz informacji na nasz temat. Swoją drogą powinieneś się cieszyć, że tak chronię nasze prywatne życie, nawet fotografii nigdzie nie ma.

Bodzio poczuł się pewnie.

– Żadna zasługa szefa, to Viktor zawsze mówił: *tisze jediesz, dalsze budiesz*.

Marek parsknął śmiechem.

– Bodziu, ty naprawdę wchodzisz w rolę. No dobra, zaczynamy. Gdzie ten Wirski?

Doroczny bankiet Zgromadzenia Bankierów Polskich był jedną z najbardziej prestiżowych imprez w Warszawie. Ograniczona liczba zaproszeń, ostra selekcja gości i pewność, że bycie tutaj jest potwierdzeniem pozycji w finansowej i towarzyskiej hierarchii, sprawiały, że oprócz rządu, parlamentu i zasobnych portfeli zjawiali się na nim i poważni dziennikarze, i paparazzi dokumentujący dla plotkarskich rubryk życie wyższych sfer. Bodzio, odpytawszy przedtem skrupulatnie Wirskiego, uznał, iż to będzie najlepszy moment, by pokazać się publicznie z Markiem.

Wprawdzie Marek był już z nim w firmie, gdzie Bodzio przedstawił go najważniejszym osobom jako swojego współpracownika i zapowiedział, że z duperelami to do pana asystenta, a nie do niego, ale ciągle się bał, że Marek zrobi coś, co całą tę mistyfikację zdradzi w ułamku sekundy.

Niby to nie przestępstwo, usprawiedliwiał się w duchu, ale sam przed sobą nie chciał się przyznać, że polubił bycie prezesem i taka wpadka mocno by nadwężyła jego poczucie własnej godności. Marek zresztą, gdy wrócili po kilkugodzinnym pobycie w firmie, w tym także na posiedzeniu zarządu, rzucił się na kanapę w hotelowym apartamencie i przez kilka minut ryczał ze śmiechu tak, aż mu łzy pocięły. Bodzio się ucieszył, bo w końcu szef zaczął okazywać jakieś uczucia, ale poczuł się mocno urażony, gdy zrozumiał, że Marek śmieje się z niego.

– No i co szefa tak ubawiło? Przecież mnie szanują, a najważniejsze, że się boją.

Marek ledwo zdołał opanować śmiech.

– Bodziu, nie możesz mówić do prezesa Wirskiego, „nie bądź pan mądrzejszy, niż ustawa przewiduje”, ani że „ześmiałeś się ze śmiechu”. Nie jest też przyjęte, żeby mówić sekretarce, że ma niezłe bimbałki. Myślałem, że przez te wszystkie lata trochę otarłeś się w biznesowym świecie.

– Tak, siedząc w samochodach i sekretariatach – burknął rozgoryczony Bodzio. – Szef może zgrywać lorda, ale teraz ja jestem szefem i widzę, że oni lubią, jak się nimi trochę pomiata. Jak szef będzie dla nich zbyt uprzejmy, to albo szefa okradną, albo zdradzą. Ja jestem chłopak z Siennej i mam radar w oku. W życiu nie stanę do nich plecami, bo zaraz wbiją nóż. Trochę zamordyzmu tylko im wyjdzie na zdrowie.

Teraz Marek obserwował sztuczne uśmiechy na naciągniętych po liftingu twarzach kobiet, jowialne poklepywanie się po plecach mężczyzn udających, że potrafią palić cygara, i rozumiał, że Bodzio ma rację. Cały ten zgiełk, całe to targowisko próżności, blichtr i ciągle udawanie zastąpiły normalne życie i proste zasady, kiedyś w nim obowiązujące – przyjaźń, lojalność, uczciwość. I poczuł nagle, że mu tego brakuje...

Stał w rogu sali i spoglądał na tłum. Jego uwagę zwróciła wysoka blondynka stojąca samotnie z kieliszkiem szampana w ręku. Ubrana była w czarną, szczelnie opinającą ciało długą suknię, kończącą się z przodu małym golfem pod szyją. Za to tył, jak stwierdził, kiedy odwróciła się do kelnera, by zamienić kieliszek na pełny, odsłaniał całe plecy, na które splotywał pojedynczy, długi sznur pereł. Jasne włosy były niedbale upięte, a delikatny makijaż podkreślał wysokie kości policzkowe i dodawał głębi spojrzeniu dużych oczu.

Marek widział w swoim życiu wiele pięknych kobiet, ale ta roztaczała wokół siebie nieuchwytną atmosferę perwersji i intelektu. Wyczuła, że ktoś jej się przygląda, i jej wzrok spoczął na Marku. Ujrzał w jej oczach zainteresowanie, zachętę, obietnicę i już miał ruszyć w jej stronę, kiedy zamieszanie przy drzwiach odwróciło jego uwagę od nieznanym. Rozmowy ucichły, tłum się rozstał, i w powstałym w ten sposób szpalerze pojawiła się drobna kobieca postać. Szła z wysoko podniesioną głową, nie zważając na okrzyki i szepty zgromadzonych, a za nią biegło bezsilnie dwóch ochroniarzy, nie mając odwagi jej zatrzymać. Stała przed dziewczyną w czarnej sukni i choć była od niej niższa o głowę i sporo starsza, siła i determinacja bijące z jej postaci sprawiły, że blondynka zdawała się niknąć w jej cieniu. Wyjęła jej z ręki kieliszek i powiedziała silnym, donośnym głosem:

– Jestem żoną prezesa Kikuta. Kilka godzin temu popełnił samobójstwo. Po publikacji w pani brukowcu stracił wszystko. Nie tylko stanowisko – to najmniej ważne. Stracił szacunek ludzi, a nasze dzieci odwróciły się od niego, nie mogąc znieść upokorzenia i wstydu. Wspierałam go, jak mogłam, ale on nie mógł z tym żyć. A pani może?

Chlusnęła szampanem w twarz blondynki, odwróciła się i wyszła powoli, z godnością, przez nikogo niezatrzymywana. Cisza zalegała salę jeszcze przez chwilę, a potem przerwał ją delikatny dźwięk skrzypiec, sztuczne ożywienie powróciło i wszyscy udawali, iż nic takiego się nie wydarzyło.

Marek podszedł do blondynki i wyjął z kieszeni chusteczkę.

– Chyba lekko rozmazał się pani makijaż...

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Sięgnęła do torebki, wyjęła puderniczkę i delikatnie wytarła policzki.

– Tu jest za gorąco. Nawet dobre kosmetyki nie wytrzymują.

– Może więc zmienimy lokal? – Marek wyciągnął w jej stronę ramię. Spojrzała na niego uważnie i uśmiechnęła się powściągliwie.

– Chętnie, panie...?

– Marek Konacki, asystent prezesa Wiltera.

– Anita Geld, dziennikarka.

Gdy Bodzio zauważył Marka opuszczającego przyjęcie w towarzystwie atrakcyjnej blondynki, uśmiechnął się z ulgą i pomyślał, że szef wraca do życia. Nie mógł jednak zagłuszyć dziwnego niepokoju, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Postanowił ostatni raz odbyć z nim poważną rozmowę i nakłonić, tak jak już próbował kilkakrotnie, do powrotu i zamiany miejsc. Do tej pory Marek go zbywał, tłumacząc, że to krótki urlop i należy mu się po latach harówki trochę rozrywki. „Owszem, ale nie moim kosztem” – pomyślał z irytacją Bodzio i podążył spojrzeniem za atrakcyjną pupą opiętą jasnym atłasem. Odstawił kieliszek na tacę, wciągnął brzuch i ruszył szybko przed siebie, by ocenić, czy przód jest równie seksowny jak tył.

Czekała na tę okazję kilka dni. Czatowała przy kuchennym oknie, obserwowała wychodzące do szkoły bliźniaczki, Kasię pędzącą na ranną zmianę do baru, listonosza znieawidzonego przez Małtę i wszystkie okoliczne psy, ale dopiero dzisiaj udało jej się wypatrzeć samotną sylwetkę na schodach domu po drugiej stronie ulicy. Wybiegła z werandy i zatrzymała się tuż przed Karą. Ta nadal siedziała skulona, obejmując rękoma kolana.

– Zasłaniasz mi słońce.

Agata stała nieruchomo i milczała. W końcu Kara podniosła głowę. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Agata ujrzała smagłą, pociągłą twarz o zapadniętych policzkach, szare jak smog nad miastem oczy i delikatne usta z opuszczonymi kącikami. Czarne, ściągnięte do tyłu włosy usiłowały wymknąć się spod kontroli, a odzyskawszy całkowitą swobodę dopiero za krępującą je gumką, wiły się na plecach lśniącymi pasmami. Agata poczuła respekt przed siłą, jaką dostrzegła w dziewczynie, ale nie mogła się już cofnąć. Musiała zaryzykować.

– Wiem o Dziobatyń.

Kara nawet nie drgnęła.

– I co w związku z tym?

– Musisz mi pomóc!

– A jak nie, to co?

Agata złąkała się tego, co zobaczyła w oczach Kary. Była w nich wrogość i zaciętość. Nie znalazła w nich strachu, którego się spodziewała.

– Bo jak nie, to co, panienko? Usiłujesz mnie szantażować?

Kara podniosła się powoli, chwyciła Agatę za kłapy marnego płaszczyka i potrząsnęła mocno.

– Kuzynka Kasi! – zaśmiała się nieprzyjemnie. – Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wiedzieć. Nie pozwolę skrzywdzić Kasi i jej rodziny. A ty mi wyglądasz na osobę, w której podręcznym podróжным bagażu są wyłącznie kłopoty. Nie wiem, co nakłamałaś tej dziewczynie, i

dziwię się, że ci uwierzyła, bo Kasia ma w sobie wewnętrzny radar, który nigdy dotychczas jej nie zawiódł. Widzi zło wcześniej niż inni ludzie. Wyczuwa intuicyjnie fałsz i kłamstwo. I nigdy się nie myli. Więc radzę ci dobrze – zabieraj się stąd jak najszybciej, bo inaczej...

– Inaczej co? Zabijesz mnie jak Dziobatego?

Kara powoli odepchnęła ją od siebie i znowu usiadła na schodach.

– Spadaj! – powiedziała krótko i znowu pochyliła głowę, otaczając rękoma kolana. Nagle poczuła na dłoni liźnięcie. Malta wymknęła się z ogrodu przez niedomkniętą furtkę i teraz stała przed nią, wlepiając swoje bursztynowe oczy w jej twarz. Kara uśmiechnęła się w duchu i pogłaskała głowę psa.

– Czego chcesz, laleczko? – zapytała sukę cichym głosem, w którym pobrzmiwały czułość i spokój, tak jakby nie pamiętała już o incydencie sprzed chwili. Malta odwróciła się, podeszła do Agaty, usiadła i przytuliła się do jej nóg. Cicho skomląc, patrzyła na Karę wyczekująco. Kara nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Powoli się podniosła, wyprostowała i dopiero teraz przyjrzała uważnie Agacie. I nagle zrozumiała, że nie stoi przed nią zakłamaną, wykorzystującą ludzi szantażystką, tylko dziewczyna, która tak się boi, iż wbrew swej naturze jest w stanie grozić innym.

– Możesz oszukać wielu ludzi, nawet Kasię, choć to wydaje mi się nadal mało prawdopodobne. Ale Malty nie da się oszukać. Wejdz, napijemy się herbaty. A ty, Malta, dostaniesz swoje ciasteczko. Zasłużyłaś na nie w pełni. Być może uchroniłaś mnie przed popełnieniem błędu, ty mój osobisty wariografie!

To była jego pierwsza tak duża sprawa. Czuł miłe podniecenie i ogromny zapał, gdy wspominał słowa szefa prokuratury: „Jesteś młody i ambitny, cała przyszłość przed tobą. To dla ciebie życiowa szansa i jednocześnie ogniowa próba. Spraw się dobrze, chłopcze, i o wszystkim mnie informuj”.

Kiedy kończył prawo i decydował o aplikacji, nie wahał się ani chwili. Stawiać przestępców przed sądem i doprowadzić do ich skazania – taką przyszłość widział przed sobą. Wyniósł z domu surowe zasady, wpajane przez dziadka, żołnierza AK, który przesiedział kilka lat w stalinowskiej celi śmierci. Dziadek mawiał, że prawo nie zawsze oznacza sprawiedliwość. Tłumaczył mu, iż niewinny człowiek bywa bezradny wobec państwowej maszyny, gdy ktoś postanowi go oskarżyć, a groźny przestępca, jeśli ma pieniądze, potrafi kupić sobie wolność.

Kiedy przyszedł do dziadka, by uzyskać akceptację dla swojej decyzji, ten popatrzył na niego z troską i powiedział, że wybrał bardzo trudną drogę.

Zawsze gdy przekraczał próg prokuratury, więzienia i przede wszystkim sądu, przypominał sobie jego słowa: „Będzie ciężko, ale jeśli nie zabraknie ci odwagi i wewnętrznego przekonania, że czynisz słusznie; jeśli w podejrzanym będziesz widział nie tylko przestępcę, ale i człowieka, i jeśli nigdy cię nie skusi ani kariera, ani tym bardziej pieniądze, będę z ciebie dumny!”. I był dumny, kiedy wnukowi udało się po raz pierwszy w jego prokuratorskiej karierze doprowadzić do skazania bezkarnego od wielu lat gwałciiciela.

Czekało go teraz kolejne, bezowocne spotkanie z Łysolem. Jego kumple poszli na współpracę w zamian za złagodzenie kary, ale Łysoł, herszt miejscowego gangu, milczał. Prokurator Jerzy Grubocki z pomocą policji zgromadził przytłaczające dowody na działalność bandytów, poczynając od handlu narkotykami, poprzez kradzieże, wymuszenia, porwania i zabójstwa. Jeden z aresztowanych zdecydował się powiedzieć o Łysolu coś, czego jeszcze nie wiedzieli. Miał obiecany status świadka koronnego. Grubocki liczył, wertując kolejny raz akta, że tym razem złamie gangstera.

Funkcjonariusze właśnie wprowadzili Łysola. Tuż za nim do małego pokoiku wcisnęli się dwaj obrońcy gangstera, jedni z najlepszych i najdroższych w mieście.

Łysoł usiadł naprzeciwko prokuratora z bezczelnym półśmieszkiem.

– Marnuje pan tylko pieniądze podatników, panie prokuratorze. To wożenie mnie w tę i z powrotem nic panu nie da. Spotkamy się w sądzie i wtedy pan zobaczy, że pańskie dowody są głównie warte.

Jeden z adwokatów aż syknął i pociągnął Łysola za skraj bluzy.

– Przepraszam, panie prokuratorze, za zachowanie mojego klienta, ale stres związany z bezpodstawnym aresztowaniem sprawia...

– Panie mecenasie, darujmy sobie te gierki. – Grubocki przerwał mu bezceremonialnie i rozpoczął przesłuchanie.

W miarę zadawania pytań bezczelny uśmieszek zniknął z twarzy Łysola, nad górną wargą pojawiły się kropelki potu i gangster zaczął nerwowo wiercić się na krześle. W końcu Grubocki wytoczył najcięższą armatę. Łysoł zbladł, odwrócił się do swoich adwokatów i powiedział krótko:

– Panowie, wynocha!

Nie zważał na protesty i przestrogi, że czyni nierozważnie i ze szkodą dla swojej sprawy. Gdy obrońcy w końcu wyszli, Łysoł chwilę milczał, a potem spojrział z determinacją na prokuratora.

– No dobra. Jest pan cwańszy, niż myślałem. Możemy się jeszcze dogadać?

– To zależy od tego, co mi chcesz powiedzieć, Łysoł. Mogę tak do ciebie mówić, skoro rozmawiamy w cztery oczy i poza protokołem?

– Pewnie. Jak pan mówi po nazwisku, to chwilę muszę pokumać, zanim zrozumiem, że chodzi o mnie. Dla wszystkich jestem Łysoł. Dla pana też mogę być.

– No więc co chcesz mi powiedzieć, Łysoł?

Gangster wahał się jeszcze chwilę.

– Powiem panu o czymś, przy czym działalność naszej grupy to małe miki. Niech pan nie pyta, skąd wiem. Jak pan się za to weźmie, będzie pan najślynniejszym prokuratorem w Polsce.

– A co chcesz w zamian?

– Załatwi mi pan świadka koronnego. Wypuści z pierdla i gdzieś schowa. A potem pomoże mi zniknąć na zawsze.

– Ty chyba obejrzałeś za dużo amerykańskich kryminalów, Łysoł! U nas nie ma FBI, a ty jesteś tylko pospolitym bandytą, któremu grozi dożywocie. I na pewno się nie wywiniesz. Sam dobrze to czujesz. Więc nie próbuj mnie bajerować, że wiesz o czymś, co wstrząśnie mną do tego stopnia, że zacznę się z tobą układać.

– Pan jest jak dziecko we mgle. Czy pan wierzy w to, że cała ta akcja czyszczenia z gangów to wynik doskonałej pracy policji? Płaciлиśmy równo, nikt nam się do tyłka nie dobierał, jednych przekonywał szmał, drugich obawa o życie rodziny i jakoś wszyscy jechali na tym wózku. I nagle co? Przekupne gliny i prokuratorzy poszli z pielgrzymką na Jasną Górę, posypali głowę popiołem i złożyli ślubowanie, że nie będą brać?!

Grubocki intuicyjnie czuł, że Łysoł jest zdeterminowany i może rzeczywiście warto go wysłuchać, ale wiedział też doskonale, że w krytycznej sytuacji przestępca chwytą się wszystkich możliwych trików, by ugrać coś dla siebie.

– Możemy umówić się tak: ty, Łysoł, powiesz mi, co wiesz, a ja się zorientuję, co mogę ci załatwić w zamian. Niczym nie ryzykujesz, bo bez zeznań z twoim podpisem nic nie zrobię.

– Dobra, nie mam wyjścia.

Łysoł pochylił się w stronę biurka.

– Hydra. Mówi to panu coś?

Laptop zapiszczał w charakterystyczny sposób. Koliński podszedł do biurka i otworzył swoją prywatną pocztę. Chwilę wpatrywał się w ekran, nie mogąc zidentyfikować nadawcy. Otworzył e-mail. „Ta wiadomość ulegnie samozniszczeniu po trzydziestu sekundach. Nie można jej skopiować ani zapisać. Otwórz załącznik i bądź za dziesięć minut w pizzerii naprzeciwko banku. Milcz!”. Szybko otworzył załącznik i patrzył z niedowierzaniem na zdjęcie podpisane: „Trup narkomanki w objęciach córki prezesa! Dobry tytuł na pierwszą stronę?”. Jeszcze wpatrywał się w ekran, gdy obraz zaczął się rozsypywać na drobne kwadraciki, by wreszcie zniknąć. W poczcie po e-mailu nie pozostał żaden ślad. Spojrzał na zegarek. Osiem minut do wyznaczonego terminu. Sięgnął po komórkę, ale natychmiast przypomniał sobie ostrzeżenie Staszka.

W windzie nie miał sygnału. Wyszedł przed bank, rozejrzał się dookoła, ale nie zaryzykował połączenia, zakładając, że jest obserwowany. Przeszedł przez ulicę i otworzył drzwi malej, ale mającej swoich wiernych klientów pizzerii. Usiadł przy jedynym wolnym stoliku. Czekał, zerkając co chwila na zegarek. Po kilku minutach przy jego stoliku zatrzymała się elegancka kobieta.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?
- Pani wybacz, ale czekam na kogoś...
- Wydaje mi się, że czeka pan na mnie, panie prezesie.

Usiadła, zsunęła z ramion drogie futro i zerknęła na Kolińskiego. Ta krótka chwila wystarczyła, by ojciec Agaty uwierzył, iż to ona jest osobą, na którą czeka.

– Nie chcielibyśmy, żeby zostawił pan sobie jakąś pamiątkę z naszej rozmowy. Proszę zatem, by udał się pan do męskiej toalety. Spotka pan tam mojego przyjaciela. Potem wróci pan do mnie.

Po kilku minutach Koliński zajął miejsce przy stoliku.

– Komórkę odbierze pan w szatni przy wyjściu. Panie prezesie, ma pan coś, co jest naszą własnością. Chcielibyśmy to odzyskać. Dla pana to drobiazg, niczym pan nie ryzykuje. Jeśli się dogadamy, nic się nie stanie. Jeśli zaś nie... Zdaje pan sobie sprawę, jaki skandal możemy wywołać? Zwłok narkomanki policja jeszcze nie znalazła. I nie znajdzie, jeśli nasza współpraca okaże się owocna.

– Gdzie jest moja córka? Co z nią zrobiliście?!

– To, gdzie jest pana córka, teraz nic nas nie obchodzi. Mamy zdjęcia i zwłoki. Chce pan wsadzić córkę do więzienia? Jeden telefon, kilka zdjęć przesłanych do policji i mediów, odciski palców na miejscu zbrodni, a życie utalentowanej artystki legnie w gruzach. Chce się pan do tego przyczynić?

Koliński spojrzał z wściekłością na kobietę.

– Czego chcecie?

– Dostarczy nam pan zawartość skrytki o numerze sto osiemdziesiąt dziewięć z pańskiego banku. Jest w niej płyta CD i teczka z dokumentami. Płyta jest zaszyfrowana, a teczka opieczętowana, więc proszę nie starać się zbadać ich zawartości. I proszę się nie niepokoić, właściciel skrytki nie żyje, nikt się nie upomni o depozyt. My w zamian zapomnimy o zdjęciach, a zwłoki znikną z miejsca, gdzie wkrótce może je odnaleźć policja.

– To nie jest takie proste. Ile mam czasu?

– Już nie ma pan czasu. Im szybciej, tym lepiej. Rozumiem, że musi pan mieć chwilę na zastanowienie się, jak to zrobić, ale ostrzegam – nie będziemy długo czekać. Żegnam.

– Ale jak...

– Odezwiemy się wkrótce.

Kobieta wstała i spokojnie wyszła z pizzerii. Koliński bezsilnie osunął się na krzesło. Po chwili podniósł się i zabierając po drodze komórkę, opuścił lokal. Stał chwilę na chodniku, pozwalając, by bezsilność, jaką przed chwilą odczuł, zamieniła się w zimną furję. Zrozumiał, że gdy odda zawartość skrytki, jego życie, a także życie Agaty, nie będzie nic warte.

Bliźniaczki porozumiewawczo spojrzały po sobie i bezszelestnie podeszły do siedzącej przy kuchennym oknie Agaty.

Przybywało dnia i kolory nieba w porze zmierzchu już się zmieniały. Najpierw działo się to niepostrzeżenie, aż nagle jasne niebo zastępowała atramentowa czerń. W miarę upływu dni drobne, barwne smugi poprzedzały ciemność. Agata zaczęła sobie wyobrażać obraz, jaki chciałaby namalować. Wielkie okno, siedząca przed nim z głową opartą na dłoni kobieta, w perspektywie bezlistne gałęzie drzew i krzewów, właśnie na tle tych przechodzących w czerń szarości. „Zmierzch – pomyślała – tak powinien nazywać się ten obraz”.

– Jesteś smutna – stwierdziła Isia.

– Dlaczego? – zapytała surowo Misia.

Odwróciła się w ich stronę. Już wiedziała, że należy je traktować poważnie.

– Tak sobie myślę, czy ten zmierzch za oknem nie jest metaforą mojego życia. Zapada noc, jestem sama i nie wiem, co stanie się rano.

– Jak to co? Wzjeździe słońce. I nie myśl sobie, że nie wiemy, co to jest metafora.

– Właśnie. – Misia energicznym skinieniem głowy potwierdziła słowa siostry. – Jesteś już u nas wystarczająco długo, by zauważyć, że jesteśmy bystre, inteligentne...

– ...i odcytane – dorzuciła Misia.

– Po prostu wyjątkowe – postawiła kropkę nad „i” Isia.

– Zapomniałyście jeszcze dodać, że także nad podziw skromne.

Bliźniaczki parsknęły śmiechem.

– Mamy poczucie humoru i potrafimy śmiać się z siebie, a to jest, jak mówi Kasia, cecha człowieka inteligentnego.

Rozchichotane dziewczynki chciały się przytulić do Agaty, zatrzymały się jednak w pół kroku, widząc jej obronny gest. „Pamiętaj, że możesz być zarazona. Jak już tam jesteś, spróbuj chociaż chronić przed tym potencjalnym niebezpieczeństwem Kasię i małe” – słyszała w głowie słowa Kary i przypomniała sobie kobietę z przychodni Towarzystwa Rozwoju Rodziny w odległym od Pszczelina trzydzieści kilometrów mieście wojewódzkim, dokąd wybrała się rankiem, czekając, aż dom opustoszeje i będzie się mogła wymknąć niepostrzeżenie.

Tak jak ją zapewniała Kara, nie zażądano od niej dowodu osobistego ani innego dokumentu tożsamości. Testy na HIV były wykonywane anonimowo i bezpłatnie. Kobieta z przychodni, miła starsza pani z drobniutkimi siwymi lokami i siateczką zmarszczek wokół oczu, spojrzała na nią współczująco.

– Drogie dziecko, musisz uzbroić się w cierpliwość. Teraz, kilkanaście dni po możliwym zakażeniu, wynik testu może być fałszywy. Potrzeba dwunastu tygodni, by pojawiły się przeciwciała. To tak zwane okienko serologiczne. Wynik testu ELISA, który u nas robimy, nie dowodzi jeszcze zakażenia. Zawsze musi być on potwierdzony za pomocą testu Western Blot, a ten w Polsce wykonuje tylko kilka specjalistycznych laboratoriów. Musisz się do nas zgłosić, kiedy minie trzymiesięczny okres. A teraz weź tę broszurkę. Dowiesz się z niej,



jak żyć i jak chronić innych przed zakażeniem. To tak na wszelki wypadek.

Agata otrząsnęła się i spojrzała na dziewczynki przepraszająco.

– No dobrze – powiedziała Isia, zauważając tę oznakę dobrej woli – a teraz odpowiedz na nasze pytanie.

– Przepraszam, ale jak ono brzmiało?

– Dlaczego jesteś smutna?

Agata bezradnie wzruszyła ramionami.

– To zbyt skomplikowane.

– Skomplikowane to jest zapięcie od stanika!

Misia trzepnęła siostrę w głowę.

– Uspokój się, sprawa jest poważna – i zwracając się do Agaty, wyjaśniła: – ona cytuje taką jedną z filmu *Pokojówka na Manhattanie*.

Nie zwracaj na nią uwagi...

– To na nią nie zwracaj – obruszyła się Isia. – Sama mówi bez przerwy cytatami z filmów, a mnie poucza.

Misia i Isia patrzyły na siebie przez chwilę wrogo, a potem rzuciły się sobie w objęcia, przepraszając się wzajemnie. Agata westchnęła z ulgą, myśląc, że ma już za sobą przesłuchanie, ale nie doceniła bliźniaczek. Po krótkiej wymianie szeptanych opinii Misia zwróciła się do niej nader poważnym tonem:

– My ci powiemy, dlaczego jesteś smutna.

– ...bo my wszystko wiemy – dokończyła Isia.

Agata poczuła trwogę. Niemożliwe! Nie mogą wiedzieć!

– Jesteś smutna, bo jak byłaś mała, to opowiadali ci bajki, które miały szczęśliwe zakończenie!

Agata ze zdumienia aż otworzyła usta.

– Nie dziw się, zaraz ci to wytłumaczymy.

– Jak byliśmy małe...

– ...a było to bardzo dawno temu...

– ...Kasia opowiadała nam zawsze przed snem bajki.

– One nigdy się dobrze nie kończyły!

– Dopiero jak nauczyliśmy się czytać...

– ...a ponieważ jesteśmy genialne, miało to miejsce w wieku pięciu lat...

– ...odkryliśmy, że Kasia zmienia zakończenie.

– Z dobrego na złe!

– Postanowiłyśmy zrobić z tym porządek!

– I pewnego wieczoru, kiedy Kasia skończyła opowiadać, wyciągnęłyśmy spod poduszki książkę i przeczytałyśmy jej prawdziwe zakończenie.

– Najpierw zaniemówiła z podziwu...

– ...bo nie wiedziała, że umiemy już czytać!

– A kiedy ochłonęła, powiedziała coś takiego... Isiu, pamiętasz dokładnie?

– No pewnie! Powiedziała, że to przez szczęśliwe zakończenia w bajkach opowiadanych dzieciom wyrosło z nich zbyt wielu nieszczęśliwych dorosłych. Długo zastanawialiśmy się z Misią, o co jej chodzi, bo nic więcej nie chciała powiedzieć. Była nieczuła na nasze prośby.

– Stwierdziła, że same musimy to zrozumieć.

– I w końcu zrozumiłyśmy!

Agata spojrzała wyczekująco.

– Myślisz, że jesteś królową...

– ...któregoś dnia spotkasz księcia z bajki...

– ...i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

– A w rzeczywistości robi ci kupę dzieci i będzie pił, jak pan Karolak spod szóstki.

– Albo że jesteś biedna, pójdziesz na bal i tam król wicz poprosi cię do tańca, i wszystkie te wystrojone dziewczyny będą umierały z zazdrości.

– A w rzeczywistości okaże się, tak jak z Mają z naszej klasy, że jak przyszła na dyskotekę w sukience z darów, to stała cały wieczór pod ścianą i dziewczyny tylko się z niej śmiały.

– I żaden chłopak nie poprosił jej do tańca!

Agata ze zgrozą popatrzyła na dziewczynki.

– Mój Boże, wy jesteście pesymistkami!

Jednocześnie pokręciły przecząco głowami.

– Skąd, my jesteśmy... paradygmatyczne.

– Pragmatyczne, ty nieuku!

Po kilku kuksańcach i uściskach kontynuowały:

– Myślałaś, że jesteś królową...

– ...i nic złego cię w życiu nie spotka.

– Powinnaś myśleć, że na świecie jest wiele złych rzeczy, i cieszyć się każdą dobrą chwilą.

Kiedy zrozumiała, że już skończyły swój wykład, zapytała z nadzieją:

– Ale Kasia już przestała wam opowiadać te bajki?

– Skąd!

– Uwielbiamy je!

Znowu poszeptały chwilę.

– Chcesz dzisiaj posłuchać?

– Tylko Kasia nie może nic zauważyć! To nasza tajemnica.

– Zostawimy szparkę w drzwiach.

– Bądź ostrożna.

– Zachowuj się jak mysz pod miotłą.

Gdy wybiegły w podskokach, Agata dłuższą chwilę nie mogła się otrząsnąć. W końcu wybuchnęła śmiechem i po raz pierwszy od wielu dni zapomniała na chwilę o przeszłości.

Czerwona róża jak co roku leżała pod jej drzwiami. Podniosła kwiat, delikatnie pogładziła płatki i z wdzięcznością przemieszana z

irytacją pomyślała o Kulasie. Tylko on pamiętał i tylko on jej przypominał o upływającym czasie.

Weszła do środka i z ulgą rozejrzała się po znajomym wnętrzu. Nie zdejmując płaszcz, wyjęła z lodówki butelkę szampana, zerkając przy okazji na półki. Jedna pomarańcza, przeterminowany jogurt, więdnięta główka sałaty lodowej i wypełniająca resztkę pustka nie dawały zbyt wielkiego wyboru. Rzuciła futro na krzesło, wyjęła z szafki szampankę i weszła do salonu. Zapaliła stojącą lampę, usiadła poza jej zasięgiem w wielkim, miękkim fotelu. Otworzyła bez najmniejszego dźwięku butelkę i obserwując musujące w wysmukłym szkle bąbelki, głęboko się zamyśliła.

Rozmowa z Kolińskim, choć wydawała się jedną z wielu, jakie przeprowadziła w ten sposób, wywarła na niej dziwne wrażenie. Irena nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy pytał o córkę. „Wyraźnie się starzeję – stwierdziła samokrytycznie – przecież mam dopiero...”. I w tym momencie ze zdumieniem uświadomiła sobie, ile ma lat. Czyżby to był ten wiek, kiedy człowiek patrzy za siebie, stawiając pytania? Czy słusznie postąpiłam? To była dobra czy zła decyzja? Dobrze wybrałam? I który moment odegrał w tym decydującą rolę?

Popijając złocisty trunek, pozwoliła sobie na coś, przed czym broniła się przez lata – na wspomnienia.

Stała przy oknie przesłoniętym koronkową firanką i obserwowała podwórko. W jednej jego części dziewczynki skakały po wyrównanych na asfalcie kwadratach, w drugiej chłopcy popisywali się ewolucjami na trzepakach i kopali piłkę, uważając, by nie trafić w szybę. Najbardziej lubiła ten moment, kiedy z okien kolejno wychylały się kobiece głowy i donośnie głosy odbijały się echem w studni podwórka: „Tomek, Romek, Zosia! Kolaaaacja!”. Wzdychała wtedy żałośnie i buntowała się przeciwko zakazom matki. Nigdy jednak nie ośmieliła się prosić, by zmieniła decyzję.

– Nie będziesz się zadawała z tą hołotą! Masz się uczyć. Ja szkół nie mam i zobacz, do czego doszłam. – Matka wskazała na olejne obrazy na ścianach, wielką, krytą zielonym aksamitem kanapę, kredens wypełniony porcelanowymi figurkami i dywan, jej największą dumę, tak duży, że zakrywał całą podłogę. – Ty zajdziesz jeszcze dalej. Głowy do interesów nie masz, ale do nauki tak. Pójdziesz na studia, będziesz miała tytuł magistra i porządną pracę, na przykład w szkole albo w magistracie. Wszyscy będą cię szanować i mówić: „Dzień dobry, panno Zawiślakówna”. O pieniądze się nie martw. Ja zarobię.

I rzeczywiście, matka zaczynała od sprzedawania pyz i pierogów na bazarze, wkrótce dorobiła się budki i Irenie niczego nie brakowało. Matka przynosiła z bazaru ciuchy z zagranicznych paczek, egzotyczne owoce i pięknie oprawione książki. Obok jej budki wyprzedawał swoją bibliotekę stary nauczyciel, dorabiając w ten sposób do głodowej emerytury. Zawiślakowa podsuwała mu czasami miskę gorącej zupy, a kiedy chciał zapłacić, prosiła, by dał jakąś książkę „dla Irci”. I opowiadała z dumą, że córka jest najlepszą uczennicą w klasie i nic, tylko czyta.

Kamienicę zamieszkiwała biedota z kwaterunku. Tylko mieszkania od frontu zajmowali ludzie z pozycją. Pan Balik, który pracował „umysłowo” w elektrowni, a jego syn studiował na politechnice, i pani Ozimkiewiczowa, była właścicielka budynku, staruszka, której doglądała równie wiekowa Kaziuńcia, analfabетка z kaminoskiej wsi, wiele lat temu przygarnięta przez bogatą wdowę. Wszyscy im się kłaniali, a oni ledwie zauważali resztę lokatorów. Nawet Kaziuńcia nabrała wyniosłych manier i traktowała biedotę z pogardą. Część mężczyzn pracowała w pobliskiej fabryce, część pozwalała utrzymywać się żonom, dorabiającym praniem i sprzątnięciem w odległych od Pragi willowych dzielnicach. Matka Ireny pożyczła im pieniądze na lichwiarski procent i sprzedawała „na krechę” wódkę z czerwoną kartką, bezwzględnie egzekwując dług przy najbliższej wypłacie. Była chciwa i skąpa, tylko Irenie nigdy niczego nie odmawiała. Zeszyty, długopisy, nowy tornister, książki, porządne ubrania – na to nigdy nie żałowała. Przyglądała się wychodzącej do szkoły córce i mruzczyła pod nosem: „Jeszcze im pokażemy”.

Irena dobrze pamiętała ten dzień, gdy skończyła z wyróżnieniem podstawówkę. Kiedy wręczyła matce świadectwo z najwyższymi ocenami i nagrodę, piękne wydanie *Pana Tadeusza*, matka nabożnie dotykała płóciennej okładki i z niedowierzaniem odczytywała kolejne oceny. Potem energicznie wstała, wyniosła z kuchni świeżo upieczone ciasto, chwyciła córkę za rękę, każąc jej wziąć z sobą świadectwo i książkę. Zatrzymały się pod drzwiami Balików. Otworzyła pani domu.

– Ircia... wyróżnienie... nagroda... upiekłam ciasto, proszę się poczęstować, takie święto! – wyrzucała z siebie gorączkowo matka.

Balikowa spojrzała z lekceważeniem.

– My jemy tylko te z cukierni. – I zatrzęsnęła drzwiami.

Matka stała jak rażona piorunem. Potem rzuciła talerzem z ciastem o ścianę i wbiegła na schody. Irena zastała ją siedzącą nieruchomo na kanapie, z rękoma ułożonymi równo na kolanach. Czerwone plamy powoli zniknęły z jej policzków. Wydawało się, że nie zauważyła córki, ale po chwili powiedziała spokojnie:

– Weź sobie kolację. Idę do Pietrzyków. Już trzy dni zalegają z długiem.

I wtedy Irena w końcu zrozumiała. Biedota z kamienicy potrzebowała matki i jednocześnie jej nienawidziła. Ci „lepsi” traktowali ją jak powietrze. A jej matka pragnęła rozpaczliwie tylko szacunku! I nie mogła go w żaden sposób kupić.

Po wakacjach Irena poszła do liceum. Wracła kiedyś ze szkoły, gdy w załomku klatki schodowej zobaczyła zwiniętą postać. Już miała przejść obok, kiedy usłyszała cichy płacz. Podeszła bliżej i dojrzała w mroku Kulusa. Podniósł głowę, zobaczyła podbite oko, krew cieknąca z nosa.

Kulas był od niej trochę starszy. Ciężko chorował w dzieciństwie i kalectwo było pozostałością tej choroby. Przewiskiem oczywiście obdarzyły go dzieciaki z podwórka. Jego matka, kelnerka w pobliskiej morderni, była stałą klientką jej matki. Nigdy nie starczało jej do wypłaty, a resztkami wynoszonymi z baru nie mogła wykarmić Kulusa i czwórki drobiazgu, jaki zafundował jej ostatni mężczyzna, zanim na dobre ich zostawił.

– Kto ci to zrobił, Kulas?

– Nikt. Co cię to obchodzi?

Niechęć w jego głosie nie zraziła Ireny. Kucnęła przy nim, pogładziła go po rękawie i zaczęła łagodnie przekonywać.

– Kulas, oboje jesteśmy inni, powinniśmy trzymać się razem. Patrz na nas jak na jakieś dziwolągi, pogardzają. Mnie nie tykają ze strachu przed matką, ale ty jesteś bezbronny. Powiedz, Kulas, a obiecuję, że już nikt nigdy cię nie skrzywdzi.

Spojrzał na nią z nadzieją.

– Myślałem, że jesteś tak samo wredna jak twoja matka...

Irena wiedziała, że musi to załatwić po swojemu. Matka by jej powiedziała, żeby trzymała się od tej biedoty z kamienicy z daleka i że póki jej córki nie zaczepią, mogą się nawet wzajemnie pozabijać. Pomogła Kulasowi oczyścić z krwi marny sweterek i kazała mu iść do domu.

Wiedziała, że matka nie lubi, jak przychodzi na bazar, ale pokusa pochwalenia się córką przed kumami handlującymi obok była silniejsza. Gdy Irena przeszła już całą ceremonię oprowadzania po budkach i dziękowania za pochwały („już niedługo matura, jaka ty jesteś zdolna, mama jest z ciebie taka dumna”), pożegnała się z matką i zdążając w stronę wyjścia, uważnie się rozglądała. Zauważyła ich przy stoliku do gry w trzy karty.

– O, nasza królowna! Cześć, Irka! Byłaś u matki?

– Cześć. Tak, ale mam interes do was.

- Sie zrobi. Masz kasę?
- Nie powiem matce, jak ją ostatnio wyrolowaliście. Wystarczy?

Na czołach dwóch bazarowych osiłeków, Bola i Lola, wynajmowanych od czasu do czasu przez handlarzy do pomocy w odzyskaniu długów bądź przepędzenia konkurencji, widać było wyraźny wysiłek umysłowy.

- Znaczy za darmo?
- Wracam do matki...
- Nie, Irka, poczekaj... Dobra, o co chodzi?

Od tej pory Kulasa nikt nie ośmielił się zaczepić. Dwie złamane ręce, kilkanaście wybitych zębów i ogólny łomot, jaki dręczycielom Kulasa sprawili Bolo i Lolo, skutecznie zniechęciły podwórkowych prowodyrów do wyżywiania się na niepełnosprawnym chłopcu.

Kilka tygodni później Irena pierwszy raz znalazła pod drzwiami, w dniu swoich urodzin, czerwoną różę...

Spojrzała na pusty kieliszek i dołała szampana. Wypiła do dna i ponownie napełniła szkło musującym płynem. Ale przeszłość nie dawała się zmyć tak łatwo.

...Stała w holu rektoratu i razem z innymi czekała na wywieszenie wyników egzaminu. Była przekonana, że zdała znakomicie, i dlatego nie ruszyła nerwowo do przodu, gdy upragniony spis pojawił się na tablicy. Podeszła ostatnia. Długo szukała, ale nie znalazła swojego nazwiska na liście. Nie mogła zrozumieć, co się stało. Namysliła się chwilę, zanim podjęła decyzję. Weszła do sekretariatu dziekana, przedstawiła się i poprosiła o spotkanie z profesorem. Sekretarka, acz niechętnie, uchyliła drzwi gabinetu, zajrzała, zaanonsowała Irenę i wpuściła ją do środka.

Starszy pan w staromodnym żakiecie i w śnieżnobiałej koszuli ozdobionej muszką skinął, by usiadła.

- Panna Zawiślakówna? Czym mogę służyć?
- Panie profesorze, jestem przekonana, że dobrze zdałam, ale nie mogłam znaleźć swojego nazwiska na liście.
- Zdała pani znakomicie, najlepiej ze wszystkich.
- Nie rozumiem więc...

Profesor wstał i zaczął się przechadzać z rękoma założonymi z tyłu.

– Tuż po egzaminie złożyła mi wizytę pani matka. Siedząc na pani miejscu, wyjęła z torebki plik banknotów i chciała mi je wręczyć, prosząc jednocześnie, bym w razie pani niepowodzenia... jak by tu powiedzieć... skorygował nieco wynik egzaminu.

Irena nie mogła uwierzyć w to, co mówił.

– Ale przecież ja zdałam, nic nie rozumiem.

– Wyprosiłem pani matkę z gabinetu. Nie chciałem wywołać skandalu, więc nikogo nie zawiadomiłem. Także dlatego, iż po części mogłem zrozumieć pobudki, jakie nią kierowały. Po konsultacji z rektorem postanowiliśmy jednak skreślić panią z listy przyjętych. I dopóki ja będę dziekanem, nie ma pani czego szukać na tym wydziale i w tej uczelni. Nie chcemy, by pani matka ponawiała swoje wizyty. A teraz proszę wyjść. Za chwilę mam seminarium magisterskie i muszę jeszcze przejrzeć notatki.

Odwrócił się w stronę okna, dając tym samym do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Wróciła do domu. Matka od progu rzuciła się na nią.

– Przyjęli cię, córciu? Powiedz, już nie mogę się doczekać! Zobacz, kupiłam wino, drogie! I najlepsze ciastka z naszej cukierni. Siadaj, opowiadaj!

Irena spojrzała na nią z odrazą.

– Mogłam ci wiele wybaczyć, bo cię kochałam i wiedziałam, że jesteś w stanie zrobić dla mnie wszystko. Ale nigdy ci nie daruję, że nie wierzyłaś we mnie. Myślałaś, że sobie nie poradzę? Że i to trzeba mi kupić? Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś wyrządzić mi taką krzywdę?

Weszła do swojego pokoju, wyjęła spod łóżka tekturową walizkę i zaczęła pakować najpotrzebniejsze drobiazgi. Poszła do wyjścia i nawet nie odwróciła głowy, słysząc skomlące zawodzenie matki.

– Ircia, to dla ciebie, wszystko dla ciebie, Ircia, córciu!

– Nie masz już córki – rzuciła przez ramię i wyszła, nawet nie zamykając za sobą drzwi...

Spojrzała na pustą butelkę i pomyślała, że jedną z bardziej żalonych i smutnych rzeczy jest upijanie się w samotności. Nie czuła jednak działania alkoholu, tylko głęboki ból, jaki wywoływały wspomnienia. Nie widziała matki od tamtej chwili. Nie wiedziała, czy żyje i jak żyje. Pragę omijała szerokim łukiem i jedynym ogniwem, które ją łączyło z dawnym życiem, był Kulasa.

Za uchylonych drzwi dobiegał cichy, łagodny głos Kasi:

– Za chwilę miała wybić północ. Kopciuszek musiała dotrzymać danego Wróżce słowa, a poza tym nie wyobrażała sobie, by na oczach całego dworu i dumnych patrycjuszowskich córek mogła z powrotem zamienić się w przysypaną popiołem, odzianą w podarte szaty pomywaczkę. Szybko wybiegła z balowej sali i zaczęła zbiegać po schodach. Nagle potknęła się i pantofelek zsunął się z jej stopy. Przystanęła na chwilę, lecz kiedy na szczycie stromych schodów dostrzegła królewicza, bez namysłu zdjęła drugi bucik i postawiła obok. Kiedy karetą unosiła ją coraz dalej od królewskiego pałacu, spojrzała ostatni raz za siebie i pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. Ale prawie natychmiast na ustach zagościł uśmiech. Wracła do swoich sióstr. Tylko ona mogła je uchronić przed złą, pozbawioną serca macochą...

– Co to znaczy „patrycjuszowskie”? – Isia przerwała ciszę.

– To zakończenie nie jest logiczne – oznajmiła stanowczo Misia.

– Moje panny, dostałyście pod choinkę słownik nie po to, by pokrywał się kurzem i pleśniał w zapomnieniu. Sprawdźcie. A bajki wcale nie muszą być logiczne.

– Przecież mogła wyjść za królewicza, zabrać siostry do pałacu i wszyscy by żyli długo i szczęśliwie – nie dawała za wygraną Misia.

– Ogólnie była szczęśliwa, choć czasami wspominała królewicza. I to sprawią, że zakończenie tej bajki nie jest tak do końca optymistyczne – wyjaśniła Kasia.

– Myślę, że ten królewicz chyba jej nie pasował. – Isia miała własną teorię.

– Może był niedouczony, jak to u królewiczów bywa, i stwierdziła, że nie pasują do siebie intelektualnie – rozwijała przemyślenia siostry Misia.

– Albo w tańcu poczuła, że niezbyt dokładnie się myje.

– I nie dba o zęby.

Siostry, chichocząc, wymyślały coraz więcej wad królewicza.

Gdy w końcu zapadła cisza, Agata ostrożnie spojrzała przez szparę w drzwiach. Chwilę stała zdumiona i zauroczona. Kiedy cichutko zaczęła schodzić po schodach, usłyszała pukanie do drzwi. Malta nie reagowała, więc musiał to być ktoś znajomy. Ostrożnie wyjrzała przez kuchenne okno i dostrzegła Kareę.

- Gdzie Kasia?
  - Na górce, z bliźniaczkami.
- Policjantka uśmiechnęła się domyślnie.
- Co tym razem? *Brzydkie kaczątko, Kopciuszek czy Śpiąca królewna*, która się nie obudziła?
  - Ty wiesz?
  - Mało jest takich rzeczy, których bym nie wiedziała o Kasi. Mówiłaś jej o naszej rozmowie?
- Agata lekko się zaczerwieniła.
- Ogólnie.
  - Rozumiem. To dobrze, nie wciągaj jej w tę sprawę bardziej, niż to jest konieczne. Zrób mi kawę, musimy porozmawiać, zanim zejdzie na dół.
- Kara zasiadła za kuchennym stołem, potarła zmęczone, zaczerwienione oczy i upiła łyk kawy.
- Oślepnę kiedyś od tych komputerów. Słuchaj, Agata, sprawdziłam wszędzie i mam stuprocentową pewność. Od dnia, kiedy uciekłaś z tej kamienicy, znaleźli w Warszawie ciała dwóch narkomanów, zwinęli paru drobnych handlarzy i zdjęli z ulicy dziewczynę, którą po detoksie wsadzili na trzy miesiące do aresztu, bo miała przy sobie sporo prochów. Myślałam długo nad tym, co mi opowiedziałaś, i myślę, że masz rację – nie ty jesteś celem tych ludzi. Chyba rzeczywiście chodzi o twojego ojca. Jestem gliną z małego miasteczka, ale potrafię myśleć i wysnuwać logiczne wnioski. Uwierz mi. Zadali sobie wiele trudu, by cię zwabić do tego klubu. Gdybyś bałowała tak jak twoi rówieśnicy, wiedziałabyś coś o pigułce gwałtu. A tak byłaś łatwą zdobyczą. Po co im twoje zdjęcia? Gdyby cię chcieli skompromitować, wrobić w śmierć ćpunka, już dawno zdjęcia byłyby w gazetach, a list gończy z twoją podobizną wisiałby w każdym komisariacie. Twoja ucieczka nie miałaby dla nich żadnego znaczenia.
  - Może chcą skompromitować ojca?
  - W jakim celu? Bankowi to zbytnio nie zaszkodzi, nie takie skandale przeżywał, a akcjonariuszy, dopóki ich pieniądze nie są zagrożone, niewiele obchodzą personalne rozszady. Strata posady, kilka dni szumu, a pieniądze robią pieniądze i tylko to się liczy.
  - Kara, co ja mam wobec tego robić?
  - Z tego, co mi opowiedziałaś, wynika, że twój ojciec nie jest przeciętnym człowiekiem. Musisz mu pozwolić działać. Ale ojciec powinien wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Obawa o twoje bezpieczeństwo i życie na pewno wiąże mu ręce. Musisz się z nim skontaktować.
  - Jak?
  - Nie możesz dzwonić. Jeśli mam rację, to pewnie go podsłuchują. Musisz kogoś do niego wysłać. Kogoś, do kogo masz bezgraniczne zaufanie. I kogo nikt nie skojarzy z twoją osobą. Jest ktoś taki?
- Agata chwilę milczała.
- Tak. Moja największa miłość – powiedziała ze smutkiem.
- Kara, udając, że nie zauważa tonu jej głosu, zaczęła wydawać dyspozycje. Agata słuchała uważnie i starała się dokładnie je zapamiętać.
- Masz jakieś pytanie?
  - Powiedz mi, dlaczego tak piękna dziewczyna jak Kasia oszpeca się workowatymi ubraniami, okularami, które wcale nie są jej potrzebne, dlaczego wciera rano w swoje wspaniałe włosy żel, sprawiając, że wyglądają jak strąki?
- Kara spojrzała na nią z niedowierzaniem.
- Ty naprawdę jesteś szurniętą artystką! Twój świat się wali, myśl tylko o tym. Na estetyczne wrażenia przyjdzie czas potem.
  - Kara, proszę...
  - No dobrze. To barwy ochronne.

Karaluch po raz pierwszy w życiu nie martwił się wyłącznie o siebie. Patrzył na zaszpeconą twarz Maksa i usiłował go pocieszyć.

- Nie przejmuj się, brachu, każdy kiedyś daje dupy. Jeszcze się wykażesz na krajowym rynku.

Maks spojrzał na niego ponuro.

- Ty, Karaluch, nie myśl. To ci wyraźnie szkodzi.

Pstryknął na barmana, wskazując szklanekę, i znowu wlepił wzrok w stojący na blacie baru telefon.

Karaluch nie wytrzymał.

- Jak oni milczą, to ty zadzwoń.

- Zamknij ryja, Karaluch!

Zaczynał wariować z tej beczynności. Kumpel podtykał mu prochy, ale Maks wiedział, czym to się kończy. Musiał czekać. W końcu Pan Karol będzie go potrzebował. Postanowił, że tym razem nie spieprzy roboty. Miał swój honor i mocno przeżył tę fuszerkę. Niech mu tylko dadzą kolejną szansę...

Przyglądał się jej ukradkiem i wspominał słowa Bodzia: „Szefie, niech szef uważa. To, za przeproszeniem, zwykła lafirynda, tylko ogładzona. Myśli, że jak założy ciuchy z najwyższej półki i będzie rznąła niedostępna, to zaraz wszyscy wezmą ją za damę”.

Od kiedy Bodzio zarządził wyprowadzkę z hotelu i wynajął dwa mieszkania w eleganckim, cichym budynku na Powiślu, Marek zyskał więcej swobody, lecz jednocześnie odnosił dziwne wrażenie, że Bodzio coraz bardziej ingeruje w jego życie. „Niedługo uwierzy, że naprawdę kieruje firmą” – zaśmiał się w duchu, jednak puszczał mimo uszu ciągłe prośby Bodzia, by wracali do Luksemburga.

- Wiesz, jakie jest najbardziej banalne pytanie zadawane mężczyznom przez kobiety? – spytała Anita, podnosząc głowę znad sałatki.

- Nie, ale domyślam się, że zaraz się dowiem.

- Brzmi ono: o czym myślisz, kochanie?

- A najbardziej banalna odpowiedź?

- Tylko o tobie, kochanie.

Roześmiali się oboje.

Marek coraz lepiej się bawił w towarzystwie Anity. Od momentu, kiedy wyszli z bankietu Zgromadzenia Bankierów Polskich, spędzali razem wszystkie wieczory, a często i noce. Nigdy nie rozmawiali o incydencie, jaki tam miał miejsce. Bez zobowiązań, bez pytań. Tylko na taki związek był gotów.

Chodził z nią na przyjęcia, premiery, wernisaże, poznawał wielu znaczących ludzi i powoli zapominał o tym wszystkim, co i tak chciał zostawić za sobą. Firma działała jak dobrze naoliwiona maszyna, kierował nią przez telefon i e-maile, pozwalając Bodziowi na zabawę w szefa. Czasami tylko zadawał sobie pytanie, czego oczekuje Anita. Awansowała, została szefową jednej z najbardziej wpływowych w Polsce gazet, miała pozycję, władzę, wrogów i rozliczne grono wazeliniarzy, mieniących się jej przyjaciółmi. Wyznała mu kiedyś z goryczą, że choć tabloid, którym kieruje, może wykreować albo zniszczyć karierę każdego, kogo weźmie na celownik, to elity pogardzają

nim i go nienawidzą. Zdążył już zauważyć, iż rzekomych przyjaciół traktowała z dystansem, wiedząc doskonale, że gdy powinie się jej noga, podstawia jeszcze swoją, by na dobre upadła.

Marek nie potrafił odgadnąć, jaka jest naprawdę. Zresztą niewiele go to obchodziło. Dawała mu to, co teraz było mu akurat potrzebne. Nie chciał angażować się w poważny związek, nie był na to gotów i szczerze mówiąc, nie wiedział, czy jeszcze kiedyś będzie mógł kogoś pokochać. Anita nie żądała deklaracji, czułych słówek ani wyznań. I to mu odpowiadało.

Poczuł na sobie jej wzrok.

– Uprzedzając twoje pytanie, powiem, że myślałem właśnie o tobie.

– I co wymyśliłeś?

– Świetnie do siebie pasujemy. Żadne z nas nie chce drugiego na wyłączność. Nie musimy odprawiać tańca godowego, wyznawać uczuć, których w nas nie ma. Traktujemy się uczciwie. Wypełniamy wzajemnie swoją samotność. I niczego nadzwyczajnego od siebie nie oczekujemy. To wielki luksus, kiedy człowiek nie musi niczego udawać. Jest dobrze. Skończy się? Trudno. Każde z nas pójdzie dalej. A że osobno? To nas nie zrani.

Anita milczała. Marek odwrócił głowę, by odpowiedzieć na powitanie wchodzącego właśnie do restauracji nowego znajomego, i dlatego nie widział, jak wielkie kobaltowe oczy Anity wypełnia rozpacz.

Sygnal w słuchawce ulicznego automatu odzywał się bez końca. Wreszcie ktoś odebrał telefon.

– Słucham.

– Najpiękniejsze zachody słońca są na Siekierkach – wyszeptala.

– Pod warunkiem, że nie ma komarów – odpowiedział natychmiast.

Robert pamiętał! Serce Agaty zalała powracająca fala wielkiej miłości, przemieszana z bólem, który sprawiała jej świadomość, że ten mężczyzna nigdy nie będzie dzielił z nią życia.

Pamiętała tamtą rozmowę sprzed wielu lat. Ostatnią rozmowę. Byli jak dwie połówki serca, brutalnie kiedyś rozdzielone, które odnalazły się po wiekach. Spotykali się w motelowych pokojach, a kiedy Robert ją zostawiał, by wrócić do żony i dziecka, wyła z tęsknoty i rozpacz. Potrafili razem długo milczeć, ale też wymyślać niesamowite historie, które wzajemnie sobie opowiadali w czasie nużących podróży służbowych.

Poznała go w wydawnictwie, dla którego chałturzyła po studiach. Robert był grafikiem projektującym nową formę jednego z wydawanych tu tygodników. Agata robiła ilustracje i próbowała stworzyć nowe logo. Po kilku miesiącach współpracy i przyjaźni nagle odkryli, że łączy ich znacznie więcej. Siedzieli obok siebie przy komputerze i nie mogli w żaden sposób dopasować nowego tytułu do zdjęcia na okładce. Zirytowana Agata rzuciła wreszcie podniesionym tonem:

– Wymyśl coś wreszcie!

– Jak mnie pocałujesz.

Niewiele myśląc, cmoknęła go w policzek. Nagle znalazła się w jego ramionach i poczuła, jak usta Roberta łączywie szukają jej warg. Zatraciła się całkowicie w tym długim, pełnym tłumionej namiętności pocałunku i poczuła, że nareszcie znalazła swoje miejsce na ziemi.

Nikt nie wiedział, co ich łączy. Agata strzegła tej miłości i gotowa była jej bronić do upadłego. Robert nigdy nie mówił o swojej rodzinie, a Agata cierpliwie czekała. Wierzyła, że są w stanie pokonać razem wszelkie przeciwności i pułapki losu, że wkrótce będzie mogła powiedzieć wszystkim: to jest człowiek, którego kocham i z którym chcę spędzić resztę życia. Aż do tamtej chwili, kiedy wszedł do hotelowego pokoju i z pozbawioną jakichkolwiek uczuć twarzą powiedział:

– Agata, to już koniec. Więcej się nie zobaczymy.

Rzuciła się na niego, zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami, gładziła włosy i powtarzała:

– To nieprawda, Robert, powiedz, że żartujesz.

Odsunął ją jednym, zdecydowanym ruchem.

– Nigdy nikogo nie kochałem i nie będę kochał tak jak ciebie. Jesteś tlenem, dzięki któremu czuję, że naprawdę żyję.

Zamilkł na chwilę, a Agata patrzyła na niego z nadzieją i błaganiem.

– Moja córka ma białaczkę. Dzisiaj postawiono ostateczną diagnozę. Nie mogę jej zostawić. Od kilku lat myślałem, że nic nas z żoną nie łączy, i dopiero teraz zrozumiałem, że kiedyś powstała więź, której nie jestem w stanie przerwać. Nasza córka... Wybacz, Agatko. Gdybym w tej chwili od niej odszedł, nie byłbym wart twojej miłości. I nie mógłbym żyć ze świadomością, jaki ze mnie łajdak. Zawsze będę cię kochał.

Słyszac po wielu latach jego głos, nie mogła uciec przed wspomnieniami. Opanowała się jednak i rzuciła w słuchawkę telefonu:

– Potrzebuję twojej pomocy.

A potem długo wyjaśniała, co ma zrobić. Ustalili termin kolejnej rozmowy i Agata wyszła z budki telefonicznej. Szła przed siebie, nie zważając na to, iż dworzec autobusowy znajduje się w przeciwnym kierunku. Przeszłość wróciła. Nagle podniosła głowę i zobaczyła szyld sklepu: „Tęcza Barw. Akcesoria dla malarzy i grafików”. Zastanawiała się chwilę, a potem przekroczyła próg, uruchamiając wdzięczny, staroświecki dzwonek.

Prokurator Grubocki nerwowo przeglądał notatki. Kilka dni ciężkiej harówki po rozmowie z Łysolem pozwoliło mu wreszcie uwierzyć, iż bandyta może pierwszy raz w życiu nie kłamać. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie przekaże te materiały szefowi i uzyska zgodę na oficjalne wszczęcie dochodzenia.

Sekretarka odebrała telefon i skinęła w jego stronę. Wszedł do gabinetu szefa, przywitał się i wręczył mu plik kartek. Usiadł i czekał cierpliwie. Wreszcie szef skończył lekturę, zdjął okulary i spojrzał na niego uważnie.

– Pan mu wierzy?

– To nie kwestia wiary. Informacje, których dostarczył, pozwoliły ułożyć fakty w logiczną całość. Czeka nas jeszcze wiele miesięcy pracy, by zebrać wszystkie dowody, ale już to, co mam, budzi przerażenie. To afera, jakiej w Polsce jeszcze nie było.

– Muszę to wszystko przemyśleć. Zatrzymam pański raport. Czy ma pan jakieś swoje osobiste notatki?

– Tak, ale...

– Proszę je także zostawić. Rozumie pan, że na tym etapie jest to ściśle tajne. Proszę z nikim o tym nie rozmawiać. Wezwę pana, gdy podejmę decyzję.

Grubocki, mocno zaskoczony takim obrotem sprawy, wyjął z teczki kolejne kartki i położył na biurku. Czekał jeszcze chwilę, ale kiedy zobaczył, iż szef zaczął podpisywać bieżącą korespondencję, wyszedł z gabinetu.

Po jego wyjściu szef prokuratury apelacyjnej wyjął z szuflady komórkę, wybrał numer i po uzyskaniu połączenia powiedział:

– Panie Karolu, mamy problem.

Lobby hotelowe rozbrzmiewało cichym szmerem rozmów. Staszyc rozejrzał się powoli i zlokalizował trzy kamery obserwujące całe wnętrze.

Wybrał miejsce najbardziej od nich oddalone, zagłębił się w wygodnym fotelu i rozłożył gazetę. Udaając, że przerzuca jej strony, zaczął dyskretnie obserwować zgromadzonych przy stolikach ludzi. Uśmiechnął się pod nosem, gdy rozpoznał dwóch facetów z dawnej firmy udających hotelowych gości, i ze współczuciem popatrzył na znane z telewizji twarze posłów i polityków, popijających drinki w towarzystwie biznesmenów i lobbystów. Hotel, położony blisko sejmu, Kancelarii Prezydenta i Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, był ulubionym miejscem spotkań tych ludzi. Pomyślał, że lenistwo i głupota polskich notabli są sprzymierzeńcami rozlicznych służb dzień i noc monitorujących hotelowe pomieszczenia.

Koliński nadszedł od strony recepcji. Gdy zauważył Staszyc, ten uniósł się i uklonił z szacunkiem. Koliński skierował się w jego stronę z wyciągniętą ręką.

– Pan... Staszyc, o ile dobrze pamiętam?

– Witam, witam pana, może zechce pan na chwilę usiąść? Bardzo chciałbym podziękować za pomoc.

– Panie Staszyc, nic nie jest przesądzone. Moi fachowcy z grupy oceny ryzyka muszą wydać pozytywną opinię i dopiero wtedy zastanowimy się nad pana projektem. Ale chętnie wypiję kawę, zanim przyjdzie osoba, z którą się umówiłem.

Zamówił dwie kawy i kiedy kelner je podał, pochylił się w stronę Staszyc.

– Czy możemy?

– Tak, mam przy sobie urządzenie, które zagłuszy naszą rozmowę. Mamy trzy minuty, zanim się zorientują, że coś jest nie tak. Właśnie przed chwilą je włączyłem. Chciałem, by początek naszej konwersacji nie budził żadnych wątpliwości.

– Agata jest na razie bezpieczna – przerwał mu niecierpliwie Koliński. – Wiem, co się wydarzyło. Miał pan rację z tym klubem. Dostała zaproszenie, zwykle takich nie przyjmuje, ale zaintrygowała ją informacja, że w klubie wystawione będą obrazy najmłodszego pokolenia tak zwanej szkoły bródnowskiej. Nigdy o takiej nie słyszała. Barman czegoś jej dodał do drinka. Musiał się bardzo spieszyć, bo chyba źle odmierzył dawkę. I rzeczywiście udało jej się uciec. Osoba, którą do mnie przysłała, przekaże jej moje instrukcje. Za trzy dni, gdy dostanę od niej potwierdzenie, że jest całkowicie bezpieczna, będziemy mogli zacząć działać.

Staszyc spojrzął na zegarek.

– Mamy minutę. Tak jak pan prosił, odnalazłem tego hakera. Potrzebny jest jeszcze dobry plan.

– O to niech się pan nie martwi. Ale będzie krótko z czasem. Czy jest w stanie w ciągu trzydziestu minut rozszyfrować dyskietkę? A pieczęcie na teczce?

– Spokojnie. Takiego specjalisty nie mają nawet w wywiadzie. A pieczęciami zajmę się osobiście. Musimy kończyć.

– ...tak więc, panie Staszyc, pomysł zainwestowania w alternatywne źródła energii jest nader interesujący, ale nie jest pan pierwszy. Musimy ocenić stopień ryzyka, które możemy ponieść, udzielając panu kredytu. To nie są inwestycje, które zwracają się z dnia na dzień. Muszą być dobrze zabezpieczone. A teraz żegnam.

Spojrzała na obraz ostatni raz, zanim przesłoniły go płachty brązowego pakowego papieru. Wsunęła między jego warstwy małą kopertę, starannie obwiązała sznurkiem i wypisała drukowanymi literami adres. Poprawiła perukę, włożyła płaszcz, przerzuciła przez ramię torebkę i sięgnęła po reklamówkę. Malta obserwowała ją z uwagą.

– Cześć, sunia, kiedyś tu wrócę. Mam nadzieję, że będziesz na miejscu.

Suka, popiskując cicho, podeszła do Agaty i trąciła jej rękę nosem, domagając się pieścioty. Dziewczyna pogłaskała ją czule, pocałowała w mokry nos i kazała zostać. Malta położyła się, wtuliła pysk w łapy i uważnie ją obserwowała. Agata chwyciła obraz i szybko wybiegła z pustego, cichego domu, nie oglądając się za siebie i starając się nie myśleć o jego mieszkańcach. Przeszła przez ulicę i przycupnęła na schodkach werandy, w miejscu, gdzie zwykle widywała Karę.

Policjantka spostrzegła ją z daleka. Wraciała z nocnego dyżuru powoli, głęboko wdychając świeże, zapowiadające zmiany powietrze. Przedmieścia były puste. Dzieci w szkole, rodzice w pracy, z rzadka dostrzegała krzątających się emerytów, którzy z ożywieniem usuwali ostatnie ślady zimy i planowali wiosenne roboty.

Usiadła na schodach obok Agaty.

– Odchodzisz?

– Tak. Już pora. Wiem, co mam robić.

– Kasia i dziewczynki będą tęskniły.

– Ja też.

– Nie pożegnasz się z nimi?

– To ponad moje siły. Karo, proszę, powiedz Kasi, że nigdy nie zapomnę. Zaufała mi, uratowała... pozwoliła przeżyć. I chociaż przez cały czas pobytu tutaj strach wypełniał mnie bez reszty, były momenty, kiedy o nim zapominałam. Patrzyłam na Kasię i bliźniaczki, i miłość, którą widziałam, dodawała mi odwagi. Nawet Malta z uwagą wysłuchiwała moich monologów, kiedy byliśmy same w domu, i gdy za bardzo zaczynałam użalać się nad sobą, wpychała głowę pod moją dłoń, jakby chciała powiedzieć: „Nie bój się, nie damy cię skrzywdzić”.

– Malta wszystko rozumie. Pamiętaj, że była twoim najlepszym adwokatem.

Zamyśliły się obie nad chwilą, gdy suka wstawiła się za Agatą u Kary.

– Nie powiesz mi, co zamierzasz?

– Nie. Ryzykowałam dla mnie zbyt wiele. Boję się pomyśleć, ile przepisów i regulaminów złamałam. Nie chcę cię więcej narażać. Mam jeszcze jedną prośbę. Wyślij tę paczkę pojutrze. To obraz. Chcę, żeby znalazł się w mojej galerii.

Kara w milczeniu wzięła paczkę. Agata wstała i wyciągnęła rękę w jej stronę. Kara podeszła do niej, pogłaskała ją delikatnie po policzku, mocno przytuliła i odsuwając się, poprawiła energicznym gestem perukę.

– Wyrzuć to świństwo natychmiast, jak tylko będziesz mogła. I pamiętaj, nie pij drinków, których sama nie zrobisz. Trzymaj się, mała.

Agata powoli odchodziła. W pewnej chwili obejrzała się i zobaczyła, jak Kara pochyla głowę i siadając na schodkach, oplata rękoma kolana. Wiedziała już, co to znaczy.

– Kara! – zawołała. – Przepędź w końcu swoje demony! Jesteś od nich silniejsza!

A gdy dziewczyna z uśmiechem pomachała ręką, Agata cichutko dodała:

– Znajdziesz w końcu to, czego tak rozpaczliwie szukasz.

W ciemnościach rozległ się cichy gwizd. Poszedł w tamtą stronę i zobaczył kryjącego się za węglem Konusa.

– Szefie, mało co, a bym pana nie poznał!

Tym razem Staszyc miał na sobie długi, brudny płaszcz przewiązany sznurkiem, wełniane rękawiczki bez palców, oklapnięty filcowy kapelusz oraz przewieszoną przez ramię dużą płócienną torbę. Całości przebrania dopełniała szpakowata broda upstrzona resztkami keczupu.

Konus podszedł bliżej.

– Szef nawet śmierdzi jak włóczęga. Pełny real! – zachichotał.

– To się nazywa dbałość o szczegóły, Konus. Co masz?

– Pan idzie za mną.

Zatrzymali się przed bramą.

– Dalej szef idzie sam. Druga klatka, pierwsze piętro, trzecie drzwi na lewo. Ja znikam. Raczej na długo. I niech szef uważa. Jesteśmy kwita?

Staszyc wyciągnął z kieszeni rulon banknotów.

– Sie zobaczy, Konus. Ale pamiętaj, jak mnie wpuszczasz w maliny, to znajdę cię choćby pod ziemią!

– Grunt, żeby tamci mnie nie znaleźli.

Pogwizdując cicho, zniknął w ciemnościach. Staszyc kucnął przed bramą, przesunął kapelusz w dół, tak by zasłaniał oczy, i siedząc nieruchomo, uważnie obserwował okolicę. Po godzinie sięgnął do torby, wyjął z niej latarkę i cichutko ruszył w kierunku wejścia. Charakterystyczny smród prowadził go do celu, latarki używał tylko do oświetlenia skrzypiących schodów, tu i ówdzie pozbawionych stopni. Otworzył drzwi i stłumiony nieco do tej pory odór uderzył go w twarz. Szybko ściągnął z dłoni rękawiczkę i zatkał nos. Powoli oświetlił pokój. Czas i szczury zrobiły swoje. Odwrócił się na pięcie, wybiegł z obłoku smrodu i dopiero na podwórku, kiedy kilka razy odetchnął świeżym powietrzem, wyjął z kieszeni komórkę, włączył i wybrał numer.

– Znalazłem – powiedział cicho.

Wysiadła na pierwszej stacyjce za granicą. Jean-Marc stał i patrzył wyczekująco. Konduktor dał sygnał gwizdkiem i pociąg powoli ruszył.

– Jean-Marc, to ja.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– O, *mon Dieu, chérie*, wyglądasz, jakby komunizm jeszcze nie upadł! Co ty masz na sobie?! I te włosy...

Pociągnął ją nerwowo za sobą. Przed dworcem stał ciemnoszary, wytworny bentley. Kierowca otworzył z ukłonem drzwi i Agata wsunęła się na tylne siedzenie.

– Pierre – Jean-Marc usiadł naprzeciwko niej – jak najszybciej do Genewy. Zatrzymaj się na rue de Rohan.

Nacisnął guzik i szyba oddzieliła ich od kierowcy. Agata spojrzała z niepokojem za siebie. Czarny mercedes z przyciemnionymi szybami ruszył powoli za nimi.

Jean-Marc spojrzał na nią z uśmiechem.

– To moja ochrona. Zapomniałaś, że jestem bardzo ważnym i bardzo bogatym człowiekiem? Jedziemy na zakupy. Potem do mnie. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci mój skromny domek w Cologny, nad Jeziorem Genewskim. Wiesz, że nad Lac Léman mieszka też Tina Turner? No dobrze, teraz zadzwonimy do twojego ojca. Potem mi wszystko opowiesz. Jak na spowiedzi. W końcu jestem twoim ojcem chrzestnym.

Agata ściągnęła z głowy perukę, odetchnęła głęboko i zaczęła:

– Mucha zataczała się w swojej leniwej wędrówce po suficie...

# Część trzecia

Ewelina

Na tle ciemnego, prawie granatowego nieba rysowała się niewyraźna sylwetka uschniętego w połowie dębu. U jego stóp w przedziwnej, niezemskiej smudze jasności siedziała dziewczyna. Zza jej ramienia wychylała głowę łudzaco do niej podobna mała istotka. Druga siedziała, przytulona do jej kolan. Dziewczyna łagodnie pochylała głowę, ale patrzyła prosto przed siebie. Burza rudych, długich loków harmonijną falą otaczała twarz, uwydatniając kolor wielkich, przepastnych zielonych oczu. Były w nich smutek, troska i głębokie zamyślenie. Zdawały się mówić: jesteśmy dużo starsze niż nasza właścicielka, tyle już widziałyśmy. Były jak tafla leśnego stawu, podwójnie zielonego dzięki odbiciu otaczających go drzew. Złote iskiery na tęczęwkach dodawały jednak spojrzeniu dziewczyny nieśmiałej nadziei i radości. Wysmukłą ręką dotykała delikatnie policzka przytulonej dziewczynki, drugą sięgała do tyłu, by łagodną pieczęcią obdarzyć wychylającą się zza jej pleców postać.

U stóp tej trójki na granicy światła i ciemności leżał wielki pies z lwią grzywą i szponami orła zamiast łap. Zerkał groźnie w bok, a wielkie, jarzące się na czerwono oczyska zdawały się ostrzegać czające się w mroku zło. Zło, które nie przybierało żadnej realnej postaci, lecz mimo to porażało swoją siłą i bezwzględnością, ograniczone w swej chęci zagarnięcia siedzącej pod dębem trójki jedynie smugą światłości i wzrokiem lwopasa.

Marek nie mógł oderwać oczu od obrazu. Stał przed oknem galerii, straciwszy poczucie czasu i przestrzeni. Był tam, w tym baśniowo przerażającym lesie, całkowicie zatracony w oczach dziewczyny, które przyciągały go z coraz większą, wręcz magnetyczną siłą. Chciał ją stamtąd zabrać, chronić, sprawić, by coraz więcej złotych iskierek jarzyło się w jej spojrzeniu, by wąski słup bezpiecznego światła rozszerzył się i otaczał wszystkich, których kochała. I żeby pokochała jego. Otrząsnął się i przekroczył próg galerii.

Z głębi lekkim krokiem wybiegła dziewczyna z krótkimi, nastroszonymi czarnymi włosami, ozdobionymi gdzieś dłuższym, doczepionym pasemkiem w kolorze marchewki, z kolczykami w nosie, w jednej brwi, a także w pępku, widocznym między przykrótką koszulką a opuszczonymi do granic przyzwoitości spodniami. Oceniała go jednym spojrzeniem i rozciągnęła twarz w szerokim uśmiechu.

– Chcę kupić obraz.

– Ależ oczywiście. Czy mogę coś polecić? Nasza galeria wystawia dzieła najlepszych współczesnych malarzy...

– Ten z wystawy.

– *Trzy siostry?* – W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Niestety, nie jest na sprzedaż.

– Zapłacę każdą cenę!

Dziewczyna popatrzyła na niego z wahaniem.

– Widzi pan, ten obraz... – zamilkła znacząco.

Marek wyjął portfel, wyciągnął kilka banknotów i położył na stoliku obok dziewczyny. Rozejrzała się szybko, błyskawicznie schowała pieniądze do tylnej kieszeni spodni i przyciszonym głosem zaczęła opowiadać.

– Jego autorką jest Agata Kolińska, właścicielka galerii. Przesłano go nam kilka dni temu z dokładnymi instrukcjami. Miał być eksponowany bez nazwiska autora i nie można go sprzedać.

– Chciałbym porozmawiać z panią Agatą.

– Przykro mi, od dłuższego czasu przebywa za granicą i nie mamy z nią kontaktu. Ta przesyłka była dla nas dużym zaskoczeniem.

– Czy zna pani tę dziewczynę z obrazu?

– Nie, to nie jest żadna ze stałych modelek Agaty. Ale musi być realną osobą, bo Agata prawie nigdy nie maluje „z głowy”.

Marek ponownie sięgnął po portfel.

– Pamięta pani, gdzie nadano przesyłkę?

– Proszę poczekać, była polecona, więc pokwitowanie musi być w papierach.

Wróciła za chwilę.

– Pszczelin? – oznajmiła ze zdziwieniem. – Gdzie to jest? To musi być straszna dziura!

Wydeła z lekceważeniem usta i spojrzała niecierpliwie na Marka.

– Jeszcze coś?

– A więc nie sprzeda mi pani tego obrazu?

– Przykro mi, ale zbyt dużo płacą mi za siedzenie tutaj, bym ryzykowała. Z rzadka trafia się klient, mam czas poczytać do egzaminów. Jeszcze dwa lata i poszukam czegoś lepszego, nie stać mnie jednak teraz na utratę tej pracy. Do widzenia.

Marek wyszedł z galerii. „Jeżeli istniejesz, to cię znajdę. A ja wiem, że istniejesz” – pomyślał i ruszył szybko przed siebie, tak jakby już rozpoczął swoje poszukiwania.

– Usiłuję dociec, jak mogłem popełnić taki błąd, powierzając panu całkowitą kontrolę nad naszymi sprawami.

Głos Pana Nowaka, nawet zniekształcony przez syntetyzator, brzmiał zjadliwie i groźnie. Karol wsunął w usta kolejną tabletkę na nadkwasotę i zaczął się usprawiedliwiać.

– Ależ ja jej nie straciłem. Proszę się nie obawiać, interesy Hydry nie są zagrożone, wręcz przeciwnie, nigdy dotąd nie notowaliśmy takich osiągnięć.

Pan Nowak prychnął pogardliwie.

– A największe nastąpi, jak otworzą skrytkę.

– Koliński zrobi to wcześniej. Czekaj tylko na przybycie ludzi z centrali, którzy mają sprawdzić system alarmowy. Jedynie wtedy będzie mógł dostać się do skrytki. Już ma potwierdzenie, że przyjadą.

Pan Nowak zdawał się nie do końca przekonany.

– To pan i pańscy wysoko postawieni przyjaciele ryzykują wolnością, a właściwie życiem. Wie pan doskonale, że jak w Polsce obetną Hydrze głowę, to za jakiś czas ona i tak odrósł. Przeczekamy, podziałamy w innym kraju. Ukraina stwarza spore możliwości... Nie zagrozi to także moim interesom poza granicami tego ponurego państwa. Ale pan może już tego nie zobaczyć.

Pan Karol sięgnął po następną tabletkę.

– Wszystko pójdzie zgodnie z planem, a wkrótce... – przerwał, bo zdał sobie sprawę, że Pan Nowak już go nie słucha. Zgaga nie



ustępowała. Spojrzał ze wstrętem na resztki kawy w filiżance i sięgnął po wodę. Zimny płyn przyniósł chwilową ulgę. Wziął do ręki komórkę.

– Maks, będę miał dla ciebie zlecenie.

Tym razem szef prokuratury przyjął go natychmiast. Zaproponował kawę lub wodę, ale Grubocki grzecznie odmówił, nerwowo przelykając ślinę.

– Panie Jerzy, mam smutną wiadomość. Dziś w nocy Łysol się powiesił. Rozpoczęliśmy śledztwo w tej sprawie, naczelnik więzienia jest tymczasowo zawieszony, funkcjonariusze przesłuchiwani, sądzę jednak, iż to nic nie wyjaśni. Wie pan doskonale, że takie rzeczy się zdarzają w najlepiej strzeżonych ośrodkach. No cóż, jedyne źródło informacji, którym pan dysponował, już nie istnieje. W związku z tym nie mogę pozwolić, by nadal bezproduktywnie drażył pan tę sprawę. Nasz czas jest zbyt cenny, by marnować go na pościg za cieniem.

– Ależ, panie prokuratorze, wiem już wystarczająco dużo, by doprowadzić tę sprawę do końca.

– Pan mnie chyba nie zrozumiał – zimne, nieprzyjemne spojrzenie błysnęło zza szkieł bez oprawki – to jest polecenie służbowe.

Grubocki wahał się tylko chwilę.

– Dostanę je na piśmie?

– Nie, ponieważ od jutra wraca pan do prokuratury rejonowej, z której, zechce pan pamiętać, został pan do nas tylko oddelegowany.

Grubocki wstał bez słowa i już kiedy wychodził z gabinetu, dotarło do niego jeszcze ostatnie zdanie.

– I szczerze mówiąc, panie kolego, nie sądzę, by zrobił pan tam oszałamiającą karierę.

Bodzio, nieco skołowany, przyglądał się szefowi. Wysłuchał całej opowieści, a teraz dziewczyny, psy, lwy i zielone stawy kotłowały się w jego głowie i nie bardzo ogarniał całość. Wreszcie wstał, przeszedł do holu w mieszkaniu Marka i zaczął wyciągać z pawlacza walizki.

– Bodziu, co ty robisz?!

– Nie ma nonsensu o czym mówić. Na nas już czas. Mam po dziurki w nosie Wirskiego, pańskiej damulki, nowej panienci i tego miasta. Wracamy do domu! Dość już tej operetki!

Marek znieruchomiał.

– Siadaj! – krzyknął. – To ja mam już po uszy ciebie i twojego mędrkowania. Wiesz, że zawsze dostaję to, czego chcę.

Ale Bodzio nie bał się szefa.

– Raz pan nie dostał i o mało od tego nie umarł!

– Milcz i słuchaj! Masz ją znaleźć.

– I co dalej? Wsiądzie szef na białego konia, pocwałuje do tej prowincjonalnej dziury, stanie pod basztą i krzyknie: „To ja, ukochana! Przyjechałem, żeby cię uchronić przed złem, które na ciebie czyha. Ciebie i twoje dwie maleńkie siostry!”. A potem wsadzi wszystkie trzy na tę biedną chabetę i zawiezie do garsoniery w Luksemburgu, gdzie od tej pory będą kwitły miłość i szczęście?

– Bodziu, nie przekraczaj granicy... – wycedził Marek przez zęby. – Musisz mi pomóc!

– Szefie – poddał się wreszcie Bodzio – wszystko musi ze sobą kolidować, czyli pasować, i mieć jakiś sens. Szef musi ją przypadkowo spotkać i powoli oswajać. To nie taka wydra jak ta Anita. Potrzebny jest plan.

I Bodzio zaczął intensywnie myśleć, co objawiało się u niego mruzeniem i łapaniem się za lewe ucho. Po chwili wykrzyknął:

– Archimedes!

– Chyba „eureka” – poprawił go Marek.

– Nieważne, jak się cholera nazywa. Mam! Wirski kiedyś przy kielichu zaczął mi opowiadać o takiej jednej babie, która podobno wszystko może...

– No i co?

– No i uchłął się...

– Co z tą babą?!

– Mówię właśnie – obruszył się Bodzio. – Widział pan, jak toto wygląda. Oszczędnie zbudowany inteligent. Lufę walnie i już zamroczony. Nie ma głowy do interesów. Czasami aż się dziwię, że firma całkiem nieźle działa. Chyba ktoś za niego pije z klientami.

– Bodziu, to nie te czasy i nie to miejsce. Takie interesy to się może załatwiało u ciebie na Siennej, za komuny...

– Niech się szef nie czepia Siennej. I komuny też. Życie wtedy było prostsze. Wiedział szef, co ujdzie na sucho, a za co trzeba iść do pierdla. A teraz? Byle łachmyta na szefa doniesie, czasami z zawiści, czasami po to, żeby uwalić konkurencję, i wsadzają do „wydobywczego”. A że potem wypuszczą, bo gówno znaleźli? Nawet „przepraszam” nie powiedzą. Do dupy z taką demokracją!

– Bodziuu...

– Dobra, dobra. Zabiorę dzisiaj Wirskiego na kolację. Nawinę trochę makaronu za uszy, obiecuję jakąś podwyżkę, lekko podleję i podpytam delikatnie o tę kobitę.

Marek przyzwalająco kiwnął głową, choć miał pewne wątpliwości, czy słowo „delikatnie” i Bodzio do siebie pasują.

Siedział w samochodzie na podziemnym parkingu i patrzył na kluczyk w stacyjce, usiłując się zmusić, by go przekreślić. Myślał o ostatnich kilkudziesięciu godzinach i nie mógł uwierzyć, że były rzeczywiste. W końcu uruchomił samochód, a kiedy spojrzął do tyłu, aby się wycofać, spostrzegł sylwetkę w półcieniu filaru. Ruszył do przodu i wtedy zobaczył w lusterku, że krótko ostrzyżony mężczyzna w wojskowej kurtce wyszedł z cienia i patrząc za odjeżdżającym samochodem, podniósł dwa palce do skroni i zaszalował. Grubocki zastanawiał się przez chwilę, kto to może być i czy ten gest był przeznaczony dla niego, ale wkrótce musiał się skoncentrować na włączeniu się do ruchu, dość intensywnego o tej porze.

Jechał do prokuratury rejonowej, gdzie już przeniósł z poprzedniego miejsca pracy swoje osobiste rzeczy. Po jakimś czasie zauważył podążający za nim samochód. Widział go już wcześniej, stał przy wyjeździe z parkingu, nierówno zaparkowany, i Jerzy musiał lekko skrócić, żeby go ominąć. Zwolnił, a wtedy samochód przyspieszył i włączył lampę ostrzegawczą, a ręka, wystawiona przez uchyloną szybę, wyraźnie nakazywała zjazd i zatrzymanie. Stanął za nim w zatoczce przeznaczonej dla autobusów. Nagle pojawiła się furgonetka, która raptownie zahamowała obok auta Grubockiego i śledzącego go wozu. Z tego ostatniego wysiadło dwóch mężczyzn i powoli podeszło do auta prokuratora. Przez uchylone okienko zobaczył legitymacje Centralnego Biura Pościgowego. Nagle został wyciągnięty z samochodu i rzucony na maskę. Usłyszał szcęk kajdanek i kątem oka zobaczył wyskakujących z furgonetki mężczyzn w kominiarkach. Dwóch z nich chwyciło go pod ramiona i zaczęło prowadzić w stronę furgonetki.

– Panowie, jestem prokuratorem, w kieszeni marynarki jest legitymacja.

Mężczyźni milczeli. Z furgonetki wysiadł cywil i podszedł do Grubockiego.

– Naczelnik Kosik z CBP, delegatura w... – I wymienił miasto wojewódzkie odległe o ponad sto kilometrów. – Jest pan zatrzymany pod zarzutem posiadania narkotyków i handlu nimi, a także korupcji. Pojedzie pan z nami. Ma pan prawo do jednego telefonu.

Podał mu komórkę, którą znalaziono w samochodzie Grubockiego. Ten nacisnął jedynekę i po chwili rzucił krótko do telefonu:

– Zostałem zatrzymany przez policję. Wiesz, co robić.

Marek wszedł do gabinetu prezesa. Siedzący za wielkim biurkiem Bodzio nerwowo wycierał twarz olbrzymią białą chustką.

– Jestem zmęczony jak koń po westernie – wysapał z wysiłkiem Bodzio. – To jakaś koszmarna baba! Przesłuchała mnie dokładniej niż KGB!

Marek zaniepokoił się nieco.

– I co jej powiedziałaś?

– Tak jak ustaliliśmy, szefie, ale zaczęła kręcić nosem. Potem chciała odpytać mnie w sprawach firmy, rodziny, zaczęła nawijać, że takich interesów to ona nie robi, że ktoś musiał mnie wprowadzić w błąd...

Sięgnął po szklanę z wodą i pociągnął spory łyk.

– Co jej powiedziałaś o firmie?

– Nic, szefie, niech tu trupem padnę, jeśli coś zaczęła podejrzewać. Powiedziałem jej, że to prywatna sprawa i albo chce zarobić, albo proszę bardzo – paszoł won!

– Tak jej powiedziałaś?!

Bodzio się obruszył.

– No co szef, widać było, że to kobita z klasą, nie jakaś wywłoka, co udaje damę. Powiedziałem jej to opłótkami, ale sens był mniej więcej taki. A potem pokazałem ten czek, co pan wypisał. Szczęka jej opadła tak, że huk o podłogę słychać było w sekretariacie – zarechotał Bodzio. – Chwilę milczała, wzięła czek i powiedziała, że to za jej usługi, ale koszty mogą być spore. I że policzy osobno. Wtedy zachowałem się jak szef i stwierdziłem z godnością, że koszty owszem, ale w granicach rozsądku.

– I co ona na to?

– Spojrzała na mnie w sposób, w jaki nawet szef nie potrafi. Aż mi się zimno zrobiło, jak wwierciła się we mnie tymi swoimi twardymi oczkami. A potem uśmiechnęła się jakoś tak dziwnie i powiedziała: „O jakim rozsądku pan mówi, panie prezesie? Jak ma się rozsądek do tego zlecenia? Ale podejmę się tego, tylko proszę nie ingerować w moje metody i nie wtrącać się, a także pokryć wydatki, które przedstawię, gdy opracuję plan. Moje honorarium uznaję za wystarczające, powiem, że nawet nieco przekraczające normalne stawki, ale sam pan przyzna, że sprawa jest nietypowa”.

Bodzio aż się zasapał z wysiłku, by wiernie przekazać jej słowa.

– Powiedziała, że się odezwie.

– Kiedy? – Marek nie krył zniecierpliwienia.

– Szybko. Jak tylko obmyśli plan. A ona szybko myśli, niech szef mi uwierzy, widać, jak pod tym czołem trybiki zapieprzają, aż się kurzy.

Bodzio z wysiłkiem podniósł się z fotela.

– Muszę się napić, bo inaczej ta zołza jak nic mi się przysni. Idzie szef na kielicha?

Marek uśmiechnął się i słysząc za sobą uchylające się drzwi do sekretariatu, powiedział głośno unizonym tonem:

– Tak jest, panie prezesie, zaraz zamówię stolik na lunch.

Gienia Paluchowa siedziała w pakamerze na tyłach baru i miały ją sprzeczne uczucia. Oczywiście nie zdawała sobie sprawy z tego, co nią miota, ponieważ nigdy jej życie emocjonalne, a szczerze mówiąc i umysłowe, nie było zbyt bogate. Starła się postępować zgodnie z dziesięciorgimi przykazań, bo tak ją wychowano, i to wpajała swoim dzieciom, prowadząc z dumą czwórkę małych Paluchów co niedziela na mszę.

Pogodziła się już dawno z tym, iż nieznośny czasami ciężar bytu spoczywa wyłącznie na jej barkach, współtwórca bowiem małych Paluchów, senior Paluch, był niezaradnym, cichym człowiekiem, z lękiem i uwielbieniem wpatrującym się w górującą nad nim ciałem i umysłem małżonkę, Jedyny Autorytet i Nieomylną Wyrocznię. Zawsze jej przytakiwał i nigdy nie miał własnego zdania, co pozwalało mu wieść w miarę bezkonfliktowy żywot i oddawać się w wolnych chwilach grze na akordeonie, swojej jedynej pasji. Oczywiście pod nieobecność małżonki, która nie tolerowała takiego marnotrawienia czasu.

Gienia oparła swoje trzy pulchne podbródki na rękach, podpartych łokciami na biurku, i westchnęła głośno. Głęboko zakorzeniona umiejętność odróżniania dobra od zła, która nigdy jej w życiu nie zawiodła i była powodem do dumy, podpowiadała jej, że to, co chce zrobić, jest podłe, okrutne i będzie ją dręczyło do końca życia. Ale wyobraźnia podsuwała jej widok gromadki małych Paluchów głodnych i marznących w podupadającym domu oraz dużego Palucha siedzącego w kącie i rozpaczliwie wpatrującego się w akordeon, który za chwilę będzie musiał zanieść do lombardu jako ostatnią cenną rzecz będącą w posiadaniu rodziny. Ta wizja była nie do zniesienia i wycisnęła z oczu Gieni kilka wielkich, gorących łez. Po chwili otarła je rękawem fartucha, sapnęła głośno i z zacisniętymi wargami wstała zza biurka. Nie mogła stracić dorobku całego życia i wpędzić rodziny w biedę. Dla Kasi będzie to tylko nieprzyjemny incydent, ma przecież całe życie przed sobą, świat nie kończy się dla niej na tym barze. Dla Gieni – tak.

Wyszła z zaplecza, rozejrzała się ostrożnie i widząc, że chłopak zza baru sprząta stoliki pod oknem, otworzyła powoli kasę i wyciągnęła z niej kilka banknotów. Schowała je do kieszeni, po czym wróciła do pakamerki. Ścienny elektroniczny zegar pokazywał, że za godzinę rozpocznie się zmiana Kasi. Gienia w tym momencie pojęła, że przed nią najtrudniejsze. Będzie musiała spojrzeć jej w oczy i kłamać. „Najświętsza Panienko, to dla dzieci! Wszystko na spowiedzi wyznam i odpokutuję” – przyrzekła w duchu, patrząc na maleńki ryngraf wiszący nad wejściem do biura. I nie mogła pojąć, dlaczego widok tej ciemnej, smutnej twarzy nie przynosi, jak to zwykle bywało, pocieszenia i ukojenia.

W maleńkim biurze nad chińską restauracją, usytuowaną przy jednej z bocznych uliczek w centrum Warszawy, siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, łysiejący blondyn po pięćdziesiątce, założywszy nogę na nogę, przypatrywał się spokojnie swojemu rozmówcy, który nerwowo przypalał kolejnego papierosa.

– Nie ma odwrotu – powiedział spokojnie – wie pan doskonale, że decyzje już zapadły. Pan ma tylko przypilnować, by realizacja nie odbiegała od ustaleń.

– Media i opozycja nas rozniosą – nerwowo wyszeptał młody człowiek, krztusząc się dymem, i przetarł okulary w najmodniejszej, grubej oprawce.

– Media mamy pod kontrolą, a opozycja... – zaśmiał się cynicznie. – Sądzi pan, że taki interes robimy bez jej udziału? Mogę pana zapewnić, że ta prywatyzacja nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Zaplanował ją jeszcze poprzedni rząd i to on rozpiął przetarg na doradcę. Los nam sprzyjał, a poza tym nasza oferta była najlepsza.

Młodszy mężczyzna spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Pan nie traktuje mnie poważnie. Obaj doskonale wiemy, jaki to przekręt.

– Panie sekretarzu stanu, nie w takich pan już uczestniczył! Mam wymienić jakiś przykład? Myśli pan, że dostał to stanowisko dzięki swoim kwalifikacjom?

Podniósł się z fotela i zbliżył do siedzącego mężczyzny, który skulił się i nerwowo zaczął kręcić głową.

– Ależ skąd, pan mnie źle zrozumiał.

Łysiejący blondyn pochylił się nad swoim rozmówcą.

– Proszę przeprowadzić to sprawnie, a pańska dalsza kariera potoczy się gładko, bez względu na to, kto będzie rządził. A i pańskie konto w Lichtensteinie znacznie się powiększy.

– Jak znacznie? – zainteresował się wiceminister.

– Niewyobrażalnie! – odparł z rozmarzeniem łysiejący blondyn. – A teraz żegnam, za dwie godziny mam samolot. Nawet vipowskie wejście ma swoje obostrzenia, a ja nie mogę spóźnić się na spotkanie w centrali.

„Pan Karol będzie zadowolony” – pomyślał, wsiadając do taksówki. W drodze na lotnisko zaczął układać w głowie treść e-maila, jaki do niego wyśle, gdy tylko dotrze do swego biura w Dublinie.

Irena ponownie nerwowo przycisnęła guzik domofonu i spoglądając na zegarek, pomyślała, że o tej porze Anita musi być u siebie. Gdy w końcu usłyszała zaspany głos, rzuciła do głośnika: – Otwieraj! – i za chwilę znalazła się w mieszkaniu dziennikarki. Panował w nim półmrok i nieuchwytna atmosfera minionej nocy, wypełnionej pożądaniem i spełnieniem.

– Generał? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Anita przeciągnęła się leniwie i zaśmiała cicho.

– To już passé, przeszłość. Ten idiota chciał, żebym z nim wyjechała na placówkę. Zsyłają go do jakiejś azjatyckiej dziury, skrawka wyrwanego z dawnego Związku Radzieckiego, mieniącego się dziś dumnie demokratyczną republiką. Ma być łącznikiem służb, bo podobno tamteży wiedzie wielki szlak narkotykowy. Czy ty wiesz, że on nawet nie pomyślał, że mogę powiedzieć nie?

Irena nalala sobie wody i usiadła na kanapie, obrzucając ironicznym wzrokiem spuchnięte wargi Anity i sterzące sutki, prześwitujące spod kusej, półprzezroczystej koszulki.

– Ostatnia noc jako prezent pożegnalny?

– Oszalałaś?! Wyrzuciłam go z domu. Skamlał jakiś czas pod drzwiami, więc je uchyliłam i rzuciłam na ostateczne pożegnanie kultowy cytat.

– Jaki?

– Spieprzaj, dziadu!

Roześmiały się obie.

– Kto więc sprawił, że wyglądasz jak dzieciak, który spędził noc w cukierni, objadając się bez żadnej kontroli słodyczami?

Anita spoważniała.

– Ktoś – odpowiedziała krótko i niechętnie.

Irena spojrzała na nią uważniej, lekko zaniepokojona, i postanowiła na razie udawać, że lekceważy tę niby-informację.

– Przestań, znam cię tyle lat. Chyba mi nie powiesz, że się zakochałaś? Wiesz, co o tobie mówią w redakcji?

– Mam to gdzieś!

– Mówią, że nie nadajesz się na dawcę serca.

Anita się obruszyła.

– Dlaczego?

– Bo badanie okresowe nie wykryło u ciebie takiego organu! – Irena zaniósł się śmiechem, ponieważ od dawna nic jej tak nie ubawiło jak opowiadany w środowisku dziennikarskim dowcip o Anicie.

Anita odwróciła głowę i rzuciła zimno:

– Wyrwałaś mnie świtem ze snu, co już jest podejrzane dla kogoś, kto zna twoje zwyczaje. Włazisz w moje życie z butami, usiłujesz mnie obrazić. To nie jest dobry sposób na to, żeby mnie o coś prosić. A przecież po to tu przyszłaś?

Irena podniosła się i zaczęła powoli iść w stronę dziennikarki.

– Hola, dziewczusko! – wyszczała jadownicę. – Zapomniałaś, kto cię stworzył? Jesteś zbyt inteligentna, by nie wiedzieć, że równie łatwo mogę cię zniszczyć, więc zamknij się i słuchaj!

Pochylone nagle plecy Anity były wyraźnym sygnałem kapitulacji.

– Dostałam dziwne zlecenie. Mam stworzyć niebudzące żadnych podejrzeń okoliczności, w których pewien prezes pozna pewną młodą dziewczynę. Problem polega na tym, że prezes jest w Warszawie, a dziewczyna w prowincjonalnym mieście kilkaset kilometrów stąd. Pierwszy etap zadania wykonałam bez problemu. Wystarczyła jedna rozmowa mojego człowieka z szefem miejscowych służb sanitarnych, no i oczywiście odpowiednio gruba koperta. Dziewczyna pracuje w barze przy stacji benzynowej. Na biurku szefa służb sanitarnych leżą dwa raporty – tylko od właścicielki baru zależy, na którym z nich znajdzie się jego podpis i pieczętka.

– A co ja mam mieć z tym wspólnego? – zapytała obojętnie Anita.

– Twoja redakcja obejmie patronatem pewną imprezę...

I Irena zaczęła wtajemniczać Anitę w swój misterny plan, ujawniając tylko pewne jego elementy, niezbędne, by dziennikarka mogła odegrać swoją rolę.

Już z daleka zobaczył kłębiący się pod komendą wojewódzką policji tłum. Gdy podjechali bliżej, zauważył kilka wozów transmisyjnych ogólnopolskich stacji telewizyjnych i radiowych. Samochód zatrzymał się przed bramą, a kiedy z niego wysiadł w towarzystwie funkcjonariuszy, dziennikarze otoczyli go szczerlnie i zarzucili gradem pytań.

– Skąd pan brał narkotyki?

– Czy łapówki przyjmował pan osobiście? Czy ktoś pośredniczył w tym procederze?

– Od kiedy bierze pan w łapę?

– Ilu przestępców dzięki panu jest na wolności?  
– Czy wie pan, że prokurator generalny zapowiedział rewizję wszystkich pańskich spraw?  
Każde pytanie było jak cios. Grubocki zwrócił się do trzymającego go za ramię policjanta:  
– Zabierzcie mnie stąd.  
– Za chwilę. – Krępy mężczyzna pochylił się i szepnął konfidentycznie: – Mamy polecenie Komendy Głównej, by nie utrudniać dziennikarzom kontaktu z panem.  
Grubocki podniósł głowę i patrzył przed siebie, ignorując kolejne pytania dziennikarzy i usiłując zapanować nad ogarniającym go poczuciem bezradności.

„Dołek” był małą celą z drewnianą, przypominającą katafalk pryczą, na którą rzucono wytarty, cienki koc. W kącie zamocowano sedes bez deski i klapy, a ściany pokryto do połowy szarą olejną farbą. Wyżej biały mur ledwo wycierał spod pokrywających go napisów. Widząc ich brązowy kolor, Grubocki wolał nie myśleć, czym je zrobiono.

Zaczął chodzić wzdłuż celi od ściany do ściany i liczyć rytmicznie kroki. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w jedną stronę wychodzi o dwa kroki więcej niż w drugą. Po kilku godzinach przysiadł na skraju pryczy, aż wreszcie znużony położył się i usiłował zasnąć, ignorując palącą się całą noc słabą żarówkę, umieszczoną w drucianym koszu na suficie.

Zapadł w letarg, w którym nie było wczoraj, teraz ani jutra. Była tylko rozżarzona słabym światłem przestrzeń i czyhająca poza nią czarna otchłań oraz człowiek, który w podświadomości koncentrował wszystkie swoje siły, by nie dać się jej wchłonać.

Stała po drugiej stronie ulicy i uważnie obserwowała dziewczynę, która podlewała trawnik rozciągający się przed piętrowym drewnianym domkiem. Dziewczyna mówiła coś do siebie i zaciekawiona Irena podeszła ostrożnie, stając za grubym, rosnącym tuż przy furtce dębem.

– Widzę, że tym razem nie zachowałeś się tak niefrasobliwie jak w ubiegłym roku. Tak, będziesz zwałać wszystko na żonę, na to, że właśnie jej spodobało się to miejsce, że usiłowałeś ją przekonać, ale przecież to ty jesteś odpowiedzialny za rodzinę!

Irena wychyliła się zza dębu i ze zdziwieniem spostrzegła, że dziewczyna przemawia do czarnego, matowego ptaka z żółtym dziobem, który podskakiwał za nią, wyciągając tłuste dżdżownicę z podlanej przed chwilą ziemi. Ptak zdawał się całkowicie ignorować głos dziewczyny, ale ta mówiła dalej, nawet zatrzymała się i pogroziła mu palcem.

– Cudem jakimś kot pani Marii was nie zeżał! Kto to widział, zakładać gniazdo w dzikim winie, na siatce, pod którą bez przerwy lata Malta i po której może się wspiąć nawet ten opasły kocur! Teraz to rozumiem, tu jest w miarę wysoko, gęsto i tuja rośnie sobie na uboczu. Wychowasz pisklęta bezstresowo.

Ptak przechylił głowę, dziabnął jeszcze jedną dżdżownicę i zupełnie lekceważąc dziewczynę, odleciał.

Irena uchyliła furtkę. Skrzyp lekko zardzewiałych zawiasów zwrócił uwagę dziewczyny i wielkiego psa, który pojawił się z nienacką i usiadł przy jej nodze. Lekko uniośł górną wargę, pokazując potężne kły, a z jego gardła wydobył się złowrogi pomruk.

– Malta, spokój! – Zdecydowana komenda sprawiła, że suka zamilkła, lecz jej wzrok zdawał się ostrzegać Irenę i ta przez chwilę miała wrażenie, że wilczyca doskonale wie, iż obca kobieta nie jest przyjacielem.

– Przepraszam panią, ona jest nadopiekuńcza. – Kasia uśmiechnęła się nieśmiało, odgarnęła spadające na twarz włosy i popatrzyła przyjaźnie na wytworną nieznaną, chowając za siebie mocno ubrudzone ziemną rękę.

– Pani jest Katarzyna, prawda? Chciałabym chwilę z panią porozmawiać.

– Proszę mi mówić Kasia, wszyscy tak do mnie mówią. Zapraszam do domu.

– Powiedz mi, Kasiu, co to za ptaszek, którego tak surowo karciałś?

Dziewczyna lekko się zarumieniła.

– Słyszała pani? Może pani uzna, że jestem lekko pomyłona, ale ja rozmawiam z ptakami, zwierzętami i roślinami. To był kos, najmilszy śpiewak pod słońcem. W ogóle się mnie nie boi, jak podlewam ogród, łązi za mną jak pies. Pani kosowa jest trochę bardziej nieufna i trzyma dystans, może dlatego, że nie jest tak przystojna jak mąż i ma z tego powodu kompleksy, ale teraz siedzi na jajkach, więc jej pani nie zobaczy. A tam, na krzaku, ten mały ptaszek to sikorka. Jak budowała gniazdo, wyciągała z koszyka kłaki Malty, wybrednie wybierając te najbardziej puszyste. Ta pnąca róża nie chciała odbić po zimie, więc zagroziłam, że ją zetnę do korzeni, i proszę zobaczyć. – Kasia, nie przejmując się brudnymi palcami, wskazała na wysoki krzak pokryty maleńkimi zielonymi listkami.

Irena słuchała uważnie, podążając za nią w kierunku wejścia, i nagle pomyślała, że szczerą, dobrą i chyba trochę naiwną Kasia jest jak pisklę, które bezkarnie można wyciągnąć z gniazda. Ale przecież ona nie chce jej skrzywdzić, wręcz przeciwnie, da jej olbrzymią szansę. „Jak będzie mądra, wycisnie wszystko, co się da, jak cytrynę” – stwierdziła w duchu i prawie wzruszona własną szlachetnością przekroczyła próg cichego, drewnianego domu.

Wyłączył kanał informacyjny w telewizji i przez chwilę czuł satysfakcję. Mechanizm Hydry działał niezawodnie. Silne ostrzeżenie zostało wysłane: nikt, kto stanie nam na drodze, nie jest bezpieczny. Zachichotał bezgłośnie, przypominając sobie minę prokuratora prowadzonego przez antyterrorystów. Nagle ogarnął go jednak niepokój. Sprawa skrytki uwierała jak za ciasny but, nie dając o sobie zapomnieć. Choć zdawał sobie sprawę, że materiały kompromitujące część polskiej elity jemu bezpośrednio nie zaszkodzą, to jednak wiedział, ile wysiłku i czasu zajmie odbudowanie dobrze funkcjonującego układu, ile pieniędzy trzeba wydać, by tych nowych przekupić, zastraszyć, dać posmakować władzy, zanim zaczną się żądać, by stali się trybikami dobrze naoliwionej, bezwzględnej w osiągnięciu celów maszyny.

Zerknął na blat biurka, na którym leżał nowy numer największego brukowca, i znowu poczuł złość na widok fotografii Ministra. Zdjęcie zrobione z ukrycia pokazywało ciemną uliczkę, którą podążał mężczyzna opatulony szalem, w głęboko nasuniętym na czoło kapeluszu. Mniejsze przedstawiało zbliżenie twarzy i choć lekko zamazane, nie pozostawiało żadnych wątpliwości, o kogo chodzi. Wielki, złożony z czerwonych czcionek tytuł krzyczał: „Minister znowu urwał się ochronie!”. Pod spodem był krótki tekst informujący, że Minister kolejny raz wyrolował ochronę, ale fotoreporter był czujny, choć po zrobieniu zdjęć Minister nagle zniknął i nikt nie wie, dokąd podążał. Dalej był apel do czytelników, w którym obiecywano wysoką nagrodę za donos, dokąd chadza wieczorami jeden z najbardziej wpływowych polityków i co takiego robi, że nawet ochrona nie może o tym wiedzieć.

Pan Nowak znał odpowiedzi na te pytania i bynajmniej nie zamierzał się nimi dzielić z nikim, a w szczególności z mediami. Wiedział, że wcześniej czy później paparazzi dopadną Ministra u jego celu, i dawno już uznał, że jak najszybciej trzeba to zagrożenie wyeliminować. Oznaczało to jedno – Minister musi być usunięty. Nie ze stanowiska. Z życia. Przez chwilę zastanawiał się, czy określenie „usunięty z życia” oddaje w pełni jego zamiary wobec tego polityka, ale natychmiast zaprzestał tych językowych rozważań, postanawiając powierzyć załatwienie sprawy Karolowi. Scor, jak przyjedzie, posprząta po człowieku wynajętym przez Karola.

Odsunął z obrzydzeniem gazetę i jego wzrok spoczął na plastikowym przezroczystym kwadracie leżącym obok laptopa. Już wiedział, co znajduje się na srebrnym dysku zamkniętym wewnątrz. Wiedział, kto ma jeszcze to nagranie i jak je przemontowano. Pan Nowak wiedział wszystko. Nie wiedział tylko jednego – jak Redaktor chce je wykorzystać i dlaczego o nagraniu nie poinformował Hydry. Bardzo go to intrygowało, a zarazem irytowało. Stuknął w klawisz laptopa i połączył się z Karolem.

Redaktor z lekkim obrzydzeniem popatrzył na ciemnobrązowy płyn wypełniający pękaty kieliszek. Nie mógł zrozumieć słabości swojego gospodarza do trunku, który w myślach pogardliwie nazywał polityrą.

– Nie masz whisky? – zapytał z nadzieją.

– Drogi przyjacielu, nie doceniasz kardynała Mendozy. To najlepsze brandy, jakie piłem. A to jest szczególne – trzydziestoletnie Gran Reserva. Poczuj, jaki ma bukiet...

– Pachnie starym drewnem. – Redaktor szybko odsunął kieliszek od nosa.

Gospodarz skrzywił się z niesmakiem.

– Nie mogę powiedzieć, że masz wykwintny gust. Inaczej wyczułbyś aromat karmelu, wanilii, prażonych orzechów i owoców. Twoje zdrowie! – Przymykając oczy, wypił łyk gęstego, mahoniowego płynu z ogrzanego w dłoniach kieliszka.

– Z czym przychodzisz?

– Będę musiał wyjechać na dłużej i przedtem chciałbym, żebyś czegoś posłuchał.

Gospodarz przyzwalająco skinął głową i Redaktor wyciągnął z kieszeni dyktafon.

Po kilkudziesięciu minutach, kiedy skończyło się nagranie, gospodarz spojrzał na niego przeciągle.

– Skąd to masz?

– Autentyczne nagranie, trochę podrasowane w Stanach, ale robiła to jedna z najlepszych amerykańskich firm, nikt tego nie odkryje. Muszę to opublikować. – Zerknął spod powiek na siedzącego po drugiej stronie mężczyznę. Ten zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek.

– Nie teraz.

– Dlaczego?

– Ten rząd musi odwalić jeszcze kawał ciężkiej, niewdzięcznej roboty. Skończyć negocjacje z Amerykanami, ustalić z Unią jakiś kalendarz wejścia w strefę euro, no i przede wszystkim zapobiec zbliżającej się katastrofie gospodarczej. Na każdej z tych spraw może się wyłożyć. A raczej istnieje duże prawdopodobieństwo, że się wyłoży, oczywiście przy naszej dyskretnej pomocy. Czas działa na jego niekorzyść. Jeszcze prawie dwa lata do wyborów. Wcześniejsze, nawet po takim skandalu, nie odbiorą tej koalicji władzy. Musisz poczekać jeszcze kilka miesięcy. W sondażach poparcie zacznie im spadać, to wywoła nerwowe reakcje, a materiał, który masz na płycie, wysadzi ich w powietrze i da nam okazję, aby przez wiele, wiele dni, aż do samych wyborów, walić w nich jak w bęben.

Redaktor niechętnie schował dyktafon z powrotem do kieszeni.

– Za długo nie mogę czekać, wiesz przecież.

– Będziesz czekał na mój sygnał tyle, ile trzeba – przerwał mu gospodarz i wstając z fotela, dał do zrozumienia, że spotkanie się kończy. – Czy o wyjeździe poinformowałeś swoich, no, powiedzmy, partnerów w interesach?

Redaktor zamarł z ręką wyciągniętą do pożegnania.

– O czym ty mówisz?

– Dobrze wiesz. Ale to nie moja sprawa. Mnie ta... działalność nie przeszkadza. Uważaj tylko na siebie. Jesteś mi jeszcze potrzebny. – I gospodarz opuścił pokój, ignorując wyciągniętą rękę gościa.

Redaktor przemknął bocznym wejściem na ulicę, wyjął z kieszeni papierosy i trzęsącą się ręką usiłował uruchomić zapalniczkę. Po kilku nieudanych próbach ze złością rzucił papierosem jednemu z dwóch kamiennych lwów prosto w nos i ruszył szybko Krakowskim Przedmieściem w stronę Zamku.

Widząc uchylone drzwi, Kara nie zadała sobie trudu, by zapukać. Weszła i zaniepokoiła ją dziwna cisza panująca w domu. Radio, zawsze nastawione na stację z muzyką klasyczną, milczało, z poddasza, królestwa bliźniaczek, nie docierał żaden dźwięk, nie słychać był posapywania Malty, która zwykle późnym popołudniem uciniała sobie drzemkę pod kuchennym stołem. Kara stanęła w drzwiach kuchni i natychmiast spostrzegła niewielką kraciatą walizkę, przy której warowała Malta, wpatrując się w nią z zaciekawieniem, jakby usiłując dociec, jakie zmiany ta „nowa” wniesie w jej życie i czy przypadkiem nie będzie rywalką w wyścigu o względy pani.

Kasia siedziała przy stole pochylona nad kartką papieru, a zastygła w powietrzu ręka zaciśnięta na długopisie dowodziła, że jej właścicielka zastanawia się, co napisać. Kara podeszła bezszelestnie, zerknęła przez ramię dziewczyny i przeczytała: „Droga Karo, wybacz, że nie mogłam Ci tego powiedzieć osobiście, ale...” – i tu zdanie się urywało.

– ...ale chcę zrobić coś głupiego i boję się, że mi to wybijesz z głowy. – Kara ze złośliwą satysfakcją dokończyła zdanie.

Kasia obejrzała się spłoszona, zerwała z krzesła i spojrzała na Karę z poczuciem winy. Policjantka obesła stół, nie patrząc na leżącą tam ciągle kartkę, i usiadła po drugiej stronie.

– I proszę cię, Kasiu, nie mów tylko, że „to nie jest tak, jak myślisz”. To chyba najbardziej wytarty banał świata.

Kasia usiadła i spojrzała przeciągle na przyjaciółkę.

– Jesteś starsza ode mnie, więc powinnaś już odkryć, że życie w przeważającej mierze składa się z takich banałów.

– O Boże, masz dwadzieścia lat, nie zachowuj się jak zgorzkniała staruszka i porzuć ten mentorski ton! Po co tu ta walizka? Co chcesz zrobić? I dlaczego usiłujesz to przede mną zataić? – Kara nie ukrywała zaniepokojenia.

Dziewczyna spojrzała na nią z lekkim, smutnym uśmiechem.

– Znasz mnie dobrze, Karo. Rzeczywiście, bałam się rozmowy z tobą, wiedziałam, że nie znajdę u ciebie wsparcia i nie pogodzisz się z moją decyzją, ale ja nie mam wyjścia.

– Głupstwa opowiadasz – zachnęła się Kara – zawsze jest jakieś wyjście.

– Posłuchaj mnie. Miała ci to powiedzieć pani Maria wtedy, kiedy ja już będę w nocnym pociągu do Warszawy. Myślałam, że uda mi się niepostrzeżenie wymknąć z domu, zanim wrócisz z pracy, ale w ostatniej chwili, kiedy już sięgałam po walizkę, poczułam, że muszę do ciebie napisać. Usiadłam nad pustą kartką papieru, zaczęłam i nawet nie zorientowałam się, że minęło tyle czasu, a ja nie potrafię skończyć pierwszego zdania. Może zatem dobrze, że mnie przyłapałaś. Szczerze mówiąc, nie jest to przyjemne uczucie uciekać chyłkiem bez pożegnania z kimś tak bliskim jak ty.

Kara jej nie przerywała, wiedziała doskonale, że jeśli Kasia zaczęła mówić, to zaraz dowie się wszystkiego.

– Mam stos zaległych rachunków i dwie renty bliźniaczek. Myślałam, że popracuję rok, dwa, odłożę trochę pieniędzy, pójdę na zaoczne

studia, bo przecież na dzienne nie mogę, kto by się zajął dziewczynkami, matką, domem? Gienia dobrze płaciła, dostawałam trochę napiwków i nagle... katastrofa. Podnieśli dziesięciokrotnie opłatę za wieczystą dzierżawę. Pismo zaadresowali do matki, ta nawet nie przeczytała, tylko wetknęła w stos starych gazet. Przypadkowo je znalazłam i gdyby nie pieczętka urzędu gminy, nie ośmieliłabym się otworzyć. Dawali trzydzieści dni na odwołanie się od nowej wyceny. Spojrzałam na datę – właśnie dzień wcześniej minął termin. Byłam w gminie, umorzyli pięćdziesiąt procent, ale i tak pozostało ponad dwa tysiące złotych! Musiałam zapłacić z oszczędności. Rachunek za prąd powalił mnie z nóg! Mama narzekala, że jej zimno, wstawiłam elektryczną dmuchawę, prosząc, by używała oszczędnie, ale wiesz, jaka ona jest. Ponad tysiąc pięćset złotych za dwa miesiące! Kolejne pieniądze z odłożonych na studia. Pomyślałam sobie, trudno, studia czekają, zacznę na nowo oszczędzać. I wtedy Paluchowa wyrzuciła mnie z pracy.

– Co takiego? – Kara nie kryła oburzenia. – Dlaczego? Harowałaś u niej przecież jak niewolnica, nigdy nic nie zawałaś, stawiała cię za przykład innym, nachwalić się siebie nie mogła u przekupek na targu, gdzie zamawia towar do baru!

Kasia pochyliła głowę.

– Pracowałam na ostatnią zmianę, razem z Witusiem, tym licealistą, który dorabia sobie co drugi dzień. Już zamknęliśmy, Paluchowa liczyła utarg i nagle się okazało, że brakuje pięciuset złotych. Tylko szefowa i ja mamy dostęp do kasy. Zażądała, żebym dała jej swoją torebkę. Poczulałam się dziwnie, ale przecież wiedziałam, że ja tych pieniędzy nie wzięłam. Gienia zrewidowała jej zawartość i wyciągnęła spod naderwanej podszewki plik banknotów. Przeliczyła – równo pięćset złotych. Zagroziła, że wezwie policję. Błagałam ją, by tego nie robiła, że jestem niewinna, nie wiem, skąd się tam wzięły pieniądze. Kazała mi napisać oświadczenie, że ukradłam pięćset złotych z kasy baru, a Wituś podpisał jako świadek. Postawiła taki warunek, gdy w końcu łaskawie zgodziła się nie wzywać policji. Na koniec powiedziała, żebym nie śmiała szukać pracy w Pszczelinie, bo wtedy zapytają ją, dlaczego odeszłam z baru, a ona przecież kłamać nie będzie. Witusiowi kazała trzymać buzię na kłódkę, jeśli dalej chce u niej dorabiać.

– Zabiję tę cholerną babę! – Kara poderwała się z miejsca. – Uduszę własnymi rękami, ale przedtem będzie musiała to wszystko odszczekać! Rozum jej odjęło? Co się za tym kryje?

– Uspokój się, nic nie zdziałasz, podpisałam to oświadczenie w obecności świadka.

– Pod przymusem!

– Kara, gdyby wezwała policję, komu by uwierzyli? Znalazła w mojej torebce skradzione pieniądze! Jak się tam znalazły, dlaczego – kogo to obchodzi? Wituś i Paluchowa przeciwko mnie. Jak myślisz, czym by się to skończyło? Nic już nie możesz zrobić.

– Pójdę do niej, spokojnie porozmawiam, nawet broń zostawię w domu. Z gardła jej wydrę prawdę! – Kara zerwała się z krzesła.

– Karo, chcesz, żeby wyrzucili cię z policji? Tylko złotemu sercu komendanta zawdzięczasz, że kończy się na ustnych naganach. Ile razy złałaś regulamin? Myślisz, że kiedy masz rację, to wszystkie metody są dopuszczalne?

– Tak myślę.

– Przyjmij więc do wiadomości, że jesteś odosobniona w takim myśleniu, szczególnie w swoim środowisku. Nie jesteś Brudnym Harrym ani żadnym innym mścicielem. Jesteś policjantką, która ma działać zgodnie z prawem, nawet jeśli myślisz, że jest ulomne, pełne luk i bardziej niż policjantom sprzyja przestępcom.

– No, ale ty chciałaś studiować to prawo – ironizowała Kara.

– Owszem, i dalej tego pragnę, bo wierzę, że są ludzie, którzy mogą to zmienić. Zamierzam kiedyś do nich dołączyć.

– Wiesz, jak to się nazywa? Idealizm, utopia, naiwność... Można mnożyć podobne słowa. Myślałam, że jesteś mądrzejsza.

– Byłaś kiedyś taka sama. Co się z tobą stało?

Kara zamyśliła się i po chwili powiedziała z goryczą:

– Widzę tyle zła, wydaje mi się, że można mu zapobiec, czasami nawet wiem jak i bywam bezsilna.

– Nie możesz naginać prawa, chcąc osiągnąć sprawiedliwość, bo kiedyś to prawo pięknie, a wtedy okaże się, że sprawiedliwość jest słaba.

– Sama to wymyśliłaś?

– Gdzieś przeczytałam, ale głęboko zapadło mi w pamięć. Wierzę w to, Karo, wierzę, że sprawiedliwość pod rządami dobrego prawa jest silna.

Kara z rezygnacją pokręciła głową.

– Pozostańmy każda przy swoim. A teraz powiedz, dokąd się wybierasz.

– Jadę na konkurs „Najpiękniejsza”!

Policjantka zeszytniała, a potem wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Łzy ciekły jej po twarzy, brakowało tchu, lecz nie mogła się opanować.

Kasia spojrzała na nią lodowato, zerwała się z krzesła i wycedziła przez zęby:

– Dzięki za wsparcie, przyjaciółko! Chciałabym zobaczyć twoją minę, jak wygram. A ja wygram!

Adwokat, siostrzeniec przyjaciela dziadka, nie był zadowolony, gdy Grubocki, chwilę przed wejściem do gabinetu prokuratora, zapowiedział, że nie będzie niczego wyjaśniał. Usiłował przełamać jego opór, ale widział na twarzy swojego klienta nie tylko ślad ostatnich kilkunastu godzin, ale także wyraz niezłomnego postanowienia. Usłyszeli zarzuty, Grubocki nie przyznał się i odmówił odpowiedzi na pytania.

Jadąc teraz do gmachu sądu, jeszcze raz rozważał, czy postąpił słusznie. Intuicja podpowiadała mu, że bez względu na to, co powiedziałby w prokuraturze, jego los i tak jest przesądzony. Prawie był pewien, że sąd postanowienie o trzymiesięcznym tymczasowym aresztowaniu podejmie bez żadnych wątpliwości. Jedyne nadzieja w dziadku.

– Panie prokuratorze, panie prokuratorze...

Policjant siedzący przy kierowcy już od dłuższego czasu usiłował zwrócić jego uwagę, stukając w oddzielającą ich kratę.

– Przed sądem pełno dziennikarzy, przepraszam, będę musiał pana skuć, podjedziemy najbliżej, jak się da, a pan niech narzuci na kajdanki kurtkę. Po co mają bez przerwy pokazywać w telewizji pana skute ręce.

Powoli przedzierali się przez zatłoczony korytarz sądu rejonowego. Grubocki nawet nie słyszał natrętnych pytań dziennikarzy, szedł szybko, skrywając ręce pod kurtką i chcąc jak najszybciej mieć ten upokarzający spektakl za sobą.

Na sali, do której nie dopuszczono dziennikarzy i publiczności, wysłuchiwał z kamienną twarzą odczytywanych mu zarzutów. Młody prokurator, nie odrywając oczu od akt, recytował szybko uzasadnienie wniosku o tymczasowy areszt. Podkreślał szczególną pozycję podejrzanego, a co za tym idzie – większą niż u innych ludzi świadomość popełnianych przestępstw, i wskazywał, jaki wyjątkowo szkodliwy wpływ może mieć ujawnienie jego kryminalnej działalności na społeczne zaufanie do organów ścigania i ludzi pełniących funkcje publiczne.

Sąd rzeczywiście nie miał wątpliwości, powtarzając w uzasadnieniu postanowienia o trzymiesięcznym areszcie wszystkie argumenty prokuratury:

– ...za zarzucane podejrzanemu przestępstwa cechujące się wysokim stopniem społecznej szkodliwości, z uwagi między innymi na czerpanie korzyści majątkowych w związku z wykorzystywaniem pełnionej funkcji publicznej, grozi mu surowa łączna kara pozbawienia

wolności, którą zagrożenie – jak wynika z doświadczenia życiowego sądu – uzasadnia twierdzenie, iż podejrzany w celu uniknięcia bądź umniejszenia swojej odpowiedzialności karnej będzie podejmował różnorodne działania, utrudniające prawidłowy tok postępowania czy to poprzez ukrycie się, nakłanianie innych osób do zmiany zeznań czy wyjaśnień, czy też zatarcia śladów przestępczej działalności, bądź to w inny bezprawny sposób. Mając powyższe na uwadze, sąd zważył, iż jedynym środkiem zapobiegawczym, który na obecnym etapie prawidłowo zabezpieczy tok postępowania przygotowawczego, jest środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania.

Grubocki nie słuchał dalej. Po zakończeniu posiedzenia, wstając z miejsca, powiedział do adwokata:

– Niech pan złoży zażalenie, a przede wszystkim skontaktuje się z dziadkiem i przekaże mu, że go proszę o to, o co nigdy bym nie poprosił w normalnych warunkach. – I nie zważając na zdumienie na twarzy adwokata, dał się skuć i wyprowadzić z sali.

Stała w progu biura i z niesmakiem rozejrzała się po wnętrzu: zagraconym, ciemnym pomieszczeniu przesiąkniętym dymem papierosów, zapachem starych papierów i zjełzłego tłuszczu z tekturowych opakowań po jedzeniu na wynos, spiętrzonych w bezładny stos w jednym z kątów. Zza biurka zerwał się gruby facet w białej, mocno nieświeżej koszuli z podwiniętymi rękawami i rozciągnął usta w uśmiechu, pokazując zęby aż do czwórek. Reszty zębów nie posiadał. Wybiegł w stronę Anity z wyciągniętą ręką i dziennikarka ucisnęła spoconą dłoń, nakazując sobie w duchu, żeby po wyjściu z biura natychmiast umyć ręce.

– To zaszczyt, pani redaktor, proszę usiąść, bardzo się cieszę, że pani dziennik, tak poczytny, zainteresował się naszą imprezą.

– Co to jest? – przerwała mu bezceremonialnie Anita i wskazała ścianę.

– A... to plakaty szesnastu najpiękniejszych, z każdego województwa. Wkrótce jedna z nich sięgnie po koronę najpiękniejszej w Polsce. Anita powoli podeszła do ściany, przez chwilę wpatrywała się w plakaty, po czym zerwała jeden z nich, niedbale strząsnęła na podłogę i powiedziała zimnym tonem:

– Na pewno nie ta, biedulka wypadła z gry. Niech pan zamknie usta i siada!

Zajęła miejsce naprzeciwko biurka i rzuciła na blat zdjęcie.

– Ona ją zastąpi. I wygra.

Mężczyzna z osłupieniem wpatrywał się w czarno-białe zdjęcie przedstawiające okularnicę w workowatych spodniach i w za dużym swetrze. Nie mógł wywnioskować z amatorskiej fotografii, czy jest gruba, czy chuda, niska czy wysoka, młodsza czy starsza. Widział tylko jedno – jest okropna!

Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale kobieta przerwała połączenie, zanim zdążył wybrać cały numer.

– Nie ma pan po co dzwonić do hotelu. Pańska pechowa finalistka już się wymeldowała. Otrzymała propozycję nie do odrzucenia, a ponieważ nie jest taka głupia, natychmiast zrozumiała, że przebijają ją te wszystkie nędzne nagrody, jakie pan jako organizator zapewnia, gdyby wygrała. Obliczyła też swoją szansę – jedna do szesnastu. Natychmiast zgodziła się zniknąć i siedzieć cicho.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy i przez moment Anita obawiała się, że dostanie wylewu albo zawału. Opanował się jednak i wyrzucił z siebie, pryskając dookoła śliną:

– Wynoś się stąd natychmiast! W dupie mam patronat twojej wstrętnej gadzinówki! Konkurencja się ucieszy, gdy opowiem, jakie metody stosujesz, ty zimna suko!

Na Anicie wybuch mężczyzny nie zrobił najmniejszego wrażenia.

– Przeszliśmy na ty? Dobrze, posłuchaj więc, drobny geszefciarzu! Nie będzie transmisji telewizyjnej, nie będzie sponsorów, nie będzie ciebie i twojego biura, jak określasz tę cuchnącą norę, po tym, kiedy puszcę do druku materiał o twoim wieloletnim podejrzanym interesie. Mam relacje dziewczyn. Chętnie opowiadały, jak podstawiałeś je sponsorom, kazałeś uczestniczyć w оргietkach u podrzędnych biznesmenów, którzy swój pierwszy milion zarobili na handlu walutą i kradzionymi samochodami; jak ustawiałeś wyniki konkursu, przekupując niezależne – chyba tylko w mniemaniu jego uczestników – jury. A może chcesz przeczytać relację dziewczyny, która powiedziała „nie” i została zgwałcona przez twoich goryli, a ty nagrywałeś to wszystko, by potem pokazać tym, które miały jeszcze jakieś skrupuły? Chcesz zobaczyć zdjęcia zrobione kilka lat temu ukradkiem przez jedną z finalistek? Naprawdę tego chcesz?

– To oszczerstwa! Pani blefuje, nic nie macie!

Dziennikarka powoli zaczęła wstawać.

– Znowu obowiązują zasady savoir-vivre’u? A więc niech pan mnie sprawdzi, szanowny panie prezesie. Proszę jutro kupić moją „gadzinówkę”, jak pan to przed chwilą łaskawie określił.

Mężczyzny za biurkiem zrobiło się trochę mniej, zupełnie jakby nagle przez niewidoczną dziurkę w wielkim balonie zaczęło uchodzić powietrze. Nie podnosząc głowy, zapytał sucho:

– Czego pani chce?

– Już powiedziałam – ta dziewczyna wygra. Pańska głowa w tym, by ten fakt nie wzbudził żadnych podejrzeń. Dostanie pan dodatkowego sponsora i nareszcie zacznie wydawać pieniądze. Dość chałtury, wynajmie pan najlepszych stylistów, wizażystów, fryzjerów i choreografów. Budżet na to dostanie pan w ramach naszego patronatu. I nie będzie z tego żadnych boków dla pana! Wszystko wyda pan na to, by dziewczyny wyglądały pięknie, a ona – wskazała na czarno-białe zdjęcie – od nich nie odstawała.

Mężczyzna z rezygnacją pokręcił głową.

– To nie może się udać!

– To musi się udać! Od tego zależy pańska przyszłość.

Kara przysiadła na ławeczce ukrytej pod wiatą przystanku autobusowego i z uwagą zaczęła przyglądać się przeciwległej stronie ulicy willowego przedmieścia Krakowa.

Stare, wytworne, choć mocno nadszarpnięte zębem czasu budynki dostojnie znosiły sąsiedztwo nowobogackich budowli udających szlacheckie dworki i puszcących się czerwienią dachówek z blachy mającej sprawiać wrażenie palonej gliny.

Niepokój nie opuszczał jej od chwili, kiedy Kasia ostatni raz pomachała ręką z okna pociągu do Warszawy. Wracła z dziewczynkami z dworca w milczeniu, bliźniaczki bowiem pierwszy raz rozstawały się ze starszą siostrą i ich poczucie bezpieczeństwa, tak starannie budowane przez Kasię, zostało mocno zachwiane, co objawiało się niespotykaną u nich niechęcią do prowadzenia jakiegokolwiek rozmowy, nawet między sobą. W domu Kasi czekała pani Maria z tulącą się do jej kolan stropioną i zasmuconą Małtą. Maria bez słowa ucisnęła bliźniaczki i zaprowadziła je na górę, bo pora była późna, a małe oszołomione i mocno zmęczone.

Kara zajęła swoje ulubione miejsce. Suka przydreptała, usiadła naprzeciwko i zaczęła się w nią intensywnie wpatrywać.

– Nie martw się, laleczko. Kasia wróci.

Małta zapiszczała cicho i ułożyła się u nóg policjantki. Ta pogłaskała ją po głowie i głęboko się zamyśliła.

Bała się o swoją młodą przyjaciółkę. Opowieść Kasi była zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. Obca kobieta, która ją kiedyś

zauważyła na stacji benzynowej, w barze, a potem odszukała, by zaproponować pieniądze i przygodę życia? Nie wierzyła w tę bajkę! Jak ta baba mogła dojrzeć pod Kasynym kamuflażem potencjalną piękność? Jak to się stało, że zjawiła się zaraz po utracie pracy i przyniosła wybawienie z pieniężnych kłopotów?

Kara nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Tłumaczyła to Kasi, ale dziewczyna była tak zdeterminowana i przekonana o słuszności swojej decyzji, że nic do niej nie docierało. Jest naiwna i ma za dobre serce. Ze złością przypominała sobie, jak Kasia usprawiedliwiała nawet niecny czyn Paluchowej, przekonując policjantkę, że Gienia w gruncie rzeczy jest dobrą i uczciwą kobietą i musiały nią powodować jakieś silne emocje, których źródło kiedyś może wyjdzie na jaw.

Nie mogła Kasi pomóc. Liczyła na wszystkie strony, ale nauczycielska emerytura Marii i jej nędzna policyjna pensja ledwo starczały na bardzo skromne życie. Ogarnęło ją poczucie bezradności i niemocy. Ukryła twarz w dłoniach i po raz pierwszy od wielu lat nie wiedziała, co robić. Po chwili jednak podniosła głowę, wyjęła z kieszeni prywatną komórkę i wybrała numer przyjaciela ze szkoły policyjnej, robiącego obecnie karierę w Komendzie Głównej. Wiele razy korzystała dyskretnie z jego pomocy i za każdym razem słyszała, że to już ostatni raz, że wyrzucą go razem z nią. I że nie dość, że kiedyś złamała mu serce, odrzucając najwspanialszą propozycję matrymonialną, jaką kiedykolwiek mogła otrzymać, to teraz chce dodatkowo zrujnować jego karierę. Wiedziała, że ma cudowną żonę, poza którą świata nie widzi, i dwójkę małych urwisów, ale lubiła to przekomarzenie, świadoma tego, że ich przyjaźń przetrwała i zawsze będą mogli na siebie liczyć. Ponad dwie godziny czekała na informację, o które prosiła. Sprawdzenie baby, która zostawiła Kasi wizytówkę, oraz właściciela firmy organizującej konkurs było proste. Kobieta prowadziła małą firmę lobbingowo-piarowską i jej działalność nigdy nie była przedmiotem zainteresowania żadnych służb. Organizator konkursu oficjalnie też był czysty, choć pojawiały się plotki, tak jak przy każdym takim „targowisku próżności”. Trzecia część zadania była trochę trudniejsza, ale przyjaciel nie zawiódł.

Rankiem Kara wzięła dwa dni urlopu, wsiadła do autobusu i teraz siedziała właśnie naprzeciwko domu, w którym mieszkała babka Kasi, radczyni Turska. Babka, o której istnieniu Kasia nigdy nie wspominała.

Drzwi otworzyła drobna kobiecina w sięgającej podłogi czarnej sukni ozdobionej malutkim białym fartuszkim obszytym delikatną koronką. Spojrzała pytająco, a gdy Kara się przedstawiła, skinęła dłonią i odpłynęła w głąb korytarza tak szybko, jakby pod spódnicą kryły się małe kółeczka. Wprowadziła policjantkę do dużego salonu i wskazała fotel przy małym stoliku w głębi.

– Pani radczyni zaraz panią przyjmie.

Zawahała się przez moment i spojrzała podejrzliwie na wytarte dżinsy i zieloną kurtkę gościa.

– To wszystko antyki. Bardzo cenne i kruche!

Ostatnie słowo mocno zaakcentowała, dając do zrozumienia, by niczego nie dotykać. Spojrzała groźnie, potoczyła się przez salon z tą samą oszalałą szybkością i zniknęła za drzwiami położonymi naprzeciwko tych, przez które wprowadziła Karę. Dziewczyna przez chwilę siedziała nieruchomo, po czym uśmiechnęła się sama do siebie i z ciekawością rozejrzała po salonie.

Dwie serwantki ustawione na tle ciemnozielonej ściany wypełnione były bibelotami. Między nimi stało delikatne biureczko z odkładanym, uchylnym blatem i licznymi przegródkami. Lamy na małych stolikach o wygiętych nóżkach rzucały spod kremowych jedwabnych abażurów delikatne światło na oplatające ich podstawy misternie rzeźbione liście i półnagie kobiece postacie. Liczne obrazy zajmujące całą wolną od mebli powierzchnię ścian tkwiły w spatynowanych, starych ramach.

Kara podniosła się z fotela i podeszła do jednego z nich, ze zdumieniem wpatrując się w splątane kreski. Drgnęła nerwowo i odwróciła się, gdy usłyszała lekkie skrzypnięcie uchylanych drzwi. Dojrzała wysoką postać, która wolno zbliżała się w jej kierunku. Kobieta wyciągnęła rękę i półmrok pokoju rozjarzył się światłem zwisającego z sufitu wielkiego żyrandola o kloszach w kształcie kwiatów kalii, osadzonych w mosiężnych liściach nenufarów.

– Dzień dobry, Ewelina Turska. Pani nie w mundurze?

Kara uściśniła wąską, suchą dłoń ozdobioną pojedynczym pierścieniem. Osadzone w czarnej emalii drobne brylanciki lekko zaślniły, gdy kobieta szybko cofnęła rękę.

– Przepraszam, muszę pani coś wyjaśnić.

– Usiądźmy.

Radczyni Turska zajęła miejsce w rogu dużej, pokrytej zieloną materią kanapy, której zwieńczenie ozdobione było rzeźbionymi w drewnie kwietnymi motywami. Kara przysiadła na brzegu fotela od kompletu i patrząc kobiecie w oczy, wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Skłamałam, nie jestem tu służbowo, muszę z panią porozmawiać prywatnie.

– Dostała się pani do mojego domu podstępem i jeszcze chce, bym jej wysłuchała? Proszę natychmiast stąd wyjść!

– Nie wyjdę, dopóki z panią nie porozmawiam. Jestem przyjaciółką pani wnuczki, a jej może grozić niebezpieczeństwo. Pani jest jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Poza tym naprawdę jestem policjantką.

– Ja nie mam wnuczki. – Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy kobiety, a głos był tak samo spokojny jak poprzednio.

– Owszem, ma pani. I to nie jedną, a trzy. Proszę spojrzeć na to zdjęcie i powiedzieć, że nic pani z tymi dziewczynami nie łączy. – Kara położyła na stoliku kolorowy kartonik.

Kobieta siedziała nieruchomo. Kara nareszcie mogła przyjrzeć się jej z bliska. Wśród siwych, starannie ułożonych w klasyczny kok włosów gdzieś przewijały się rude pasma. Delikatnie przypudrowana twarz pokryta była siecią drobnych zmarszczek. Szlachetnie wykrojone, pełne wargi zastygły w grymasie goryczy, który łączył ich kąci z biegnącymi w kierunku podbródka głębokimi bruzdami. „Tak będzie wyglądała Kasia w jej wieku – pomyślała Kara. – Mam tylko nadzieję, że jej usta częściej będą się uśmiechały”.

Starsza pani nawet nie drgnęła, ale Kara czuła, że to pozór, że gdzieś w głębi tej sztywnej, dystygowanej postaci toczy się wewnętrzna walka, i czekała z niecierpliwością, co zwycięży – zapiekła uraza czy uśpione do tej pory serce. Po długiej chwili milczenia zauważyła kątem oka nieznaczny ruch – ręka starszej pani powoli zmierzała w kierunku zdjęcia, zatrzymując się co chwila, tak jakby jakaś niewidzialna siła chciała zahamować tę nieuchronną wędrówkę. Pani Turska długo przyglądała się zdjęciu i Kara z radością obserwowała, jak kąci jej ust powoli się podnoszą, z trudem pokonując głębokie, zastygłe na twarzy zmarszczki. Głębokie westchnienie przerwało ciężką ciszę, kobieta wstała, zdjęła z półki stojącą tam w ażurowej ramce fotografię i podała Karze. Ta z uwagą spojrzała na sepiowy wizerunek młodej, promiennej dziewczyny w ślubnej sukni, uderzająco podobnej do Kasi. Dziewczyna stała bokiem, zwracając rozjaśnioną uśmiechem twarz w stronę fotografa. W jednej ręce trzymała wiązanek kwiatów, drugą unosiła tren sukni, która lejącymi się fałdami spływała z wdzięcznej sylwetki. Na gestych, ściągniętych do tyłu puklach spoczywał delikatny wianek, upleciony ze zwykłych stokrotek. Może i fotograf był małomiasteczkowym rzemieślnikiem, solidnie dokumentującym śluby, pogrzeby, polowania czy zjazdy ziemian, ale tym razem, prawdopodobnie bez jakiegokolwiek jego szczególnej, osobistej zasługi, udało mu się uwiecznić coś nieuchwytnego – szczęście w jego pierwotnej, najczystszej postaci.

Kara podniosła wzrok.

– Miałam dwadzieścia lat... Poślubiłam człowieka, który był moją pierwszą i jedyną miłością. Nie bałam się przyszłości, tego, co przyniesie los, w tym dniu świat stał przede mną otworem i jak najszybciej chciałam mu wyjść naprzeciw, lekceważąc przeszkody i trudności, które mogę napotkać.

Czas się cofnął i Kara w wyobraźni widziała tę młodą, pełną nadziei dziewczynę. Obraz nie był jednak nowy. Uświadomiła sobie po chwili, że widziała niedawno bardzo podobny. Tak wyglądała Kasia na dworcu w Pszczelinie – pełna nadziei, z rozświetlonymi oczami i rozjaśnioną twarzą, podążająca za swoim przeznaczeniem bez strachu i obaw.



Starsza pani spojrzała na nią łagodnie.

– Zaczniemy jeszcze raz? Jak pani ma na imię?

– Karolina, ale nikt tak do mnie nie mówi.

– A zatem?

– Kara. Proszę mi mówić po imieniu – z wahaniem zaproponowała Kara, nie mogąc pozbyć się obcego jej uczucia onieśmienia, w które wprowadzała ją starsza pani.

– Zanim porozmawiamy, napijemy się herbaty.

W drzwiach natychmiast stanęła drobniutka kobietka i bez słowa przyjęła polecenie pani domu. Po paru minutach pojawiła się, niosąc srebrną tacę, zdobioną liśćmi płatanu i zastawioną białą porcelaną pokrytą drobnymi niebieskimi rysunkami.

– To Miśnia – rzuciła przed siebie, nie patrząc na Karę – bardzo, bardzo krucha. I cenna.

– Marcysiu – wyraźny wyrzut brzmiał w głosie pani Turskiej – nie wypada...

Ale Marcysia już wychodziła, mrużąc pod nosem:

– Mówiłam, schować do serwantki, kupić fajans, potłuką, nie będzie szkoda. Komu to dzisiaj na Miśni podawać? Inkasentowi za światło, listonoszowi? Nie ma już panów z prawdziwego zdarzenia, hołota tylko, i mówią, że to demokracja! Przed wojną też była demokracja, ale salon był dla ludzi, nie dla ludu. Lud wchodził bocznym wejściem i pochlipywał herbatę w kuchni, z fajansu.

Mamrotanie Marcysi powoli cichło i kiedy wreszcie w głębi domu z przytłumionym hukiem stuknęły drzwi, pani Turska uśmiechnęła się przepraszająco.

– Marcysia jest straszną snobką. I niestety mówi to, co myśli. To wiejska sierota, przygarnęła ją babka męża i wychowywała w rodzinnym majątku. Po wojnie wiernie towarzyszyła swojej pani w tułaczce po ciasnych mieszkaniach dalekich krewnych, a po jej śmierci dotarła do nas i została. Razem ze swoim przedwojennym, wpajającym od dzieciństwa przekonaniem o sztywnym podziale na lepszych i gorszych.

Kara czuła, że jeszcze nie nadszedł ten moment, w którym mogą rozpocząć szczerą, choć na pewno bolesną dla babki Kasi rozmowę.

– Nigdy nie widziałam tak pięknego secesyjnego wnętrza.

Radczyni Turska spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jesteś prawdziwą policjantką?

– Tak – roześmiała się Kara – policjantką, która ma nietypowe hobby. Kocham sztukę, a szczególnym uwielbieniem darzę secesję. Podziwiam ludzi, którzy chcieli stworzyć styl wywierający swój wpływ na wszystko, co człowieka otacza – budynki, meble, przedmioty codziennego użytku. A obrazy – te pastelowe kolory, płynne, faliste linie... Przepraszam, ale muszę panią zapytać. Czy to – wskazała duży rysunek, który oglądała przed wejściem do salonu pani Turskiej – naprawdę jest szkic do...

– Tak – przerwała jej starsza pani – to szkic do *Dziwnego ogrodu* Mehoffera. Moi dziadkowie wybudowali ten dom pod koniec dziewiętnastego wieku. Byli zamożnymi mieszczanami, ale oboje kochali sztukę. Dziadek, poważany notariusz, Ignął do młodopolskiej cyganerii, babka przyjaźniła się z żonami malarzy i poetów. Pani Jadwiga, żona Mehoffera, dała jej ten szkic na urodziny. Babcia wspominała, że długo dyskutowały, jakiego koloru powinna być suknia, w której Jadwiga ma być uwieczniona na obrazie, ale jej mąż i tak postawił na swoim. Wymarzony różowy zamienił się w fascynujący odcień niebieskiego. Ale czy wyobrazasz sobie *Dziwny ogród* z żoną malarza odzianą w białiznany róż? Dziadkowie nigdy nie przyjęli do wiadomości późniejszych opinii, że secesja to kicz, przejaw złego smaku. Dzięki nim nauczyliśmy się wraz z mężem doceniać piękno i subtelność tych przedmiotów.

Pani Turska zamyśliła się głęboko i Kara uznała, że nadszedł wreszcie odpowiedni moment. Zaczęła w wahaniem:

– Czasami spoglądam w lustro i widzę obcą twarz. Zastanawiam się, czy takie oczy miał mój ojciec, matka, a może któraś z babek? A kolor włosów? Po kim go odziedziczyłam? Dlaczego, kiedy jestem niespokojna albo zdenerwowana, stukam nerwowo stopą, nawet nie zdając sobie z tego sprawy? Najgorsze jednak jest to, że nie mam wspomnień z dzieciństwa – z prawdziwego dzieciństwa, nie z domu dziecka. Nie wiem, kim była moja matka i dlaczego tuż po moich narodzinach zostawiła mnie w szpitalu, zrzekając się wszelkich praw. Chcę wierzyć, że zrobiła to z miłości, uznając, że tak będzie najlepiej, ale czasami ogarnia mnie przygnębiona rozpacz, gdy dopuszczę do świadomości podejrzenie, iż mogło być inaczej: urodziła mnie, bo musiała, odrzuciła, wyrzekła się z nienawiści, bo byłam owocem gwałtu, przemocy albo chwili zapomnienia, która złamała jej życie.

Kara mocno zacisnęła dłoń, chowając w ich wnętrzu kciuki, i pani Ewelina pomyślała ze współczuciem, że to jeszcze jeden podświadomy gest, nad którego pochodzeniem dziewczyna zastanawia się w bezsenne noce.

– Ale nie to jest najgorsze – podjęła z trudem swoją opowieść Kara – najgorsze jest to, że nie znam swoich korzeni, nie mam bliskich, krewnych, kuzynów, ciotek, nikt mi nigdy nie opowiadał o moich dziadkach, pradziadkach, nie wiem, jakimi byli ludźmi, co chcieli przekazać swoim wnukom i dzieciom. I co ja opowiem moim, a bardzo chcę je mieć, gdy zapytają o przodków? Nie mam żadnej rodzinnej tradycji, żadnych wzorów i odniesień. Pani Maria, która przygarnęła mnie jako zbuntowaną, nastroszoną nastolatkę, starała się stworzyć mi namiastkę rodziny, kocham ją za to ogromnie, ale to tylko drobniutki fragment mozaiki, którą jest moje pochodzenie, moja przeszłość. Pani może to wszystko dać Kasi i jej siostram. Zasługują na to, a nawet powiem więcej – to jest pani obowiązek. Zanim pani podejmie decyzję, proszę posłuchać...

I Kara rozpoczęła opowieść o dzielnej małej dziewczynce, która bez chwili wahania przyjęła na siebie odpowiedzialność za los dwóch jeszcze mniejszych istot i neurotycznej egoistki, żyjącej w świecie snu i leków.

Ewelina słuchała uważnie. Kara skończyła i czekała z nadzieją i strachem na to, co starsza pani powie.

– Dzieci przynoszą więcej bólu niż radości. Lękaś się o ich życie, zdrowie, przyszłość, starasz się uchronić przed wszelkim złem, które może je spotkać. Odmawiasz prawa do popełniania błędów naiwnie przekonana, że twoje potknięcia i przegrane będą dla nich przestrogą. Mój syn przyprowadził tę dziewczynę do domu bez uprzedzenia. Stanęli w drzwiach, a on oznajmił z dumą: „Mamuniu, to Krystyna, moja narzeczona”. Nie patrzyła w oczy, ukradkiem rozglądała się wokoło, jakby chciała oszacować wartość otaczających ją przedmiotów. Gdy tylko na nią spojrzałam, wiedziałam, że zniszczy Tadeuszowi życie. Czułam, że potrafi tylko brać, żądać, i choć widać było, że kocha mojego syna, wiedziałam, że ta miłość jest chora, że spęta Tadeusza swoją zaborczością i zaślepieniem. Byłam zbyt dobrze wychowana, by dać jej to odczuć. Zaprosiłam na podwieczorek, zachowywała się poprawnie, ale cały czas dotykała Tadzia, muskała jego dłoń, poprawiała kosmyk włosów, przytulała się nieśmiało, wkładała kawałki ciasteczka do ust. Triumfowała. Był całkowicie pod jej urokiem i dobrze wiedziała, że przejęła nad nim całą władzę.

Pani Ewelina zamilkła na chwilę, bo ból i gniew sprzed wielu lat powróciły.

– Nie chciał słuchać. Krzyczał, że nigdy mi tego nie daruje. Zaczął się pakować. Serce pękało mi z rozpacz, ale duma była silniejsza. Powiedziałam, siłą się na spokój, że jeśli teraz wyjdzie z domu, może do niego nie wracać. Był równie dumny jak ja. Nigdy go już więcej nie zobaczyłam. O jego śmierci dowiedziałam się z listu Kasi. Nieporadnym, dziecięcym piśmem zawiadamiła mnie, że zmarł jej ukochany Tatuś. O nic nie prosiła, nie napisała słowa o matce, a o siostrach dowiedziałam się od ciebie. Byłam tak zaślepiena nienawiścią do kobiety, która odebrała mi syna, że przelała się ona na jej dziecko. Nie dopuszczałam myśli, że to także dziecko Tadeusza, moja wnuczka! I nie dostrzegłam głęboko ukrytego pod starannie kaligrafowanymi literami wołania o pomoc przerażonej dziewczynki. Czy ona mi to wybaczy?

Kara wstała, podeszła do starszej kobiety i siadając obok, otoczyła ją ramieniem.

– Kasia odziedziczyła dumę po babce i ojcu. Młodość jest bezkompromisowa. To pani musi zrobić pierwszy krok.

Młody asystent premiera podążył chyżo długimi korytarzami kancelarii, przystając z rzadka i niecierpliwie spoglądając na drepczącego za nim z wysiłkiem staruszka. Zatrzymali się u podnóża szerokich schodów. Asystent zerknął na zegarek, a potem popatrzył wymownie na oddychającego ciężko mężczyznę. Po chwili ruszyli w górę i stanęli przed ciemnymi drzwiami. Weszli do sekretariatu. Jasnowłosa kobieta za biurkiem odpowiedziała na uprzejme powitanie staruszka i z przeproszającym uśmiechem powiedziała:

- Zapraszam obok, do gabinetu. Pan premier jeszcze rozmawia z gościem, proszę poczekać. Może się pan czegoś napije?
- Odrobinę wody, jeśli pani pozwoli, wezmę lekarstwo, trochę wyczerpała mnie podróż do Warszawy.

Antoni Grubocki wszedł do niewielkiego pokoiku i rozejrzył się z zaciekawieniem. Mała kanapka, dwa fotele, niski stolik i włączony, ale bez dźwięku, telewizor. Na ścianach wisiła kilka średniej klasy pejzaży w bogatych, złożonych ramach i Grubockiemu przemknęło przez myśl, że dla osoby dobierającej obrazy ważniejsza była kosztowna oprawa niż ubogie ze względu na warsztat i przesłanie malowidła. Ostrożnie usiadł na skraju kanapki, zapadając się natychmiast w poduszkach niewygodnego mebla. Uchyliły się drzwi i weszła kelnerka niosąca na małej tacy butelkę wody i szklankę z kilkoma kostkami lodu. Staruszek podziękował, gdy naląła wodę, wyjął z kieszeni małą fiolkę. Odliczył kilka kropel do szklanki i poczekał, aż lód się trochę rozpuści, po czym wypił lekarstwo, błogosławiąc jego szybkie działanie. Grube drzwi oddzielające go od sekretariatu premiera nie przepuszczały dźwięku, mimo to zerkał co chwila w ich kierunku, nie mogąc znieść przedłużającego się oczekiwania. Stojący zegar tykał monotennie i Grubocki cofnął się myślami w przeszłość...

Wnuk dzielnie zniósł śmierć rodziców. W ciągu pół roku najpierw stracił ojca, potem matkę, która od dnia pogrzebu uwielbianego męża nikła w oczach i wkrótce za nim podążyła. Mały nie chciał rozmyślać o tej stracie, chciał pamiętać tylko szczęśliwe chwile, których był świadkiem i uczestnikiem. Atmosfera miłości, tolerancji, wzajemnego szacunku, jakim darzyli się rodzice, powaga, z jaką traktowali jego dziecięce lęki i wątpliwości, pozwoliła mu zachować na zawsze obraz szczęśliwego dzieciństwa i nigdy nie dała zwątpić w uczucie, jakim go darzyli, choć czasami się buntował i przeklinał los, który mu ich odebrał.

Pan Antoni wychowywał wnuka, starając się choć w części wypełnić tę bolesną pustkę, jaka powstała po śmierci syna i jego żony. Patrzył z dumą, jak Jurek wyrasta na poważnego, odpowiedzialnego młodzieńca i jak w pełni przejmuje zasady, którym starszy pan przez całe swoje życie nigdy się nie sprzeniewierzył – uczciwość, lojalność, honor i głębokie przywiązanie do kraju, w którym się urodził, przez niektórych określane wytartym od nadmiernego użycia słowem „patriotyzm”. Wiedział, że Jurek wybrał trudną drogę, i choć drżał o niego każdego dnia, rozumiał doskonale, iż nie może się temu sprzeciwić, bo co miałby odpowiedzieć wnukowi, gdyby ten go zapytał: – „Dziadku, jak się ma twój sprzeciw do tego, co mi wpajałeś od dzieciństwa? Czy zyskałbym twój szacunek, odrzucając wszystkie wartości tak cenne dla ciebie? Twoje wybory były znacznie trudniejsze, ale zawsze wiedziałeś, jak postąpić, by nikt nie zarzucił ci tchórzostwa czy zdrady ideałów. Tak mnie wychowałeś i musisz to zaakceptować”.

I akceptował, nie okazując irracjonalnego niepokoju, jaki w nim tkwił, i nerwowego oczekiwania na zderzenie idealizmu wnuka z twardą rzeczywistością.

Tamtego dnia, gdy tylko otworzył drzwi i spojrzał na poszarzałą, ściągniętą gniewem i bezsilną furią twarz Jurka, natychmiast zrozumiał, że moment, którego tak się obawiał, właśnie nadszedł.

- Wiedziałeś, że to nastąpi? Dziękuję, że mnie nie powstrzymywałeś.

Antoni w milczeniu uściśkał wnuka. Usiedli naprzeciwko siebie w małym gabinecie i Grubocki podał dziadkowi dużą kopertę.

- Schowaj to. Gdyby mi się coś stało albo kiedy cię o to poproszę, przeczytaj. I zrób to, co należy.

Wstał, pochylił się nad ręką dziadka i składając na niej pełen szacunku pocałunek, wyszeptał:

- Dziękuję ci za wszystko. Żegnaj.

Starszy pan patrzył bezsilnie, jak wnuk wychodzi z pokoju. Podniósł rękę i kreśląc znak krzyża w powietrzu, błogosławił młodego mężczyznę, w którym widział siebie sprzed wielu, wielu lat...

Drzwi skrzyknęły cicho.

- Pan premier prosi.

Grubocki z trudem się podniósł i podążył za sekretarką. Uchyliła przed nim podwójne, obite dźwiękochłonnym materiałem drzwi i Antoni stanął w progu dużego gabinetu, gdzie za ciemnym biurkiem z wielkim blatem siedział premier. Ten uniósł się i gestem zaprosił, by spoczął w stojącym naprzeciw fotelu.

- Ojciec wiele mi o panu opowiadał. Uratował mu pan życie. Twierdzi, że nigdy nie spłaci tego długu.

– Pana ojciec, panie premierze, zrobiłby to samo na moim miejscu. To odważny i prawy człowiek, niejednokrotnie podziwiałem jego męstwo i poświęcenie. Był jednym z moich najwaleczniejszych żołnierzy.

– Prosił mnie, bym pana wysłuchał. Nalegał, by nastąpiło to jak najszybciej. Widzi pan – premier zawahał się przez chwilę – odkąd stałem się politykiem znaczącym w życiu publicznym, ojciec nigdy mnie o nic nie poprosił. Gdy zostałem premierem, różni ludzie udzielali mi rad, prosili o wsparcie, załatwienie jakiejś sprawy, wysłuchanie kogoś. On nigdy. Tym bardziej jestem zobowiązany panu pomóc.

– Panie premierze – wzruszony Grubocki z trudem dobierał słowa – mój jedyny wnuk, którego wychowywałem od dzieciństwa, został aresztowany. Jest prokuratorem. Zarzucono mu straszne rzeczy: handel narkotykami, łapówkarstwo, wykorzystywanie stanowiska dla niecznych celów. Znam mojego wnuka i wiem, że jest uczciwym, praworządnym i dobrym człowiekiem, wykonującym swoją pracę z pasją i zaangażowaniem. To, co znalazłem w tej kopercie, tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, iż jest niewinny, że go niesłusznie oskarżono.

Nie mogąc dalej mówić, podniósł się i podał premierowi dużą kopertę.

- Tam jest wszystko, sam się pan przekona. Proszę o pomoc, Jurek to jedyny sens mojego życia!

Premier otworzył kopertę, wyjął plik kartek i zaczął je powoli przeglądać. Nic nie widział, bo próżność nie pozwalała mu nosić okularów w obecności innych, ale udawał zainteresowanie, myśląc sobie, że potem spokojnie to wszystko przeczyta.

- Tak, tak – mruczał pod nosem – to bardzo ciekawe.

Grubocki patrzył na niego z rozpaczą i nadzieją.

Po chwili premier wstał.

- Obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy. Proszę się nie martwić i cierpliwie czekać. Wnuk wróci.

Odprowadził pana Antoniego do wyjścia, serdecznie uściśnął mu dłoń i szybko wrócił za biurko. Uchylone do tej pory drzwi, prowadzące do dalszych pomieszczeń używanych przez szefa rządu, otworzyły się szerzej i stanął w nich jeden z jego najbardziej zaufanych doradców.

- Wszystko słyszałeś?

– Wszystko. – Doradca sięgnął po plik kartek zostawiony przez Grubockiego.

- Co o tym myślisz? Obiecałem ojcu... – Premier spojrzał wyczekująco.

Doradca w milczeniu przeglądał papiery. Po chwili zerknął na premiera znacząco i rzekł:

- Nie radzę. Niech pan się trzyma od tego z daleka. Dostałem od prokuratora generalnego notatkę w tej sprawie. Píše, że dowody są

porażające, a sprawa rozwojowa. Media aż huczą. Wie pan, że Ministerstwo Prawa jest szczerze jak durszlak. Co z tego, że minister zaufany, jeśli została cała rzesza odziedziczonych po poprzednikach urzędników gotowych albo za kilka srebrników, albo z czystego politycznego wyrachowania donieść o naciskach, jakie stosuje premier, by załatwić czysto osobistą sprawę, łamiąc przy okazji prawo.

Premier aż zamarł, widząc oczyma te nagłówki w prasie i wyobrażając sobie nastąpiłe pytania dziennikarzy, oskarżających go o wywieranie niedopuszczalnego nacisku na niezależne sądy i apolityczną prokuraturę.

– Jesteś pewien, że jest winny?

– Całkowicie, panie premierze. Proszę już nie zaprzętać sobie głowy tą sprawą. Od tego jesteśmy ja i cały pana gabinet, by nie musiał pan zajmować się nieprzyjemnymi wydarzeniami. Proszę zmartwienia zostawić nam. A właśnie, najnowsze wyniki sondaży. Ciągłe nam wzrasta!

Premier rozjaśnił się i zajął oglądaniem kolorowych słupków, czyli jednym ze swoich ulubionych zajęć. Pomyślał, że to całkiem fajnie być premierem, którego większość ceni, szanuje i który w gruncie rzeczy nie musi zajmować się trudnymi problemami, bo od tego ma wiernych pretorianów.

Gdy doradca wrócił do swojego gabinetu, dyskretnie zabierając ze sobą przyniesione przez Grubockiego papiery, czego premier zajęty sondażami i marzeniami o przyszłej prezydenturze nawet nie zauważył, połączył się rządową linią z Ministerstwem Prawa.

– Możecie go wsadzić na dłużej. Premier nic nie robi w jego obronie. Wręcz przeciwnie – będzie chwalił waszą bezkompromisowość i czyszczenie własnych szeregów z przekupnych funkcjonariuszy. Nie, Panu Karolowi sam przekażę wyrazy uznania.

Stał w delikatesach przed półką z serami i bezmyślnie wpatrywał się w kolorowe opakowania kryjące przysmaki z całej niemal Europy.

Z roztargnieniem zerknął na mężczyznę, który zatrzymał się obok. Spod myśliwskiego kapelusika wystawały krótkie, rzadkie włosy, pokaźny brzusek walczył z guzikiem przyciasnej tweedowej marynareczki, a za długie spodnie zwijały się w rulony na niemodnych czarno-białych trzewikach rodem z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Pomyślał, że nie wygląda na klienta drogich delikatesów, raczej na emeryta ze starego portfela. Po chwili usłyszał szept:

– Niech pan wybiera sery, panie prezesie. I nie patrzy na mnie.

Ze zdumieniem rozpoznał głos Staszka.

– Gdzie się pan podziewał? – syknął z irytacją.

– Spokojnie, zaszły pewne komplikacje. Dziewczyna zniknęła.

– Agata mnie zabije! Kazała pilnować jej i tej policjantki jak oka w głowie.

– No właśnie, jak tylko mój człowiek zaalarmował, że wyjechała z tej dziury, musiałem osobiście wkroczyć. Już wiem, gdzie jest, i moi ludzie mają na nią oko. Jest bezpieczna, ale...

– Co znowu?

– Teraz znowu policjantka gdzieś wybyła. Na szczęście wróciła po dwóch dniach cała i zdrowa, ale mój człowiek miał niezłego pietra. Dostał zresztą za swoje. Teraz pilnuje samochodów na parkingu, a dziewczyny są ochraniane przez moich najlepszych ludzi.

– Panie...

– Tylko bez nazwisk!

– Mamy mało czasu. Już nie mogę ich zwodzić. Ta kobieta przysłała mi zaproszenie na jakieś idiotyczne wybory miss i tam, w publicznym miejscu, mam jej przekazać zawartość skrytki. Jak napisała, to ostateczny termin.

– Do kiedy?

– Jeszcze niecałe dwa tygodnie.

– Okay. Za kilka dni przedstawię panu precyzyjny plan. Już wiem, jak to zrobimy.

Po czym Staszek wrzucił do swojego koszyka najtańszy ser z półki i skierował się do kasy. Kolińskiemu nagle przeszła ochota na pleśniowy przysmak. Ruszył dalej i zatrzymał się przy stoisku z wędlinami. Chwycił pierwszy z brzegu zapakowany w folię produkt i widząc, że Staszka nie ma już przy kasie, powędrował w jej kierunku.

Karaluch truchcikiem zmierzał w kierunku kryjówek. Maks powierzył mu odpowiedzialne zadanie i duma wypełniała jego drobne ciało aż po koniuszki palców. Wprawdzie nie było to nic specjalnego, musiał odebrać paczkę ze skrytki na dworcu, uważając, czy nie wlecze za sobą ogona, ale Maks, wręczając mu klucz, położył rękę na jego ramieniu i powiedział z powagą:

– Karaluch, liczę na ciebie, spraw się dobrze.

Rozglądając się cały czas czujnie, z ulgą stwierdził, że nikt go nie śledzi. Dotarł do długiego bloku o wielu kłatkach schodowych i zniknął w jednej z nich. Odór kocich odchodów, pomazane graffiti ściany i pachnąca moczem winda nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Wysiadł na trzecim piętrze i zapukał w umówiony sposób. Po chwili usłyszał trzask kolejno otwieranych zamków.

Maks ostrożnie uchylił drzwi, omiół wzrokiem ciemny korytarz, rozjaśniony jedynie mrugającą nieregularnie świetlówką, i wpuścił kompana do środka.

– Masz?

– Mam, Maks. – Karaluch nie krył satysfakcji, dumnie prężąc nieco cherlawą pierś.

– Nikogo nie przywlokłeś za sobą?

– Nikogo, Maks, tak jak kazałeś, kilka razy zmieniałem kierunek, chowałem się w bramach, przechodziłem przez podwórka. Nikt za mną nie laź, słowo!

Maks odebrał przesyłkę i usiadł na polowym łożku ustawionym w rogu niewielkiego pokoju. Gdy Karaluch zaczął się zbliżać, zaciekawiony, co zawiera paczka, rzucił mu krótkie spojrzenie i ten natychmiast się wycofał. Przysiadł na niskim stołeczku i wpatrywał się z uwielbieniem w Maksa, gotów ruszyć na każde jego skinienie. Od czasu do czasu rzucał okiem na wnętrze, które wynalazł, kiedy tylko Maks powiedział, że na jakiś czas muszą się przyczaić. O pustostanie prawie nikt nie wiedział, poza drobnym paserem, któremu Karaluch kazał „trzymać mordę na kłódkę”, pieczętując umowę o milczeniu półliterkiem, który natychmiast solidarnie opróżnili. Z samozaparciem wysprzątał, jak umiał, mieszkanie i przytaskał kilka sprzętów. Maks nie miał wielkich wymagań, ale musiało być czysto, i Karaluch, choć jemu brud nie przeszkadzał, potulnie starał się utrzymywać w skromnym pomieszczeniu jaki taki ład. Nawet zaczął się częściej myć i kupić na bazarze dezodorant Strong Man, ale ze zmartwieniem zauważył, że Maks nadal krzywi nos, gdy podejdzie bliżej.

Patrzył na swojego kumpla z zachwytem. Tak gorąco pragnął być taki jak on! Silny, odważny, zdecydowany... Gdy słuchał, jak Maks w rzadkich chwilach przyływu dobrego humoru opowiada o afgańskiej wojnie, swoich kolegach z batalionu, akcjach przeciwko talibom, chciał tam z nimi być i dokonywać równie bohaterских czynów, a przede wszystkim poczuć tę męską więź łączącą tamtych żołnierzy, więź powstającą wtedy, kiedy walczy się ramię w ramię i od współtowarzyszy zależy nasze życie. Był jak wierny, niedoceniany pies, który bezgranicznie kocha i choć pan czasami krzyknie czy przyłoży smyczą, łasi się, przepraszając, że zasłużył na jego gniew.

Maks podniósł się, spojrzął jeszcze raz na kartkę wyjętą z koperty, po czym wyjął zapalniczkę i podpalił jej brzeg. Gdy papier zwinął się w czarny strzep, starannie rozgarnął jego szczytki i wyrzucił do kosza. Spojrzął przeciągle na kompana.

– Karaluch, to poważna sprawa i wielkie pieniądze. Jak się uda, zrobimy sobie dłuższy urlop. Zabiorę cię ze sobą, musisz zobaczyć trochę świata, uwierzyć, że poza tą twoją zapłutą, starą Pragą jest inne życie. Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Tak jest, partnerze! – wykrzyknął z entuzjazmem Karaluch, nie mogąc uwierzyć, że to, o czym marzył, rzeczywiście może się zdarzyć.

Żanet z rozpaczą załamała ręce i z niedowierzaniem spojrzała na stojącą przed nią dziewczynę.

– To jakiś dowcip, panie prezesie?

Rozmówca Anity z obskurnego gabinetu przeniósł się do recepcyjnych sal jednego z najlepszych warszawskich hoteli, gdzie zainstalowano cały sztab wyborów „Najpiękniejszej”.

– Pani tu nie jest od zadawania pytań, tylko od roboty – rzucił opryskliwie. – Podobno jest pani najlepszą stylistką w kraju. Ma pani teraz szansę, by to udowodnić.

Urażona kobieta rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Nawet za duże pieniądze nie zrobię z tego straszidła pociągającej dziewczyny!

– Niektórzy mówią, że na pochyłe drzewo i Salomon nie należy. Ale nie ja! Wszystko jest możliwe, tylko odpowiednio trzeba posmarować. Chce pani więcej?

Żanet pomyślała, że dawno nie spotkała takiego odpychającego prymitywa. Wyprostowała się z godnością.

– Zapłać mi pan wystarczająco dużo, by podjąć próbę, nawet z góry skazaną na niepowodzenie. Proszę tu wrócić za cztery godziny, a teraz nie przeszkadzać.

Odwróciła się z wyraźnym lekceważeniem i skinęła na dziewczynę.

– Podejdź tu, mała.

Kasia powoli ruszyła, zdejmując po drodze wielkie okulary. Jej zielone oczy rzucały gromy, a gniew zaróżowił twarz, uwydatniając szlachetny rysunek kości policzkowych.

– Jak pani śmie?! Jak oboje śmiecie mówić o mnie jak o przedmiocie w mojej obecności? Czy dla was nie liczą się uczucia innych, ich wrażliwość? Czy to jest targ niewolników, na którym obmacuje się muskuły, zagłada w zęby i ocenia, czy szerokość miednicy niewolnicy gwarantuje liczne potomstwo nowych wyrobników?!

Żanet zatkało, ale szybko odzyskała mowę.

– No, no, no – z uznaniem przyglądała się dziewczynie – masz temperamencik! Być może myślałam się co do ciebie. – Jeszcze raz z niedowierzaniem spojrzała na twarz Kasi. – A teraz uwolnij włosy z tego koszmarnego warkocza i zrzuć ciuchy!

– Ooobiad! – donośny okrzyk odbijał się echem od obitych grubą blachą drzwi celi. Grubocki niechętnie wstał i sięgnął po plastikowe zielone naczynia i sztucce. Spojrzął pytająco na swojego współtowarzysza, którego przyprowadzono do jego celi kilka godzin temu. Chłopina siedział bez ruchu, kurczowo zaciskając spracowane, zgrubiałe w stawach palce na brzegu pryczy. Nie odzywał się, a Grubocki o nic nie pytał, wiedząc, że w więzieniu obowiązuje niepisany kodeks, i ten, kto okazuje zbytnią ciekawość, zaraz zyskuje złą sławę kapusia.

Drzwi celi otworzyły się z hukiem i Grubocki ruszył z miską do kotła.

– Gdzie? – usłyszał pogardliwy głos strażnika. – Tobie się nie należy!

Po chwili zrozumiał, że klawisz ma na myśli jego kolegę z celi. Mężczyzna schylił głowę i cofnął się za próg. Więzień oddelegowany do kuchni nalał zupę do miski Grubockiego.

– Tylko jedz powoli. Gorąca! – I mrugnął znacząco, oddając pełną miskę.

Jerzy wrócił do celi i spostrzegł, że mężczyzna znowu nieruchomo siedzi na brzegu pryczy i kurczowo ścisną tym razem pustą, plastikową miskę.

– Niech pan to da. Starczy dla obu. – Wyjął z nieruchomych dłoni miskę, którą postawił na stole i ostrożnie zaczął do niej przelewać część zawartości ze swojego naczynia. Gdy ją oddawał, zauważył, że z oczu mężczyzny spływają wielkie łzy. Nie komentując tego, zaczął odruchowo mieszać zupę. Nagle zauważył w niej coś dziwnego. Po chwili wyłowił kawałek przezroczystego plastiku ze skrawkiem papieru w środku. Ukradkiem wsunął do ust wraz z pozostałą zawartością łyżki i szybko poszedł za zasłonkę, za którą był ukryty sedes. Papier zawierał trzy słowa: „Idź do fryzjera”. Grubocki zamyślił się głęboko, wrócił do celi, wyjął z szuflady odrapanej szafki kartkę papieru i zaczął pisać prośbę do naczelnika więzienia.

Zerknęła ze złością na zegarek i w tym samym momencie telefon zapiszczał, sygnalizując nową wiadomość. Wściekła zatrzasnęła kłapkę, gdy tylko dotarła do niej treść esemesa Marka. Znowu zatrzymał go prezes, jakieś ważne spotkanie zapowiadające się na kilka godzin, będzie miał wyłączoną komórkę.

Kolumna Zygmunta rysowała się czarnym konturem na tle szarzejącego nieba, grupki hałaśliwych turystów zmierzały w kierunku licznych restauracji i barów, chcąc wreszcie spocząć po męczącym zwiedzaniu. Anita, obserwując to radosne zamieszanie, poczuła, że nie chce wracać do pustego mieszkania. Kolejny wieczór bez Marka... Pomyślała, że ostatnio zbyt często jego praca staje na przeszkodzie ich spotkaniom.

Zawróciła w połowie drogi do postoju taksówek i zamyślona skręciła w jedną z bocznych uliczek Starego Miasta. Kiedy po dłuższym marszu podniosła wzrok, skupiony do tej pory na trudnym do pokonania w wytwornych pantoflach bruku, zobaczyła na jednej z kamieniczek w wylotu wąskiego zaułka pulsujące światło neonu.

Podeszła zaciekawiona i zielone litery ułożyły się w neonowy napis BAR, który oświetlał drzwi składające się z niezliczonych małych matowych szybek, oprawionych w ołów. Anita usiłowała dostrzec przez nie wnętrze lokalu, ale widziała tylko mniej intensywną niż neonowa zieloną poświatę, łagodnie sączącą się przez szkło. Obejrzała dokładnie fronton kamienicy, szukając jakiegoś okna, przez które mogłaby zerknąć do środka. Stare, pokryte patyną wieków cegły stanowiły jednak zwartą i nieprzenikloną powierzchnię. Chwilę się wahała. W końcu zdecydowanym ruchem chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi, które uchyliły się przed nią ze zdumiewającą lekkością, jakby zapraszając do wejścia.

Półmrok niewielkiego pomieszczenia rozjaśniały stojące na małych stolikach stylowe lampki à la Tiffany, na ścianach wisiały reprodukcje przedwojennych rysunków Mai Berezowskiej z „Cyrułika Warszawskiego” i „Szpilek”, przepełnione subtelnym erotyzmem. Ze złością odwróciła wzrok od pary splecionej w miłosnym uniesieniu i usiadła przy jednym ze stolików. Kiwnęła ręką na kelnera i zamówiła campari z sokiem pomarańczowym. Popijając wolno trunk, rozejrzała się po lokalu, zastanawiając się, dlaczego o tej porze jest tu tak

pusto. Jej uwagę przykuła kobieta siedząca przy barze. Miała ciemne, krótko przystrzyżone włosy, rozjaśnione kilkoma rudymi pasemkami. Niemodny kostium, w którym Anita rozpoznała model Armaniego sprzed kilku lat, opinał szczupłą sylwetkę, kończąc się zbyt wysoko na udach i pokazując zgrabne nogi z bezceremonialnością nieprzystającą do wieku kobiety. Stała przed nią szklaneczka wypełniona bursztynowym płynem, w którym topniały resztki kostek lodu, a ręka kobiety od czasu do czasu dotykała delikatnie jej brzegu i cofała się, nie podnosząc naczynia. Anita skinęła na przechodzącego kelnera i zamówiła kolejne campari. Nie chciała tego wieczoru spędzić w samotności, więc wstała i podeszła do baru. Usiadła obok kobiety i zapaliła papierosa. Ta nie zwracała na nią uwagi, w zamyśleniu wpatrując się w trunek, którego nie ubywało, i gładząc delikatnie palcem brzeg szklanki. Anita nagle pomyślała, że sama nie wie, po co się tu przysiadła, i już miała zamiar wyjść z baru, gdy nagle usłyszała cichy, lekko zachrypnięty, niski głos.

– Pokusa musi być na wyciągnięcie ręki, tylko wtedy masz satysfakcję, że ją przezwyciężyłaś.

– Pokusy są po to, aby im ulegać. To takie przyjemne – przekornie zaoponowała Anita

Kobieta roześmiała się cicho.

– Nie zawiódłaś moich oczekiwań. Jesteś dokładnie taka, jak przypuszczałam.

– Wiesz, kim jestem? Skąd to zainteresowanie moją osobą?

– Też jestem... dziennikarką. Z uwagą i podziwem obserwuję twoją karierę i czasami się zastanawiam, czy gdybym urodziła się dwadzieścia, trzydzieści lat później, byłabym taka jak ty.

– To znaczy jaka?

– Jesteś pozbawiona tego, co mnie skomplikowało życie.

– Czyli?

– Zasad i sumienia.

Anita popatrzyła na kobietę z lekkim rozbawieniem.

– Widzę, że lata marnej egzystencji gdzieś na obrzeżach prawdziwego życia niczego cię nie nauczyły. Stworzyłam sobie swój własny świat, w którym tylko ja ustalam normy i zasady. To bardzo hermetyczne miejsce, nikt nie ma do niego dostępu. I nikt mi nie będzie prawić kazań, bo jak na razie to ja mam rację. Tylko bezwzględne działanie, nieoglądanie się na innych może przynieść sukces. Takie reguły rządzą dzisiaj tym światem. A ty? Kim jesteś? W twoim wieku powinnaś być szefową koncernu medialnego, wielkiej gazety, firmy reklamowej. – Jeszcze raz zerknęła na niemodną garsonkę i spękaną w kilku miejscach skórę torebki. – Nie widać jednak oznak sukcesu – zaśmiała się z pogardą. – Czy ktoś docenił twoje zasady i sumienie? Miałaś wspaniałe spozycje pracy, dalszej kariery?

– Nie. Bali się. Jeden z potencjalnych pracodawców powiedział otwarcie: „Jest pani tak niezależna, że nikt normalny nie zatrudni pani w swojej redakcji. Nie chcemy pracowników sprawiających kłopoty i walczących o swoje racje. Potrzebujemy takich, którzy szybko wykonują polecenia szefa i nie dyskutują o ich sensie”. Odpowiedziałam: „I którzy wyżej cenią sobie swoją karierę niż prawdę?”. „Jaka pani jest naiwna!” – stwierdził ze zdumieniem i w milczeniu odprowadził mnie do drzwi.

– I jak dalej żyłaś?

– Nie chciałam tego, czego nie mogłam mieć, i akceptowałam to, na co nie miałam wpływu.

– Nie mogłabym żyć w biedzie i upodleniu.

– A kto mówi o upodleniu? Ludzie mogą próbować cię poniżyć, upokorzyć, zastraszyć, zniszczyć, ale wytrwasz, jeśli będziesz przekonana, że uczyniłaś słusznie, że to ty masz rację. I jeżeli zostanie przy tobie nieliczna garstka tych, którzy ci wierzą.

– Inni się nie liczą. Nie pojęłaś jeszcze, że żyjemy sami, od momentu narodzin aż do śmierci? Musimy żyć w samotności, dopóki nasz czas nie minie, nawet jeśli obok są jacyś ludzie, którzy wydają się nam bliscy. Możesz liczyć tylko na siebie. Na nic innego.

– Lubię cię, choć jesteś moim przeciwieństwem. I wiem, że kiedyś mnie zrozumiesz. Ten moment prędzej czy później nadejdzie i wtedy dotrze do ciebie, że tyle dostajesz, ile jesteś w stanie dać.

Kobieta zsunęła się z barowego stołka, sięgnęła po torebkę i przy pełnej szklance położyła pieniądze. Odchodząc, obejrzała się i rzuciła przez ramię:

– Żegnaj, Anito. Mam na imię Nina. Oby w twoim życiu nie zdarzyło się nic, wobec czego będziesz bezsilna.

Nerwowo krążyła po kuchni, wyglądając co chwila przez okno. Pani Maria odrabiała z bliźniaczkami lekcje. Dziewczynki bez dyskusji wykonywały kolejne polecenia, tak jakby uszedł z nich cały wigor i ciągła potrzeba dociekania, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Nawet Malta, zamiast w ogrodzie czyhać na koty, co ostatnio było jej ulubionym zajęciem, rozłożyła się na terakocie i posapywała przez sen, unosząc co jakiś czas powieki, tak jakby sprawdzała, czy wszyscy są na swoim miejscu. Nagle szczerknęła leniwie i spojrzała w kierunku drzwi. Kara podskoczyła do wejścia, a jej rozczarowana mina, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła stojącą przed nimi postać, wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie jest to osoba, której oczekuje.

Doktor Pietraszkiewicz, zasapany i spocony, ciężko opadł na wolne krzesło. Wycierając dużą kraciastą chustką czerwone policzki, z wyrzutem spojrzał na Karę.

– Ta kobieta... – wydyszał z trudem – ta kobieta mi groziła. Straszyla mnie Izbą Lekarską... kazała tu przyjść. Co się stało?

Kara uśmiechnęła się w duchu i pomyślała, że radczyni Turska jeszcze nieraz ją zaskoczy.

– Spokojnie, panie doktorze, zaraz wszystko się wyjaśni, zrobię panu herbatę, odetchnie pan trochę, uspokoi się...

Nalała wody do czajnika i już miała postawić go na kuchence, gdy usłyszała pisk hamulców, głuchy odgłos zamykanych drzwi i donośny kobiecy głos.

– Ostrożnie, mój człowieku, to nie worek kapusty, tylko delikatny nesoser! Nie stawiaj na chodniku, wnieś na górę. A potem resztę bagaży.

Malta zaczęła szczekać, doktor Pietraszkiewicz, zrywając się z miejsca, przewrócił krzesło, dziewczynki z piskiem podbiegły do okna, a wtedy otworzyły się drzwi i w środek tego chaosu wkroczyła dystyngowanie i powoli Ewelina Turska.

– Pies na swoje! Dziewczynki, cisza! A pan niech podniesie krzesło! Karo, miło cię znowu widzieć.

Malta potulnie wycofała się na swoje posłanie w rogu kuchni, dziewczynki zastygły z otwartymi ustami, a doktor Pietraszkiewicz z trudem schylając pulchną sylwetkę, zaczął walczyć z opornym meblem.

– Pani Maria? – Radczyni Turska podeszła do opiekunki Kary i uściskała ją serdecznie. – Wychowała pani wspaniałą dziewczynę! Jestem Ewelina Turska, babcia Kasi i bliźniaczek.

– Co? – wykrzyknęły jednocześnie Isia i Misia.

– To, co słyszałyście. I nie jestem bunia, babunia, ciocia – dla was jestem babcia Ewelina. Tak się macie do mnie zwracać. Zresztą z wami porozmawiam później. Pani Mario, Karo, bądźcie tak uprzejme i zabierzcie do siebie na jakiś czas dziewczynki. Doktor Pietraszkiewicz, jak sądzę? Zaraz sobie porozmawiamy. – Spojrzała groźnie na lekarza, któremu wreszcie udało się ustawić krzesło.

Kara szybko zagarnęła oniemiałe dziewczynki. Kiedy wraz z panią Marią zmierzały do wyjścia, usłyszała:

– Pies też!

Malta, podwijając ogon, szybciotko dołączyła do grupki spieszenie opuszczającej przytulną kuchnię.

Radczyni Turska zdjęła płaszcz, kapelusz, powoli ściągnęła delikatne rękawiczki z cielejcej skórki i usiadła naprzeciwko przerażonego

mężczyzny. Doktor Pietraszkiewicz bał się tylko jednej osoby – swojej teściowej, która raz do roku nawiedzała jedyną córkę i zostawała na długo, nigdy nie informując zięcia, kiedy ma zamiar wrócić do siebie, co czyniło z jego życia jeden ciągnący się w nieskończoność koszmar. Pani Ewelina w niczym nie przypominała matki jego żony, osoby obdarzonej potężną posturą, tubalnym głosem i pięknym wąsikiem nad górną wargą, a jednak patrząc na nią, nie mógł pozbyć się wrażenia, że obie mają wiele wspólnego.

– Gdzie ona jest?

– Kto? – zapytał drżącym głosem Pietraszkiewicz.

– Moja nieszczęsna synowa, którą szpikuje pan psychotropami i lekami nasennymi jak wielkanocną indyczkę farszem!

– Szanowna pani jest niesprawiedliwa w swych ocenach. – Lekarz usiłował zachować resztki godności. – Moja pacjentka jest ciężko chorą osobą, wymaga specyficznej kuracji i delikatnego postępowania. Ciągłe jest na pograniczu załamania nerwowego i tylko dzięki mnie...

– Niech pan przestanie! – bezceremonialnie mu przerwała. – Albo mi pan pomoże, albo jutro Izba Lekarska zostanie poinformowana o pana praktykach.

– Jest na górze – poddał się Pietraszkiewicz.

– Można z nią porozmawiać?

– To będzie raczej trudne.

– Ma pan jakiś specyfik, który przywoła ją do rzeczywistości?

– Mam, ale to ryzykowne...

– Idziemy na górę!

Po chwili znaleźli się w dusznym, ciemnym pokoju. Pietraszkiewicz podszedł do łóżka, wyjął z kieszeni przygotowaną wcześniej w kuchni strzykawkę, ujął bezwładną rękę i delikatnie poszukał żyły.

– Kiedy odzyska świadomość?

– Za piętnaście minut.

– Zatem żegnam pana. Proszę zatrzaskać za sobą drzwi.

Ewelina podeszła do okna, rozsunęła ciężkie story i uchyliła okiennice. Słodki zapach kwitnącego ogrodu powoli wypierał nieznośny zaduch panoszący się wewnątrz od lat. Dojrzała w rogu pokoju wiklinowy koszyk. Podniosła go, podeszła do nocnej szafki i energicznie zgarnęła do jego wnętrza liczne słoiczki i fiolki. Potem systematycznie przeszukała cały pokój. Lekarstwa i puste opakowania po nich znajdowała wszędzie, nawet pod poduszką, na której spoczywała nieruchomo głowa synowej. Przysunęła sobie krzesło do łóżka, usiadła i czekała. Wpatrywała się w twarz kobiety, która zrujnowała jej życie, i powoli litość zaczęła wypierać nienawiść. Ewelina zrozumiała, że niedobra, chora miłość zniszczyła nie tylko jej syna, ale i kochającą go dziewczynę, która zamieniła się w wyschniętą, pomarszczoną, bladą zjawę, żyjącą na pograniczu snu i rzeczywistości.

Matka Kasi uniosła powieki i zamglonymi oczyma zaczęła wpatrywać się w siedzącą przy łóżku postać.

– Kasia?

Ewelina pochyliła się w jej stronę.

– Nie. Matka Tadeusza. Dawno się nie widziałyśmy.

Kobieta uniosła się z wysiłkiem.

– Wynoś się stąd! Przez ciebie straciłam jego miłość! Myślałam, że zapomni, że nigdy ci nie wybaczy, ale widziałam, jak gryzie się, jak coraz częściej zamyka w milczeniu, odrzuca moje uczucie.

– Zawsze byłaś egoistką – zimno stwierdziła Ewelina, którą już opuściło uczucie litości. – Przez ciebie straciłam syna. Nie pozwolę, żebyś krzywdziła jego córki.

Kobieta nerwowo wyciągnęła rękę w stronę szafki i nagle spostrzegła, że jej blat jest pusty.

– Tego szukasz? – Turska pokazała wypełniony koszyk.

– Natychmiast to oddaj! – krzyknęła z paniką w głosie matka Kasi.

Ewelina odstawiła koszyk za krzesło.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Nie dostaniesz tych lekarstw. Podpiszesz zgodę na leczenie w prywatnej klinice. Jeżeli się powiedzie, być może znajdzie się dla ciebie jakieś miejsce w życiu Kasi. Jeśli nie, wystąpię do sądu o twoje ubezwłasnowolnienie. Kasia jest pełnoletnia i sama o sobie stanowi, ale jesteś prawną opiekunką dwóch małych dziewczynek. To nie są twoje dzieci, to córki Tadeusza i moje wnuczki! Uwierz mi, jestem bardzo skuteczną, jeśli czegoś chcę, i uruchomię wszystkie swoje znajomości, choć pewnie będzie to niepotrzebne, bo znajdują się osoby, które opowiedzą w sądzie, na co były narażone bliźniaczki pod twoją „opieką”. Jutro rano, jeśli podpiszesz papiery, przyjedzie z kliniki karetka i zaopiekują się tobą tak, byś nie cierpiała. Ale dzisiejsza noc może być dla ciebie ciężka, dlatego dam ci coś, byś ją przetrwała.

Ewelina sięgnęła do kieszeni kostiumu i wyjęła małą fiolkę, którą zostawił jej doktor Pietraszkiewicz. W drugiej ręce trzymała papierową teczkę.

– Wybieraj.

Kobieta utkwiała wzrok w fiolce z tak pożądaną zawartością. Nie mogła, nie chciała myśleć, marzyła tylko o tym, by sen powrócił i pozwolił zapomnieć o przeszłości. Wyciągnęła rękę po teczkę.

– Na każdej stronie zaznaczyłam, gdzie masz podpisać. – Turska podała jej długopis.

Kobieta z wysiłkiem podpisała. Ewelina wręczyła jej fiolkę i odwróciła wzrok. Po chwili usłyszała spokojny, cichy oddech. Wróciła na dół, narzuciła na ramiona płaszcz i wyszła przed dom. Zauważyła na schodkach domu po przeciwnej stronie skuloną postać. Przeszła przez ulicę i nie bacząc na kurz pokrywający stopnie, usiadła obok Kary. Dziewczyna spojrzała na nią pytająco. Starsza pani westchnęła głęboko.

– To było trudniejsze, niż myślałam. Im jestem starsza, tym mniej bezwzględna.

Kara delikatnie położyła rękę na dłoni pani Eweliny.

Nagle pojawiła się przed nimi Malta. Podeszła powoli, usiadła i zaczęła uważnie wpatrywać się w babcię Kasi.

– Ty jesteś Malta? Przepraszam, że tak ostro cię potraktowałam. Możemy zostać przyjaciółkami? – Wyciągnęła rękę, a Malta podała jej łapę i zaskomlała cichutko.

– Tęskni za Kasią – ze smutkiem stwierdziła Kara.

Pani Ewelina puściła łapę i pogłaskała suczkę po głowie.

– Nikt nie zrobi Kasi krzywdy. Wróci do nas i do ciebie. Obiecuję, jakem Ewelina Turska!

# Część czwarta

## Kasia

Przy stoliku do ruletki siedziało kilka osób, ale nie zwracał na nie uwagi, wpatrzony w małą kulkę, która powoli zwalniała swój bieg, i zaklinał ją w duchu: „Czerwone, stań na czerwonym!”. Krupier przesunął sztony w stronę niepozornego człowieczka, który po raz kolejny zgarnął pulę. Zorientował się, że nie ma czym obstawiać. A przecież wiedział, że to jest właśnie ten dzień, odegra się, spłaci wszystkie długi i już nigdy więcej nie przekroczy progu nielegalnego kasyna. Jedynie tu mógł grać, licząc na dyskrecję nie tylko personelu, ale także gości, których znał z widzenia i spotykał na warszawskich salonach. Łączył ich przecież wstydlivy sekret starannie skrywany przez wszystkich. Przeprawił na chwilę, wstał od stolika i podszedł do kasy. Mocno wydekoltowana brunetka spojrzała na niego niepewnie, gdy poprosił o sztony.

– Pański kredyt dawno się wyczerpał.

– Proszę zawołać szefową – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Brunetka podniosła słuchawkę telefonu i rzuciła krótko: – Mamy problem.

Za chwilę przy kasie pojawiła się starsza elegancka dama w klasycznym chanelowskim kostiumie, ozdobionym cenną kameą.

– Jaki problem? – zapytała pozornie łagodnym głosem.

– Ta kobieta nie chce wydać mi sztonów!

– Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, ile już nam jest winien?

– Dzisiaj się odegram, wszystko oddam!

Spojrzała na niego z namysłem. Ile to już razy widziała takie rozgorączkowane oczy, spoconą twarz i drżące ręce? Czasami wygrywali, ale nigdy z kasynem.

– Proszę dać panu sztony za sto tysięcy złotych.

– Dziękuję – rzucił krótko, jakby doskonale wiedział, że mu nie odmówi. Wrócił do stolika i nerwowo obstawił. Po kilku rzutach krupiera po sztonach zostało wspomnienie. Siedział nieruchomo, wpatrzony z rozpaczą w zdradliwe urządzenie, gdy nagle poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Najpiękniejsza hostessa, o której względy zabiegali bezskutecznie prawie wszyscy gracze, pochyliła się i cichym szeptem rzuciła mu do ucha:

– Panie Ministrze, mamy cynk, za chwilę będzie tu policja. Nasze źródło zbyt późno uzyskało informację o tym nalocie. Proszę za mną, wyprowadzę pana bocznym wyjściem. – Podała mu płaszcz i kapelusz. Pozostali gracze właśnie obstawiali i nie zwrócili uwagi na to, że pośpiesznie wstaje od stolika.

Szedł za dziewczyną wąskimi korytarzami, zeszli po schodkach do piwnicy, przedarli się przez stos pustych kartonów i stanęli przed obitymi blachą drzwiami. Hostessa z wysiłkiem odsunęła przeraźliwie skrzypiący rygiel.

– To jest wyjście na podwórko. Gliny nic o nim nie wiedzą. Bez przeszkód wydobędzie się pan na ulicę.

Minister nasadził kapelusz na głowę i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Nie zauważył nic niepokojącego i ostrożnie przekroczył próg. Usłyszał głuchy łomot zamykanych drzwi i chwilę potem dziwny huk. „To przypomina wystrzał” – zdążył pomyśleć, zanim kula utkwiała w jego głowie. Drugiego strzału już nie usłyszał... Maks podbiegł szybko i pochylił się nad bezwładnym ciałem. Delikatnie dotknął tętnicy szyjnej. Naciągnął kapelusz na głowę trupa i lekko podciągnął do góry ciało, opierając je o ścianę. Odszedł kilka kroków, przyjrzał się uważnie i zadowolony pomyślał, że ofiara wygląda jak pijaczek, który przysnął w drodze do domu. W bramie podniecony Karaluch podskakiwał nerwowo.

– Rany, Maks, zrobiliśmy to, naprawdę zrobiliśmy!

– Zamknij się. Spadamy stąd. Miałeś oko na wszystko?

– Pewnie, Maks, pusto jak na cmentarzu w nocy. Dokładnie sprawdziłem.

Komandos ruszył przed siebie szybkim krokiem, więc Karaluch pośpiesznie do niego dołączył, powtarzając co chwila:

– Ja cię kręcę, Maks, o rany!

Magda patrzyła z zazdrością na Kasię.

– Ty to masz fart!

– Chcesz iść zamiast mnie?

– Coś ty, Flejtuch by mnie zabił!

Dziewczyny nazywały tak między sobą właściciela spółki organizującej konkurs „Najpiękniejsza”. Kasia pomyślała, przypominając sobie że wstrętem jego niedomyte, lepkie ręce i rozbiegane oczka, że jest to nader trafne określenie. Wizyta w jego biurze przed południem była jednym z najbardziej przygnębiających doświadczeń w jej dotychczasowym życiu.

Siedział rozwalony w fotelu i gdy stanęła przed jego biurkiem, długo mierzył ją spojrzeniem. Kasia poczuła obrzydzenie, gdy jego wzrok wręcz obmacywał jej sylwetkę.

– Ta... no proszę, nawet ze stracha na wróble można zrobić cudo. Obróć no się – rozkazał.

Kasia stała nieruchomo, usiłując zapanować nad emocjami. Przyrzekła sobie, że przejdzie przez to wszystko z zaciśniętymi zębami i nie da się sprowokować.

– Ogłuchłaś? To, że masz moźnych przyjaciół, nie oznacza, że możesz mnie lekceważyć!

Ponieważ dziewczyna nie reagowała na jego polecenie, wstał zza biurka i zbliżył się do niej. Drgnęła, gdy poczuła nieświeży zapach potu zmieszany z odorem tytoniu.

– Pójdiesz dzisiaj na kolację ze sponsorem konkursu. Masz być dla niego miła. Rozumiesz, co to znaczy?

– Obawiam się, że nie.

– Nie będziesz stroiła fochów, masz być uśmiechnięta, a jak zaprosi cię po kolacji do siebie na drinka, masz grzecznie odpowiedzieć: „Z przyjemnością, panie prezesie”.

– Pan chyba zwariował! To jest konkurs piękności, a nie wyścig o tytuł najlepszej dziwki! – Gniew nie pozwolił Kasi kontrolować słów i sama się zdziwiła, słysząc wypowiedziany na głos wyraz „dziwka”.

Flejtuch spojrzał na nią ze zdumieniem i wybuchnął śmiechem. Nie mógł przestać; trzęsły się fałdy tłuszczu pod brodą, brzuch wystający nad ledwo dopiętym paskiem spodni; łzy spływały po nieogolonych policzkach.

– Pierwsza naiwna się znalazła! Co ty myślisz, że to szkółka niedzielna? Pensja dla dobrze wychowanych panienek? Wiem, co potraficie

zrobić, żeby wygrać. Dać dupy jurorom i sponsorom, podstawić nogę koleżance... Zrobicie wszystko, by nawzajem się wyrolować i mieć te swoje pięć minut, których i tak nie potraficie wykorzystać, bo wokół was już czają się różni, Boże, menedżerowie, myślący tylko o tym, jak na was zarobić, a potem kopnąć w chudy zadek i znaleźć następną ofiarę. – Flejtuch już pożałował tej nagłej szczerości, kiedy sobie przypomniał, że stoi przed nim protegowana tej sztywnej lali, która mu groziła w jego własnym biurze. Postanowił załagodzić sytuację. – Przemysł to, moja mała, nikt cię nie zmusza, byś robiła coś wbrew własnej woli. Zadzwoń do mnie za godzinę, to ci powiem, w której restauracji jest spotkanie.

Kasia odwróciła się i bez słowa wyszła z pomieszczeń biura konkursu „Najpiękniejsza”. Wróciła do hotelowego pokoju, który dzieliła z Magdą, śliczną, miłą studentką informatyki, i natychmiast poprosiła recepcję o połączenie z numerem widniejącym na wizytówce zostawionej jej przez Irenę. Wzburzona, opowiedziała o propozycji Flejtucha, a Irena ją uspokoiła, mówiąc, że właściciel konkursu jest prostym chamelem i nie należy się nim przejmować. Poradziła, aby Kasia poszła jednak na tę kolację, oczywiście bez żadnych zobowiązań i przyjmowania dwuznacznych propozycji.

– Musisz pamiętać, moje dziecko, po co to robisz – powiedziała Irena. – Pomyśl o siostrach, domu, o spleconych nareszcie rachunkach, pomyśl o przyszłości! Bądź cierpliwa i stanowcza, a wszystko dobrze się skończy.

A teraz Kasia stała przed hotelową szafą pełną wybranych przez Żanet ciuchów i zamyślona przesuwiała wieszaki.

– Włóż tę zieloną – poradziła Magda. – Nie jest taka wyzywająca jak pozostałe, a jednocześnie wspaniale podkreśla twoją figurę.

– Trochę przykrótka – wahała się Kasia.

– Coś ty, teraz się takie nosi.

Magda wyciągnęła się na łóżku zarzuconym książkami i odkładając na bok podręcznik statystyki, z przyjemnością przyglądała się koleżance rozczesującej przed lustrem długie rude loki.

– Padną z zachwytu – skwitowała z uznaniem jej wygląd. – Usiądź przy mnie na chwilkę.

Kasia przykucnęła ostrożnie na brzeжку wersalki, aby nie pognieść sukienki.

– Chcę ci o czymś opowiedzieć, Kasiu. W pewnym momencie mojego życia musiałam sama o siebie zadbać. Pracowałam nocami w czynnym całą dobę supermarkecie, zasypiałam na wykładach, ledwo zdawałam egzaminy i pisałam do matki pełne optymizmu listy, zapewniając, że doskonale sobie radzę i nie potrzebuję jej wsparcia.

Kasia z uwagą słuchała dziewczyny, wpatrując się w jej twarz, z której w jednej chwili zniknął uśmiech.

– Do świtu było daleko, gdy wracałam nad ranem do akademika. Przenikliwy, zimny wiatr hulał w najlepsze i z trudem mocowałam się z opornymi drzwiami, gdy nagle ktoś z tyłu klepnął mnie w ramię. Obejrzałam się nerwowo i zobaczyłam roześmianą, wychylającą się z wielkiego, futrzanego kołnierza twarz Jolki, koleżanki z roku: „Magda, chodź na kawę, nie chce mi się robić samej, zresztą dzisiaj wyprowadzam się z tego zapluskwanego kołchozu”.

Byłam tak zmęczona, że bezwolnie dałam się zaprowadzić do otwartej całą dobę kawiarenki. Jolka posadziła mnie przy stoliku, poszła zamówić coś do picia i jakieś rogaliki. Przymknęłam na chwilę oczy, podparłam głowę dłonią i zasnęłam. Gdy się obudziłam, stała przede mną filiżanka kawy, a Jolka siedziała naprzeciwko i uważnie mnie obserwowała. Wiedziałam, że mam cienie pod oczami, byle jak związane włosy, że moja puchowa kurtka jest stara i niemodna. „Dłużej tak nie wytrzymasz. Wiem, bo sama to przerabiałam. Musisz to rzucić, jeśli chcesz skończyć studia. Zajrzyj na tę stronę internetową – powiedziała i zapisała na serwetce adres, a pod spodem numer komórki. – Jeśli się zdecydujesz, zadzwoń. Nie musisz dawać ogłoszenia. Mój sponsor ma wielu znajomych”.

Weszłam na tę stronę. To było obrzydliwe, Kasiu, czytałam kolejne ogłoszenia i nie mogłam uwierzyć własnym oczom: „Studentka uwielbiana seks, pełna ukrytej namiętności, da z siebie wszystko, a nawet więcej; ruda, blondynka, czarna; wymiary, rozmiar miseczki biustonosza...”. Towar był lepiej opisany i zachwalany niż na portalach aukcyjnych. – Magda wzdygnęła się ze wstrętem. – Zamknęłam szybko tę stronę, stłumiłam emocje i patrząc na czarny ekran laptopa, na zimno podsumowałam swoje dotychczasowe życie. Jolka miała rację. Nie dam rady. „Jeśli przechodzisz przez piekło, nie zatrzymuj się” – snuł mi się po głowie cytat, choć nie mogłam sobie przypomnieć, kto to powiedział. Szybko wybrałam numer Jolki. Oddzwoniła kilka godzin później. Umówiła mnie ze swoim fryzjerem i kosmetyczką, zapewniając, że nie muszę martwić się o pieniądze. Oddam, jak zarobię. Z kolegą sponsora Jolki miałam się spotkać wieczorem następnego dnia. Drzwi otworzył mi zadbany mężczyzna po pięćdziesiątce. Od razu było widać, że mała kawalerka nie jest miejscem, w którym mieszka. Był bardzo grzeczny, lekko zażenowany i pomyślałam sobie, że widać oboje pierwszy raz jesteśmy w takiej sytuacji. Na stole stała butelka wina, taca z czekoladkami i małe, starannie opakowane pudełeczko. Udając pewność siebie, przedstawiłam się wymyślonym pospiesznie imieniem i spytałam, gdzie jest łazienka. Nieco zaskoczony wskazał drzwi i zaproponował, że otworzy wino. Skinęłam przyzwalająco głową i szybko zniknęłam. Uklękałam przed sedesem i długo wymiotowałam. Gdy się pozbierałam, wypłukałam usta, zdjąłam ubranie i wyszłam w samej bieliźnie. Chciałam to mieć za sobą jak najszybciej. Mężczyzna siedział przy stoliku i bezradnie obracał w ręce pudełeczko. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się lekko i powiedział: „To miał być powitalny prezent. Myślałem, że trochę porozmawiamy, lepiej się poznamy”. Usiadłam na łóżku, starając się stłumić odrazę, i rzuciłam obojętnie: „A o czym mamy rozmawiać? Oboje wiemy doskonale, po co tu jestem”. Powoli zdjął marynarkę, starannie ją powiesił i usiadł obok mnie. Lekko dotknął moich włosów. Zesztywniałam i starałam się nie patrzeć w jego stronę. „Robisz to pierwszy raz, prawda? Powiedz mi, dlaczego?”. W jego głosie nie było wyrzutu, prymitywnej ciekawości, wręcz przeciwnie, naprawdę chciał się dowiedzieć, co mnie skłoniło do przyjscia tutaj. Ukradkowo zerknęłam na jego twarz i moją uwagę przykuły oczy. Otoczone cieniutką siateczką zmarszczek, jasne i dobre, patrzyły na mnie ze współczuciem i litością. Nagle zrozumiałam, że chcę zrobić coś strasznego i nieodwracalnego! Chcę zgwałcić samą siebie! Zrobiło mi się zimno, zaczęłam drżeć i poczułam, jak gorące łzy spływają mi po policzkach... Nie zauważyłam nawet, kiedy mężczyzna okrył mnie swoją marynarką i cierpliwie czekał.

Umilkła, a Kasia bała się poruszyć, by niczym nie zakłócić tej chwili, w której Magda się przed nią otworzyła. Pojęła, że jest pierwszą i ostatnią osobą, której z bolesną szczerością wyjawia to, o czym chciałaby jak najszybciej zapomnieć.

– Nie zrobiłam tego, Kasiu. Rozmawialiśmy kilka godzin. Okazał się samotnym człowiekiem łakącym odrobiny zrozumienia i ciepła. Miał rodzinę, która potrzebowała jedynie jego pieniędzy i pozycji, a on, zaaferowany pięciem się w górę, za późno spostrzegł, że już nic ich nie łączy. Dał mi wizytówkę, na której skreślił kilka słów, i kazał iść do agencji modelek, prowadzonej przez przyjaciela. Okazało się jednak, że agencja ledwo zipie, klienci wycofują się z umów albo miesiącami nie płacą. Dostałam kilka niewielkich zleceń, obietnicę następnych, ale wiedziałam, że to nie wystarczy na długo. Konkurs jest moją największą szansą, Kasiu, ale nie jedyłą. To wstrętne doświadczenie uświadomiło mi, że jestem lepsza, niż mi się wydawało. I przypomniało mi, że jestem Ślązacczą, a my jesteśmy twarde i nigdy się nie poddajemy. I dlatego proszę cię – uważaj na siebie i nie zrób nieostrożnego kroku...

– Nie martw się, dam im popalić. – Kasia uściaskała mocno koleżankę. I w jej głowie zaczął się pomału krystalizować perfidny plan.

– Powodzenia! – rzuciła Magda, a Kasia ze złośliwym uśmiechem na ustach wyszła z pokoju, trochę niepewnie stawiając stopy obute w srebrne, zakończone wysoką szpilką sandaalki.

Fryzjer trzymał w dłoniach brzytwę i nożyczki, przyglądając się uważnie Grubockiemu. W małej celi, do której wprowadził go przed chwilą strażnik, centralne miejsce zajmowało duże obtłuczone lustro, umieszczone na małym stoliku, i stojący przed nim stołek, który wskazał mu gestem dłoni Fryzjer. Grubocki właśnie minął na korytarzu ogolonego do skóry więźnia, więc pomyślał z lekkim strachem, że



raczej nie ma co liczyć na indywidualne podejście „mistrza nożyc”, ale spróbował:

- Chciałbym nie za krótko...
- Sie zobaczy. Siadaj, ziomal.

Stał na prokuratore, z uwagą przyjrzał się jego głowie i pochylił nad ramieniem.

– Nic nie mów. Wiem, kim jesteś. Jutro pójdziesz na spacer. Jak będziesz przechodził obok spacerniaka dla tych z wyrokiem, udasz, że but ci się rozwiązał. Przystaniesz i kucniesz. Strażnik straci wzrok na dłuższą chwilę.

- I co? – zapytał Grubocki z niepokojem.
- I nic. Jutro zobaczysz.

Znowu się wyprostował i fachowo przegarnął dłonią włosy prokuratora.

– To z przedziałeczkim? Zrobię po swojemu, już dziesięć lat tu strzygę, wiem jak wygodnie i do twarzy – po czym zabierając się do dzieła, zaczął Grubockiemu opowiadać, jak to zabił szwagra, który nie szanował jego siostry. – Mówiłem jej, Krysia, nie wychodź za łobuza, rączki mu za szybko latają, nie uszanuje cię, zobaczysz. Pierwszy raz przybiegła miesiąc po ślubie. Podbite oko, rozcięta warga. Ale jeszcze nie chciała słuchać. Czekał przed domem z kwiatkami, dała się przekabacić. Potem już regularnie ją łomotał. Ręka mnie świerbiła, ale błagała, żeby dać spokój, że on się zmieni, że to tak z miłości. Zazdrosny podobnie był. Skręcało mnie w środku, bo przecie tylko ona została z rodziny, wychowywała mnie, matka z ojcem byli tacy bardziej imprezowi. Któregoś dnia tak pod wieczór zaczęło mnie szarpać. Nie wytrzymałem. Za drzwiami było cicho. Nie były zamknięte, wszedłem i zobaczyłem, jak ten bydlak kopie ją w brzuch. W siódmym miesiącu ciąży była, leżała na podłodze, cała pokrwawiona, nawet nie jęczała, tylko usiłowała rękoma osłonić nienarodzone. Czerwona mgła zasnęła mnie oczy, chwyciłem z blatu w kuchni nóż, no i tak mi się to ścierwo nadziało na ostrze. Pięć razy... Zadowolony?

Grubocki popatrzył na brzytwę, którą Fryzjer nadał dzierżył w ręku, i odpowiedział szybko:

- Tak, bardzo zadowolony.

Siedział na lotnisku we Frankfurcie i czekał na swój samolot. „Cztery godziny! Co ja tu będę robił?”. Nie znosił takiego bezruchu, to zupełnie coś innego niż wielogodzinne czasami czajenie się w zasadzce i wypatrywanie ofiary, która nie miała żadnych szans na ucieczkę. Poczuł w kieszeni wibracje komórki.

– Tak. Mogę. Razem to będzie trzech. Zdaje pan sobie sprawę, ile kosztuje takie dodatkowe ekspresowe zlecenie? Oczywiście, ten przeżyje. Do widzenia, mister Nowak.

Scor podniósł się z niewygodnego plastikowego krzeselka i opuścił lotniskową kawiarenkę. Przebukował bilet, kupił w kiosku mapę Europy i zaczął szukać małej wyspki na Morzu Egejskim. Chwilę zastanawiał się, jak dotrzeć tam z Aten, po czym zadowolony z planu wrócił do kawiarenki i zamówił kolejne piwo. „Przeżyje – pomyślał – ale nigdy nie zapomni!”.

Restauracja słynęła z włoskiej kuchni i wyśmienitych win. Wieczorem wszystkie stoliki były zajęte, głównie przez hotelowych gości, którzy mieli pierwszeństwo w rezerwacji miejsc. Smer dyskretnie prowadzonych rozmów nie zagłuszał delikatnych dźwięków klasycznej muzyki sączącej się z niewidocznych, profesjonalnie rozmieszczonych głośników.

Bodzio siedział ponuro wpatrzony w wykwinną zastawę i co chwila poprawiał ciasny węzeł krawata.

– Jeszcze nikt mnie nie przeczłogał tak jak ta baba! Chyba rozum straciłem, że szefowi uległem. Pluła jadłem przez ten telefon, myślałem, że ucho mi wypali. Powiedziała, że jak chcę spłoszyć dziewczynę, to gratuluje, bo o mało mi się nie udało.

– Przestań biadolić, Bodziu – Marek spokojnie popijał białe wino – grunt, że ten idiota jej nie wystraszył. Powiedziałeś mu, żeby sprawę załatwił delikatnie?

– To pazerny kmiot, szefie! On za forszę toby osobiście włożył ją panu do łóżka i jeszcze stał obok, troskliwie okrywając pana kołderką, żeby się pan, broń Boże, nie przeziębził! Z kim ja się muszę zadawać!

I Bodzio wychylił potężny łyk bourbona z piwem imbirowym, żeby zmyć smak poniżenia po kontaktach z babą i Flejtuchem.

Nagle smer toczonych rozmów ucichł i wszystkie głowy zaczęły zwracać się w stronę wejścia. Stała w nim zjawiskowa istota. Rude włosy, upięte wysoko, odsłaniały śliczną, świeżą twarz o wysokich kościach policzkowych i pełnych, muśniętych jasnoróżowym błyszczkiem ustach. Wielkie zielone oczy okolone długimi rzęsami lśniły tajemniczo i obiecująco. Dziewczyna ruszyła powoli i zdawało się, że jej wysmukła sylwetka w powiewnej szmaragdowej sukience płynie między stolikami, a czar, jaki się wokół niej unosi, całkowicie bierze we władanie obserwujących ją ludzi. Zatrzymała się przy stoliku Bodzia i Marka, a gdy panowie poderwali się z krzesel, rzuciła donośnym, piskliwym głosikiem:

– Cześć, chłopaki, który z was jest ten sponsor? Wrzucimy coś na ruszt? – I spokojnie usiadła, nie czekając, aż kelner podsunie jej krzesło.

Marka zatkało, ale Bodzio nie stracił rezonu.

– Pani pozwoli, jestem prezes Marek Wilter, a to mój asystent, też Marek, tylko Konacki.

Dziewczyna łaskawie wyciągnęła dłoń, którą kolejno ucałowali.

– Mówcie mi Kaśka. I zawałajcie kogoś, bo chce mi się pić. Jakiś browar bym obciągnęła. Panie starszy! – Zaczęła machać na kelnera.

– Pani pozwoli – Bodzio przejął inicjatywę – *garçon, s'il vous plaît!*

– Pan prezes zna języki? – zachwyciła się obłudnie Kasia i zatrzepotała rzęsami.

– Tak trochę, z obycia – skromnie odpowiedział Bodzio.

– Ja jestem tępą do języków! Ledwo zawodówkę skończyłam. I wystarczy tej nauki, no nie? Dziewczynie, jak chce się dobrze w życiu urządzić, nauka niepotrzebna. Trochę sprytu i urody, dziany facet i już jest ustawiona, no nie? A te szare myszy siedzą w tych bibliotekach, wzrok tracą przy komputerach, a potem jest za późno, żeby sensownego chłopca znaleźć. I co im z tej mądrości? Samotne noce z wibratorem? – Roześmiała się głośno.

Marek patrzył na nią z przerażeniem i nie wierzył, że aż tak mógł się pomylić. Czy ta ordynarna, głupia panienka jest tą samą dziewczyną z obrazu, delikatną i tajemniczą, przyciągającą jak magnes i chwytającą za serce? To niemożliwe, czuł jakiś fałsz w tej sytuacji, ale nie mógł dojść, co sprawia, że nie może uwierzyć w swoją omyłkę.

Kelner podeszedł do ich stolika, aby przyjąć zamówienia.

– Hamburgera z frytkami i piwo – zadysonowała Kasia, wywołując jego osłupienie.

Bodzio wkroczył do akcji, lekko zaniepokojony miną kelnera.

– Co pan może nam polecić? – Starał się go udobruchać, ten jednak z wyniosłą miną podał kartę.

– Wybór jest duży, to jedna z najbardziej eleganckich – podkreślił to słowo – restauracji w mieście.

Kasia wyduła usta.

– Niezła buda, ale nie mów, staruszk, że nie macie hamburgerów. To dopiero byłby obciach!

– Pan prezes pozwoli. – Marek prawie wyrwał z rąk Bodzia kartę i szybko zamówił. Nadęty kelner w milczeniu zapisywał kolejne potrawy i szybko oddalił się od stolika.

– Tylko ma być wysmażony! – krzyknęła za nim Kasia. Siedziała z zadowoloną miną i spoglądała spod powiek na obu mężczyzn. Niezręczną ciszę przerwał Bodzio.

– Ma pani rację, Kasiu, to miłe miejsce. Ta muzyka...

– Ja tam wolę disco polo. A ta muzyczka przypomina mi taką audycję w radiu, jak to się nazywało... – Zmarszczyła czoło.

– *Cztery pory roku* chyba – usłużnie podsunął Bodzio – ja też pamiętam.

– O, właśnie – ucieszyła się Kasia – ale żeby od razu grać to w restauracji...

Marek siedział w milczeniu i choć przepełniały go wstyd i poczucie klęski, a każde zdanie wypowiedziane przez dziewczynę sprawiało mu ból i pogłębiało rozczarowanie, nie mógł uwierzyć, że piękna forma kryje taką prymitywną, ograniczoną treść. Spotykał olśniewające urodę puste kobiety, z którymi nie miał o czym rozmawiać i rozstawał się nad ranem bez żalu, ale tym razem to nie może tak się skończyć! Ta miała być inna, jedyna, obraz w galerii nie tylko pokazywał doskonale ciało, była w nim także jej dusza!

Kelnerzy przynieśli zamówione potrawy i Kasia żarłocznie rzuciła się na jedzenie. Chwytała frytki palcami, maczała w keczupie i przeżuwała, głośno mlaskając, a hamburgera nabiła na widelec, nie zauważając leżącego obok talerza noża. Kiedy skończyła jeść, beknęła, dyskretnie zasłaniając usta, i zaczęła wykałaczką czyścić zęby. Marek spojrzął na nią z niesmakiem.

– Trzeba dbać o higienę jamy ustnej. W każdych okolicznościach – pouczyła go i wróciła do swojego zajęcia.

Bodzio zamówił deser i postanowił za wszelką cenę ratować wieczór.

– Przypomniał mi się taki dowcip...

– Och, uwielbiam kawały, szczególnie takie pieprzne, no wie pan. – Kasia porozumiewawczo puściła oczko do Bodzia.

– To może później. – Bodzio lekko się zawstydził. – Ten jest o teściowej.

– Już śmieszne – zachichotała dziewczyna.

– No wiec zięć z synkiem i teściową wybrali się do lasu. Nagle synek przybiega z krzykiem: „Tatusiu, babcię zaatakował dzik!”. „Spokojnie, synu – odpowiada ojciec – sama zaczęła, niech sama się broni”. Bodzio wybuchnął śmiechem, a za chwilę dołączyła do niego Kasia.

– A pani, Kasiu, zna jakiś dowcip? – Bodzio wyraźnie się rozkręcał.

– No, znam jeden. Najpierw to nie mogłam zrozumieć, o co chodzi, ale potem doszłam, aż taka głupia nie jestem.

– Proszę opowiedzieć – zachęcał Bodzio.

– Biedak złapał złotą rybkę. No i jak zwykle – trzy życzenia. Więc on mówi: „Chciałbym mieszkać w pałacu, mieć za żonę piękną, wytworną kobietę i przejść do historii”. Trzask-prask, budzi się rano i widzi, że leży w wielkim łożu z baldachimem, w przepięknej, bogatej komnacie. Nagle wchodzi dystygowana dama, rozsuwa zasłony, podchodzi do łóżka i delikatnie potrząsając jego ramieniem, mówi: „Ferdynandzie, czas wstawać, jedziemy do Sarajewa”.

Marek, mimo przygnębienia, uśmiechnął się lekko i z zainteresowaniem spojrzął na dziewczynę. Czyżby słusznie podejrzewał, że to jakaś gra, której reguł nie rozumie? Bodzio zaśmiał się niewyraźnie i popatrzył wyczekująco na Kasię. Dziewczyna pochyliła się w jego stronę.

– Kuma pan, prezesie? Ta jędra budzi go bładym świtem! Złota rybka go wykiwała!

Marek rozczarowany zerknął na zegarek, modląc się w duchu, by ten upiorny wieczór nareszcie dobiegł końca. Nagle zainteresowała go rozmowa toczona przy sąsiednim stoliku. Znał francuski niezłe, może nie tak dobrze jak niemiecki czy angielski, ale swobodnie się nim posługiwał. Spojrzął dyskretnie przez ramię i dostrzegł trzech mężczyzn. Najstarszy z nich, siwowłosy pan o wyrazistych, arystokratycznych rysach trzymał w dłoni, ozdobionej starą, ciężkim sygnetem, kieliszek czerwonego wina, delektując się jego bukietem i smakiem. Z lekką irytacją przysłuchiwał się rozmowie swoich dwóch towarzyszy, nonszalanckich młodzieńców zachowujących się nieco za swobodnie, co pewnie miało związek z ilością wypitego przez nich alkoholu.

– Do paryskiego hotelu tej klasy nikt by nie wpuścił takiej panienki.

– Masz rację, Georges, Francuzki, nawet te parające się najstarszym zawodem świata, mają więcej klasy.

– Popatrz, Justin, ten gruby, nadziany facet aż się ślini na jej widok.

– Nie jest brzydka, ale te maniery!

– Kraj na dorobku, wszystko tu jest niższej kategorii, nawet dziwki. Pokażesz parę euro i zrobi ci takiego wiatraka, że długo nie zapomnisz!

– Fuj, przestań, George, ciało palce lizać, ale wiadomo, kto je przedtem obracał?

Starszy pan z gniewem ściągnął brwi.

– Uspokójcie się! – huknął na wesolutkich młodzieńców. – Jak wam nie wstyd tak mówić o kobietach? To ohydne i świadczy o waszym grubiaństwie... – Przerwał nagle, zauważywszy zmierną w ich kierunku Kasię. Obserwujący cudzoziemców Marek nie zauważył, że dziewczyna przestała rozmawiać z Bodziem i z uwagą wsłuchuje się w dobiegający z pobliza dialog. Stała przy stoliku Francuzów. Starszy pan podniósł się i grzecznie skinął głową. Dwaj młodzieńcy, rozparci swobodnie w fotelach, ani myśleli przestać przerzucać się obleśnymi uwagami i żarcikami.

– Mademoiselle? – Pytanie ich starszego towarzysza nareszcie sprawiło, że młodzi ludzie umilkli, odwrócili głowy i ze zdumieniem spostrzegli stojącą przy ich stoliku dziewczynę.

– Przepraszam, że zakłócam panu spokój – francuski Kasi był bezbłędny – ale chciałabym coś powiedzieć pana towarzyszom.

– Pani pozwoli, to mój bratanek, Georges, i jego przyjaciel Justin. Ja jestem Bernard de la Viterliers.

– Ze względu na okoliczności nie mogę powiedzieć, że jest mi miło – odparła zimno Kasia i zwróciła się do młodych ludzi: – „Urodzenie jest niczym, gdzie cnoty nie staje”. Znają panowie ten cytat? Nie sądzę – dodała z pogardą.

– Moliere, *Don Juan* – rzucił szybko pan Bernard.

– Tak, ale oni pewnie tego nie wiedzą. Są aroganccy, bezczelni, pewni tego, że dobre urodzenie i pieniądze noszą z sobą przywilej oceniania innych z bezmyślnym okrucieństwem. Przyjeżdżają do mojego kraju i traktują go jak dawną francuską kolonię, gdzie za sznurek paciorków można wszystko kupić, wyśmiać, zmieszać z błotem... a każda kobieta jest sprzedajną ulicznicą. – Zamilkła na chwilę, bo gniew ścisnął jej gardło. – Jak śmiecie mnie oceniać? Należy wam się otrzeźwienie!

Wzięła z stolika kryształowy dzbanek z wodą, w której pływały kostki lodu, i wylała jego zawartość na spodnie najbliższego siedzącego chłopaka. Odstawiła spokojnie naczynie na stół i z promiennym uśmiechem spojrzała na pana Bernarda.

– Teraz mogę już powiedzieć, że miło było pana poznać. – Po czym wróciła do swoich towarzyszy.

Kelnerzy zbiegli się wokół stolika Francuzów, ale pan Bernard odprawił ich zdecydowanym gestem. Powiedział cicho kilka słów i bratanek wraz z przyjacielem natychmiast wstali i wyszli z restauracji, odprowadzani kpiącymi uśmieškami tych gości, którzy siedzieli w pobliżu i z zaciekawieniem obserwowali cały incydent.

Marek patrzył na ciemne rumieńce na twarzy Kasi, widział zachmurzone oczy, które jeszcze błyskały iskierkami gniewu, i w tej chwili zrozumiał. Pochylił się w jej stronę i rzucił:

– Woli pani *Cztery pory roku* z partią klawesynową?

– Nie, z wiolonczelą – odpowiedziała z rozpędu.

Już po wypowiedzeniu tych słów zorientowała się, że ponownie wypadła z roli, i z przestachem zakryła usta dłonią jak małe dziecko. Bodzio spoglądał na Kasię z przerażeniem i podziwem, choć nic nie rozumiał. „Dała popalić żabojadom, bardzo dobrze, tylko dlaczego?” – głowił się, pociągając nerwowo za ucho, które zawsze stawało się ofiarą jego intensywnego myślenia. Nagle poczuł lekkie kopnięcie.

– Pan prezes musi nas już opuścić, ma jutro ważne spotkanie. – Marek zawiesił głos.

– Tak, tak, pani wybaczy, Kasiu, mój asystent będzie pani dalej towarzyszył. – Zerwał się z miejsca Bodzio.

Kasia uśmiechnęła się i niskim, spokojnym głosem, tak różnym od piskliwego falsetu, jaki do tej pory wydobywał się z jej ust, odparła:

– Przepraszam, panie prezesie, za swoje zachowanie. Ten wieczór mogliśmy spędzić w całkiem miłej atmosferze, gdyby nie pewne okoliczności. Pan wybaczy, że ich nie wyjaśnię, ale chyba źle oceniłam sytuację i to wyłącznie moja wina, że naraziłam panów na udział w tym przedstawieniu.

Gdy Bodzio ich opuścił, Marek zamówił kawę i spojrzał surowo na milczącą dziewczynę.

– Zawodówkę skończyłam? Tępa do języków? Vivaldi to sygnał radiowy? A za chwilę rzucamy cytatami z Moliere? Co tu jest grane?

Po raz pierwszy tego wieczoru Kasia przyjrzała się uważnie asystentowi prezesa. Zaskoczona stwierdziła:

– Ja panów już spotkałam!

– Gdzie? – zdumiał się Marek.

– W barze na stacji benzynowej pod Pszczelinem.

– Niewiele pamiętam z tamtego dnia. – Marek się zachmurzył, wspominając upiorną drogę do Warszawy.

– Panie Marku, jeszcze raz przepraszam. Pomyliłam się, byłam przekonana, że zaproszenie na kolację to tylko pretekst, że kryje się za tym jakaś pułapka...

Zniknęła gdzieś krzykliwa, wulgarna dziewczyna, a na jej miejscu pojawiła się ta z obrazu, łagodna, promieniująca wewnętrzną siłą, trochę smutna, ale pełna nadziei. Złote iskierki znowu błyszczały w zielonych oczach, przeganiając mgiełkę gniewu tłumiącą ich pełny blask.

– Mówmy sobie po imieniu, Kasiu, tak będzie nam łatwiej rozmawiać.

I pograżyli się w długiej, spokojnej rozmowie, starannie omijając wydarzenia dzisiejszego wieczoru i niewiele mówiąc o sobie. Książki, filmy, muzyka, miejsca, które Marek widział, a marzyła o nich Kasia... Z każdą minutą odkrywali wiele wspólnych pasji i upodobań. Marek ukrywał zachwyt, jaki wzbudzała w nim dziewczyna, a ona rzucała od czasu do czasu nieśmiałe spojrzenie spod rzęs, umykając natychmiast wzrokiem w bok, gdy tylko spotykały się ich oczy. Czas mijał niepostrzeżenie, część gości opuściła restaurację, a oni trwali w spokojnym nurcie ciepłej, przyjacielskiej rozmowy, dzięki której lepiej się poznawali.

W pewnej chwili przy stoliku pojawił się kelner z bukietem herbacianych róż. Wręczył go Kasi wraz z bilecikiem: „Jest Pani jak te róże, piękna i szlachetna. Wybacz, dziecko, staremu człowiekowi, że pozwolił, by w jego obecności obrażano kobietę. Bardzo chciałbym z Tobą porozmawiać. Mieszkam w tym hotelu. Proszę, nie chowaj urazy i zadzwoń do starego, samotnego człowieka. Z ogromnym szacunkiem, Bernard de la Viterliers”.

Kasia zamyśliła się i schowała bilecik do torebki. Wyjęła z bukietu jedną różę i spojrzała na nią z zachwytem.

– „Czymże jest nazwa? To, co zwiemy różą...”

– ...pod inną nazwą równie by pachniało” – dokończył Marek.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ich dłonie bezwiednie podążyły ku sobie. Kiedy się zetknęły, poczuli magię tej chwili i nagle stali się sobie bardzo bliscy.

Głośny okrzyk strażnika zagonił więźniów z „półtworka” spacerujących po korytarzu i okupujących telefoniczny automat z powrotem do celi. Szczęknięcie zamka i Grubocki usłyszał: „Spacer!”. Wziął kurtkę z wieszaka i wyszedł na korytarz.

Powoli wyłaniali się z dwóch sąsiednich cel tymczasowo aresztowani. Dwie poprzednie godziny na spacerniaku pozwoliły Jerzemu poznać ich historię. Emerytowany księgowy spółdzielni mieszkaniowej, wsadzony za przekręty kasjerki; wyniszczony narkoman, absolwent resocjalizacji, wrzucony do celi na głódzie: dwóch Rumunów, nielegalnie przebywających w Polsce, potrafiących powiedzieć tylko: „Papierosa, panie?”, elegancki pan w średnim wieku, oskarżony przez sąsiadkę o próbę gwałtu; wdowiec, roniący bez przerwy łzy i niepotrafiący pojąć, dlaczego właściwie znajduje się w tym strasliwym miejscu, wreszcie wytrwale milczący chłopina z celi Grubockiego. Ruszyli gęsiego za strażnikiem, otwierającym kolejne drzwi, i wyszli na niewielki dziedziniec, otoczony kilku ogrodzonymi spacerniakami. Ten dla tymczasowo aresztowanych znajdował się na samym końcu, przechodzili więc obok siatek, zza których pokrzykiwali do nich więźniowie odsiadujący wyrok.

– Szurowadło zawiąż – rzucił drugi ze strażników, idący na końcu tego złożonego z samych nieszczęść pochodu. Grubocki posłusznie przykucnął, a strażnik gestem nakazał pozostałym, by ruszyli przed siebie. Stanął kilka kroków od prokuratora i powoli wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Wiąż długo i starannie... Szpeciel jestem.

Prokurator ostrożnie spojrzał w bok i zobaczył plecy mężczyzny siedzącego w kucki po drugiej stronie siatki. Gdy ten powoli obrócił głowę, ujrzał grubo ciosaną twarz z okazałym nosem, ozdobionym brzydkimi, kalafiorowatymi naroślami.

– Słuchaj, prokurator. Posiedzisz dłużej, niż myślisz, ale żadna krzywda ci się nie stanie, dopóki ja tu rządzę. Nawet jak cię przeniosą, moja ochrona będzie działać. I nie obawiaj się tego wieśniaka z celi. Bezrobotny dzieciorób z dawnego pegeeru. Szóstkę zmajstrował, przy siódmym podobno się załamał i pomógł mu zamienić się w aniołeczka. Wsadzili go do ciebie, boś kulturalny i nieskory do rękoczynów. Chłopaki nie lubią dzieciobójców, gwałcicieli i pedofilów.

– Szpeciel, Szpeciel, czy ja się dzisiaj przyznaję, czy nie? – wychudzony człeczyna w cienkim dresie zmierzał w ich kierunku.

– Dzisiaj przyznajesz się i spadaj stąd, śmondaku! Nie widzisz, że rozmawiam z ważną osobą?

Mężczyzna szybko odwrócił się i pospiesznie dołączył do grupy więźniów po drugiej stronie spacerniaka.

– To Monte Christo, oszust i złodziej. Ma kilka procesów, wożą go po całej Polsce, zamiast mózgu zalewajka, nie wierzy papugom, to mu doradzam. Nic, tylko namawia wszystkich, żeby zrobić podkop i dać nogę – wyjaśnił uprzejmie Szpeciel zdumionemu Grubockiemu.

Strażnik palił już drugiego papierosa i niecierpliwie spoglądał na zegarek.

– Dlaczego? – zapytał Grubocki.

Szpeciel spojrzał na niego przeciągle.

– Dlaczego chcę ci pomóc? Pamiętasz sprawę starszej kobiety oskarżonej o kradzież margaryny w markecie? Umorzyłeś ją i jeszcze publicznie zjebałeś policjantów. Mówiłeś, że brakuje im... – szukał właściwego słowa.

– Empatii.

– No właśnie. To współczucie, nie? Sprawdziłem w słowniku.

– To też, ale przede wszystkim odczuwanie emocji innych ludzi, umiejętność przyjęcia ich sposobu myślenia, spojrzenia ich oczami na rzeczywistość.

- Prokurator, nie mów za mądrze – przerwał mu Szpeciel – ja jestem prosty recydywista, który już chyba świata bez krat nie zobaczy. Ta kobieta umarłaby ze wstydu, gdyby przyszło jej stanąć przed sądem.
- Skąd wiesz?
- Bo to była moja matka. – Szpeciel wstał i powędrował w głąb swojego spacerniaka.

Pan Karol z uwagą przeglądał cienką, pokrytą nalotem czasu tekturową teczkę. Kilkanaście pożółkłych kartek zawierało skondensowaną historię upadku człowieka, który wkrótce miał odebrać w Pałacu Prezydenckim ministerialną nominację.

Jego poprzednik rozczarował Pana Karola. Sporo wysiłku kosztowało pozyskanie Ministra dla Hydry. Pokładali w nim wielkie nadzieje, które w znikomym stopniu zostały spełnione. Maks musiał wkroczyć do akcji, choć Pan Karol nie lubił tych drastycznych rozwiązań narzucanych przez Nowaka. Wolał snuć w zaciszu gabinetu misterną sieć, z której ofiara nie miała szans nigdy się wydostać. Przyznawał jednak w duchu, że w tym wypadku nie było innego wyjścia.

Pomyślał, że obecny wybór będzie chyba lepszy. „Nie ma takiej słabości, której Irena nie odkryje” – stwierdził z satysfakcją i przez chwilę żałował, że nie poznał jej wcześniej. Organizacja dzięki niej mogła w przeszłości uniknąć paru kosztownych błędów. Nie dość, że prześwietliła kandydata lepiej niż rentgen, to jeszcze podsunęła Panu Karolowi znakomity trop. Powiedziała mu: „Ten facet jest przeżarty ambicją, a jednocześnie pełen kompleksów. Zdradza przyjaciół, gdy tylko poczuje, że zmienia się koniunktura. Dla stanowiska zrobi wszystko. Na pana miejscu sprawdziłabym, w jaki sposób zrobił tak błyskotliwą karierę na uczelni. W tamtych czasach to nie było takie proste. Teraz jest w politycznej odstawce, ale kto raz zasmakował narkotyku, jakim jest władza, już do końca życia będzie uzależniony. Piszze wykłady, bryluje przed studentami, ale to żona robi karierę, a on sprząta, chodzi po zakupy, sam sobie prasuje koszule. I marzy tylko o jednym – żeby znowu wrócić do gry, udzielać wywiadów i rzucać zachwyconym dziennikarzom zabawne cytaty świadczące o jego erudycji i inteligencji”.

Teczka, którą wydobył z archiwów Instytutu Pamięci Historycznej człowiek Karola, całkowicie potwierdziła ocenę Ireny. Służba Bezpieczeństwa nawet nie musiała mocno przyciskać młodego asystenta. Wystarczyła groźba, że nie wyjedzie na stypendium, nie zostanie na uczelni, nikt nie otworzy mu przewodu doktorskiego. Był nadgorliwy. Nie tylko odpowiadał na pytania stawiane przez prowadzącego oficera, ale sam z przejęciem donosił na kolegów, którzy byli konkurencją w jego bezwzględnej wspinaczce po kolejnych szczeblach kariery. Z pełnej dokumentacji ocalało w archiwach zaledwie tych kilkanaście kartek, ale były to najbardziej obrzydliwe, rujnujące przyszłość wielu przyzwoitych ludzi donosy, jakie można sobie wyobrazić. Pan Karol wyjął z teczki trzy kartki, starannie je skopiował i schował całość do wielkiej szafy pancерnej, stojącej w rogu pokoju.

Pozwołał mu się pocieszyć władzą przez kilka dni. Niech znowu poczuje jej smak. A potem zwykła szara koperta, dyskretnie włożona do osobistej korespondencji ministra, sprawi, że to Hydra będzie miała władzę, a nie ten mały, tchórzliwy zdrajca, świadomy od tego momentu, iż każde jego nieposłuszeństwo skończy się katastrofalnym w skutkach przeciekami do mediów.

Laptop zapiszczał niecierpliwie i Pan Karol z niechęcią nacisnął klawisz.

– Ktoś widział pana człowieka na miejscu zabójstwa – Pan Nowak nie krył gniewu – co się z wami ostatnio dzieje? Wszystko musicie spieprzyć?

– To niemożliwe, Maks to profesjonalista.

– Profesjonalista dopiero przyjedzie i posprząta. Ostatnio ciągle sprawia mi pan zawód i zaczynam się zastanawiać, czy słusznie robię, zostawiając sprawy Hydry w pańskich rękach.

Pan Karol poczuł zimny pot spływający wzdłuż kręgosłupa.

– Wie pan, jak od lat jestem oddany organizacji.

– Wiem, wiem – głos Nowaka, mimo zniekształceń, zdawał się łagodniejszy – pańskie specyficzne usytuowanie przynosi nam wiele korzyści, ale nie ma pan talentu do operacyjnego, szybkiego działania. Na szczęście sprawa skrytki jest ostatnim gorącym tematem. Potem będzie pan mógł, mam taką nadzieję, działać w spokojniejszych warunkach. Nominacja pewna?

– Tak, już podpisana.

– To dobrze. Da mu pan kilka dni spokoju, a potem chwyci za gardło. Niech pan każe swojemu, hm... specjaliście przenieść się do naszej kwatery numer dwa i nie wychylać stamtąd nosa, aż się uspokoi. Materiały ze skrytki natychmiast po odebraniu mają być zawiezione na lotnisko, przy wejściu dla VIP-ów będzie stał człowiek w mundurze Straży Granicznej. Proszę do niego podejść i powiedzieć: „Mam przesyłkę dla Pana Nowaka”. Gdy odpowie: „Dobrze, że pan się nie spóźnił, samolot Pana Nowaka wkrótce odlatuje” – przekaze mu pan paczkę. Od tego momentu proszę liczyć tylko na siebie. Odezwę się, gdy stwierdzę, że nie potrafi pan sprostać zadaniom, jakie stoją przed Hydram w najbliższej przyszłości. – I tu Pan Nowak, jak to miał w zwyczaju, rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Karol siedział chwilę nieruchomo, analizując przebieg rozmowy i zastanawiając się, ile szczerości było w obietnicy Nowaka dotyczącej jego przyszłej spokojnej działalności. Parsknął śmiechem, gdy zorientował się, iż posądza Nowaka o cechę, której ów nie posiada, czyli szczerłość. Sięgnął po telefon i po uzyskaniu połączenia rzucił w słuchawkę:

– Maks, wynoś się natychmiast z meliny. Ktoś cię namierzył na tym podwórku. Przenieś się do naszego bezpiecznego domu – po czym podał komandosowi adres i szyfr otwierający drzwi. Odłożył słuchawkę i jeszcze raz dziękował losowi, że tak szybko i sprawnie zlikwidowali kasyno. „Pani Amelii należy się mały prezent. Może jeszcze jedna kamea do kolekcji?” – pomyślał z sympatią o dystygowanej damie, której krucha i delikatna postać kryła przebiegłą inteligencję zawodowego przestępcy. Wrodzone skąpstwo jednak zwyciężyło. „Wyślę jej kwiaty” – zdecydował ostatecznie i wezwał sekretarkę, by kupiła bukiet na najbliższym bazarku. Tam było najtaniej.

Ze skupieniem oglądała fotografie, stwierdzając, że instynkt i tym razem jej nie zawiódł. Jej nowa młoda protegowana załatwiła sprawę błyskawicznie. Dwa dni w Luksemburgu, nienaganny francuski i wygląd Scarlett Johansson sprawiły, że podtatusiały menedżer średniego stopnia w korporacji Wiltera wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. „Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak” – pomyślała z satysfakcją i intensywnie zaczęła się zastanawiać nad przyczyną i celem tej zamiany miejsc.

Firmą świetnie zarządzano, unikając z powodzeniem rynkowych kryzysów, a Wilter był bardzo zamożnym człowiekiem z nienaganną opinią w świecie biznesu, choć menedżer z zazdrością opowiadał o jego nader bujnym życiu osobistym i otaczającym go gronie pięknych, pozbawionych zahamowań kobiet. Justyna nie mogła zdobyć jego zdjęcia, wizerunek szefa był jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic firmy, ale opis nie pozostawiał wątpliwości – grający w Warszawie rolę prezesa człowiek był tylko szoferem i jednym z najbardziej zaufanych ludzi Wiltera. Czyżby pod maską skromnego, małowównego asystenta ukrywał się prawdziwy prezes? Jeszcze raz zerknęła na zdjęcia dostarczone przez Kulasa. Jak sprytna Anita dała się tak nabrać? Czułe sceny w restauracjach, wspólne powroty do jej mieszkania, poranne wyjścia asystenta nie pozostawiały żadnych złudzeń. Czy to o nim nie chciała mówić? Irena zmarszczyła czoło i pokręciła głową. To niemożliwe, zbyt dobrze ją znała. Pewnie uległa jedynie jego urokowi i własnej nieposkromionej żądzy sięgania po wszystko, czego

chce. W końcu to nie jest nic przyjemnego sypiać z facetami dla kariery i udawać w łóżku orgazmy. Coś jej się od życia należy.

Ponownie z uwagą przyjrzała się fotografiom. Na dalszych były ujęcia z restauracji, w której prezes i jego asystent podejmowali Kasię. Na ostatnich prezesa już nie było, a asystent pochylał się w stronę dziewczyny z czułym, opiekuńczym gestem. Jeszcze raz wróciła do fotografii, na których był z Anitą. No tak, sprawa była jasna! Anita wpadła po uszy, a on okazywał jedynie grzeczne zainteresowanie! Mowa ciała nie kłamie, a Irena potrafiła doskonale ją czytać. Powoli puzzle wskakiwały na swoje miejsce. To on kazał odnaleźć Kasię. Ten otyły, pozbawiony manier i nieco tępowy facet wykonywał tylko jego polecenia! Odłożyła na stół kolorowe kartoniki i zamyśliła się głęboko.

Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób i kiedy wykorzysta te informacje, ale czuła, że pozwolą jej one znacznie skrócić smycz, na której trzymała Anitę, a kiedy dowie się, co knuje Wilter, być może założy obrożę także na jego szyję.

Cieszył się, że nie wybrał jednej z większych wysp, Rodos czy Lesbos, które nie mogły mu dać takiej anonimowości i spokoju jak ten maleńki półwysp, zamieszkały głównie przez rybaków łowiących makrele i sardynki, a w wolnych chwilach przesiadujących w nadbrzeżnej tawernie. Zachodził tam często, najpierw obrzucany podejrzliwymi spojrzeniami miejscowych, z czasem zaakceptowany i traktowany z całkowitą obojętnością. Szmer rozmów toczonych w języku, którego nie rozumiał, działał nań uspokajająco, a sprowadzana z Krety souma, wódka pędzona z winogron, doskonale uśmierzała nieustający niepokój i lęk, które powracały każdego ranka.

Redaktor kiwnął na właściciela, a ten szybko uzupełnił pusty kieliszek. Nie chciało mu się wracać do pustej chaty nad brzegiem morza, którą wynajął przez internet w greckim biurze podróży. Nie był zbyt wybrednym klientem, chciał tylko mieć prąd i drogę pozwalającą mu dotrzeć w razie potrzeby do najbliższego większego miasta. W chatce czekał laptop, który był jak wyrzut sumienia, przypominając nieustannie o rozpoczętym dziele.

To miało być podsumowanie jego życia. Moralitet utwierdzający pozycję nieomylnego autorytetu, którego kciuk skierowany w dół grzebał za życia, pograżając w nicości tych, którzy mu się sprzeciwili, natomiast uniesiony w górę namaszczał posłusznych i tak samo myślących oraz dawał prawo przynależności do elitarnego klubu ojców niepodległego narodu.

Wyszedł z zadymionej tawerny w rozgwieżdżoną noc i podmuch wiatru znad morza owionął go ciepłym strumieniem. Zapalił papierosa i ruszył wąską, opadającą łagodnymi zakolami ścieżką aż do brzegu, gdzie stała jego chatka.

Jeszcze raz zaczął rozważać, czy pomysł sięgnięcia po zapomnianą, późnośredniowieczną formę moralitetu był najlepszy. Dobro i Zło, Miłość i Nienawiść, Pycha i Pokora, Arogancja i Subtelność, Cnota i Zepsucie, Wiara i Nieufność – wszystkie te pojęcia miały stać się alegorycznymi postaciami w przypowieści o walce toczonej o duszę człowieka, zagubionego i szukającego swojej drogi w chaosie życia. Ale to, co chciał stworzyć, nie miało być religijnym misterium, opiewającym wedle chrześcijańskiej moralności zwycięstwo trwania w nocy nad pokusami. Ta przypowieść miała pokazać Polskę taką, o jaką walczył. Jego człowiek, zagubiony w politycznym labiryncie, miał dostać jasne wskazówki, a twórcą kierującego go ku zbawieniu drogowskazu będzie tylko On – Redaktor...

Ocknął się w ciemnym pomieszczeniu z niejasnym wrażeniem, że wydarzyło się coś złego. Dobiegające z kąta blade światło małej naftowej lampki pozwoliło mu stwierdzić, że chyba jest w swojej chacie. Usiłował wstać i z przerażeniem stwierdził, że siedzi nagi, przywiązany do prostego, topornego krzesła, skleconego byle jak i wyjątkowo niewygodnego.

– Myślał pan, że w kraju Herkulesa ukryje się przed Hydrą? – spokojny męski głos zadał to pytanie wytworną angielszczyzną, z akcentem charakterystycznym dla wychowanków Oksfordu.

Redaktor z trudem wydobyl głos ze ściśniętego strachem gardła.

– Kim pan jest, czego pan chce?

Mężczyzna pozostawał poza małym kręgiem światła rzucanym przez lampkę i mimo wysiłku Redaktor nie mógł dojrzeć jego twarzy.

– Niewiele. Tylko odpowiedzi na dwa pytania – gdzie jest nagranie i kto o nim wie.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Wie pan doskonale. Proszę się nie obawiać o swoje życie – tym razem zlecenie nie przewiduje ostatecznego rozwiązania. I proszę nie kreować się na bohatera. Pan nic nie wie o bólu, a ja wiem wszystko i jestem mistrzem w jego zadawaniu. Nie stosuję prymitywnych metod, jakie doskonale pan zna – zastraszania, zamykania, psychicznego terroru, ordynarnego kaleczenia ciała. To można wytrzymać. Zgodzi się pan ze mną? Oczywiście to retoryczne pytanie. Ból można znosić do pewnego momentu, można się do niego przyzwyczaić, ignorować, włączyć psychiczne blokady, pozwalające o nim nie myśleć. Ale ból, który ja potrafię wywołać, jest nie do opisanania i złamie każdego. Wielokrotnie się o tym przekonałem. A więc chce pan doświadczyć koszmaru, jakiego nie można sobie nawet wyobrazić, czy się dogadamy?

Redaktor daremnie szukał w mroku twarzy swojego prześladowcy. Chciał, patrząc mu prosto w oczy, rzucić stanowcze „nie”, ale nie mogąc przebić wzrokiem panującego mroku, zacisnął z uporem wargi i milczał.

– No cóż, trudno. Ponieważ ma pan przeżyć, nie powinien pan widzieć mojej twarzy.

Rozległy się kroki i Redaktor zobaczył wyłaniającą się z ciemności postać wysokiego mężczyzny w kominiarce na głowie...

...Światło wschodzącego słońca z wysiłkiem przebijało się przez małe, oprawione w grube ramki szybki okien nadmorskiej chaty. Gdyby nawet ktoś zajrzał w to odludne miejsce, z trudem dojrzałby skuloną w rogu pokoju postać: naga, trzęsącą się i zawodzącą głosem przypominającym skowyt rannego zwierzęcia.

Scor nie pozostawił na jego ciele żadnych śladów, ale wspomnienie tych budzących grozę godzin sprawiło, że Redaktor chciał umrzeć.

Bernard de la Viterliers spoglądał z łagodnym uśmiechem na siedzącą naprzeciwko dziewczynę. Klasyczne dżinsy, bawełniana koszulka bez napisów i brak najmniejszego choćby śladu makijażu na twarzy sprawiły, że Kasia wyglądała bardzo dziewczęco i niewinnie.

– Mogę ci mówić po imieniu?

– Ależ oczywiście!

– Wasz język jest taki miękki, szeleszczący... Catherine.

– Proszę mówić Kasia.

– O la la! To wymaga ćwiczeń. Kaszia, Kasja... sama widzisz – zaśmiał się cicho, ale natychmiast spowaźniał. – Jeszcze raz chciałbym cię bardzo przeprosić. To moja wina, że tak późno i nieskutecznie zareagowałem na grubiaństwo Georges'a. Zbyt popuszczałem mu cugli. Jest moim jedynym krewnym, pokładałem w nim wielkie nadzieje, chciałem, żeby nie tylko godnie nosił nasz tytuł i nazwisko, ale w przyszłości przejął także rodzinny interes. Niestety, odziedziczył wszystkie najgorsze cechy przodków – jest butny, arogancki, leniwy, a do tego odporny na wszelką wiedzę.

Kasia popatrzyła na staruszkę ze współczuciem.

– Proszę się już nie przejmować tym incydentem. Zimny prysznic, jaki mu sprawiłam, przyniósł mi całkowitą satysfakcję.

Oboje uśmiechnęli się na wspomnienie tej sceny.

– Powiedz mi, Catherine, skąd tak świetnie znasz nasz język?

Smutek pojawił się w oczach dziewczyny.

– Mój tata rozmawiał ze mną po francusku od moich najmłodszych lat. Okazało się, że mam talent do języków, i wkrótce czytałam i mówiłam po francusku prawie tak dobrze jak on. Czytaliśmy razem Balzaka, Dumasa, Zolę. To nieprawdopodobne, ale jako dziewczynka znałam większość najważniejszych dzieł francuskich klasyków w oryginale. Moje siostry mówią już po francusku prawie tak dobrze jak ja, a to zaledwie dziesięć latki.

– A więc tata musi być świetnym nauczycielem.

– Zmarł, gdy miałam trzynaście lat. Bliźniaczki skończyły wtedy trzy... Ja je uczyłam. To była świetna zabawa. Uznały, że będzie to nasz tajny język. Czasami muszę je strofować, gdy w obecności naszych znajomych robią beczelne uwagi na ich temat, wiedząc, że poza mną nikt tego nie zrozumie.

Bernard de la Viterliers spojrzął na dziewczynę ze współczuciem.

– Wiem, jaki to ciężar stracić osobę, którą kochało się nad życie.

Kasia zeszytywniała, nerwowo zacisnęła dłonie i uciekła wzrokiem przed przenikliwym spojrzeniem starszego pana. Udał, że tego nie zauważył, i zaczął opowiadać cichym, spokojnym głosem:

– Daliśmy jej na imię Aurora, bo była jak jutrzienka po długiej, ciemnej nocy, smutnej i pełnej wzajemnej niechęci. Tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko! To, że go nie było, zaczęło nas dzielić. Każde z nas w głębi ducha miało pretensję do drugiego, obwinialiśmy się wzajemnie, nasze małżeństwo rozpadało się jak źle zbudowany dom, dom bez fundamentów. I wtedy zdarzył się cud! Wraz z Aurorą wróciła nasza miłość, w domu zagościło szczęście i spokój. Aurora od dziecka była niezależna i uparta. Nie chcieliśmy jej w niczym ograniczać, tym bardziej że zawsze miała wiele zdrowego rozsądku i ostatecznie za każdym razem potrafiła nas przekonać, że postępuje słusznie i wie, co robi. Oczywiście jak każda nastolatka przeżywała fascynacje i upadki, ale umiała wyciągać wnioski z własnych błędów i zwykle kończyło się to w miarę bezboleśnie. Byłem taki dumny, gdy oznajmiła nam, że będzie studiować medycynę... Po pierwszym roku oświadczyła, że wyjeżdża do Afryki razem z wolontariuszami z organizacji Lekarze bez Granic. Na nic zdały się nasze protesty, wygłaszane zresztą bez przekonania, bo wiedzieliśmy, że kiedy nasza córka podejmie decyzję, nikt i nic nie będzie w stanie tej decyzji zmienić. Każdego dnia jej nieobecności umieraliśmy ze strachu, każda, rzadka zresztą, wiadomość od niej budziła nadzieję, że wkrótce do nas wróci. Po roku przysłała zdjęcie, na którym obok niej stał młody chłopak o urzekającym uśmiechu. „To Emilien – napisała na odwrocie. – Jest lekarzem. Właśnie wzięliśmy ślub. Jestem taka szczęśliwa! Kocham Was!”. Minął następny rok i przyszło kolejne zdjęcie. Aurora trzymała w objęciach niemowlę. „To wasz wnuk. Właśnie skończył miesiąc. Ma na imię Bernard, tak jak Tata. Mam nadzieję, że wyrośnie na równie wspaniałego człowieka. Mamo, jestem taka szczęśliwa, kocham Was, Emilię i Bernarda! Niedługo wrócimy, chcę, by nasz syn poznał Dziadków, by otoczyli go taką miłością, jaka mnie była dana”. Nie zdążyli uciec z Rwandy. Cały obóz wolontariuszy wycięto w pień. Ciało ułożono na stosie i podpalono. Świat o tej zbrodni dowiedział się dopiero kilka tygodni później. Matka Aurory straciła wolę życia i zmarła kilka miesięcy później. Zostałem sam, targała mną rozpacz i nienawiść do losu, który w tak okrutny sposób odebrał swój cudowny dar. Nie mogłem uwierzyć, że byli na tym stosie. Wiele lat szukałem śladów Aurory i jej rodziny, ale bezskutecznie.

Pan Bernard zamilkł, pochylił głowę i pograżył się w zamyśleniu. Kasia siedziała nieruchomo, a łzy spływały powoli po jej policzkach. Przysłuchana ogromem nieszczęścia, które spotkało tego starego człowieka, nie śmiała przerwać ciszy, jaka zapadła w przestronnym hotelowym apartamencie. W końcu de la Viterliers wyprostował się i smutno uśmiechnął.

– Tak bardzo mi przypominasz Aurorę. Jesteś tak samo odważna, dumna i niezależna. Wzbudziłaś we mnie wspomnienia, które starałem się przez te wszystkie lata tłumić. Chciałem zapomnieć o istnieniu Aurory, by nie pamiętać o jej śmierci.

– Wspomnienia to jedyna cenna rzecz, jaka pozostaje po tych, których kochaliśmy i straciliśmy. Opowiem panu o swoich...

Pan Bernard uważnie słuchał, a Kasia kreśliła portret cudownego ojca, zabawnych i rozbrykanych sióstr, i ani się spostrzegła, kiedy opowiedziała też o kłopotach, które sprowadziły ją do Warszawy.

– Moje dziecko, powiem szczerze, że nie podoba mi się ta historia z konkursem. Zostaw to, chętnie ci pomogę, to są naprawdę śmieszne pieniądze.

– Wzięłam pieniądze i muszę wypełnić swoje zobowiązania – przerwała mu oburzona. – Nie mogę przyjąć pomocy od nieznajomego.

– Kasja, dumna Kasja, wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek na tym świecie. Otworzyłem przed tobą serce, bo stałaś mi się bliska. Jest w tobie coś z Aurory i to pozwala mi traktować cię jak córkę. Chciałbym, żebyś choć w niewielkiej części zapełniła pustkę po Aurorze. Pomożesz mi o niej pamiętać. To jest numer telefonu, który znają tylko dwie osoby – mój makler i zarządca moich winnic. Ty będziesz trzecia. Zadzwoń, jeśli uznasz, że potrzebujesz pomocy. A teraz wybac, nasza rozmowa mocno mnie wyczerpała. – Pan Bernard z wysiłkiem wstał z fotela i wręczył jej wizytówkę.

– Dziękuję – szepnęła Kasia. „Niech Bóg ześle spokój pana duszy” – pomyślała, opuszczając hotelowy apartament, w którym starszy pan pozostał sam ze swoimi wspomnieniami.

Zanim adwokat dotarł do więzienia, Grubocki już wiedział, że zażalenie na areszt zostało odrzucone. Nie spodziewał się niczego innego. Szedł na spotkanie z mecenasem niechętnie, ponieważ był pewien, że mimo szczyrych chęci i zapału wysiłek młodego prawnika będzie daremny.

Tkwiał jakby w zawieszeniu. Gdzieś toczyło się prawdziwe życie, z którego tak brutalnie go wyrwano, niwecząc jego plany, marzenia, całą przyszłość. Tu, za murami więzienia, istniał zupełnie inny świat, rządzący się swoimi prawami i zasadami, którym Grubocki musiał się podporządkować, bo wiedział, że to jedyny sposób na przetrwanie. Był zaskoczony, kiedy odkrył, że potrafi panować nad swoim umysłem do tego stopnia, iż może blokować wszystkie myśli o przeszłości i starannie ograniczać te dotyczące przyszłości. Pomagał mu w tym regulamin. Ścisłe określone godziny pobudki, apelu, posiłków, gaszenie światła o dziesiątej wieczorem, wizyty w bibliotece, gdzie ze zdumieniem odkrył całkiem bogaty księgozbiór, i wreszcie milczący towarzysz w celi pozwoliły mu zamknąć cały wszechświat w granicach ścian małej, ubogiej w sprzęty celi. Zrozumiał, że sytuacja, w której się znalazł, nie wymaga od niego podejmowania żadnych decyzji. Tu inni rozstrzygają o jego losie. Początkowo nie mógł się z tym pogodzić, ale w końcu to zaakceptował, przypominając sobie afrykańskie przysłowie: „Czasem walczysz, czasem uciekasz, czasem nic nie robisz”. Teraz był czas „nicnierobienia”. Ten przeznaczony na walkę kiedyś nadejdzie.

Adwokat poderwał się na jego widok i gorączkowo zaczął wyrzucać z siebie potok słów, tłumacząc mętnie, jak doszło do przegranej.

– Proszę się uspokoić, nie ma w tym pańskiej winy. Spodziewałem się takiego werdyktu. Czy ma pan jakieś wieści od dziadka?

Mecenas pokręcił przecząco głową.

– Nagrałem się kilka razy na sekretarkę, ale jeszcze się nie odezwał.

– Niech pan mu przekaże, żeby się nie martwił. Nic nie trwa wiecznie. Ani szczęście, ani rozpacz...

Uchyliła skrzypiącą furtkę i powoli szła w kierunku domu, kiedy spostrzegła warującą na ganku Malte. Podeszła do suki.

– Pani Ewelina wyrzuciła cię z domu? Sprząta?

Malta smętnie zamiotła ogonem i położyła głowę na skrzyżowanych łapach.

Nagle Kara usłyszała jakiś głos dochodzący od strony ogrodu. Zza starych, starannie przystrzyżonych w kulę cisów wyłoniła się postać w ogromnym słomkowym kapeluszu, przewiązanym cienkim woalem, z koszykiem pełnym pąków róż.

– Zobacz, droga Karo, te obrzydliwe liszki zniszczyły najpiękniejsze róże Kasi! Muszę kupić jakiś preparat.

– Żaden nie pomoże. Kasia oglądała róże kilka razy dziennie i udawało jej się usuwać liszki, zanim dobrały się do pąków.

Ewelina odstawiła koszyk i przysiadła na wąskiej ławeczce stojącej pod starym dębem, czyniąc zapraszający gest w stronę Kary.

– Siadaj, kochanie, musimy porozmawiać. Kasia w dalszym ciągu nie wie, że tu jestem?

Kara zarumieniła się lekko i spojrzała na starszą panią z pewnym zakłopotaniem.

– Nie wiem, jak jej to powiedzieć... Dzwoni codziennie, dopytuje się o dziewczynki, Malte... Ledwo ją przekonałam, żeby nie telefonowała do domu, bo bliźniaczki już pogodziły się z jej chwilową nieobecnością i czekają po prostu na jej powrót. Okłamuję najlepszą przyjaciółkę i nadużywam jej zaufania.

Pani Ewelina uniosła rękę i delikatnie dotknęła jej ramienia.

– Karo, postąpiłaś słusznie. Jeśli nawet Kasia początkowo tego nie zrozumie, będzie miała do ciebie pretensję, czyniła wyrzuty, to z czasem pojmie, iż twoja przyjaźń jest szczerą, a troska i niepokój wypływają z głębi serca.

– Nie wiem, ona jest taka bezkompromisowa, jeszcze za młoda, by zrozumieć, że świat nie jest biało-czarny.

Milczały przez chwilę, aż wreszcie Ewelina oznajmiła zdecydowanym tonem:

– Jedziemy do Warszawy!

– Po co? – wystraszyła się Kara.

– Chcę zobaczyć, jak moja wnuczka tam sobie radzi. Już zamówiłam dla nas hotel i bilety na konkurs. Jedziesz z nami!

Ton pani Eweliny wskazywał, iż dyskusja na ten temat jest bezowocna, a jakkolwiek sprzeciw w ogóle nie będzie wzięty pod uwagę.

– Isia i Misia już wiedzą?

– Dowiedzą się w ostatniej chwili, inaczej zamęczyłyby mnie na śmierć pytaniami i swoimi przygotowaniem do podróży.

Kara zawahała się odrobinę, ale odważnie zadała pytanie, które ją nurtowało od chwili pojawienia się Eweliny Turskiej w Pszczelinie.

– Jak wam się układa? Czy Isia i Misia nie są zbyt... bezpośrednio w swych opiniach? Wie pani, one są wyjątkowo inteligentne, bystre, trudne do okiełznanie, nie znoszą przymusu, wszystko muszą zrozumieć i zaakceptować, bez przerwy zadają pytania. To bywa męczące, nawet Kasia czasami traciła cierpliwość, choć starała się tego nie okazywać.

Łagodny, ciepły uśmiech zagościł na twarzy pani Eweliny.

– Są jak młode źrebaki, beztrasko hasające po pastwisku, przyzwyczajone do swobody. Nadejdzie jednak taki dzień, kiedy poznają smak wędzidła, ciężar siodła i pojmą, iż nie ma całkowitej wolności bez pewnych ograniczeń. Najważniejsze, by ten proces przebiegał bezboleśnie, niepostrzeżenie. Żrebaka nie można złamać, trzeba go łagodnie, choć zdecydowanie ułożyć. Na drugi dzień po moim przyjeździe, kiedy wieczorem przyszłam powiedzieć im dobranoc, zapytały słodko, czy chcę usłyszeć bajkę. Zdziwiłam się trochę, takie duże pannice, a tu bajka? Wyjaśniły, że to ich codzienny rytuał i Kasia zawsze im coś opowiada przed snem, a teraz one zastąpią Kasię. Zgodziłam się i opowiedziały...

– Którą? – zapytała Kara z lekkim niepokojem.

– O Czerwonym Kapturku.

– O Boże!

– No właśnie. Wilk połknął babcię, ale natychmiast ją wypluł i patrząc z wyrzutem na Czerwonego Kapturka, powiedział: „Ona jest niestrawna! Jest tak przesycona złością i egoizmem, że mój organizm tego nie znieśnie”. Babcia wyglądała pomiętą spódnice, posyłając wilkowi spojrzenie, które mogło zabić, ten jednak zupełnie to zlekceważył, czekając w napięciu na reakcję Czerwonego Kapturka. Dziewczynka z namysłem spoglądała to na babcię, to na wilka: „Masz rację, wilku, idźmy stąd. Nie jesteś taki zły, tylko muszę cię nauczyć dobrych manier, oczywiście pod warunkiem, że już nigdy nikogo nie połkniesz. A babcia... no cóż, jej chyba już nie zmienię. Będzie musiała sama chodzić po zakupy. Bez niej, wilku, będzie nam lepiej”. I wyszli z małej chatki w środku lasu. Na tym skończyły i patrzyły na mnie wyczekująco, ukrywając złośliwy, pełen satysfakcji uśmieszek.

– I co pani na to?

– Poglaskałam je po głowie i stwierdziłam, że czasami zwierzęta bywają lepsze niż ludzie. Na przykład wilczyca, która wykarmiła Romulusa i Remusa. Powiedziałam im „dobranoc” i zostawiłam je mocno speszone. Kiedy za chwilę ukradkiem zerknęłam przez lekko uchylone drzwi, zobaczyłam, jak zapamiętałe przerzucają strony encyklopedii. Nie mogły znieść, że nie wiedzą, kim byli Romulus i Remus.

– A poza tym? – Kara nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Negocjujemy i zawieramy kompromisy. Czasem ja ustąpię, czasem one, ale jedno ci powiem – nareszcie żyję i każda sekunda tego życia jest fascynująca.

Kara pomyślała, że bliźniaczki całkowicie zawiądnęły sercem pani Eweliny, tyle że ona nie chce się do tego przyznać, udając stanowczość i konsekwencję. Widziała jednak wyraźną różnicę między kobietą, którą spotkała w Krakowie, a pogodną, uśmiechniętą i pełną chęci do życia osobą siedzącą teraz w cichym ogrodzie w Pszczelinie. Po chwili zorientowała się, że Ewelina spogląda na nią uważnie.

– Wybacz, Karo, ale pozwól, że coś ci powiem. Myślisz ciągle o innych. Kiedy zajmiesz się sobą? Praca zbyt cię pochłania, nie potrafisz uwolnić się od niej nawet w domu. Karo, życie mija tak szybko, że nawet tego nie zauważasz. Pozwól, że stara kobieta udzieli ci pewnej rady. Pomyśl nareszcie, czego ty chcesz, a nie czego potrzebują inni. – I nie czekając na odpowiedź, wstała i powoli odeszła.

Kara długo siedziała na małej ławeczce, zaglądając w najdalsze zakamarki swojej duszy. Bardzo chciała odpowiedzieć na pytanie, czego tak naprawdę pragnie, ku czemu zdąża i co chce osiągnąć, ale choć momentami była blisko i wydawało się, że jest o krok od znalezienia tej najważniejszej odpowiedzi, wysiłek okazał się daremny. Nie była jeszcze na to gotowa.

# Część piąta

Anita

– I raz, i dwa, i trzy, i obrót, i raz, i dwa...

Dziewczyny były już mocno zmęczone, próba trwała od rana, a Zuzanna, choreografka, nie miała dla nich litości. Z utęsknieniem czekały na zapowiedziany wcześniej krótki odpoczynek, gdy nagle zamieszanie z boku sceny, łomot i krzyk bólu przerwały próbę.

Kasia leżała na parkiecie i z przerażeniem patrzyła na rękę, która puchła w oczach. Przejmujący ból promieniował aż po bark i dziewczyna bezradnie rozglądała się wokół, szukając pomocy.

– Co tak stoicie jak zamurwane, pomóżcie jej wstać! – Zuzanna huknęła na dziewczyny, które przyglądały się Kasi z dziwnym wyrazem twarzy. Z wyraźną niechęcią dwie z nich ruszyły i pomogły koleżance podnieść się z podłogi. Choreografka podbiegła do nich i zaczęła oglądać zwisającą bezwładnie dłoń.

– Możesz ruszać palcami? – zapytała z troską.

Kasia z wysiłkiem rozprostowała palce.

– Mogę, ale bardzo boli!

– Na moje oko nic sobie nie złamałaś, ale trzeba prześwietlić.

Kiedy Kasia wróciła do hotelowego pokoju, zaopatrzona w worek lodu, kompresy i płyn na okłady, z ulgą stwierdziła, że nie ma w nim Magdy. Niezdarnie zdjęła opatrunek, wysypała kilkanaście kostek lodu na gazę i przyłożyła do bolącego miejsca. Poczula chwilową ulgę, położyła się i kiedy pulsujące rwanie w dłoni zaczęło pomalą ustępować, zapadła w nerwową drzemkę, przerywaną nawrotami bólu i zmianą lodowego opatrunku.

Magda pojawiła się w pokoju kilka godzin później. Bez słowa poszła do łazienki i Kasia usłyszała szum płynącej z prysznicy wody. Zaciśnęła usta, usiadła na łóżku i czekała, aż koleżanka ponownie pojawi się w pokoju.

– Która z was to zrobiła?

Magda starannie wycierała włosy, całkowicie ignorując Kasię.

– Nie udawaj, że nie słyszysz! Stałaś tuż za mną, musiałaś widzieć, jak któraś z nich podstawiła mi nogę. To nie był wypadek czy moja nierzęczność, to było celowe!

– Chyba przesadzasz. – Magda bez cienia współczucia przyglądała się okręconej bandażem dłoni. – Złej baletnicy...

– Słuchaj, Magda, ja wiem, co się stało. I bardziej niż odpowiedź na pytanie, kto, interesuje mnie, dlaczego. Jak któraś z was mogła uciec się do tak nieuczciwego i wstrętnego zagrania?

Magda odłożyła ręcznik i spojrzała na koleżankę z wyraźną niechęcią.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? No to posłuchaj. Naiwna, szczerza i uczynna panienka z prowincji, jaką usiłowałaś przed nami odgrywać, okazała się spryciarą kutą na cztery nogi! Owszem, wszystkie chcemy wygrać, ale uczciwie ze sobą konkurując. Dołączyłaś do nas w ostatniej chwili, ja poznałam te dziewczyny wcześniej i wiem, że żadna z nich nie zrobiłaby tego, co ty!

– Czyli czego? – Zdumiona Kasia zupełnie nie wiedziała, co Magda może mieć na myśli.

– Tego, przed czym uciekłam. Upokarzającego płacenia sobą. Za ciuchy, kosmetyki, kolacje w restauracjach, wreszcie – tytuł w konkursie piękności.

– Jak śmiesz! – przerwała jej oburzona Kasia. – Nic takiego nie miało miejsca!

– Tak, oczywiście – drwiła Magda – tylko dlaczego wszyscy wiedzą, że wygrasz? Żanet, Zuzanna, Flejtuch – oni nawet nie ukrywają, że jesteś faworytką. Kolacja ze śniadaniem widać się opłacała.

Magda odrzuciła ręcznik. Mokre włosy szczerze oblepiały kontur jej twarzy, uwydatniając ogromne błękitne oczy, rzucające spojrzenia ostre jak promień lasera.

– Pamiętasz, jak cię przestrzegałam? Nawet nie zapytałaś, dlaczego tak się stoczyłam, co sprawiło, że byłam gotowa płacić ciałem za parę groszy. Tak się spieszyłaś na spotkanie ze sponsorem. Milcz! – Magda uniosła rękę i Kasia opadła natychmiast na fotel. – Wysłuchasz mnie do końca! Siedziałam w akademiku i wkuwałam do ostatniego egzaminu. Miałam szansę być najlepsza na roku, dostać stypendium. Wyciszony telewizor szumił monotonicznie, ale mnie to nie przeszkadzało. W pewnej chwili oderwałam wzrok od książki i zerknęłam na ekran. Zobaczyłam grupkę zapłakanych kobiet, a wśród nich moją matkę! Zerwałam się z krzesła i podbiegłam do telewizora, nerwowo rozglądając się za pilotem. Oficjalnie smutnym głosem lektor informował o wybuchu metanu w kopalni. Głęboko pod ziemią odciętych zostało od drogi ewakuacyjnej kilkunastu górników. „Trwa akcja ratunkowa”, relacjonował, „utrudnia ją zagrożenie dalszymi wybuchami”. Zrozumiałam, że tam, pod ziemią, bezsilny wobec zapory szalejącego ognia, jest mój ojciec!

Zostawiłam wszystko, chwyciłam torebkę i czekając na dworcze, stałam przed ekranem, słuchając z zamartwym sercem dalszych informacji. Kiedy wreszcie dotarłam do domu, zatrzymałam się przed progiem naszego mieszkania i bałam się go przekroczyć. Wreszcie uchyliłam drzwi i weszłam. Zobaczyłam matkę, która z kamiennym wyrazem twarzy czyściła galowy mundur ojca. Ślączki są twarde, a żony górników szczególnie. Każda z nich skrywa głęboko w sercu strach, jaki ją ogarnia za każdym razem, gdy mąż wychodzi na szczytę. I jeszcze większy, gdy czeka na jego powrót... Zrozumiałam, że matka na swój sposób żegna się z ojcem, uparcie pociągając szcztoką po idealnie czystym materiale. Powoli do niej podeszłam, usiadłam obok i chwyciłam brzeg kurtki, przyciskając go to twarzy. Tak bardzo chciałam poczuć zapach ojca, zapach płynu do golenia, talku i fajkowego tytoniu. Zapach szczęścia i bezpieczeństwa.

Matka, nie patrząc na mnie, powiedziała: „Twoi bracia i siostra są u ciotki”. I wróciła do czyszczenia czarnej tkaniny. Siedziałyśmy tak przez całą noc, pochylone nad mundurem ojca i żadna z nas nie uroniła nawet jednej łzy, choć nasze serca krwawiły. Ślączki są twarde, a żony i córki górników szczególnie...

Magda zamilkła ze ściągniętą twarzą, wspominając to nocne czuwanie.

– Potem było jak zwykle. Podniosłe przemówienia, ordery, zapewnienia polityków, że otoczą opieką wdowy i sieroty... I fala niepamięci, z upływem czasu zmywająca te wszystkie podniosłe słowa i obietnice, by pozostawić w samotności i smutku tych, którzy ciągle pamiętali. Ale ja się nie poddam. Ojciec, który siedzi tam wysoko na chmurce i pyka ze swojej fajeczki, pogroziłby mi palcem i powiedział: „Dzioucho, jakże tak, tyś przecie nasza, twarda jak to czarne złoto, dzięki któremu żyliśmy”. I dlatego teraz tobą gardzę!

Kasia, trzęsąc się z gniewu, poderwała się z łóżka i stanęła na środku pokoju.

– Kolacja była okropna! Zrobiłam wszystko, by tego faceta do siebie zniechęcić. Owszem, wróciłam nad ranem, ale nie prosto z jego łóżka, czego zdaje się jesteś pewna. Te kilka godzin spędziłam z Markiem, jego asystentem. Rozmawialiśmy, spacerowaliśmy, odprowadził mnie nad ranem do hotelu i nie wykonał żadnego gestu, który mogłabym odczytać jako niedwuznaczną propozycję.

Ręka dotkliwie o sobie przypomniła, Kasia przysiadła więc na brzegu fotela i w napięciu czekała na to, jak zareaguje Magda, która nie



patrzając na nią, nerwowo skubała brzeg wilgotnego ręcznika. Po dłuższym milczeniu dziewczyna z wahaniem powiedziała:

– Chciałabym ci wierzyć, ale to wszystko, co się dzieje wokół ciebie, budzi wątpliwości i podejrzenia. Twoja poprzedniczka nagle zniknęła i do dziś nie wiemy, co ją do tego skłoniło. Te szeptys wśród ludzi kręcących się przy konkursie; nagle przerywane rozmowy, gdy się pojawiają; plotkujące dziewczyny. Widzisz, może one robią to z zazdrości, może przeczuwają, że jesteś dla nich olbrzymią konkurencją, ale mnie to dotknęło osobiście. Przez ciebie tracę wiarę w to, że postępuję słusznie.

Kasia niepewnie zbliżyła się do niej i usiadła obok.

– Magda, przysięgam na wszystko, co kocham, że twoje podejrzenia nie mają nic wspólnego z rzeczywistością! Gdybym nawet wiedziała, że nic nie osiągnę w tym konkursie, nie mogłabym tak nisko upaść, by zrobić coś wbrew sobie.

Magda pierwszy raz spojrzała prosto w jej zielone, przesłonięte wzbierającymi łzami oczy i to, co tam zobaczyła, powoli zaczęło do niej docierać. Nie można kłamać, mając tak czyste i szczere spojrzenie. Poczła wstyd.

– Przepraszam – szepnęła – ale tak trudno się oprzeć, gdy wszystko ciągnie cię na dno.

– Nie martw się – powiedziała stanowczo Kasia – skończysz tę swoją informatykę, a wielkie firmy będą się o ciebie biły, bo jesteś inteligentna, zdolna i masz charakter. Jak powiedziałaś? Córci górników są twarde? Pamiętaj tylko o tym, zapomnij o tym obrzydliwym epizodzie. On nie świadczy o twojej słabości, tylko o sile. – Przytuliła drżącą dziewczynę, zapominając o Pszczelinie, o własnych kłopotach i nadziejach związanych z konkursem.

Wielka blondyna z trudem wspinała się po zwirowej alejce łazienek i Koliński patrzył z rozbawieniem, jak niebotycznej wysokości szpilki chwieją się co chwila na nierównościach spacerowej dróżki. Sapała głośno, wielka grzywa natapirowanych włosów co i rusz spadała na spocone czoło, co mocno denerwowało ich właścicielkę, która gniewnie mruczała coś pod nosem. Gdy zaczęła zbliżać się do jego ławeczki, szybko odwrócił wzrok, by nie zachęcić jej do odpoczynku właśnie w tym miejscu, ale było już za późno. Ławeczka zatrzeszczała pod imponującym ciężarem, a Koliński poczuł słodki, mdły zapach perfum, ulatniający się z chusteczki, którą dama chłodziła czerwoną, lekko spoconą twarz.

– Jak one mogą w tym chodzić? – zabrzmiał głęboki baryton i gazeta, którą Koliński wyciągnął przed chwilą, by odgrodzić się od intruzki, wypadła mu z rąk.

– To pan, panie Staszku?

– A pan myślał, że kto? Marilyn Monroe? – Zirytowany mężczyzna otworzył wielką różową torebkę i zaczął w niej nerwowo grzebać. – I jakim cudem w tych głębiach bałaganu mogą cokolwiek znaleźć?

Koliński patrzył ze zdumieniem na imponujący biust, rysujący się pod opiętym żakiem, i wściekle różowe usta, w których pojawił się wreszcie papieros z paczki odnalezionnej w przepastnych zakamarkach torebki.

– Czy pan aby nie przesadza? Wszystko wskazuje na to, że nasi... kontrahenci nie śledzą każdego mojego kroku, więc po co ta maskarada?

– Żeby nie wyjść z wprawy – spokojnie odpowiedział Staszku. – Wie pan, jeszcze nigdy nie przebierałem się za kobietę, chciałem, że tak powiem, trochę potrenować. No i jak wyglądam? – Kokieteryjnie zerknął na Kolińskiego i wystudiowanym gestem odrzucił z czoła pukiel platynowych włosów.

– Szczerze mówiąc, jak enerdownska kulomiotka, która przesadziła ze sterydami. I ten okropny róż!

– Nie wie pan, co jest teraz cool! – oburzył się Staszku. – To najmodniejszy kolor tego sezonu. A poza tym mężczyźni lubią duże blondynki, więc pańska uwaga nie uraziła mojej delikatnej kobiecej psychiki.

– Panie Staszku, jest pan przecież mężczyzną!

– No właśnie – detektyw lekko się zmieszał – widzi pan, jak świetnie wszedłem w rolę?

Koliński nie raczył odpowiedzieć i Staszku, widząc, jak prezes z irytacją marszczy czoło, pospiesznie zaczął swoją relację.

– U dziewczyn wszystko w porządku. Niech pani Agata nie zamartwia się, żadne podejrzane typy nie kręcą się w ich pobliżu. Martwi mnie tylko ten konkurs. Coś mi tu śmierdzi. Po co ona się tam pchała?

– Nie wiem. Agata twierdzi, że to mądra, nad wiek dojrzała dziewczyna. Była mocno zaskoczona, gdy jej opowiedziałem o tej wyprawie do Warszawy. Mój niepokój wzbudza natomiast fakt, że to właśnie tam, na finałowym koncercie, ma dojść do wymiany. Sądzi pan, że to zbieg okoliczności?

Staszku milcząco pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie sądzę, żeby wiedzieli o dziewczynie. Niech pan się nie martwi, i tak przyjdę tam z towarem, więc będę miał na wszystko oko.

Koliński jeszcze raz ukradkiem zerknął na okazały biust detektywa i wstając, rzucił krótko:

– Tylko błagam, niech pan się już nie przebiera za kobietę.

Ruszył szybko przed siebie, widząc zbliżającego się do ławki podstarzałego, niskiego eleganta z laseczką w ręku i w słomianym kapeluszu, który najwyraźniej chciał zająć jego miejsce u boku dorodnej blondyny.

– Szowinistyczna świnią! – usłyszał za chwilę piskliwy krzyk i odwracając się, zobaczył, jak Staszku wali eleganta torebką po głowie i dumnie, chwiejąc się lekko na szpilkach, odchodzi w stronę wyjścia. Uśmiechnął się lekko i pomyślał, że detektyw zdobył nowe doświadczenie. Kobiety muszą sobie radzić nie tylko z wysokimi obcasami.

W napięciu czekał na rozpoczęcie konferencji prasowej premiera, zerkając od czasu do czasu na plik dokumentów leżących obok na stoliku. Rzecznik rządu jak zwykle przedstawił szefa oraz towarzyszących mu ministrów i oddał głos premierowi. Ten mówił długo o kolejnych ustawach skierowanych przez rząd do parlamentu, apelując o ich szybkie rozpatrzenie. Zgromadzonych dziennikarzy interesowało to średnio, wyraz znudzenia pojawił się także na twarzach zasiadających obok premiera ministrów prawa i spraw krajowych.

– Jak zapewne państwo wiedzą, w ostatnich dniach policja i prokuratura odnotowały szereg sukcesów w walce ze zorganizowaną przestępczością, a także korupcją wśród urzędników państwowych. To, co zapowiadaliśmy w naszym programie wyborczym, jest konsekwentnie realizowane i każdy, bez względu na swoją pozycję i funkcję, każdy, kto popełnia przestępstwo, nie może czuć się bezpiecznie i bezkarnie. – Szef rządu zakończył wreszcie swoje wystąpienie akcentem, który wyraźnie ożywił przysypiających żurnalistów. Las rąk pojawił się w górze i rzecznik, który miał pewne kłopoty z rozpoznaniem obecnych, wskazał palcem młodą dziennikarkę, przedzierającą się do ustawionego w rogu sali mikrofonu.

– Mam pytanie do ministra prawa. Czy aresztowanie prokuratora Grubockiego to początek czyszczenia struktur jednego z podległych panu urzędów? Jaka jest skala przestępczej działalności wśród urzędników państwowych? I kiedy w końcu doczekamy się surowych wyroków, bo jak na razie to śledztwa trwają latami.

– To więcej niż jedno pytanie, proszę umożliwić panu ministrowi odpowiedź. – Rzecznik uznał, iż należy interweniować.

– Przypadek prokuratora G. jest w mojej ocenie odosobniony. – Minister sięgnął po notatki i zsunął z czoła okulary. – Mam pełne zaufanie do moich podwładnych i mam nadzieję, iż to jednostkowe, godne ubolewania zdarzenie nie wpłynie też negatywnie na poziom zaufania, jakim obywatele obdarzają instytucje państwa, które z poświęceniem i oddaniem walczą z przestępczością. Dowody, zebrane przez Centralne Biuro Pościgowe, są porażające. W czasie zatrzymania znaleziono w bagażniku samochodu prokuratora G. ponad pięć tysięcy tabletek amfetaminy i ecstazy, a także ponad pięćset porcji morfiny i kokainy. W trakcie przeszukania jego mieszkania odkryto znaczne zasoby gotówki w złotych, euro i dolarach. Zeznania jednego z groźniejszych bossów mafii narkotykowej w Polsce, który uzyskał status świadka koronnego, nie pozostawiają żadnych złudzeń. Prokurator G. nie dość, iż brał łapówki od handlarzy i krył ich przestępczą działalność, to jeszcze sam uczestniczył w tym haniebnym procederze. Nie ma miejsca w naszych szeregach dla takich ludzi. Śledztwo musi być prowadzone skrupulatnie i szczegółowo, proszę więc wybaczyć, jeśli w najbliższym czasie nie będę mógł przekazać państwu ostatecznych ustaleń. Jedno jest pewne: to, że podejrzanym jest były prokurator, nie będzie okolicznością łagodzącą. Wręcz przeciwnie – zostanie osądzony z całą surowością.

– Całkowicie podzielam opinię pana ministra – wtrącił premier. – Apolityczna prokuratura i niezawisłe sądy są podstawą demokratycznego państwa. Ani sympatie polityczne, ani pozycja przestępcy nie będą miały wpływu na ich pracę. Obiecuję to państwu uroczyście. – Premier zacisnął usta w swoim ulubionym grymasie, wyrażającym w jego mniemaniu twardą wolę i zdecydowanie człowieka, który przyjął na swe barki odpowiedzialność za państwo.

– A co z zabójstwem Ministra? Czy są już jakieś ślady, poszlaki? – Znerwicowany chudzielec w przybrudzonych dżinsach i wymiętym podkoszulku wymachiwał mikrofonem ozdobionym logo jednej z komercyjnych telewizji.

Antoni Grubocki wyłączył telewizor i chwilę siedział w milczeniu. Potem zdjął skuwkę ze starego parkera leżącego obok papierów na stoliku i zaczął starannie podpisywać kartkę po kartce. Kiedy skończył, z trudem wstał i podszedł do biurka. Wyjął z szuflady czystą kartkę papieru i zaczął pisać powoli swoim wyraźnym, prawie kaligraficznym pismem. Skończył, złożył kartkę, wsunął do małej koperty i skreślił na wierzchu kilka słów. Dołączył kopertę do podpisanych papierów i włożył wszystko do dużej brązowej teczki, czyniąc kolejną adnotację wskazującą adresata. Wrócił z teczką do fotela, spojrzął na stojącą na stoliku fotografię uśmiechniętego Jurka i nagle poczuł potworny ból. Nie mógł oddychać, ból rozrywał piersi i promieniował na całe ciało. Drętwiejącą ręką sięgnął po buteleczkę z lekarstwem, odkręcił korek i usiłował nalać kilka kropel do szklanki z wodą, stojącej obok fotografii. Butelka wypadła z bezwładnej dłoni, przewracając zdjęcie, i Antoni Grubocki zdał sobie sprawę, że umrze, nie widząc utrwalonej na czarno-białym papierze twarzy wnuka.

Wyjął z kieszeni kwit bagażowy na jedno z wielu używanych przez siebie nazwisk, który zostawiono dla niego w hotelowej recepcji, i wręczył go człowiekowi wydającemu walizki i pakunki z obskurnej dworcowej przechowalni. W zamian dostał mały kuferek i nieco większą walizkę. „Pan Nowak jest niezawodny” – stwierdził z uznaniem i wrócił do hotelu. Kuferek schował do szafy i z niecierpliwością otworzył walizkę. Wyjął z niej niewielką kopertę i uważnie zaczął przeglądać jej zawartość. Utrwalił w swojej fotograficznej pamięci najdrobniejsze nawet szczegóły. Zastanawiał się chwilę, czy pojawić się w tych miejscach wcześniej. W końcu uznał, że ryzyko jest minimalne, a poza tym nie miał zaufania do najbardziej nawet precyzyjnych planów, jeśli nie były poparte rzetelnym przygotowaniem. Sprawa pierwszego celu była bardziej skomplikowana. Wymagała wyjątkowej precyzji i zgrania w czasie, w wypadku drugiego mężczyzny mógł sobie pozwolić na odrobinę improwizacji.

Schował zabezpieczoną szyfrowym zamkiem walizkę pod łóżko, naciągnął czarną bejsbolówkę głębiej na oczy i zarzucił na ramię niewielki plecak. „Polowanie się zaczęło” – pomyślał Scor, wychodząc z hotelu, i jak zawsze kiedy wyruszał na łowy, poczuł przypływ adrenaliny.

Powoli szła przez Pola Mokotowskie, choć nie lubiła tego miejsca od czasu, kiedy w żaden sposób nie zdołała uzyskać pozwolenia na zbudowanie tu luksusowego osiedla. Była tak blisko, wydała sporo, by zmienić plan zagospodarowania i załatwić tę lokalizację, ale w ostatniej chwili człowiek, z którym wszystko miała już dogadane, przestraszył się wrzawy mediów i protestów miłośników zielonej oazy w centrum stolicy. „Pieprzeni ekolodzy” – pomyślała z niechęcią, stwierdzając, że dużo łatwiej idzie z zabytkami. Widać mury nie wzbudzają takich emocji.

Wracła ze spotkania z Kulasem. Przekazała mu ostatnie instrukcje i odebrała nowe zdjęcia Kasi i rzekomego asystenta. Nie potrzebowała kolejnych, kazała więc Kulasowi skończyć obserwację dziewczyny i zniknąć do czasu finału konkursu. Przed domem zobaczyła auto Anity. Wolałaby uniknąć spotkania, ale dziennikarka już ją zauważyła i wyskoczyła szybko z samochodu, machając ręką. Ogarnęła ją złość, bo wiele razy w jej obecności mówiła, że mieszkanie to jej azyl i nie życzy sobie żadnych wizyt, nawet zapowiadzianych.

– Musimy porozmawiać – usłyszała, gdy podeszła bliżej.

– O co chodzi? – rzuciła oziębło, chcąc dać Anicie do zrozumienia, że nie ma zamiaru zapraszać jej na górę.

– To nie jest miejsce na taką rozmowę.

W milczeniu wskazała drzwi i weszły do holu.

Apartament był urządzony luksusowo, choć z prostotą. Żadnych bibelotów, fotografii, jedna grafika na ścianie. Anita podeszła bliżej i przyjrzała się uważnie podpisowi: *Huśtawka*, a obok nieczytelny podpis artysty.

Akwaforta przedstawiała wdzięczną niewieścią postać, unoszącą się na zamocowanej gdzieś w przestworzach huśtawce. U stóp kobiety rozpościerał się ponury krajobraz, poprzecinany z rzadka bezlistnymi, samotnymi drzewami, z nędzną, otoczoną zrujnowanym ogrodzeniem chatką, przy której mały człowieczek orał mikroskopijne poletko. Kilka ledwie zarysowanych konturów trumien pokrywało jałową ziemię, a wśród nich dumnie przejeżdżał Don Kichot, dzierżąc w jednej ręce tarczę, a w drugiej lancę. Za kobietą stał kościotrup i wskazywał paliczkami palców w jej stronę. Anita wzdrygnęła się lekko i pomyślała, że gospodyni ma osobliwy gust.

– Siadaj – usłyszała. Kiedy odwróciła się w stronę Ireny, na jej twarzy dojrzała niechętny grymas, który natychmiast znikł, ustępując miejsca sztucznemu, oszczędnemu uśmiechowi.

– Słuchaj, Ireno, to już koniec.

– Koniec czego?

– Naszej współpracy. Nie chcę już tego robić. Bez trudu znajdziesz kogoś na moje miejsce.

Wbrew obawom Anity Irena ze spokojem przyjęła jej oświadczenie.

– Oświecisz mnie łaskawie, cóż to za przyczyna skłoniła cię do tak dramatycznej decyzji?

Ironia w głosie kobiety była ledwo zauważalna, lecz Anita żachnęła się z gniewem.

– To nie twoja sprawa!

– Tak ci się tylko wydaje. Zbyt dużo razem przeżyliśmy, bym dała ci odejść bez słowa wyjaśnienia.

– Możesz być spokojna, nie mam zamiaru nikomu się zwierzać.

Irena wstała, podeszła do stolika, na którym zostawiła torebkę, wyjęła z niej małą kopertę. Potem sięgnęła do szuflady biurka i wróciła na swój fotel z cienkim segregatorem w ręku. Sięgnęła po papierosa i wypuszczając powoli dym, pochyliła się w stronę Anity.

– Małej dziewczynce zdudziło się pociąganie za sznurki? Bo to nie były marionetki, tylko ludzie? Dopiero teraz się zorientowałaś? Już nie kręci cię niszczenie innych? Zawsze to uwielbiałaś.

– Przestań!

– O nie, moja mała. Usłyszysz dokładnie to, co ci chcę powiedzieć, chyba że ty pierwsza zaczniesz mówić.

Anita zmagala się z sobą, ale nagromadzone emocje musiały znaleźć ujście.

– Spojrzałam kilka dni temu w lustro i pomyślałam, że twarz kobiety po trzydziestce to jej dusza. Zerknęłam jeszcze raz i wiesz, co zobaczyłam? Pustkę! Nie chcę tak dalej żyć. Zrozumiałam, że jestem jak wielkanocna pisanka – kolorowa i piękna na zewnątrz, ale pusta w środku! Wydmuszka! Nie chcę w przyszłości spędzać samotnych, bezsennych nocy, nękana myślami o ludziach, którym zламаłam życie. Poczulałam strach i zrozumiałam, że krzywda, którą wyrządziłam, może wrócić do mnie ze zdwojoną siłą.

– Oszczędź mi tych wynurzeń – zimno przerwała jej Irena – historie o nawróconych grzesznikach są być może pouczające, ale nudne. Cnotliwe życie nie niesie z sobą tego dreszczu emocji i poczucia potęgi, jakie daje władza nad ludźmi i umiejętność manipulowania nimi. Myślisz, że zastąpisz to monotonnym trwaniem o boku mężczyzny, w którym się niby zakochałaś? Nie zaprzeczaj, wiem o wszystkim. Znam cię lepiej, niż sądzisz. Nie możesz go mieć całkowicie i to doprowadza cię do obłądu. Po raz pierwszy sięgnęłaś po coś, co jest niedostępne. Ty go nie kochasz, tylko chcesz go całkowicie sobie podporządkować.

– Nieprawda! – krzyknęła Anita, zerwała się z miejsca i podeszła do stojącej na barku kryształowej karafki wypełnionej ciemnozłotym płynem. Drżącymi rękoma sięgnęła po trunek i rozlewając odrobinę na blat, napełniła szklanekę.

– Nie potrafisz zrozumieć, co czuję. Nie chcę, by ludzie się mnie bali, chcę być kochana, lubiana, szanowana...

Irena pomyślała przez chwilę o innej kobiecie, która też bardzo pragnęła szacunku, ale natychmiast odcięła się od tych wspomnień, skupiając się wyłącznie na Anicie. Mogła pozwolić jej odejść, w końcu jej następczyni już czekała w blokach startowych, gotowa natychmiast zająć zwolnione miejsce, ale uznała, że to byłaby oznaka słabości, której nigdy nie okazywała.

– Uspokój się, Anito – powiedziała pojednawczo – nie pij więcej. Za chwilę wsiądziesz do samochodu i chyba nie chcesz stać się bohaterką czołówki konkurencyjnego pisma. Weź te materiały i przejrzyj je spokojnie w domu. Chcesz zacząć nowe życie, to poznaj prawdę. – Wręczyła dziennikarce kopertę oraz skoroszyt.

Anita spiesznie podeszła i spontanicznie ją uściskała.

– Dziękuję – wyszeptala – dziękuję za wolność.

Irena popatrzyła za oddalającą się kobietą, ściskającą w ręku papiery, i pomyślała cynicznie, iż Pandora przed otwarciem puszeki też była kobietą szczęśliwą.

Gienia Paluchowa wyszła z kościoła i przetarła chusteczką zapłakane oczy. Lekko zbiegła ze schodów, a poczucie ulgi i spokoju sprawiło, że leżący jej na sercu od wielu dni ciężar zniknął, pozwalając znowu spoglądać bez lęku w przyszłość.

Rozejrzała się dookoła i ze zdumieniem zauważyła, że kasztany już dawno przekwitły i lato całkowicie zawiadnęło przyrodą, nadając powietrzu ten specyficzny, cudowny zapach, najbardziej intensywny o zmierzchu, kiedy ciepło nagromadzone w ciągu dnia w murach kamienic i kostkach bruku wzmacnia aromat kwiatów, a lekki wiaterek znad rzeki przynosi orzeźwienie i wytchnienie po skwarnej nocy.

Powoli, zamyślona, kroczyła uliczkami Pszczelina, automatycznie odpowiadając na pozdrowienia znajomych, Gienia bowiem była w tym miasteczku postacią powszechnie znaną i lubianą. Długo nie mogła przekroczyć progu świątyni, wymawiała się migreną i wysyłała Palucha z dziećmi na niedzielną mszę, w końcu jednak po kolejnej nieprzespanej nocy podjęła decyzję. W pustym kościele podeszła do kratki konfesjonału i w zapadającym zmierzchu, w promieniach kolorowego światła wpadającego przez witraże, wyznała wszystko. Ksiądz długo milczał, a targana rozpaczą i wstydem Gienia ze strachem, ale i nadzieją czekała na jego słowa.

– Skrzywdziłaś niewinną istotę ludzką, posługując się kłamstwem i podstępem. Chciałaś kosztem krzywdy tej dziewczyny zapewnić sobie i rodzinie dostatek oraz spokój. Tymczasem twój czyn obrócił się przeciw tobie, bo jesteś dobrym i prawym człowiekiem i sumienie nie pozwoliło ci o tym zapomnieć. Ludzką rzeczą jest błędzić, a Pana wybaczać, jeśli okazana jest skrucza i dokonana pokuta. Pamiętaj, że nigdy na krzywdzie ludzkiej nie zbudujesz swojego szczęścia. Idź zatem i napraw zło, które wyrządziłaś. Słuchaj głosu Pana Naszego, a on ci powie, jak należy postąpić.

„Pan odpuścił tobie grzechy. Idź w pokój” – powtarzała sobie Gienia w uniesieniu, dziękując za łaskę miłosierdzia i rozmyślając, jak okazać skruchę i wypełnić wyznaczoną jej pokutę. Słyszała, że Kasia wyjechała z miasta, i nie wiedziała, czy jeszcze do Pszczelina wróci. „Napraw zło” – słyszała ciągle w myślach i modliła się gorąco, by w swej nieskończonej dobroci Bóg zechciał zesłać jej jakiś znak, wskazówkę, by ulitował się i pozwolił jej dokonać pokuty. Potknęła się o zgniecioną puszkę po piwie i nagle zrozumiała...

Czesio rozglądał się lęklonie po barze, nie mogąc jeszcze zapomnieć momentu, gdy Paluchowa dopadła go za śmietnikiem, gdzie przyszykował sobie bardzo wygodne posłanie z wyrzuconego przez kogoś starego materaca, i bez wyjaśnienia kazała iść ze sobą. Ledwo za nią nadązał, a ponieważ co chwila oglądała się za siebie z groźną miną, nawet nie usiłował po drodze zniknąć gdzieś w starych zaułkach, które znał jak nikt inny. Weszli do baru i Paluchowa bez słowa wskazała mu stolik. Posłusznie usiadł i czekał, nie zwracając uwagi na siedzących w pobliżu gości, którzy po chwili zaczęli przenosić się jak najdalej od Czesia.

– Będziesz przychodził codziennie. Na obiad. Mnie nie dziękuj. To było życzenie Kasi, zanim wyjechała. Mam się tobą opiekować. – Paluchowa postawiła przed nim miseczkę zawieszistej zupy oraz talerz z ogromnym schabowym i suto omaszczonymi tłuczonymi ziemniakami.

Gdy wróciła do swojej pakamerki, wyjęła z zamykanej na klucz szuflady oświadczenie Kasi i pstryknęła plastikową zapalniczką. Patrzyła, jak jej grzech zamienia się w popielnicze w małą kupkę popiołu. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na ryngraf wiszący nad drzwiami. „Najświętsza Panienko, czy Ty mi też wybaczysz?”. Ciemna twarz pozostała smutna, ale oczy spoglądały na nią ze wszechogarniającą dobrocią. I Gienia doznała znowu owego uczucia ukojenia i bliskości, którego od tak dawna nie czuła, patrząc na swoją pocieszycielkę.

Adwokat położył przed nim małą kopertę i nie chcąc patrzeć na ściągniętą grymasem bólu twarz Grubockiego, umknął wzrokiem w bok, kontynuując swoją opowieść.

– Pański dziadek był bardzo przewidującym człowiekiem. Pozbył się wszystkiego, co miał, a uzyskaną z tego całkiem sporą kwotę

zdeponował dla pana u mojego wuja. Wuj prosił, bym pana zapewnił, iż każda pańska dyspozycja co do tych pieniędzy będzie natychmiast wykonana. Niestety, nie uzyskałem zgody, by mógł pan uczestniczyć w pogrzebie. Wuj wraz z kolegami zajął się wszystkimi formalnościami. Przyjaciele pańskiego dziadka głęboko odczuli stratę, jaką było jego nagłe odejście. Stawia się wszyscy na ostatnią wartość przy jego grobie...

– Dziękuję. – Grubocki wstał i wziął do ręki małą kopertę.

– Niestety, musi pan to przeczytać teraz. Strażnicy nie mogą jej znaleźć w czasie rewizji. I pan, i ja mielibyśmy spore nieprzyjemności. Gdy pan przeczyta ten list, zabiorę go z powrotem i przekażę wujowi. Będzie na pana czekał wraz z innymi papierami dziadka. – Adwokat wstał, podszedł do ściany i odwrócił się w jej stronę, chcąc zapewnić prokuratorowi choćby namiastkę prywatności w czasie czytania ostatniego listu ukochanej osoby.

Po dłuższej chwili usłyszał kroki zbliżającego się strażnika. Odwrócił się w stronę Grubockiego i zobaczył, iż ten delikatnie składa kartkę papieru i wsuwa ją do koperty. Odebrał ją szybko i schował do aktówki. Gdy strażnik otworzył drzwi, zobaczył dwóch mężczyzn siedzących w milczeniu naprzeciw siebie. Skinął na Grubockiego, a ten wychodząc z pokoju widzeń, odwrócił się i rzucił w stronę adwokata:

– Niech się pan nie przejmuję tą odmową w sprawie pogrzebu. Ja właśnie przed chwilą pożegnałem się z dziadkiem.

Szedł więziennym korytarzem i w myślach powtarzał ostatnie zdania listu: „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać. Moja miłość nigdy Cię nie opuści i kiedy dopadną Cię zwątpienie i słabość, pamiętaj, iż ja wierzę i ufam Ci bezgranicznie”.

Siedziała wciśnięta w kąt pokoju, a rozrzucone wokół fotografie i kartki papieru leżały w zakłętym kręgu światła, rzucanym przez stojącą lampę. Wzięła do ręki jedno z kolorowych zdjęć i z nienawiścią wpatrzyła się w rozjaśnioną miłością młodzieńczą, piękną twarz dziewczyny. Usiłowała znaleźć jakąś skazę, defekt, odkryć rysę na tym idealnym wizerunku, coś, co mogło jej dać nadzieję na odzyskanie Marka. Ale zielone oczy patrzyły z taką ufnością i wiarą, że mogła tylko w ataku bezsilnej furii podrzeć fotografię na strzępy.

Nie miało dla niej żadnego znaczenia, kim naprawdę jest Marek, prezesem czy asystentem; nie wnikała, dlaczego ukrywał swoją tożsamość, i nawet przez chwilę nie czuła się oszukana, gdy przeglądała pobieżnie raport jakiejś Justyny, z którego jasno wynikało, że panowie zamienili się rolami. Dopiero te zdjęcia ugodziły ją boleśnie. Na nią Marek nigdy tak nie patrzył. Nigdy tak czułym gestem nie odgarniał jej włosów z twarzy, nie przytulał, nie całował z takim szacunkiem w rękę. Zdjęcia emanowały nieuchwytnym czarem rodzącego się uczucia i choć od razu oceniła fachowo, że robił je jakiś amator, magia tego, co działo się między mężczyzną a kobietą, promieniowała z nich z ogromną siłą. Zaciśnęła powieki, nie chcąc patrzeć na rozrzucone fotografie, ale utrwalone na nich obrazy przesuwały się w jej wyobraźni jak w kalejdoskopie, raniąc coraz boleśniej. „Po raz pierwszy sięgnęłaś po coś, co jest niedostępne”. Słowa Ireny wracały jak bumerang, potęgując ból i wściekłość, wywołując w niej wewnętrzny sprzeciw. To nieprawda! Po raz pierwszy dosięgło ją coś, w co nie wierzyła, z czego sztywna, przed czym na wszelki wypadek chroniła się ciągle wzmacnianą, coraz szczelniejszą w miarę upływu lat barierą. Miłość – już wiedziała, dlaczego podświadomie tak przed nią uciekała. Chciała kontrolować swoje życie minuta po minucie, bez namiętności i uczuć, które mogły sprawić, że stanie się bezbronna i słaba, uzależniona od innego człowieka. Przypominała sobie inne słowa. „Oby w twoim życiu nie zdarzyło się nic, wobec czego będziesz bezsilna”. Czy Nina miała rację? Czy właśnie teraz stanęła wobec czegoś, z czym nie potrafi się uporać?

Powoli wstała z podłogi, zgarnęła porozrzucone zdjęcia oraz kartki papieru i pospiesznie wcisnęła je do szuflady biurka. I nagle pojęła! Marek nie wie, że ona go kocha! Zbyt dumna i niezależna, przyjęła jego reguły gry, udając, że ich związek nie ma dla niej większego znaczenia. Jakaż była głupia! Dawna odwaga i siła powróciły. Najpierw pozbędzie się dziewczyny, a kiedy Marek ocknie się z tego chwilowego zauroczenia i zapomni o przemijającym uroku młodości, zrozumie, że potrzebuje takiej kobiety jak ona, równie pięknej, lecz lepiej znającej życie i mężczyzn; kobiety, która potrafi dać znacznie więcej niż niedoświadczona dziewczyna z prowincji.

Anita wyprostowała pochylone dotąd plecy, spojrzała w lustro i znowu zobaczyła osobę, która sięga po to, czego chce. Jeśli chce miłości Marka, to będzie ją miała!

Niepozorny parterowy dom stał na dużej działce ogrodzonej solidnym drewnianym płotem. Szczelnie dopasowane, wysokie deski nie dawały szansy ciekawskim, a dyskretnie rozmieszczone na całym terenie kamery monitorowały rozległy trawnik i sporą przestrzeń poza zamkniętym obszarem posiadłości.

Maks od czasu do czasu zerkał na panel z wbudowanymi ekranami, choć wiedział, że bariera fal radiowych, uruchamiana alarmem, sygnalizuje wcześniej niż kamery przybycie nieproszonych gości.

– Ścis� telewizor! – huknął na Karalucha polegającego z pilotem w dłoni na ogromnej kanapie. Irytowała go nieustająca zmiana dźwięków, którą wywoływał kumpel, przerzucając się ciągle z kanału na kanał. – I zacznij oglądać coś od początku do końca, od tego latania po programach zupełnie w głowie ci się pomiesza!

– Dobra, przepraszam – Karaluch ściszył telewizor – szukam czegoś, na czym oko można zawiesić. Osiemset kanałów i nic nie ma – poskarżył się płacząco. – O kant dupy potłuc taką satelitę!

Maks zbył milczeniem żale kolegi, koncentrując się na swoim zajęciu. Czyścił broń z czułością i delikatnością, wiedząc, że w odpowiedniej chwili będzie mógł liczyć na jej wdzięczność, czyli niezawodność. Ta czynność zawsze go wyciszała i pozwalała choć na chwilę przytłumić niepokój, odgonić czarne myśli, jakie nieustannie atakowały jego wyobraźnię. Rozprostował zmęczone plecy i spojrzał na Karalucha. Uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy spostrzegł, że ten znalazł kanał z kreskówkami i zwiija się ze śmiechu, oglądając Strusia Pędziwiatra. Wstał i ruszył w kierunku kuchni.

– Zjesz coś? – krzyknął do Karalucha.

– Chętnie, Maks, dziękuję. – Wdzięczność przemieszana z radością, że kumpel o nim pamięta, aż wylewała się z Karalucha.

Maks otworzył jedną z dwóch ogromnych lodówek i wyjął tacki z daniami do mikrofalówki, nie patrząc nawet, co zawierają. Włączył kuchenkę i czekając na sygnał, jeszcze raz zaczął analizować sytuację, w jakiej się znalazł.

Karaluch, maglowany na wszystkie strony, zapewniał gorąco, iż niemożliwe, by ktokolwiek go widział na miejscu zabójstwa. Wierzył w jego instynkt, jego zmysł ulicznika wyczuwającego nadchodzące niebezpieczeństwo, tym bardziej że udało mu się przeżyć tyle lat w zaułkach Pragi. Dlaczego zatem Karol usiłował mu wmówić, że został namierzony? I na co czeka tu, w tej fortecy z dwoma piętrami pod ziemią, zaopatrzonej w wodę i żywność w takich ilościach, jakby miała przetrzymać wielomiesięczne oblężenie? Wątpliwości narastały, ogarniały go coraz większy niepokój, a kolejne hipotezy, jakie rodziły się w jego umyśle, rozpadały się po chwili w proch, nie wytrzymując logicznej analizy i wymowy faktów.

Postanowił, że da Karolowi czas do końca tygodnia. Jeśli Karol się nie odezwie, to zabierze forszę, Karalucha i zmyją się stąd natychmiast. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, z jaką oczywistością toleruje towarzystwo człowieka, który początkowo wzbudził w nim jedynie niechęć i odrazę. Wzdrygnął się, kiedy zapiszczała kuchenka, i zobaczył siedzącego naprzeciw kumpla, który nie śmiał przerwać

jego zamyślenia i z psim oddaniem czekał, aż wykona najłżejszy gest świadczący o tym, że go zauważa. Maks wstał, wyłożył jedzenie na talerze i postawił na stole. W milczeniu zaczęli jeść.

– Słuchaj no, Karaluch – Maks przeknęła kilka pierwszych kęsów i z uwagą popatrzył na kumpla – jak już się stąd wyrwiemy, to dokąd chciałbyś pojechać?

Karaluch zerwał się z krzesła, wyciągnął z kieszeni dresu stary, sfatygowany portfel i z nabożną czcią wyjął z niego pocztówkę. Wręczył ją Maksowi i czekał na jego reakcję. Komandos ze zdumieniem wpatrywał się w potężną stalową konstrukcję o charakterystycznym kształcie.

– Wieża Eiffla? Dlaczego?

Karaluch z wypiekami na twarzy pochylił się w stronę Makska i rozgorączkowany, zacinając się co chwila, powierzył mu swoje największe marzenie.

– Chcę stanąć na jej szczycie, Maks! Chcę mieć u stóp to miasto, kraj, świat! Chcę zobaczyć maleńkie postacie ludzi u jej podnóża i choć przez chwilę poczuć, że jestem ponad nimi, wysoko, daleko od nudnego, szarego i bezsensownego życia. A przede wszystkim daleko od siebie, takiego, jakim jestem na dole.

W sercu Makska coś drgnęło. Poklepał kumpla po ramieniu i z udawaną szorstkością zapytał:

– A w ogóle to jak ty, do cholery, masz na imię? Przecież nie będę w cywilizowanym świecie mówił do ciebie „Karaluch”!

– Powiem ci Maks, jak stąd wyjdziemy. Jak zostawię Karalucha w tych murach.

Nerwowo wyglądała spódniczka, spoglądając co chwila na wejście do kawiarni. Pierwszy wywiad w jej życiu! Miły kobiecy głos zapewniał, iż dziennikarka ma zamiar rozmawiać ze wszystkimi finalistkami, ponieważ jej gazeta sponsoruje to wydarzenie, jakim ma być finał, więc naturalną rzeczą jest promowanie jego uczestniczek. Kasia przyszła wcześniej i teraz niecierpliwie zerkała na zegar nad barkiem, stwierdzając po raz kolejny, że wskazówki już znacznie przesunęły się poza ustaloną godzinę.

– Pani Katarzyna? Przepraszam za spóźnienie, ale te korki...

– Nic nie szkodzi. Proszę mi mówić po imieniu, „pani” brzmi tak poważnie.

Kobieta skinęła na kelnerkę, zamówiła kawę i zaczęła przyglądać się dziewczynie. Kasia poczuła się nieswojo. Oczy przewiercały ją na wylot, tak jakby chciały zajrzeć w najbardziej skryte zakamarki jej umysłu, duszy i serca. Podjęła to wyzwanie i ciepła zieleń jej spojrzenia zderzyła się nagle z błękitnym chłodem. Trwały tak przez chwilę, w końcu dziennikarka przymknęła lekko powieki i dziwny uśmiech pojawił się na jej wargach.

– Pozwolisz, że będę nagrywać? – Wyjęła z kieszeni zakietu mały dyktafon. – Mam na imię Anita i kieruję tym pismem. A teraz porozmawiajmy o tobie.

Lepka słodycz jej głosu powoli owijała Kasię jak cukrowa wata, usypiała, stwarzała poczucie bliskości i bezpieczeństwa. Gdzieś w oddali słyszała uruchomiony przez jej instynkt dzwonek alarmowy, który ostrzegał, by nie ufała tej kobiecie, ale szybko skarciła się w duchu, usprawiedliwiając swoje zdenerwowanie przykrym incydentem na próbie.

Anita chciała wiedzieć o Kasi wszystko i dziewczyna, najpierw z pewną ostrożnością, a potem z właściwą sobie otwartością i bezpośredniością odpowiadała na każde pytanie, zachęcona ciepłymi i spontanicznymi reakcjami rozmówczyni. Anita była piękna, inteligentna, dowcipna i Kasia z lekką zazdrością obserwowała tę elegancką dojrzałą kobietę. Pomyślała, że chciałaby w przyszłości być taka sama, mieć tę pewność siebie, swobodę bycia, zostawić za sobą wszelkie kompleksy dorastającej w prowincjonalnym mieście dziewczyny. Chciałaby iść przez życie z dumnie podniesioną głową, w pełni świadoma własnej wartości. Gdyby uważniej obserwowała dziennikarkę, na pewno by zauważyła, jak w trakcie rozmowy jej rysy twardnieją, a usta od czasu do czasu krzywią się w brzydkim grymasie, który szybko znika, natychmiast zastąpiony przez wymuszony uśmiech.

– I ostatnie pytanie, Kasiu. Moi czytelnicy nie wybaczyliby mi, gdybym go nie zadała. Czy twoje serce jest wolne? Czy masz chłopaka, narzeczonego, kogoś bliskiego?

Zawisła wzrokiem na ustach dziewczyny, w napięciu czekając na odpowiedź. Kasia przez chwilę się wahała, ale tłumione emocje, jakie wyczuła w głosie dziennikarki, powstrzymały ją w ostatniej chwili.

– Nie chcę o tym mówić – oznajmiła sztywno, dając do zrozumienia, iż Anita znacznie przekroczyła granice jej prywatności. Kobieta przez chwilę przyglądała się dziewczynie z dziwnym wyrazem twarzy, a potem wyłączyła dyktafon i rzekła twardym, nieprzyjemnym tonem:

– Ale ja chcę!

Kasia spojrzała na nią ze zdziwieniem i przeraziła ją zmiana w wyrazie twarzy dziennikarki. Zniknął pogodny uśmiech, a szeroko otwarte, szczere oczy zamieniły się w dwie zimne, niebieskie szparki, iskrzące się gniewem i złością. Anita wyjęła z torebki kilka zdjęć i rzuciła je aroganckim ruchem na stół.

– Przyjrzyj się im dobrze – wyszczała przez zacisnięte usta. – Chcesz ukraść kogoś, kto należy wyłącznie do mnie. W tym starciu nie masz żadnych szans. Marek wykorzystał twoją naiwność i brak doświadczenia. Myślisz, że znalazłaś się w Warszawie przypadkiem? Że wyłącznie twoja uroda była przepustką do tego konkursu? Zostałaś oszukana, moja droga. Twój ukochany tak naprawdę jest prezesem firmy, która płaci za ten konkurs. Zapłacił także za to, byś została mu dostarczona jak przesyłka, bo nie chciało mu się jechać do tej prowincjonalnej dziury i udawać zadurzonego amanta. Wpadłaś w misternie zastawione sidła. Wkrótce się tobą znudzi, bo cóż poza świeżym ciałem i naiwnością może oferować mu taka dziewczynka jak ty? Posłuchaj uważnie tego, co ci teraz powiem. Natychmiast po zakończeniu konkursu znikniesz. Niestety, moja przyjaciółka, którą poznałaś w Pszczelinie, przyjęła na siebie pewne zobowiązania, a jest to osoba, która bardzo nie lubi, gdy ktoś wchodzi jej w paradę. Inaczej już by cię tu nie było. Nie obchodzi mnie, czy wygrasz, czy też nie. Zostawisz wszystko i tak się zakończy nic nieznaczący epizod w życiu Marka. Jeśli mu wspomnisz o naszej rozmowie, jeśli mnie zlekceważysz, wykończę cię i sprawię, że nigdzie nie znajdziesz spokoju. Każdy ma jakieś tajemnice i ukrywa coś, do czego boi się przyznać nawet przed samym sobą. Odkryj je, zapewniam cię, jestem bardzo dobrą dziennikarką. A jeśli, co jest mało prawdopodobne, jesteś naprawdę tak czysta i niewinna, to je po prostu wymyślę. W tym też jestem niezła. Zniszczę cię i twoich bliskich, tak jak tych wszystkich, którzy kiedyś usiłovali mi się przeciwstawić. Zrozumiałaś?

Kasia z rozpaczą patrzyła na zdjęcia Anity i Marka i słuchała jadowitych słów, których bezwzględność rozdzierała jej serce. Podniosła wzrok i zobaczyła czerwoną, rozjuszoną twarz zazdrosnej i zaborczej kobiety. Nagle ogarnął ją dziwny spokój, tak jakby już wiedziała, co ma uczynić, i odsuwając zdjęcia w stronę dziennikarki, powoli wstała. Patząc z góry na Anitę, cicho powiedziała:

– Zrozumiałam. Będzie tak, jak chcesz. Tylko dotrzymaj słowa i nie próbuj krzywdzić moich bliskich.

Anita schowała zdjęcia, wyciągając jednocześnie puderniczkę. Jasny beż pudru centymetr po centymetrze tuszował czerwone plamy na policzkach. Spokojnie zamknęła puderniczkę i uśmiech satysfakcji pojawił się na znowu idealnie jasnej twarzy.

– Jeśli znikniesz, bądź spokojna. Umowa stoi? – Wyciągnęła wąską, gładką dłoń w stronę Kasi. Dziewczyna spojrzała na nią przeciągle i omijając wzrokiem zawieszoną nad stolikiem rękę, rzuciła:

– Stoi.

Mężczyzna w szarym garniturze spojrział uważnie na stojącego przed nim dowódcę grupy antyterrorystycznej i zapytał krótko:

– Wszystko jasne?

– Tak jest, panie generale, ale...

– Te informacje są pewne. Nie ma czasu na wątpliwości. Musicie zaatakować dokładnie o wyznaczonej godzinie. Wcześniej odetniecie prąd, gaz i zagłuszyście system alarmowy oraz monitoring. Tych planów nie ma – rzucił na biurko szarą kopertę. – Natychmiast po akcji zniszczycie je osobiście. Zabójca nie może się z nikim kontaktować. Przewiezicie go bezpośrednio do centrali i poczekacie na ludzi z Centralnego Biura Pościgowego i prokuratury.

– Tak jest, panie generale! – Żołnierz wziął z biurka kopertę, skinął głową i już miał wychodzić, gdy usłyszał:

– Jeżeli uzna pan, że istnieje zagrożenie dla pańskich ludzi, proszę się nie wahać. To niebezpieczny, świetnie wyszkolony człowiek. Ma pan moją zgodę na działania ostateczne.

Koliński jeszcze raz z zimną precyzją analizował plan punkt po punkcie, starając się zlokalizować potencjalne zagrożenia. Poufna informacja, iż nie przedłuży menedżerskiego kontraktu, dotarła już do centrali banku i znaczna odprawa została przekazana na jego konto, choć zarząd starał się jeszcze wpłynąć na zmianę tej decyzji, wysoko oceniając kompetencje i pozycję swojego człowieka w Warszawie.

Osobiście poinformował szefa ochrony banku o wizycie informatyków z centrali mających zresetować i ulepszyć system zabezpieczenia depozytów i polecił, by ten sprawdził tuż po ich przybyciu, czy wszystkie pomieszczenia zostały opuszczone przez pracowników, a także by w czasie wyłączenia alarmów podwoić ochronę zewnętrzną oddziału. Wiedział dokładnie, co chce przekazać człowiekowi odpowiedzialnemu za uprowadzenie Agaty, i po raz kolejny zastanawiał się, czy to przesłanie będzie skuteczne; uznał, że ryzyko zawsze istnieje i lepsza taka gwarancja niż żadna.

Spojrzął na stojące na biurku zdjęcie roześmianej córki i przypomniał sobie o jeszcze jednej sprawie. Wcisnął brzęczyk interkomu i za chwilę w drzwiach pojawiła się pani Zofia z notatnikiem w rękę, gotowa skrupulatnie notować wszystkie polecenia. Szybko wstał z za biurka, sięgnął po przygotowane papiery i wskazał kobiecie miejsce przeznaczone dla gości. Lekko skonsternowana, posłusznie usiadła i patrzyła z niepokojem na szefa, usiłując dociec, co spowodowało tak niezwykle zachowanie.

– Pani Zofio, ile lat razem pracujemy?

– Dwadzieścia trzy lata, osiem miesięcy i trzysta dni – odpowiedziała bez zastanowienia.

Koliński spojrzął na nią ze zdumieniem.

– Mój Boże, pani tak skrupulatnie to wszystko liczy? Dlaczego?

Zarumieniona opuściła wzrok i nerwowo zaczęła wyglądać kartki notatnika. Po chwili powiedziała cicho:

– Bo dopiero kiedy poznałam pana, moje życie nabrało sensu. Każdy dzień jest ważny i niepowtarzalny... – Nagle umilkła, jakby obawiała się, że powie o słowo za dużo.

– Droga pani Zofio, nasza rozmowa ma całkowicie prywatny i poufny charakter. – Koliński nie zwrócił uwagi na emocje pobrzmiewające w głosie sekretarki. – Nie muszę pani prosić, by pozostała między nami.

– Oczywiście, panie prezesie. – Opanowanie wróciło i Zofia wyprostowała się z godnością.

– Odchodzę z banku i wyjeżdżam z kraju. Nasza współpraca dobiegła końca. Niestety, nie mogę tak jak poprzednio zabrać pani z sobą, bo nie wiem, jak potoczą się moje losy. Będzie pani mogła pozostać w banku aż do emerytury bądź odejść. W tym drugim wypadku dostanie pani dwuletnią odprawę. To są warunki, jakie postawiłem zarządowi, i one zostały przyjęte.

Zofia milczała, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy. Nie mogła znieść myśli, że już nie zobaczy Kolińskiego, że beznadziejne uczucie, którym go darzyła od lat, nie będzie podsycane jego widokiem i możliwością służenia mu z oddaniem, z którego ogromu pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Ale jest jeszcze jedna sprawa. Agata bardzo panią lubi i ceni, nie wiedziałem, że często, gdy czekała na mnie w sekretariacie, długo rozmawiałyście o sztuce, literaturze, życiu. Moja córka twierdzi, że pani ma artystyczną naturę i ogromną wrażliwość. Agata zostaje na razie za granicą. Jej wolą jest, by pani to przyjęła, a ja w pełni to popieram. – I Koliński wręczył sekretarce plik dokumentów.

Nie dowierzała własnym oczom, przeglądając kolejne kartki.

– Ale ja nie mogę, panie prezesie. To zbyt wiele... czymże sobie na to zasłużyłam?

– Przyjaźnią, jaką pani darzyła moją córkę, oraz oddaniem i lojalnością, z jakimi pracowała pani dla mnie. Proszę nie odmawiać, to jest ukochane dziecko Agaty i chce je powierzyć osobie, do której ma pełne zaufanie. Akt darowizny został podpisany, wszystkie opłaty poczynione, nie pozostaje pani nic innego, jak stać się właścicielką galerii. Świetnie da sobie pani radę, zresztą będziemy z daleka czuwać nad panią i spieszyć z pomocą, choć to nie będzie chyba potrzebne. Agata ma tylko jedną prośbę...

Zofia z uwielbieniem wpatrywała się w szefa.

– Wszystko, co zechce, panie prezesie, wszystko.

Dzwonek domofonu zabrzmiał zupełnie niespodziewanie. Marek pomyślał z niechęcią, że Bodzio znowu zapomniał kodu i odrywa go od zestawień finansowych, które jutro musiał wysłać do Luksemburga. Ze złością nacisnął przycisk i wrócił do papierów, ale natarczywy dźwięk oznajmił, że tym razem ktoś stoi przed jego drzwiami. Nie miał najmniejszej chęci wysłuchiwać opowieści Bodzia i jego dobrych rad, więc ruszył do drzwi z mocnym postanowieniem, że natychmiast go spławi. Energicznym ruchem szarpnął za klamkę.

– Mogę wejść?

Stała przed nim, smukła i delikatna, a jej zielone oczy rzucały trwożliwe, niespokojne, pytające spojrzenia. Jak zawsze, gdy ją widział, ogarnęła go tkliwość i dziwna tęsknota, której źródła nie umiał wyjaśnić. Wyciągnął do niej rękę, a gdy po chwili zamknął jej dłoń w uścisku, odniósł wrażenie, jakby trzymał płochliwego motyla o drżących skrzydełkach, który szuka schronienia, a jednocześnie chce się wyrwać na wolność. Wprowadził ją, milczącą, do pokoju i spytał z napięciem w głosie:

– Co się stało, Kasiu?

– Nic nie mów. – Ujęła jego twarz w dłonie i zaczęła palcami badać jej każdy centymetr, jakby chciała zapamiętać dotykiem usta, oczy, drobne zmarszczki w kącikach powiek. Marka ogarnęło elektryzujące napięcie, ale stał nieruchomo, nie chcąc jej spłoszyć nierozważnym gestem, poddając się pieśczości, której delikatność, a jednocześnie jakaś rozpaczliwa determinacja przyprawiała go o drżenie serca. – Kochaj mnie – poprosiła cicho i spuściła głowę, ukrywając twarz na jego piersi.

– Kasiu... – próbował coś powiedzieć, ale usta dziewczyny znalazły jego wargi i poczuł wszechogarniające, niepoahamowane pożądanie. Chwył ją na ręce i zaniósł do sypialni. Położył na łóżku delikatnie, jak figurkę z najcenniejszej porcelany, i zapytał cicho: – Naprawdę



tego chcesz?

Tym razem nie skrywała twarzy. Spojrzała mu prosto w oczy, a on zobaczył w nich taki bezmiar miłości i oddania, że tkliwość przytłumiła namiętność i poprowadził Kasię cierpliwie i delikatnie tam, gdzie stali się jednością, zapominając o wszystkim, poddając się fali ogarniającego ich poczucia niespotykanego zespolenia, w którym to, co dają sobie wzajemnie, ważniejsze było od tego, co biorą.

W środku nocy Marek obudził się i ze strachem spojrzął na puste miejsce obok. W łagodnym świetle nocnej lampki zobaczył na poduszce samotną różę leżącą na kartce papieru. „Muszę wyjechać. Wrócę na finał. Tych chwil nie zapomnę nigdy. Kasia”.

Zajął upatrzone wcześniej stanowisko tuż po zapadnięciu zmroku. Miał przed sobą kilka godzin czuwania, ale nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia. Był jak drapieżnik, potrafił powściągnąć swój temperament w nieruchomym oczekiwaniu na ofiarę, która prędzej czy później musi pojawić się przy wodopoju. Jego cel tkwił w betonowej klatce w pozornym poczuciu bezpieczeństwa, lecz Scor wiedział, że nadejdzie godzina, gdy zwierzyna będzie musiała opuścić to schronienie. Tak myślał o swoich celach – zwierzyna.

Zabijał bez jakichkolwiek skrupułów, bez przyjemności, jaką czerpali z tego inni psychopaci, ale też bez żalu. Nigdy nie myślał o tych kobietach i mężczyznach, których eliminował, nie było dla nich miejsca ani w jego wspomnieniach, ani w snach. Zło i dobro jako kategorie moralne w ogóle dla niego nie istniały. Liczyło się tylko wykonanie zadania, zarówno wtedy, gdy robił to na rozkaz przełożonych, jak i teraz, kiedy działał na własny rachunek, a decyzję o podjęciu się roboty uzależniał wyłącznie od wysokości oferowanej sumy.

Wysoki biurowiec opuszczonej, popadającej w ruinę fabryki był idealnym miejscem. Od budynku, który obserwował, teren zakładu odgradzony był wąskim strumykiem; jego brzegi porastały gęste karłowate wierzby, a za nimi rozpościerała się pusta przestrzeń, przecięta kilkanaście metrów od wody wysokim płotem otaczającym miejsce, które od czasu do czasu badał wzrokiem. Szkolony przez najlepszych, potrafił minimalnym wysiłkiem osiągnąć najwyższy stopień koncentracji i bez fizycznego czy też psychicznego zmęczenia długim oczekiwaniem reagować w ułamku sekundy na każdą, nawet minimalną zmianę, jaka zachodziła w jego otoczeniu. Powoli sięgnął po puszkę z colą i wypił ostatni mały łyżeczek, pamiętając o tym, by schować puste opakowanie do plecaka. Jeszcze raz dokładnie zbadał przez noktowizor całą okolicę, zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka i stwierdziwszy, że ma sporo czasu, ponownie w myślach zaczął obliczać odległość i korygować tor strzału, biorąc poprawkę na lekki wietrzyk, który pojawił się kilka chwil wcześniej, wprawiając w drżenie listowie nad rzeczką.

Mijały długie minuty, podczas których trwał cierpliwie, a jego zmysły rejestrowały różnorodne dźwięki docierające z czerni nocy, podczas gdy umysł analizował i odrzucał to wszystko, co było normalnymi odgłosami usypiającej powoli przyrody. Nagle wychwytił daleki odgłos silników samochodowych. Zgodnie z planami, które mu przekazano, auta miały zatrzymać się kilka kilometrów wcześniej, a antyterrorysty pokonać tę odległość pieszo, otoczyć posiadłość i czekać na sygnał. Spojrzął na stojącą u jego stóp czarną kasetkę, otworzył ją i wyjął z niej srebrny cylinder. Delikatnie dotknął umocowanego na dwójnogu karabinu i czule pogładził jego kolbę. Szwajcarzy unowocześnili tę broń, zastępując drewniane części plastikiem, ale dopiero pracujący dla niego rusznikarz stworzył cudo, jakim nikt nie dysponował. Scor pierwszy raz miał go użyć w akcji i choć wielokrotnie wypróbował jego skuteczność w bawarskim lesie w pobliżu warsztatu jego twórcy, przez chwilę zastanawiał się, co zrobi, gdy broń okaże się nieskuteczna. Ale nie miał wyjścia, nie mógł zostawić żadnego śladu, a tylko ten karabin, przewieziony przez ludzi Hydry w poczcie dyplomatycznej i zostawiony w skrytce, mógł mu to zagwarantować. No i te zadziwiające naboje: dwie sztuki ukryte w metalowym pudełku, zapewniającym odpowiednią temperaturę. Wiedział, że może nie mieć szans na drugi strzał. Jeden musi wystarczyć.

Maks obudził się nagle w pełni świadomy tego, gdzie się znajduje. Leżał przez chwilę nieruchomo, szukając źródła niepokoju, który gwałtownie wyrwał go ze snu, ale szum klimatyzacji, lodówek w kuchni i wreszcie sylwetka Karalucha, tkwiącego przed monitorami systemu alarmowego, uspokoiły go i wytłumaczył sobie, iż zapewne zbliżający się termin, który wyznaczył sobie na podjęcie decyzji o opuszczeniu kryjówki, jest przyczyną owego wewnętrznego rozedrgania, które od jakiegoś czasu nie pozwalało mu spokojnie przespać całej nocy. Wstał, stwierdził z zadowoleniem, że Karaluch nie zapomniał zaciągnąć rolet, więc spokojnie pstryknął przełącznik i obszerne pomieszczenie rozjarzyło się łagodnym światłem. Podszedł do kumpla, rzucił okiem na liczne ekrany i uspokojony usiadł obok. Ten spojrzął na niego, trąc zaczerwienione powieki, i zapytał z nadzieją w głosie:

– Spadamy stąd, Maks?

– Jeszcze trochę wytrzymaj, przyjacielu.

Karaluch zamarł.

– Jak powiedziałaś?

– Że jeszcze trochę...

– ...nie, nie, potem... przyjacielu?!

Maks machnął ręką.

– No wiesz, tak się mówi.

– Nie – przerwał mu Karaluch, z napięciem wpatrując się w twarz kumpla – nigdy mnie tak nie nazwałaś.

Maks nerwowo zaczął kręcić się na krześle, usiłując coś wymyślić, gdy nagle dotarło do niego, iż podświadomość podrzuciła mu to słowo nie bez przyczyny. Jego początkowa niechęć do niechlujnego, mizernego i niezbyt lotnego mężczyzny powoli kruszała pod wpływem niezwykle przywiązania i lojalności, jaką okazywał mu Karaluch. Przez te dni przymusowego przebywania w jego obecności trochę z nudów, a trochę z ciekawości podpytywał Karalucha o jego dotychczasowe życie, słuchając jednym uchem nieporadnych monologów i z trudem formułowanych myśli. Maks nigdy nie miał skłonności do analizowania swoich, a tym bardziej cudzych uczuć, motywów postępowania, alternatywnych rozwiązań czy też zagłębiania się w przeszłość i rozpamiętywania, jakie przeżycia z dzieciństwa miały decydujący wpływ na jego osobowość. Czasami jednak w trakcie wlokących się w nieskończoność bezsennych nocy myślał o Karaluchu i ogarniało go dziwne uczucie, którego nie umiał nazwać. Litość? Żal? Współczucie? Dlaczego nie myślał tak o ludziach, którym odbierał życie, dlaczego ten chwast, walczący z uporem o nędzną egzystencję, czepiający się każdej okazji jak perz grudki ziemi, zajmował tyle jego uwagi?

Patrząc teraz na napiętą twarz Karalucha, który czekał na odpowiedź, nagle zrozumiał. Karaluch pogodził się z tym, że jest nikim, zerem. Odrzucony, znalazł swoją niszę i usiłował przeżyć. Jeśli on potrafił, dla Maksa też była nadzieja.

– Widzisz, Karaluch – zaczął z powagą – jesteś kimś. I nie daj sobie wmawiać, że jesteś gorszy. Jesteś prawdziwym kumplem, na którym można polegać. Jesteś prawdziwym przyjacielem, który...

W tym momencie zgasło światło i kilka sekund, zanim włączył się agregat, wystarczyło, by Maks sięgnął po broń i padł na podłogę, ciągnąc za sobą Karalucha. Zimna, niebieska poświata monitorów upiornym blaskiem ogarniała niewielką przestrzeń. Czujniki milczały i ta cisza niepokoiła Maksa, niosąc z sobą nieuchwytnie wrażenie czegoś przerażającego i ostatecznego.

– Maks – wyszeptał trzęsący się Karaluch. – Maks, co się dzieje?

Komandos przycisnął dłoń do jego ust.

– Cicho! Nic nie rób bez mojego pozwolenia.

Jaskrawe światło przebiło się przez szpary w roletach i usłyszeli wzmocniony przez megafon głos:

– Jesteś otoczony! Nie masz szans! Wyjdź powoli z rękoma podniesionymi do góry! Powtarzam! Jesteś otoczony przez policję!

Maks błyskawicznie przeanalizował sytuację. To, co wydawało się zaletą ich kryjówek – położenie na otwartej przestrzeni, daleko od zamieszkałych zabudowań, obróciło się przeciwko nim. Nie miał żadnych złudzeń i choć narastał w nim bezsilny bunt, zrozumiał, że jeśli chce żyć, musi się poddać.

– Wychodzimy, Karaluch. Trzymaj język za zębami, a może jakoś się z tego wywinie...

Kiedy Scor zauważył przez optyczny celownik uchylające się drzwi, błyskawicznie otworzył srebrny pojemnik, wyjął lodowy nabój i w jednej chwili załadował karabin. Wyczekał na moment, kiedy wysoki blondyn pojawi się w jaskrawych światłach policyjnych jupiterów, i widząc na przecięciu czarnych kresk celownika jego głowę, delikatnie nacisnął spust. Blondyn stał chwilę nieruchomo, po czym uniesiona nad głowę broń wysunęła się z jego ręki, a on bezwładnie upadł na plecy. Scor skierował celownik niżej i z zadowoleniem pokiwał głową, widząc okrągły, ciemny otwór tuż nad nasadą nosa.

Błyskawicznie zdemontował sprzęt, dokładnie sprawdził, czy nic po sobie nie zostawił, i szybko zaczął zbiegać po schodach biurowca. Gdy wychodził z budynku, zaskoczyła go kanonada, jaką rozpoczęli antyterrorysty, ale zbytnio się tym nie kłopotując, zmierzał rytmicznym krokiem do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie zakładu. Tylko przez moment się zastanawiał, co mogło wywołać tak gwałtowną reakcję policji.

Nie wiedział, że chwilę po Maksie zza drzwi ostrożnie i powoli wychylił się Karaluch i widząc leżącego przyjaciela, podbiegł i ukląkł nad nim.

– Maks, Maks, co się stało? – Szarpał bezwładne ciało i dopiero kiedy spojrzał w szeroko otwarte niebieskie oczy, w których zastygł wyraz ogromnego zdumienia, zrozumiał. – Walcie się! – krzyknął rozdzierająco i chwytając upuszczoną przez Maksą broń, zaczął na osłep strzelać. Gdy dosięgły go pierwsze kule, upadł obok Maksy. Kule rozrywały ciała i murawę obok. Karaluch z wysiłkiem wyciągnął dłoń i szukając ręki Maksy, wyszeptał:

– Alfred, mam na imię Alfred...

Szła szybko, nie bacząc na pryskające spod jej stóp błoto, gnana rosnącym strachem, że nie odnajdzie hotelu, nie zdąży, spóźni się, coś straci... Nie mogła sobie przypomnieć, czego tak gwałtownie pragnie, lecz zaczęła biec, obojętnie mijając wyciągające się w jej stronę ręce ulicznych sprzedawców, oplecione kolorowymi koralikami, podtykające wonne przyprawy, usiłujące chwycić brzeg powiewnej tkaniny, która spowijała ją miękkimi fałdami.

W pewnej chwili zauważyła budynek, którego fasada była znajoma. Wbiegła przez obrotowe drzwi i znalazła się w wielkiej recepcji, pustej i cichej. Rozglądała się z rozpaczą, szukając jakiegoś człowieka, i widziała tylko niezliczone drzwi do wind, rozsuwające się i zamykające z cichym szumem. Nie wiedziała, do której się skierować, jaki guzik nacisnąć, by trafić tam, dokąd zmierzała. Nagle spostrzegła, że jest w windzie, która szybko ruszyła, nie czekając, aż wybierze piętro, i równie szybko stanęła, zachęcająco rozsuwając drzwi.

Znalazła się w długim, mrocznym korytarzu, rozjarzonym kinkietami zawieszonymi pomiędzy setkami takich samych drzwi. Usiłowała sobie przypomnieć numer swojego pokoju, gdy nagle zobaczyła, że na ciemnych, gładkich powierzchniach nie ma żadnych cyferek. Szła powoli, mając nadzieję, że rozpozna te właściwe, ale martwa obojętność ciemnobrązowych powierzchni nie budziła w niej żadnych wspomnień. Trwoga ogarniała ją narastającą falą, czuła, że nie zdąży, że to coś jej umknie i zostanie nieszczęśliwa i samotna, nawet nie wiedząc, za czym tak szaleńczo goni.

Korytarz ciągnął się w nieskończoność i z coraz większym wysiłkiem pokonywała kolejne metry. Brakowało jej tchu, chciała usiąść, odпочać, ale nieprzeparta siła, której źródła nie mogła pojąć, pchała ją przed siebie, nie pozwalając, by ustała w tej mozolnej wędrówce. Zobaczyła wreszcie koniec tego ponurego tunelu i sączącą się spod ostatnich drzwi jasną poświatę. Wyężając wszystkie siły, ruszyła w tamtą stronę, z nadzieją nacisnęła mosiężną klamkę, zimną, gładką i nieprzyjazną. Drzwi nawet nie drgnęły. Wiedziała, że musi je pokonać, że tam, za tą jakże cienką przeszkodą, jest kres jej wędrówki, miejsce, w którym jej udręczona dusza znajdzie spokój i to coś, czego tak bardzo pragnie. Bezgłośnie łkała, wałąc pięściami w obojętne drewno, lecz słyszała tylko lekkie stukanie, tak jakby jej dłonie trafiały na niepokonaną barierę dźwięku, ostatecznie skazującą ją na przegraną...

Kara poderwała się nagle i obudziła z twarzą zalaną łzami. Poczucie klęski, straty i beznadziejności było tak silne, że z trudem wracała z powtarzającego się od jakiegoś czasu snu do rzeczywistości. Ale stukanie nie ustawało. Dobiegało od strony okna i Kara lekko zsunęła się z kanapy, cicho wysunęła szufladę, wyjęła broń i ostrożnie uchyliła zasłonę. W rozmytym świetle zapadającego zmierzchu zobaczyła Kasię, która uporczywie pukała w szybę. Natychmiast uchyliła drzwi tarasowe i ze zdumieniem przypatrywała się swojej przyjaciółce.

– Wpuść mnie, Karo. Musimy porozmawiać.

„Nigdy nie jesteśmy tak odporni, jak nam się wydaje” – pomyślał, kładąc drżącą ręką białą kalię pod przekreśloną czarną wstążeczką fotografią stojącą na honorowym miejscu w salce konferencyjnej stowarzyszenia weteranów, któremu przewodniczył. Spojrzał na ściągnięte bólem twarze kolegów, na nieliczną garstkę przyjaciół, którzy towarzyszyli Antoniemu w jego ostatniej drodze. Ciężko usiadł, a oni skupili się wokół, tak jakby czekali na słowa otuchy i pocieszenia.

– Nasz przyjaciel, którego już nie ma wśród nas – zaczął drżącym głosem – był człowiekiem nadzwyczajnej skromności, ale także obdarzony został wyjątkowym hartem ducha. Wiecie o tym doskonale. Razem walczyliśmy, wspieraliśmy się w mrocznych, powojennych czasach, z drżeniem nadziei, choć czasami bez wiary, wypatrywaliśmy wolności, za którą wielu z naszych druhów oddało to, co najcenniejsze. Jesteśmy już u kresu naszych dni i nasze szeregi nieuchronnie topnieją. Mamy tego świadomość, ale zawsze w chwilach takich jak ta ogarnia nas żal. Żal, który dzisiaj wypełnia nasze serca, jest spotęgowany świadomością, iż Antoni umarł w samotności i rozpaczy, a jego dusza nie zazna spokoju, dopóki jego ukochany wnuk nie odzyska wolności, a przede wszystkim – dobrego imienia. Zastanówmy się, jak możemy go wesprzeć, pomóc, jakie podjąć działania. Jesteśmy to Antoniemu winni.

Przygnębiając ciszę, jaka zapadła po słowach przewodniczącego, przerwał korpulentny łysy staruszek, który wstając z miejsca, skłonił z szacunkiem głowę przed portretem Antoniego Grubockiego i nerwowo przecierając okulary, rozpoczął zaskakująco tubalnym głosem:

– Panie przewodniczący, drodzy koledzy! Jak tylko świętej pamięci Antoni zadzwonił do mnie z tymi przerażającymi wieściami, natychmiast przykazałem mojemu siostrzeńcowi, który, jak wiecie, jest adwokatem, by podążył niezwłocznie z wszelką pomocą. Prosił, by wam przekazał słowa wnuka Antoniego. Jerzy dziękuje, iż zajęliśmy się pogrzebem, i jest nam za to ogromnie wdzięczny. Chce, byśmy

nie podejmowali żadnych działań. Mój siostrzeniec twierdzi, że to z obawy o nasze bezpieczeństwo, ale nic więcej nie chce powiedzieć, wiecie, tajemnica adwokacka. Zostałem depozytariuszem ostatniej woli Antoniego i posiadam środki, by pomóc Jerzemu materialnie...

– Panie przewodniczący! – Wysoki, przygarbiony mężczyzna przerwał koledze. – Nie zgadzam się z przedmówcą. Musimy działać. Niejednokrotnie udowodniliśmy, iż nie brakuje nam odwagi. Pamiętacie wszyscy, jak Antoni przyprowadzał wnuczka na nasze spotkania i jak ten mały chłopiec z wypiekami na twarzy słuchał naszych opowieści? Antoni wychował wspaniałego, porządnego młodzieńca, który wierzył w nasze ideały i nigdy by się im nie sprzeniewierzył. Musimy wystosować petycję do premiera, poręczenie, zwołać konferencję prasową...

Przewodniczący uniósł dłoń i mężczyzna zgarbił się jeszcze bardziej, tak jakby zrozumiał, iż jego słowa nie zyskają uznania większości.

– Musimy uszanować wolę wnuka Antoniego. To mądry i odważny chłopiec, jeśli będzie potrzebował naszej pomocy, nie zawaha się o nią poprosić. Nikt nas nie wysłucha, tak jak premier nie wysłuchał Antoniego. – Gorycz pobrzmiwająca w jego głosie sprawiła, iż koledzy znający kulisy wizyty Antoniego u szefa rządu i pamiętający ostre słowa premiera na konferencji prasowej spuścili oczy, nie chcąc widzieć udręczonej twarzy przewodniczącego.

Nagły skrzyp drzwi przerwał tę niezręczną ciszę. Student historii, odbywający praktykę w stowarzyszeniu, wpadł do środka i czerwony z przejęcia oznajmił uroczyście:

– Panie przewodniczący, syn dzwoni!

Mężczyzna odwrócił głowę i rzucił krótko:

– Powiedz panu premierowi, że mnie nie ma. I dla niego nie będzie.

Nikt nie śmiał przerwać milczenia, które zapadło po tych słowach. W pełnej szacunku ciszy weterani opuszczali pomieszczenie, a każdy z nich stawał przed przewodniczącym i oddawał mu z czcią wojskowe honory.

– Malta oszalała. Czuje, że jesteś w pobliżu. Muszę po nią pójść, bo pani Ewelina... – Kara spłoszona odłożyła słuchawkę i wybiegła z domu. Po chwili do pokoju wpadł czarnobrzowy pocisk. Malta skoczyła na Kasię, skomląc radośnie, wylizła ją dokładnie, a potem zaczęła biegać wokół stołu w szaleńczym, radosnym tańcu, co chwila podbiegając do Kasi i trącając ją nosem, jakby sprawdzała, czy aby na pewno jej ukochana pani wróciła.

– Już się niepokoiły, powiedziałam, że jakiś obcy kot buszuje w naszym ogrodzie i dlatego suka wariuje. – Kara uciekała wzrokiem, nie mogąc znieść pełnego wyrzutu spojrzenia Kasi.

– Dlaczego to zrobiłaś? Tak ci ufałam.

– Ufałaś? – Kara uznała, że najlepszą obroną jest atak. – Tak mi ufałaś, że zapomniałaś powiedzieć o babce?

Kasia nie dała się złapać na ten nieporadny wybieg.

– Zostawiłam rodzinę pod twoją opieką. Czy można bardziej komuś zaufać? A ty sprowadziłaś do naszego domu kobietę, która zamiast serca ma kamień! To wyniosła, apodyktyczna egoistka, nieczuła istota pozbawiona jakichkolwiek ludzkich uczuć! Wyrzuciła z domu własnego syna, przez te wszystkie lata nie okazała odrobiny zainteresowania naszym losem! – Emocje całkowicie ogarnęły Kasię. Przyjaciółka podeszła do niej, usiadła obok i delikatnie ujęła jej rękę.

– Wierz mi, Kasiu, że długo się wahałam, czy pojechać do Krakowa. Jesteś dla mnie jak siostra i nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby cię zranić. Zrozum, bałam się o ciebie, o dziewczynki, niepokoił mnie stan Marii. Jest coraz słabsza, ukrywa przede mną chorobę, ale ja wiem, że serce odmawia jej posłuszeństwa, traci siły, stres i wysiłek mogą ją zabić. Bardzo przeżywała twój wyjazd, martwiła się, nie mogłam na to spokojnie patrzeć. Pani Ewelina nie jest taka, jak myślisz. Ta kobieta, którą opisałaś, przestała istnieć. Kasiu, nie bądź zapamiętała w swoich oskarżeniach, nie hoduj w sobie żalu o to, iż nie pojawiła się w twoim życiu wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowałam. Naucz się wybaczać. Ewelina potrzebowała wielu lat, by zrozumieć, jak okrutnie postąpiła. Zapłaciła za to całkowitym osamotnieniem. Nie możesz popełnić takiego samego błędu. – Kara z wyczekiwaniem patrzyła na przyjaciółkę.

Kasia siedziała w milczeniu, machinalnie gładząc głowę Malty, która w końcu ułożyła się u jej stóp. Po chwili Kara z przerażeniem zauważyła, że płacze.

– Karo, nie wiem, co mam robić... Właściwie to wiem, ale strasznie się boję. Przyjechałam, bo chcę być wiedziela, co postanowiłam. Tylko proszę, nie mów, że mnie ostrzegałaś. Nic nie mów, tylko mnie wysłuchaj. – I Kasia zaczęła swoją opowieść...

Łagodne, ciepłe światło padało zza szeroko uchylonego okna, przyciągając rzesze owadów, zwabionych blaskiem, który rozpraszał się w mroku ciepłej nocy.

– Nic nie mów, Malta! – Kasia lekko trąciła ucho suki i ta posłusznie sunęła bezszelestnie poprzez wyrosniętą trawę za dziewczynami zmierzającymi w stronę okna. Gdy podeszły do rosnącego tuż przy ścianie domu dorodnego krzaku bzu, Kasia delikatnie rozsunęła gałązki i zerknęła do środka. Zamarła, widząc, co się dzieje w kuchni.

– Pięćdziesiąt groszy i jeszcze złotówka!

– Babcia przebija?

– Przebijam.

Bliźniaczki zerknęły na siebie porozumiewawczo i Isia twardo oznajmiła:

– Złotówka i jeszcze dwa złote.

Pani Ewelina zsunęła okulary na koniec nosa i spojrzała na nią podejrzliwie.

– Dwa złote? No nie wiem...

– Ja odpadam – zrezygnowanym tonem oznajmiła Misia.

– Ja chyba też – przyłączyła się do niej pani Ewelina. – Co miałaś, Isiu?

Dziewczynka triumfalnym ruchem zgarnęła kupkę bilonu.

– Trzeba zapłacić, żeby sprawdzić. Zagramy jeszcze rundkę?

Ewelina chwilę się wahała, ale przemożna chęć odegrania się zwyciężyła.

– No dobrze, jeszcze jedno rozdanie, ale potem już spać, czy wiecie, która godzina? A poza tym, to dlaczego ja ciągle przegrywam?

– Bo babcia nie umie blefować – wyjaśniła uprzejmie Misia. – W pokerze nie jest ważne, jaką ma się kartę, tylko czy wytrzyma się przebicie. No i obserwacja. Trzeba uważnie przyglądać się partnerom i dostrzec, jak reagują na dobrą kartę. Babcia nie umie kontrolować swoich reakcji. Wszystko widać jak na dłoni.

– Nieprawda! – zaperzyła się pani Ewelina. – Mam kamienną twarz przy kartach.

– Akurat! – roześmiała się Isia. – A kto zsuwa okulary, kiedy nic nie ma i chce przebić? A pocieranie nosa, gdy dostanie babcia dobrą kartę?

– Jesteście okropne – z rezygnacją stwierdziła Ewelina. – Idziemy spać.

– Przecież są wakacje, babciu, nie musimy zrywać się o świcie. – Misia z wprawą szulera zaczęła tasować karty. Kasia obserwowała ze zgrozą, jak bezczelnie oszukuje, podglądając i wyciągając karty ze środka talii, w czasie gdy Ewelina w skupieniu układa swoje.

Kasia pochyliła się stronę Kary.

– Zupełnie ją zdeprawowały! – szepnęła wzburzona. – Grają w pokera na pieniądze i rolują babcię, jak chcą.

Przyjaciółka w ostatniej chwili opanowała się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Nie bądź taka zasadnicza, to tylko zabawa.

– Ja im zaraz dam zabawę! – Kasia szybko ruszyła w stronę wejścia.

Trójka hazardzistek była tak zajęta grą, że dopiero huk energicznie zamykanych drzwi zwrócił jej uwagę.

– Kasia!!! – wrzasnęły dziewczynki, ale piorunujący wzrok siostry i zacisnięte w gniewie usta sprawiły, że natychmiast opadły na krzesła, nie usiłując nawet ukryć kart i pieniędzy.

– No proszę, nielegalne kasyno i dwie małe spryciary! – wycedziła Kasia złośliwie. – Dobrze, że Kara jest ze mną, zaraz wam powie, ile odsiadki możecie za to dostać.

Dziewczynki spojrzały błagalnie na babcię, ale pani Ewelina siedziała bez ruchu i patrzyła w oszołomieniu na Kasię.

– Kto was nauczył grać w pokera? – Lodowaty ton Kasi wybił bliźniaczkom z głowy wszelkie pomysły, jak wykręcić się w miarę bezboleśnie wobec tak oczywistych dowodów przestępstwa.

– Same się nauczyliśmy – duet cienkich, trwożliwych głosików nie zmięknął serca Kasi – w internecie.

– Tak? No to szlaban na komputer do otwołania, a teraz na górę i siedzieć jak myszy pod miotłą, jeśli hazardowe emocje nie pozwolą wam zasnąć. A ja muszę porozmawiać z tą panią.

– Kasiu, to nie pani, to nasza babcia! – Misia, odważniejsza z bliźniaczek, zerwała się z krzesła, podbiegła do pani Eweliny i mocno ją objęła.

– Ona była trochę zamrożona, jak do nas przyjechała, ale teraz odtajała i my ją bardzo kochamy. – Isia także odzyskała głos.

Kasia stała w milczeniu, patrząc na bliźniaczki wyczekująco, więc posłusznie, obdarzając przedtem panią Ewelinę całusami, ruszyły ze spuszczonej głowami na górę.

– Karo, bądź tak miła i... – Przyjaciółka natychmiast pojęła, że Kasia chce zostać sama z panią Eweliną, więc pociągnęła za sobą opierającą się Malte i szybko wybiegła z domu. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie podejść do otwartego okna.

– Witaj, Kasiu – ledwo usłyszała cichy głos pani Eweliny. – Zanim powiesz to, co tłumiałś w sobie przez tyle lat, chcę cię prosić o wybaczenie. Duma może zrujnować człowiekowi życie. Bogowie rażą piorunami i błyskawicami najwyższe drzewa i domy. Bogowie depczą wszystko, co wyrasta ponad przeciętność. Nie tolerują dumy u nikogo, z wyjątkiem siebie.

– Herodot – oziębło odpowiedziała Kasia. – Dobry kronikarz, ale marny filozof. Mam własne zdanie na temat dumy. Tylko dzięki niej możemy znieść wszystkie upokorzenia, nie czując poniżenia. Jest silniejsza niż miłość i życie, bo często dla niej je poświęcamy.

– Jesteś taka podobna do mnie. Też tak kiedyś myślałam, nie potrafiłam zgiąć karku, prosić o pomoc, duma nie pozwalała mi przyznać się do błędu, przez nią straciłam jedyne dziecko i mało brakowało, bym także straciła waszą trójkę. Usiądź, moja najstarsza wnuczko. Czeka nas długa rozmowa...

Kara cichutko odeszła spod okna, zabierając z sobą psa, i usiadła na schodkach werandy domu Marii. Przytulając do siebie Malte, która tęsknie patrzyła w stronę jarzącego się po drugiej stronie ulicy okna, szepnęła jej do ucha:

– Zostań ze mną, laleczko. Żadna z nas nie pomoże Kasi. Sama musi sobie z tym poradzić.

Podniosła powieki, czując na twarzy mokre liźnięcie. Oślepiły ją promienie wschodzącego słońca. Malta cicho skomlała, przestępując z łapy na łapę, wpatrzona w dwie postacie, które zmierzały w ich stronę. Kara przysłoniła oczy dłonią i nie powstrzymała Malty, gdy ta ruszyła z miejsca, radośnie szczekając, rozpoznała bowiem Kasię i Ewelinę, które szły lekkim krokiem w milczeniu, trzymając się za ręce i co chwila zerkając na siebie. Z trudem podniosła się z twardych desek i spojrzała pytająco na przyjaciółkę i jej babcię.

– Karo, spędziłaś tu całą noc? – zdumiała się Kasia.

– Wiesz przecież, że te schodki to moja świątynia dumania – roześmiała się Kara. – Tak je nazywa Maria – wyjaśniła Ewelinie.

– Droga Karo – twarz Eweliny, choć widać było na niej nieprzespane godziny, jaśniała promiennym blaskiem – wiem, co o tym myślisz, ale nie powstrzymamy Kasi. Powiedz jej, kochanie, jaki mamy plan – z czułością zwróciła się do wnuczki.

– Plan? – Kara poczuła lekkie ukłucie zazdrości, widząc komitywę babci i wnuczki. – To jest szaleństwo, nie plan. Ale ona nie chce mnie słuchać. – Oskarżycielsko wskazała palcem Kasię. – Mówiłam jej wczoraj, by nie kierowała się emocjami, że zbyt wiele ma do stracenia, ale jest uparta jak osioł!

– A ty jesteś niczym stara ciotka, która powtarza z ponurą satysfakcją: a nie mówiłam? – zaperzyła się Kasia.

Pani Ewelina postanowiła przejąć inicjatywę.

– Cicho, panienki! – huknęła energicznie. – Kasiu, wracaj do Warszawy. My wkrótce się tam pojawimy. Karo, siadamy do internetu.

– A czego tam będziemy szukać? – niechętnie zapytała urażona Kara.

– Jak to czego? Wypożyczalni limuzyn. Jedź z Bogiem, moje dziecko. Będę pamiętała o telefonie do pana Bernarda, nie martw się. – Uściskała gorąco wnuczkę, czyniąc ukradkiem znak krzyża nad jej głową.

Gdy Kasia odchodziła, przytrzymała wyrwijącą się Malte.

– Spokojnie, zobaczysz ją szybciej, niż ci się wydaje. Chodź, słońeczko, i przestań się dąsać – zwróciła się do Kary. – Oczywiście, że masz rację, ale ona zrobi to, co postanowiła. Jest taka sama jak ja! – Z dumą popatrzyła za oddalającą się Kasią i zagarnęła ramieniem Karę. – Idziemy serfować!

Kara uśmiechnęła się lekko i krocąc u boku starszej pani, pomyślała, że Ewelina młodnieje w tak ekspresowym tempie, iż może za nią nie nadążyć.

# Część szósta

Irena

Dowódca grupy antyterrorystycznej stał w milczeniu przed biurkiem i czekał, aż mężczyzna w szarym garniturze skończy przeglądać akta.

– Podjął pan optymalną decyzję – powiedział mężczyzna, chowając do szarej teczki ostatni dokument. – Sprawę uważam za zakończoną. Proszę przekazać pańskim ludziom moje osobiste gratulacje.

– Tak jest! – Dowódca się wyprężył i widząc, że mężczyzna sięga po słuchawkę, ruszył w stronę wyjścia.

– I jeszcze jedno – usłyszał, wychodząc – nie muszę przypominać, że cała akcja była ściśle tajna.

Mężczyzna wyjął z odłożonej na bok szarej teczki jedną kartkę, spojrział na nią uważnie i nieprzyjemny grymas wykrzywił mu usta. Z uwagą przeczytał jeszcze raz tekst i wcisnął jeden z przycisków stojącej na biurku konsoli. Za chwilę uchyliły się drzwi i do gabinetu wsunął się niepozorny okularnik.

– Musimy wydać komunikat.

– Tak jest, panie komendancie. – Okularnik błyskawicznie wyciągnął z kieszeni sfatygowany notes.

– Napisz, że dzięki błyskawicznym działaniom organów ścigania zabójca Ministra został zlokalizowany. Niestety, w czasie akcji zginął. Grupa specjalna musiała otworzyć ogień, zaatakowana przez zabójcę, który nie chciał się poddać. Wszystko wskazuje na to, iż działał sam, z powodów osobistych. Weź to, zredaguj odpowiednio i przynieś do akceptacji.

– Dziennikarze nie będą zadowoleni – nieśmiało zauważył okularnik.

– To ich problem. Puścisz przeciek do naszego człowieka.

– Już dzwonił. Wściekły, że nic nie wiedział o akcji. Ktoś zadzwonił do nich na czerwony telefon pół godziny po strzelaninie.

– Kto? Macie przecież tę linię na podsłuchu.

– Nie do namierzenia. Automat w centrum miasta.

– Przypomnij naszemu człowiekowi, gdzie ma pierwszy i ważniejszy etat. Niech nie podskakuje, bo jego kariera może skończyć się równie błyskawicznie, jak się zaczęła. Spotkaj się z nim i przekaz, że zabójca Ministra był komandosem, który przeżył w Afganistanie załamanie nerwowe. Po powrocie został zwolniony ze służby i przebywał kilka tygodni w szpitalu psychiatrycznym. Sfbrykujcie fragment orzeczenia lekarskiego, z którego będzie jednoznacznie wynikało, iż cierpiał na manię prześladowczą, depresję i co tam jeszcze wymyślicie. Ma to dowodzić, iż planował zemstę, i Minister był niejako losową ofiarą tego szaleńca. Możesz dodać, że znaleziono przy nim wycinki z prasy opisujące samotne eskapady Ministra, który nieświadom zagrożenia czasami lekcewał zasady ochrony. I to jest wszystko, co z tych murów ma się wydostać na zewnątrz. Zrozumiano?

– Oczywiście, panie komendancie. Będzie tak, jak pan sobie życzy.

Po wyjściu asystenta mężczyzna popatrzył na sejf w kącie gabinetu, ale po chwili przecząco pokręcił głową i schował szarą teczkę do stojącej obok biurka aktówki. Dokumenty, a szczególnie opinia patologa szukającego bez powodzenia jednej z kilkunastu kul, która powinna tkwić wraz z innymi w ciele zabójcy, były zbyt cenne i niebezpieczne, by spocząć w służbowym sejfie. Postanowił schować je w bezpieczniejszym miejscu. Lampka na konsoli sygnalizująca bezpośrednie połączenie z szefem rządu zaczęła błyskać czerwonym, pulsującym światłem.

– Melduję się, panie premierze. – Mężczyzna słuchał dłuższą chwilę i uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Dziękuję bardzo, panie premierze. Oczywiście, wstrzymamy komunikat. Dostanie pan wyczerpujący raport i informacje, które można ujawnić mediom. Jeszcze dzisiaj. Jutro konferencja? Pan wybaczy, ale charakter mojej służby wymaga, bym pozostał jednak w cieniu. Jestem przekonany, że to pan powinien osobiście poinformować nasze społeczeństwo o sukcesie podległych panu służb i przede wszystkim o ich błyskawicznych działaniach. Tak, nie mam żadnych wątpliwości w tej kwestii. Dziękuję i do widzenia. – Odłożył słuchawkę i pomyślał, że na próżność polityków zawsze można liczyć. Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer i rzucił krótko: – To już koniec. Jak zawsze, Panie Karolu, jestem do dyspozycji.

Ogromną halę widowiskową przecinały laserowe promienie, oświetlając przelotnymi błyskami falujący tłum, który pospiesznie zapełniał miejsca.

Flejtuch stał na samej górze i satysfakcja wypełniała go bez reszty. O takim dniu marzył, na taki dzień czekał, to była zapłata za te wszystkie upokorzenia, lekceważenie i drwiny, które musiał znosić, zgarniając z bogatego stołu show-biznesu jedynie nędzne resztki. Teraz jest człowiekiem sukcesu, o którego względy zabiegają wszyscy – producenci, autorzy, młode gwiazdki, agencje reklamowe i geszefciarze, tacy jak on do niedawna, od zawsze żerujący na obrzeżach wielkich interesów związanych z rozrywką.

Kiedy tak rozmyślał i przewidywał następne ruchy zakończone jeszcze większym sukcesem, podeszła do niego korpulentna blondynka w średnim wieku, obleczona w obcisłą satynową sukienkę, podkreślającą bez litości wszystkie zaokrąglenia i fałdki, jakimi obdarzyła ją w nadmiarze natura. Była to Stefa, sekretarka i asystentka Flejtucha, jedyna osoba, przed którą czasami czuł respekt i z której zdaniem się liczył.

– Mam ochotę przełożyć tę gówniarę przez kolano i porządnie jej złoić tyłek – syknęła rozwścieczona. – Zjawiła się pół godziny przed próbą generalną jak gdyby nic i nie raczyła nawet powiedzieć, gdzie się szlajała.

– Uspokój się, Stefa – nic nie było w stanie wyprowadzić go dzisiaj z równowagi – grunt, że jest. Wiesz przecież, jaki mamy układ.

Spod płatynowej grzywki, zza grubych szkielec w prostej, czarnej oprawce poprunęło ku niemu piorunujące spojrzenie.

– Mówiłam od początku, że to mi się nie podoba. Tacy jak my nigdy niczego nie dostają za darmo, zawsze trzeba słono zapłacić. Jeszcze szef nie wie, jaką cenę.

– Przestań margolić! – Postanowił, że nic i nikt nie odbierze mu smaku sukcesu, którego tak łaknął od zawsze. – Dobrze wiesz, że bez tej „gówniary”, jak ją wytwornie określasz, dzisiaj cieszylibyśmy się, że sala jakiegoś prowincjonalnego domu kultury jest zapełniona w dwóch trzecich. Ta impreza pozwoli nam się odbić, zaistnieć i osadzić mocno w tym biznesie, w którym albo ty kogoś zjesz, albo ciebie błyskawicznie pożrą.

Kobieta zacisnęła usta i z uporem pokręciła głową.

– Mam złe przeczucia.

– Ty masz zawsze złe przeczucia, a ja rację. Powiedz lepiej, kto przyszedł.

– Wszyscy – odrzekła ponuro – i to mnie niepokoi. Jak się wyłożymy, nic nie zamieciemy pod dywan.

– Stefa! Spluń trzy razy przez lewe ramię! – Flejtuch był przesądny. – I idź pilnować jury. Ja się jeszcze przejdę i przywitam z gośćmi. Niektórymi – zaznaczył z godnością i ruszył do vipowskiego sektora.

Koliński powoli zmierzał w stronę swojego miejsca, wymieniając po drodze powitalne grzeczności z licznymi znajomymi. On musiał tu być, dziwiła go jednak obecność tak wielu znaczących osób. Nie lubił takich spędów, rzadko bywał na warszawskich salonach, nie przeglądał kolorowych tygodników, by sprawdzić, czy jego obecność na tej czy innej imprezie była odnotowana w plotkarskich rubrykach. Nie potrzebował takiej reklamy, ale rozumiał, że świat celebrytów, znanych z tego, że są znani, rządzi się swoimi prawami, których nie chciał i nie musiał zgłębiać. Widok szefa wielkiej spółki giełdowej, wicepremiera, paru posłów i licznych przedstawicieli biznesu trochę go jednak zaskoczył.

Znalazł wreszcie swoje miejsce i zagłębił się w fotelu, rozmyślając nad ułomnością natury ludzkiej. Jak cenna jest prywatność? Za co można ją sprzedać? Jak żyć ze świadomością, iż każdy nasz krok, każde zachowanie, wszystkie wypowiedane słowa natychmiast stają się własnością tłumu, bezlitosnego i szydlerczego w swych opiniach? Jak zrozumieć, dlaczego w jednej chwili, bez wyraźnej przyczyny, przestają nas wielbić, a zaczynają nienawidzić? Ale chyba najgorsza w takich wypadkach jest obojętność i zapomnienie, stąd te rozpaczliwe próby, by wrócić na pierwsze strony gazet i czołówki plotkarskich portali. Wszystko na sprzedaż – skonstatował z goryczą Koliński i wrócił gwałtownie do rzeczywistości potrącony przez malowniczego osobnika przepychającego się do wolnego miejsca tuż za nim. Osobnik był odziany w liliową koszulę bogato zdobioną haftem angielskim, rozpiętą o jeden guzik za daleko, dzięki czemu każdy mógł podziwiać ciemny, obfity zarost wyłaniający się z rozcięcia. Brokatowa, ogniście czerwona kamizelka opadała połami na obcisłe prążkowane spodnie, których za krótkie nogawki ukazywały seledynowe kowbojki z barwionej skóry jaszczurki, zakończone spiczastym czubem. Mężczyzna niósł na ramieniu ogromną wypchaną torbę, zrobioną z tkaniny przypominającej fakturą i wzorem średniowieczny gobelin. Ponieważ siadając, zawadził nią o Kolińskiego, poderwał się z miejsca i wyciągając dłoń, której każdy palec ozdobiony był okazałym pierścieniem, zwrócił się do niego miękko, łagodnym głosem:

– Pan wybaczy, Iwo Bończa-Bończacki jestem. Stylista – dodał z wyraźną dumą.

Rafał Koliński mruknął coś pod nosem. Ściskając ostrożnie upierścienioną dłoń i podnosząc głowę, stwierdził z rozbawieniem, że cała reszta stylisty jest równie oryginalna. Spod różowego kapelusza, zsuniętego do połowy czoła, spływały mocno namaszczone żelem włosy, ściągnięte z tyłu w mizerny, cienki kucyk. Oczy kryły wielkie ciemne okulary, których oprawka aż się skrzyła od sztucznych brylancików, a kilkudniowy zarost, zamiast przydawać męskości, sprawiał wyjątkowo niechlujne wrażenie. Mężczyzna w końcu usiadł i Koliński mógł się dyskretnie rozejrzeć. Zdawał sobie sprawę z tego, że zobaczy kobietę wtedy, gdy ona tego zechce, ale musiał podjąć próbę jej zlokalizowania.

Spojrzał na zegar wiszący z boku sali i z niepokojem pomyślał, że Staszek już powinien mu dostarczyć to, co miał przekazać w zamian za zdjęcia Agaty. Dwie godziny temu on i jego ludzie weszli do banku jako ekipa z centrali. System miał być wyłączony przez pół godziny. Rozkodowanie dyskietki, wgranie materiału z płyty, którą Koliński wręczył im tuż przed wejściem do banku, ponowne zaszyfrowanie miało według zapewnień Staszka zająć nie więcej niż kilka minut. Gdzie ten Staszek się podziewa?

– Karo, szybciej, zaraz się zaczyna! – Bliźniaczki poganiały starszą przyjaciółkę, która niepewnie chwiała się na wysokich obcasach. Pani Ewelina z godnością kroczyła za nimi, wyniośle spoglądając na rozgorączkowany tłum i krytycznie oceniając kreacje pojawiających się w zasięgu wzroku kobiet. Jej przekonanie, że Warszawa była i jest prowincjonalnym miastem, znajdowało kolejne potwierdzenie, gdy widziała nieudolne podróbki ostatnich kreacji światowych dyktatorów mody. „Nawet kopiować nie potrafią” – skrzywiła się z niesmakiem, spoglądając na telewizyjną prezenterkę, muzę jednej z polskich projektantek, z dumą prezentującą ostatnie dzieło swojej mistrzyni. I z rozrzwinięciem wspomniała krawcową Krysię z Krowodrzy, która ze zdjęcia w „Burdzie” potrafiła uszyć każdy model z perfekcją nieosiągalną dla dzisiejszych mistrzyń stylu i elegancji. Z dumą zerknęła na Karę, zmuszoną prawie siłą do włożenia prostej małej czarnej, którą pani Ewelina wypatrzyła w sklepie z używaną odzieżą w Pszczelinie. Zaszła tam przypadkowo i kiedy zobaczyła tę sukienkę na wieszaku, od razu wiedziała, że trafiła na skarb. Metka potwierdziła jej przypuszczenia – nazwisko jednego z najstarszych włoskich projektantów nic nie mówiło właścicielce sklepiku, ale Ewelina wiedziała, że jest to perełka vintage, mody retro, która przebojem zdobywała salony Europy. Jedyna, niepowtarzalna jak dobry rocznik wina, od którego ów trend zapożyczył nazwę. „I jakby stworzona z myślą o Karze” – pomyślała Ewelina, widząc odwracające się za nimi głowy. W istocie grupa była malownicza. Dwie identyczne dziewczynki w aksamitnych sukienkach, ze złotymi opaskami w gąszczu rudych, spadających swobodnie loków; wysmukła młoda kobieta o figurze modelki, niepewnie dotykająca misternego złotego łańcuszka, z którego zwisała ogromna perła o gruszkowatym kształcie, i wreszcie płynąca dumnie jak okręt flagowy hiszpańskiej armady wytworna starsza pani w srebrzystym garniturze podkreślającym nienagannie prostą sylwetkę. Gdy usiadły na swoich miejscach, pani Ewelina wyjęła z torebki małą połączaną lornetkę i przyłożywszy ją do oczu, rozejrzała się po widowni.

– No tak, Marcysia, gdyby tu była, powiedziałyby: plebs i nuworysze. Ale w końcu, moja droga Karo, nie jesteśmy w filharmonii, choć wpuszczają tam teraz, jak mi opowiadała kiedyś z oburzeniem doktorowa Malczewska, takie indywidualia, które biją brawa po każdej części utworu. – Z rezygnacją sięgnęła po folder imprezy. Gdy ujrzała na rozkładówce zdjęcie swojej najstarszej wnuczki, uśmiechnęła się i pomyślała, że Marcysia jest straszną snobką, a ci mili ludzie na widowni na pewno docenią wdzięk, urodę i inteligencję Kasi. Może będą trochę zaskoczeni rozwojem akcji, ale cóż, dobry spektakl musi mieć zaskakujący finał.

Bodzio ledwo uwolnił się od Flejtucha, który wylewnie go ścisnął i poklepywał po ramieniu, dziękując za ufundowanie głównej nagrody konkursu. Usiadł obok Marka i rzucił poirytowany:

– Lepiej jednak być koniem niż furmanem.

Marek puścił mimo uszu kolejną złotą myśl Bodzia i jeszcze raz dotknął małego wybruszenia kieszeni. Odetchnął z ulgą, gdy wyczuł niewielkie twarde pudełeczko, i dopiero wtedy z uśmiechem zwrócił się do przyjaciela:

– Wyluzuj, Bodziu. Jeszcze trochę. Naprawdę tak ciężko jest być mną?

Bodzio rozejrzał się podejrzliwie i wyrzucił z siebie konspiracyjnym szeptem:

– Szef sobie nawet nie wyobraża, jak bardzo! Schudłem dziesięć kilo, nie śpię, bo jak tylko przymknę powieki, to widzę Wirskiego, który żąda ode mnie natychmiastowego podjęcia decyzji w jakiejś gównianej sprawie, o której nie mam zielonego pojęcia, sekretarka molestuje mnie seksualnie, wkładając coraz krótsze spódnice i bluzki prawie bez przodu, no i ta odpowiedzialność. – Bodzio wyciągnął z kieszeni smoking chustkę i otarł obficie zroszone potem czoło. – Widzi szef? To wszystko z tych nerwów!

– Jaka odpowiedzialność? – zdziwił się Marek. – Przecież to ja podejmuję decyzje, ty je tylko przekazujesz.

– Nie o to chodzi! – zirytował się Bodzio. – Szefowi to trzeba wszystko tłumaczyć jak krowie na miedzy. Chodzi o dobre imię szefa, żeby nie mówili, jak się stąd zwiniemy: ale to burak, prosty jak konstrukcja cepa, jakim cudem tyle osiągnął? Słowem, żeby dupy szefowi nie obrobili.

Marek ścisnął ramię Bodzia.

– Świetnie ci idzie. Nie martw się opinią innych. U mnie za tę rolę dostałbyś Oscara.

Uspokojony Bodzio rozparł się wygodnie, poprawił przekrzywioną muszkę i zaczął wodzić wzrokiem po widowni. Zauważył ponętną damę, którą natychmiast zakwalifikował do kategorii „ryczących czterdziestek”, i puścił do niej oko, ale natychmiast się zreflektował i skarcił w duchu. Prezes Wilter tak się nie zachowuje.

Stała w półcieniu w miejscu, skąd doskonale widziała Kolińskiego. Obserwowała go już dłuższą chwilę, aż od wejścia na widownię, i była prawie pewna, że nie ciągnie za sobą żadnego ogona. Zastanawiała się tylko, gdzie są materiały, które miał przynieść, i pomyślała z niepokojem, iż wielkim ryzykiem z jego strony byłoby pozostawienie ich w szatni. Kulas już czekał na parkingu obok hali w niepozornym samochodzie popularnej marki, zaopatrzone w dokładne instrukcje. Irena wcześniej postanowiła, że skontaktuje się z Kolińskim w czasie przerwy, korzystając z zamieszania, jakie zapewne powstanie w kuluarach.

Patrzyła na podniecony tłum zapelniający widownię i rozpoznawała wiele twarzy. Byli tu ludzie już winni jej przysługę i ci, którzy dopiero mieli się przekonać, iż bez Ireny niczego nie dokonają. Nie lubiła tracić kontroli nad sytuacją i dlatego zdecydowała, że wróci po przerwie na finał. W końcu to dzięki niej wszystko zakończy się happy endem, i będą żyli długo i szczęśliwie. Oczywiście do czasu, kiedy zdecyduje, jak wykorzystać wiedzę, którą posiada. No i w końcu musi postanowić, co z Anitą. Pokładała sporo nadziei w Justynie, w przekonaniu, że potrafi zastąpić dziennikarkę, ale informacje, które zdobył Kulas, mocno ją zaniepokoiły. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna była podstawiona. Jeszcze nie wiedziała, czy to służby, czy konkurencja, ale była zbyt doświadczona, by się jej natychmiast pozbyć. Miała nad nią przewagę i mogła sterować niedoświadczoną dziewczyną, jak chciała. I tak nie dotrze do jej archiwum, którego Kulas pilnuje jak cerber. A Anita musi w końcu zrozumieć, że jeśli podjęło się grę, która trwa już parę lat, nie zawsze ma się wybór.

Asystentka truchtała z tyłu, spleciona długą wieczorową suknią, nie mogąc nadążyć za Anitą, która szybko, niedbale odpowiadając na liczne pozdrowienia znajomych, kierowała się w stronę miejsc zarezerwowanych dla jury. Nie próbowała nawet odszukać wzrokiem Marka, choć wiedziała, że razem z prezesem Wilterem siedzą zapewne w łoży sponsorów i VIP-ów.

Marek, prezes, kierowca, asystent... zamieszanie wywołane tym dziwnym do zrozumienia oszustwem nie miało dla niej znaczenia i nie zaprzątała sobie nim głowy. Wiele czasu potrzebowała, by zrozumieć, iż bez cierpliwości droga do celu może zamienić się w ślepią uliczkę.

– Papiery – warknęła na asystentkę i kiedy dostała teczkę zawierającą dossier wszystkich finalistek, niedbałym gestem odprawiła współpracowniczkę, która potulnie usiadła w rzędzie za szefową, czujna i gotowa natychmiast wypełnić kolejne polecenie.

Otworzyła teczkę i wyjęła folder. Powoli go przeglądała, aż dotarła do rozkładówki. Zielone oczy patrzyły prosto w obiektyw, a delikatny uśmiech ujmował swoim młodzieńczym wdziękiem i naturalnością. Ze złością wsunęła broszurkę do teczki, ale natychmiast opanowała się i rozpoczęła banalną rozmowę z siedzącą obok piosenkarką, która nie nagrała nic wartego uwagi od kilku lat, a nieustającą obecność w mediach zawdzięczała wyłącznie licznym skandalikom, po części starannie reżyserowanym przez jej menedżera, i występom w popularnym telewizyjnym show, gdzie z powodzeniem grała rolę słodkiej, rozhisteryzowanej, wrażliwej artystki.

– Mam rewelacyjny materiał na płytę – zwierzyła się Anicie – wkrótce zaczynamy nagrywać. Daję ci tę informację na wyłączność.

– Dziękuję, to bardzo miłe wyróżnienie. Zapamiętam je sobie. – Ze sztucznym uśmiechem poklepała lekko po dłoni promieniejącą zadowoleniem gwiazdę, myśląc jednocześnie, iż mała notka na dalszych stronach pismu nie zaszkodzi.

Światła na widowni powoli przygasły, ucichł szmer rozmów i salę wypełniła rytmiczna muzyka, z każdą chwilą przybierająca na sile. Gdy dźwięki osiągnęły apogeum, scena rozbłysła feerią barw, budząc głośny zachwyt publiczności. Jeszcze większy ogarnął ją, gdy w świetłach reflektorów pojawił się popularny prezenter i błysnął w uśmiechu świeżo wybielonymi zębami.

– Witam państwa, witam widzów, rozpoczynamy finał konkursu „Najpiękniejszaa”! – wykrzyknął z zapalem i wznosił ręce do góry w triumfalnym geście, podrywając profesjonalnym entuzjazmem łaknącą wielkiego widowiska publiczność.

Przeglądała gazety i zerkala od czasu do czasu na ekran telewizora, czekając na powrót męża i syna. Spokój, poczucie bezpieczeństwa i radość życia, to wszystko, czego tak bardzo pragnęła, było w jej zasięgu i cieszyła się każdą chwilą, dziękując za ten dar. Odłożyła na bok gazety, nie chcąc niszczyć dobrego nastroju opisem politycznych burd, kłamstw, hipokryzją autorytetów i polityków. „Co mnie to obchodzi” – pomyślała i spojrzała uważniej na migające w telewizorze obrazki. Znowu jakaś guma do żucia dla oczu. Panienci, schody, pióra w pupie i głupie dowcipy. Sięgała po pilota, by zmienić kanał, gdy usłyszała głośny śmiech i trzask otwieranych drzwi. Jan i Michał wpadli do pokoju, przekrzykując się wzajemnie.

– Mamo, tata to pirat drogowy, było ograniczenie do trzydziestu, a on jechał trzydzieści dwa – drwił Michał.

– Śmieję się, śmieję – udawał obrażonego Jan – przyjdzie koza do woza, jak trzeba będzie dołożyć do kursu na prawo jazdy.

– To jest szantaż i nadużywanie stanowiska! – Michał podjął grę i płaczącym tonem zwrócił się do Marty: – Tylko w tobie, mamo, moja nadzieja.

– Spokój, chłopcy! – Zwichrzyła dłonią czuprynę syna. – Masz rację, tata nadużywa... stanowiska ojca. I ma moje pełne wsparcie.

– Co tak pachnie? – zainteresował się nagle Jan.

– Łazanie! – wykrzyknął Michał. – Cudnie! Zjemy i obejrzymy mecz.

– Ale mama zaczęła coś oglądać... – Jan wskazał ręką na telewizor.

– Właśnie miałam przełączyć na coś innego, zapowiedzieli przerwę – wyjaśniła Marta – a poza tym już nie mogę patrzeć na te dziewczyny o mózdzku jak fistaszek, które chcą, wszystkie jak jedna, żeby był pokój na ziemi i żeby dzieci nie głodowały.

– Jakież kolejne wybory miss? – zainteresowali się panowie.

– Tak, tym razem „Najpiękniejszej”. Mogliby chociaż raz wybrać najmądrzejszą.

– Mądre dziewczyny nie są atrakcyjne – rzucił przemądrzałym tonem Michał.

– A mama? – z oburzeniem zaprotestował Jan, przytulając Martę.

– Mama jest wyjątkiem, który potwierdza regułę. – Michał podeszedł do rodziców, obejmując ich oboje i tuląc się jak mały chłopiec. – Kocham was!

Marta stała między nimi i w duchu dziękowała losowi, że ma przy sobie mężczyznę i chłopca, którzy nie wstydzą się okazywać uczuć. I dzięki którym ona też to potrafi.

Widzowie wychodzili z sali, gorąco komentując ostatni przed przerwą występ finalistek. Koliński, który miał nerwy napięte do granic wytrzymałości, szybko wstał z fotela i ruszył w kierunku wyjścia, włączając po drodze komórkę. Musi skontaktować się ze Staszkiem, zanim spotka tę kobietę. Nagle poczuł mocny uścisk na ramieniu.



– Ta ruda, co chce studiować prawo i marzy, by było ono sprawiedliwe, to Kasia.  
Koliński odwrócił się gwałtownie. Stylista zdjął czarne okulary i popatrzył kpiąco na prezesa.  
– Pan mnie kiedyś wykończy, panie Staszku – rzekł z rezygnacją. – Gdzie materiały?  
Detektyw poklepał czule gobelinową torbę i wyciągnął z niej małą czarną teczkę.  
– Tu jest wszystko.  
– Zrobił pan kopię?  
– Oczywiście, panie prezesie. Będę pana ubezpieczał, poza tym muszę dać znać mojemu człowiekowi, gdy załatwi pan wymianę. Proszę się nie obawiać, będę dyskretny, nikt mnie nie zauważy. – Staszuk odszedł, wdzięcznie kołysząc biodrami.  
Koliński ruszył za nim i gdy tylko znalazł się w kuluarach, poczuł, że jest obserwowany. Stała kilka metrów dalej i uważnie lustrowała otoczenie. Powoli zaczął zmierzać w jej kierunku. W milczeniu wręczył jej teczkę. Podała mu kopertę. Nie zajrzał do środka, tylko spytał:  
– Wszystko?  
– Tak – odpowiedziała. – Pan też, jak rozumiem, wywiązał się z naszej umowy całkowicie?  
– Szczerze mówiąc, nawet bardziej niż całkowicie.  
Irena w zamyśleniu patrzyła za odchodzącym Kolińskim i czuła lekki niepokój, ale w końcu przecież wykonała swoje zadanie. Teraz Kulas musi szybko zawieźć teczkę na lotnisko.

Stała w kolejce do bufetu, cierpliwie czekając na zamówione napoje, i tylko nerwowy ruch, jakim poprawiała spadające na czoło niesforne loki, wymykające się spod spinek misternie upinających włosy, mógł uważnemu obserwatorowi sugerować, iż czuje się w tym miejscu niepewnie.

Koliński wpatrywał się w profil dziewczyny, dostrzegając delikatny, różowy płatek ucha ozdobiony czystą, białą perłą, mały, prosty nos i gęste rzęsy, rzucające długi cień na blade policzki. Jakby czując na sobie jego wzrok, odwróciła głowę i rozejrzała się wokoło. Ich oczy spotkały się na chwilę i Rafał poczuł, jak jego serce zaczęło gwałtownie bić. Zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło, tak jakby usiłowała przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała tę twarz, gdy nagle wyrosły przed nią jak spod ziemi dwie dziewczynki, szarpiąc ją gwałtownie za ręce. Szare oczy z wysiłkiem oderwały się od twarzy Kolińskiego, a usta rozjaśnił czuły uśmiech.

– Gdzie babcia?! – jednocześnie krzyknęły dziewczynki.  
– Babcia musiała wyjść, ale wkrótce się zobaczymy. – Nieznajoma wzięła dwa plastikowe kubki, wręczyła dziewczynkom i nie oglądając się za siebie, zniknęła w tłumie.

Scor posiadał wyjątkową umiejętność błyskawicznego dostosowywania swoich planów do zmieniających się okoliczności.

Parking przed halą widowiskową był zapelniony do ostatniego miejsca i można było z góry założyć, że po zakończeniu imprezy wypełni go tłum spieszących do domu ludzi. Żadnych świadków – ta dewiza była podstawą jego dotychczasowego powodzenia, wiedział bowiem doskonale, iż błąd szczegół, zapamiętany przez przypadkową osobę, może stać się kamykiem, który uruchomi lawinę i z myśliwego zamieni go w uciekający w popłochu, ścigany i osaczany cel.

Postanowił upozorować włamanie do wille Kolińskiego. Miała system alarmowy, który już dawno rozpracował, i zaczajenie się w jej wnętrzu nie niosło ze sobą nawet cienia zagrożenia. Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Mokotowa. Jeszcze tylko, zgodnie z umową, potwierdzający sygnał od Pana Nowaka i może zakończyć misję w tym kraju.

Z całkowitym brakiem zainteresowania obserwowała kłócących się zajadle jurorów, wiedząc doskonale, iż werdykt jest dawno ustalony, a gra pozorów, której jest właśnie świadkiem, ma jedynie pozwolić zachować tym wynajętym i sownie opłaconym ludziom złudne poczucie, że kierują się wyłącznie własnymi ocenami, niezależni w swych opiniach i gustach. „Wszystkich można kupić” – pomyślała cynicznie, gdy zauważyła, iż decyzje jury powoli zmierzają w kierunku, jaki ustaliła z Flejtuchem. Nagle poczuła zapach ciężkich, jaśminowych perfum i usłyszała szept:

– Mamy problem.  
Stała nad nią Stefa, wskazując spojrzeniem jedną z jurorek, popularną aktorkę serialową, która z uporem kręciła głowę.  
– Bez jej głosu leżymy. Werdykt musi być jednomyślny.  
– Nie udało się jej kupić?  
– W ostatniej chwili zastąpiła naszego człowieka z telewizji, a to ich miejsce w jury, więc nie mieliśmy na tę decyzję wpływu.  
– Macie więcej szczęścia niż rozumu – rzuciła z lekceważeniem Anita i wstała z miejsca. Podeszła do aktorki i z uśmiechem zapytała: – Wyjdziemy na papierosa?

– Nie palę – odmówiła z wyższością aktorka.  
– Naprawdę? Doktor... – i tu Anita wymieniła nazwisko znanego chirurga plastycznego – mówił co innego.  
Odwróciła się i zaczęła iść w stronę wyjścia, pewna, że pobladła nagle aktorka zaraz do niej dołączy.  
Dwóch rosyłych ochroniarzy oddzielało je od tłumu fanek, błagających aktorkę o autografy i wspólne zdjęcia.  
– Wiem, kim pani jest i jakimi metodami posługuje się pani szmatławiec. O co chodzi?  
Anita z premedytacją, powoli wydmuchiwała dym, wiedząc, że aktorka nie ośmieli się zapalić na oczach fanek.  
– Na pani miejscu byłabym nieco grzeczniejsza – odparła zimno. – To pani powinno zależeć na tym, byśmy osiągnęły porozumienie.  
Gwiazda patrzyła na nią w milczeniu i Anita pomyślała, że kiepska z niej aktorka, skoro nie potrafi ukryć emocji, od których aż kipi.  
– Opowiem pani krótką historię o niegrzecznej dziewczynce. Bardzo niegrzecznej. Oszukiwała ludzi. I kłamała jak najęta. Wmawiała kobietom w reklamach, że swoją gładką twarz zawdzięcza niedrogiemu polskiemu kremowi, który sprawia, że w cudowny sposób znikają zmarszczki. Owszem, znikają, ale w klinice naszego znajomego doktora. Mamy pełną dokumentację. A kremu, który pani reklamuje, nie używały pani nawet do pięt. Mamy zdjęcia, jak kupuje pani w luksusowej perfumerii jedne z najdroższych, z limitowanej serii zachodnich kosmetyków. Chce pani zobaczyć swoją twarz na pierwszej stronie gazety z dorysowanym nosem Pinokia?

Aktorka zacisnęła pięści w beznadziejnym gniewie i z nienawiścią w oczach podeszła bliżej, nie wywołując żadnej reakcji Anity, ta bowiem wiedziała, że już wygrała tę drobną, z jej punktu widzenia, potyczkę.

– Co mam zrobić, żeby te informacje nie ukazały się w pani... gazecie?  
– No proszę, już nie szmatławiec? Lubię elastycznych ludzi, skłonnych szybko zmieniać zdanie. Pani to potrafi. Co w zamian? Nic wielkiego. Będzie pani głosowała tak jak reszta jury.  
– I to wszystko? Jaką mam pewność, że kiedyś, w przyszłości, nie wykorzysta pani tych materiałów?  
– Żadnej – krótko oznajmiła Anita. – Może pani mieć jedynie pewność, że je opublikuję, jeśli nie posłucha pani mojej rady.

Odczytał wiadomość i z nadzwyczajną pieczołowitością schował komórkę do skórzanego futerału. „W końcu to pierwszy służbowy telefon” – pomyślał z dumą. Jeszcze raz zlustrował uważnie pomieszczenie, w którym wcześniej rozstawił kilka butli gazowych. Zerknął na zegarek, z zadowoleniem pokiwał głową i przewrócił palącą się świecę, która wyładowała na stosie nasączonych spirytusem szmat. Nie czekając, aż płomień się rozprzestrzeni, wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach, zręcznie omijając dziury i obluzowane deski. Gdy dotarł na drugą stronę ulicy, skrył się w ciemnej wnęce bramy i uważnie rozejrzał. Pusta, wymarła ulica, słabo oświetlona nielicznymi latarniami, których lamp nie zdążyli jeszcze rozbić rozrywkowi młodzieńcy z sąsiedztwa, rzadko o tej porze nawiedzana była przez przypadkowych przechodniów.

Czekał cierpliwie, zgodnie ze swoją zasadą, że wszystkiego trzeba dopilnować osobiście, nie dopuszczając, by przypadek pokrzyżował plany. Mijały minuty i wreszcie zobaczył, jak po wybuchu potężna fala ognia błyskawicznie zaczyna trawić okiennice, drewniane stropy i klatkę schodową. Siła ognia przekroczyła jego oczekiwania i z zadowoleniem zatarł ręce, widząc, jak stara kamienica płonie, wydając z siebie upiorne odgłosy agonii. Płomienie wzięły ją w całkowite posiadanie, niszcząc z przerażającą siłą i skutecznością. Patrzył przez chwilę z fascynacją, jaką zawsze w ludziach budzi ogień, ale szybko wrócił do rzeczywistości. Rozpiął suwak kombinezonu, błyskawicznie ściągnął go z siebie i zwijając w mały tobołek, wrzucił do śmierzącego, zardzewiałego śmietnika stojącego w bramie.

Ruszył powoli przed siebie i kiedy już skręcał w najbliższą przecznicę, usłyszał dochodzące z oddali zawołanie syren. Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i w świetle łuny pożaru, która docierała aż tutaj, kolejny raz, sam już nie wiedział który, odczytał swoje nazwisko i wypisane pod nim słowa: „młodszy wspólnik”, i nazwę firmy, „Staszyk i Synowie”. „Żegnaj, Konus, teraz nareszcie będziesz kimś” – po raz ostatni pomyślał chwilę o swoim dotychczasowym życiu, strzegując z klapy eleganckiego garnituru mikroskopijny pyłek, i wkroczył w nowe spokojnym, dostojnym krokiem, mijany przez liczne strażackie wozy pędzące w kierunku szalejącego pożaru.

Światła wydobły z mroku estradę i głośny okrzyk zachwytu zgromadzonej w hali publiczności powitał scenę zamienioną w ogromną salę balową. Wielkie, sprawiające wrażenie marmurowych schody spływały jak zastygła lava na lustrzaną posadzkę. Połączone ornamenty, umieszczone na błękitnym tle, otaczały wysokie okna, przez które przenikała zieleń ogrodu zaglądnącego do tego wyczarowanego przez sztuk scenografów i oświetleniowców wnętrza barokowego pałacu. Rozległy się ciche dźwięki skrzypiec, improwizujących na temat jednego z koncertów Albinioniego, światła lekko przygasły i w kręgu rzucanym przez punktowy reflektor na szczycie schodów ukazała się pierwsza z finalistek, wsparta wdzięcznie na ramieniu mężczyzny odzianego w strój dworzanina z epoki Ludwika XIV. To był ostatni pokaz finałowej szesnastki. Dziewczeta prezentowały się w wieczorowych kreacjach, kolejno schodząc z wdziękiem po schodach i ustawiając się na przodzie sceny. Trzy z nich, których nominacje do ścisłego finału ogłoszono tuż przed przerwą, wcale nie uśmiechały się promienniejsz niż koleżanki, które już wiedziały, że stanowią jedynie tło dla tych wybranych, walczących o wszystko. W tym konkursie nie było nagród publiczności, fotoreporterów, tytułu najmiłszej, czwartej, trzeciej i drugiej „Najpiękniejszej”. Zwycięzcy zgarniała całą pulę nagród, a wśród nich między innymi wart pół miliona dolarów dwuletni kontrakt reklamowy z firmą głównego sponsora wyborów.

Konferansjer zbiegł lekko po schodach i jeszcze raz przypomniał publiczności, kto pozostał w walce o tytuł „Najpiękniejszej”. Każda z nich miała już na widowni swoich fanów, więc okrzyki, brawa i gwizdy puentowały kolejne z wywołanych imion.

– Kasiaa!... Lii!... Magdaa!... To nasze finalistki! – entuzjazmował się konferansjer, zachęcając publiczność do owacji.

Dziewczyny, trzymając się za ręce, weszły na wybieg, który prowadził w głąb widowni. Widzowie mogli po raz ostatni porównać trzy, jakże odmienne, typy urody.

Rudowłosa Kasia o młeczej skórze ubrana była w powiewną sukienkę z szyfonu mieniącego się wszystkimi odcieniami zieleni. Miękki materiał, udrapowany drobnymi szczypankami na biuście, podkreślał szczupłą talię, a asymetryczne klapy przy każdym kroku odsłaniały wysmukłe, długie nogi o wąskich stopach oplecionych srebrnymi paskami sandałków na wysokiej szpilce.

Magda bogactwo swoich pszennozłotych włosów ukryła we francuskim warkoczu, podkreślając w ten sposób idealne proporcje twarzy o wysokich kościach policzkowych, szlachetnym czole i kobaltowych oczach, nad którymi śmiały łukami rysowały się ciemne brwi. Złocisty gorsecik, przechodzący na wysokości bioder w szeroką czarną krynolinę, podkreślał barwę włosów i cery, delikatnie muśniętej promieniami słońca.

I wreszcie Li, córka Chinki i Polaka, z falą kruczoczarnych włosów, jakby wyrzeźbiona z kości słoniowej, smukła jak bambus w swojej odsłaniającej ramiona satynowej wąskiej sukience z rozcięciem z boku, wykończona małą stójką. Malinowej barwy materiał pokryty był czarnym wzorem przypominającym litery chińskiego alfabetu, a jego głęboka barwa podkreślała czerwień pięknie wykrojonych ust i hebanowy odcień włosów.

Anita zmruryła oczy i zacisnęła ręce na oparciu fotela tak mocno, że aż zbieleły kostki dłoni. Musi to wytrzymać do końca, a potem dziewczyna na zawsze zniknie z jej życia.

– Ta Kasia jest najlepsza, prawda? – cichy szept piosenkarki zmusił ją do opanowania się i bledy uśmiech rozciągnął w sztucznym grymasie pokryte ciemną szminką usta.

– Tak, masz rację – musiała podtrzymać siedzącą obok gwiazdę w przekonaniu, iż podejmuje ona samodzielną decyzję. Głęboko nabrała powietrza i z ulgą uświadomiła sobie, że wybory zmierzają do finału.

Szmerzący potok słów sączył się powoli do ucha Kolińskiego, wywołując w nim rosnącą irytację, bo choć nie zwracał uwagi na treść tego, co Staszyk mówi, to jednak ten nieustający monolog przeszkadzał mu w obserwacji dziewczyny siedzącej kilka rzędów przed nim.

– Nasza jest śliczna, ale ta blondynka... – rozmarzył się detektyw, w dalszym ciągu w powłoce ekscentrycznego stylisty Bończa-Bończakowskiego. – Jak pan sądzi, prezesie, która wygra? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrział uważnie na sąsiada i dostrzegł, że Koliński wcale nie patrzy na scenę. Jego wzrok powędrował w tamtym kierunku i ujrzał Karę.

– Mówiłem, żeby tu nie wracać po przerwie. Czemu pan zmienił plany? Co z wyjazdem? Radzę dobrze, niech pan trzyma się z dala od tej policjantki. To bystra dziewczyna, a nam kłopoty nie są potrzebne.

Koliński odwrócił głowę i spojrział na detektywa w sposób, który skutecznie zamknął mu usta.

– Panie Staszyk, teraz nie liczy się nic, tylko ona. Rozumie pan?

Kiedy dziewczyny zeszły ze sceny, na estradę wkroczył kwintet BetoVena, znany z tego, iż swoimi parodiami muzycznymi potrafił rozbawić widzów do łez.

Flejtuch, który przed chwilą ponownie wystąpił Stefą, by pilnowała obradującego jury, ze zdumieniem obserwował występy artystów, jeszcze raz utwierdzając się w przekonaniu, iż pomysł reżysera nie był najlepszy. Bibi, choć bez głosu i talentu, potrafiła zawładnąć każdą widownią, tak samo jak stary, dobry zespół Szmali&Kasa, ale jego propozycję, by to oni wypełnili lukę przed ogłoszeniem wyniku obrad jury, producent telewizyjny przyjął z obrzydzeniem i zaczął bredzić coś o wysokiej kulturze, misji i innych duperelach, w czym wtórował mu żarliwie reżyser. „Kij im w oko” – pomyślał Flejtuch, nawet się nie denerwując, bo widownia zaczęła reagować na żarty kwintetu i całkiem nieźle się bawiła. Zdyszana Stefa po chwili zajęła miejsce obok i szepnęła:

– Wszystko w porządku.

Flejtuch wygodnie rozparł się w fotelu i zaczął sobie wyobrażać bankiet po koncercie, na którym wszyscy będą chcieli mu gratulować, uściskać dłoń, a wielu, zachęconych sukcesem imprezy, podjąć współpracę. „Będę wybierać i przebierać – pomyślał. – Byle czego nie wezmę. I wtedy ja będę dyktował warunki, a nie ta suka z mediów i homoniepewny reżyser z telewizji”.

Kwintet BetoVena zakończył występ i gorąco żegnany przez publiczność opuścił scenę, na którą wkroczył konferansjer, prowadząc z sobą przewodniczącego jury, chałturzącego w wielu reklamach i kilku serialach „dobrze zapowiadającego się artystę młodego pokolenia”, jak określała go branżowa prasa sownie sponsorowana przez producentów tych tasiecowych telenowel, przemilczając dyskretnie fakt, iż młody aktor ma czterdziestkę na karku i „zapowiada się” już od dobrych paru lat, zyskując jedynie uwielbienie gospodyń domowych. Aktor wyprężył pierś, wciągnął brzuch i zademonstrował zamszą czerwoną obwolutę, zawierającą ostateczny werdykt jury. Publiczność zamarała.

– Tytuł „Najpiękniejszej” otrzymuje... – zawiesił głos, potęgując napięcie – Katarzyna Turska!!!

Owacje, brawa, gwizdy wypełniły ogromną kopułę przykrywającą halę i towarzyszyły cały czas ukazującym się kolejno finalistkom, by osiągnąć apogeum wraz z pojawieniem się Kasi.

– Zapraszamy najważniejszego sponsora konkursu, pana prezesa Marka Wiltera, który wręczy zwyciężczyni główną nagrodę – prezenter wysunął się przed przewodniczącego jury i czekał, aż widzowie całkowicie się uciszą – czyli kontrakt reklamowy opiewający na pół miliona dolarów!!! Zapraszamy także pozostałych fundatorów cennych upominków, a za chwilę ceremonia przekazania korony przez ubiegłoroczną „Najpiękniejszą”!

Marek lekko potrząsnął ramieniem Bodzia, który z widocznym zadowoleniem obserwował szesnaście piękności zgromadzonych jednocześnie na estradzie.

– Musisz tam iść.

– O, nie! – Bodzio spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Po moim trupie!

– Bodziu, ostatni raz. Obiecuję, że od jutra wszystko wróci na swoje miejsce, a my zrećnie pożegnamy się z Wirskim i odzyskamy nasze życie. Powiesz, że w imieniu firmy i tak dalej, kilka słów. Błagam cię!

– Kombinuje szef jak koń pod górę. – Bodzio niechętnie uniósł się z miejsca, zaplął guzik i odchodząc, rzucił półgłosem: – Jutro ma jej szef wszystko powiedzieć. Robić za szefa w realu mogę, ale nie będę w zastępstwie smażył się w piekle!

Uroczyste fanfary oznajmiły wejście na scenę poprzedniej „Najpiękniejszej”, która powoli zmierzała w kierunku Kasi. Stała obok, z uśmiechem zdjęła z głowy połyskującą sztucznymi świecidełkami koronę i już miała nią ozdobić głowę Kasi, gdy ta stanowczym gestem sięgnęła po delikatną obręcz i podeszła do mikrofonu. Podniesioną do góry ręką uciszyła orkiestrę i czekała w milczeniu, aż zaskoczona publiczność umilknie.

– Piękno to harmonia – powiedziała spokojnie i dobitnie. – To zalety ciała, ale także umysłu i duszy. Nie mogę przyjąć tego wyróżnienia. Mam podstawy sądzić, że nie zdobyłam go w uczciwej rywalizacji.

Widownia zamarała po tym oświadczeniu, z zapartym tchem czekając na dalsze słowa Kasi. Pozostałe dziewczęta podeszły bliżej i otoczyły ją szczelnym półkolem. Zwróciła się w ich stronę z uśmiechem, skłoniła głowę w podziękowaniu i kontynuowała:

– Przez te wszystkie dni przygotowań do finału miałyśmy okazję poznać się bliżej. Powierzchnie wrażenie, jakie wywołujemy, wychodząc na scenę, prezentując się jury i państwu przez kilkanaście minut, nie oddaje nawet w minimalnym stopniu prawdy o tym, jakie jesteśmy w rzeczywistości. Długie godziny treningów, wspólne posiłki, wieczorne rozmowy bardzo nas do siebie zbliżyły i pozwoliły nam się poznać. Dlatego to my jesteśmy najbardziej kompetentne, by przyznać tytuł „Najpiękniejszej” tej z nas, która nie tylko zachwyca wyglądem, ale i ujmuje dobrocią i odwagą, by wbrew wszystkiemu zachować godność i być wierna wyznawanym zasadom. Uznałyśmy jednogłośnie, że tytuł „Najpiękniejszej” powinien być przyznany... Magdzie.

Kasia podeszła do koleżanki i delikatnie włożyła na jej głowę koronę. Milcząca widownia w osłupieniu obserwowała tę scenę. Odnosiło się wrażenie, jakby czas zaczął płynąć wolniej, sprawiając, że każdy gest, każde słowo trwało znacznie dłużej niż w rzeczywistości. Konferansjer, przewodniczący jury i ubiegłoroczna „Najpiękniejsza” zastygli w swoich pozach i tak trwali, nie będąc w stanie wyzwolić się z tej niemocy. Dziewczęta otoczyły Magdę i ścisnęły ją gorąco, a Kasia znowu podeszła do mikrofonu, spojrzała uważnie na widownię i zwracając się do jednego z widzów, którego wyłowiła wzrokiem, powiedziała:

– Proszę pana, panie prezesie Wilter, by dotrzymał pan słowa. Magda zasługuje na ten kontrakt. Ona, w przeciwieństwie do mnie, nie zagubiła się gdzieś po drodze.

W tym momencie widownia oszalała z zachwytu, ludzie wstawali, bili brawo i krzyczeli, a Kasia, spojrzawszy ostatni raz na Marka, niepostrzeżenie zniknęła w głębi sceny.

Dopiero wtedy zrozumiał. Ona wie! Ogarnął go ból tak silny, że skulił się na swoim miejscu i pochylił głowę, usiłując opanować mdłości, atakujące nagłymi skurczami całe ciało. Głęboko zaczerpnął powietrza i spróbował wstać z fotela. Stał chwilę, jakby badał, czy jest zdolny do normalnego ruchu, a potem powoli wyprostował się i ruszył chwiejnie przed siebie. Ból ustąpił, wyparty przez rozpacz, ponieważ dotarło do niego, że może stracić dziewczynę, bez której nie wyobraża sobie życia. Rozpacz dodała mu nowych sił, gdy przedzierał się w stronę sceny przez szalejący tłum.

Anita nie poddała się napływającym ze wszystkich stron falom entuzjazmu i owacji, na zimno analizując to, czego przed chwilą, wraz z setkami widzów, była świadkiem. Nie potrafiła w tej chwili przewidzieć konsekwencji zachowania Kasi, wiedziała tylko, że dziewczyna nie wybaczyła Markowi oszustwa. „Każdy robi, co może, zanim dostanie to, co chce” – pomyślała z satysfakcją, przekonana, że zgodnie z otrzymaną obietnicą Kasia jest już wspomnieniem, którego na pewno nie będzie pieczołowicie przechowywała w zakamarkach swojej pamięci. Wręcz przeciwnie, robi wszystko, by o niej zapomnieć, i aby także Marek nigdy więcej o niej nie pomyślał. Siedziała nieruchomo w swoim fotelu, czekając na jakikolwiek niepokojący przyływ intuicji, która rzadko ją zawodziła, ale nie zabrzała żaden sygnał ostrzegawczy i mściwe uczucie satysfakcji zawładnęło nią całkowicie. Nagłe okrzyki oburzenia za jej plecami wyrwały ją z tego miłego stanu i gdy odwróciła głowę, zobaczyła Marka, który nie zważając na potrącanych ludzi, z determinacją przedzierał się w stronę

sceny.

– Marek! – usiłowała przekrzyknąć panujący zgiełk. – Marek!

Wstała, wychyliła się w stronę przejścia i w ostatniej chwili złapała go za rękaw marynarki. Szarpnął niecierpliwie ręką, usiłując uwolnić się od przeszkody, ale Anita trzymała mocno. Odwrócił się zniecierpliwiony i dziennikarka ujrzała szalone z rozpaczycy oczy i bolesny grymas na twarzy.

– Puść mnie natychmiast! – krzyknął.

– Marek, to ja, Anita. Co się stało?

– Zostaw mnie w spokoju. Muszę ją odnaleźć.

– A ja? Co ze mną? – Całkowicie straciła nad sobą panowanie.

– Ty się nie liczysz, przecież dobrze o tym wiesz.

Zdrętwiałe nagle palce Anity puściły śliski materiał i mężczyzna ruszył przed siebie, torując sobie łokciami drogę wśród tłumu.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna jak teraz, kiedy patrzyła na oddalającą się sylwetkę. Nagle gorący oddech owionął jej ucho i usłyszała znajomy głos, pełen gniewu i jednocześnie przerażenia:

– W ładne bagno nas wpakowałeś! – Wydawca jej dziennika dyszał, usiłując powstrzymać wściekłość. – Co innego przegrywać procesy w sądzie i drukować sprostowania najmniejszą czcionką, a co innego stać się bohaterem afery, która może nas zniszczyć, jeśli konkurencja umiejętnie to wykorzysta. Gdzie twój dziennikarski nos? Nie wyczułaś, że ta impreza na kilometr cuchnie przekretem? Zwalniam cię!

Anita zebrała się w sobie i błyskawicznie podjęła decyzję. Marka zawsze może odzyskać. Teraz musi ratować swoją karierę.

– O wszystkim wiedziałam – odrzekła spokojnie. – Zamiast mnie wyrzucać, zmienisz mi kontrakt. Obecny już mnie nie satysfakcjonuje. W ubiegłym tygodniu miałam trzy oferty pracy. Jeszcze na żadną nie odpowiedziałam, choć są bardziej satysfakcjonujące niż to, co mam u ciebie. No cóż, lojalność jest jedną z moich zalet. – Fałszywy uśmiech rozjaśnił jej twarz, a wydawcę zatkało do tego stopnia, że nie mógł złapać oddechu. Anita spokojnie poczekała, aż odzyska równowagę, i gdy zobaczyła, iż wpatruje się w nią z ogłupiałym wyrazem twarzy, pochyliła się w jego stronę. Zaczęła cicho wyjaśniać: – Jutro zdemaskujemy ich do końca. Pokażemy naszym czytelnikom mechanizmy tego ohydneho interesu, który zaczął się już kilka lat temu. Oszustwa, podstawianie dziewczyn dzianym sponsorom, czerpanie nielegalnych zysków z ich kontraktów, przekupywanie jurorów. Kiedy trafiła nam się okazja obserwowania tego układu od wewnątrz, nie wahałam się ani chwili. Przepraszam, że nic o tym nie wiedziałeś, ale jestem pewna, że nie lubisz za dużo wiedzieć o metodach, jakie stosujemy przy zbieraniu materiałów. Jak ty to mówisz? – Udawala, że usiłuje sobie przypomnieć jego słowa. – Już wiem! Im mniej wiesz, tym krócej zeznajesz, nieprawdaż? Właściciel agencji i jednocześnie licencji na ten konkurs usunął z niego stuprocentową kandydatkę do tytułu, bo nie chciała grać według jego reguł. Kasia trafiła na jej miejsce przypadkowo, a ponieważ jest z gruntu porządną dziewczyną, gdy tylko dowiedziała się, że konkurs jest ustawiony, a ona musi się dzielić kasą z tym niedomytym grubasem, uznała, że nie może do tego dopuścić. Przeprowadzałam z nią wywiad, zyskałam jej zaufanie i wszystko mi opowiedziała. Razem uknułyśmy ten plan.

Wydawca coraz szerzej otwierał oczy, a wyraz zachwyty zastępował na jego twarzy widoczną jeszcze przed chwilą irytację.

– Jesteś genialna! Pociągniemy to przez kilka numerów! Masz dużo materiału?

– Aż za dużo – uspokoiła go. – Będą nas cytować we wszystkich mediach.

– A ten prezes? Nie poda nas do sądu? A jeśli sprawą zainteresuje się prokuratura? Ta dziewczyna potwierdzi wszystko?

– Prezesem zajmę się osobiście. Przed prokuratorem chroni nas tajemnica dziennikarska. Nie ujawnimy swoich informatorów. A dziewczyna... – Głębokie przekonanie, pobrzmiwające w jej głosie, nie było udawane. – Mam pewność, że z nikim nie będzie o tym rozmawiała. Mamy ją na wyłączność. Nikt nie zakwestionuje tego, co wydrukujemy.

Wydawca spojrział nerwowo na zegarek.

– Musisz jechać do redakcji. Za dwie godziny zamykamy numer.

– Spokojnie, zdążymy. Zaraz tam jadę, muszę tylko jeszcze porozmawiać z tym facetem, którego dziewczęta nader trafnie nazywają między sobą Flejtuchem. No wiesz, etyka dziennikarska... trzeba wysłuchać także drugiej strony.

– Naszego właściciela obchodzą wyłącznie zyski, nie zna słowa „etyka” – cynicznie przypomniał jej wydawca.

– Jeżeli nie można tego pogodzić, to etyka przegrywa, prawda? Ale w tym wypadku... I jeszcze jedno. Wilter jest czysty, a ta Magda rzeczywiście powinna wygrać. Dopilnujemy, żeby nie straciła kontraktu, okay?

– Dobra – wydawca, rozluźniony i zadowolony, poklepał ją po ramieniu – jadę do redakcji. Bądź tam jak najszybciej. Ściągnę resztę ludzi, bo już pewnie żywego ducha nie ma oprócz depešowca i redaktora wydania.

– Gdzie ona tak biegnie? – Rafał Koliński spojrział z niepokojem na Staszka, który razem z nim obserwował Karę, w pośpiechu zmierzającą wraz z dziewczynkami w stronę wyjścia.

– Chyba wiem – po chwili zastanowienia odpowiedział detektyw. – Jeżeli chce się spotkać z Kasią, a wszystko na to wskazuje, jest tylko jedno miejsce, do którego mogą dotrzeć, wybierając trasy prowadzące w dwóch różnych kierunkach. Idziemy, szefie!

Ruszyli szybkim krokiem, mijając w kuluarach skupisko dziennikarzy oblegających korpulentną blondynkę, która z zapalem coś im opowiadała. Staszek zerknął na Kolińskiego i postanowił podzielić się z nim swoją refleksją:

– Pani Agata miała dużo szczęścia, że spotkała tę dziewczynę, gdy była w takich tarapatkach. Ta Kasia ma charakter! Ona ją uratowała.

Koliński nie odpowiedział. „Kogo tym razem ratujesz, Kasiu?” – myślał z troską, obawiając się, że słowa, które wypowiedziała na scenie, nie oddają w pełni intencji, jakie nią kierowały.

Czuł, jak mokra koszula przylega coraz ściślej do smokingowej marynarki, która zaczęła go cisnąć pod pachami. W popłochu posłał Stefę do dziennikarzy, by choć chwilowo opanować sytuację, a sam gorączkowo myślał, jak ograniczyć tę katastrofę, tak by ocalić tyłek i wyjść z tego bez większych strat. O tym, jak odbić się od tego dna, na które posłała go w jednej chwili ta głupia, niewdzięczna dziewczucha, pomyśli później.

– Gratuluję, panie prezesie. Obecność na czołówkach wszystkich mediów ma pan zapewnioną przynajmniej jutro, jeśli nie dłużej.

– Ty wstrętna, podstępna dziwko! – Zerwał się z fotela, gdy ujrzał przed sobą Anitę. – To wszystko było ukartowane, podstawiałaś tę głupią pinde, by mnie załatwić. Gdzie ja miałem rozum, że się zgodziłem!

– Przypominam, że raczej nie miałeś wyjścia. – Usiadła w fotelu obok i lekko skrzywiła nos, czując mieszanek zapachów taniej wody po goleniu, potu i strachu. – A teraz posłuchaj uważnie, bo to nasza ostatnia rozmowa i mam uzasadnioną nadzieję, że już nigdy nie zobaczę twojej prostackiej twarzy. Znajdziesz najgłębszą, najciemniejszą, położoną na uboczu norę i znikniesz w niej na jakiś czas. Będą o tobie pisać i mówić, ale szybko zapomną, bo są nienasytzeni i żądni kolejnych afer. Przeczekasz ten szum, a potem wrócisz i znowu będziesz mógł robić swoje brudne interesy. Sorry, Winnetou, ale ktoś musiał polec w tej walce. Wypadło na ciebie. I pamiętaj o jednym: taki nędzny robak jak ty nie wygra z nami. Niszczylśmy o wiele potężniejszych, więc nie rób niczego, czego byś później bardzo, ale to bardzo żałował!

Z widocznym wstrętem poklepała go lekko po twarzy, wyjęła z torebki chusteczkę, którą staranie wytarła dłoń, i wstała.

Flejtuch odczekał chwilę, aż odeszła, a potem zerwał się z miejsca i popędził w stronę bocznego wyjścia. Przemknął na parking, ledwo zdołał uruchomić samochód i dopiero kiedy wyjechał za bramę, odetchnął spokojnie. A potem zaczął się intensywnie zastanawiać, gdzie znaleźć takie miejsce, o jakim mówiła ta wredna suka. Obracał się w świecie, w którym groźba i szantaż nie stanowiły czegoś wyjątkowego, ale pierwszy raz w życiu aż tak się kogoś bał. Wierzył święcie, iż ta kobieta jest w stanie zniszczyć jego życie tak dokładnie, że na tych ruinach w żaden sposób niczego nie da się zbudować. „Raz na wozie, raz w nawozie” – pomyślał z rezygnacją i postanowił zadzwonić do Stefy. Nie przejmował się jej losem, ale wiedziała zbyt dużo i był pewien, że przyparta do muru bez wahania go sprzeda. Kiedy masz nóż na gardle, nie zastanawiasz się, czy jego ostrze jest z nierdzewnej stali...

Niewielki placyk za halą widowiskową spowity był mrokiem, rozjaśnionym w rogu mdłym światłem samotnej latarni. Puste skrzynki, papiery, stare fragmenty niepotrzebnych dekoracji walały się w bezładzie, zajmując sporą część niedbale położonego asfaltu, upstrzonego licznymi dziurami.

Kara i bliźniaczki zatrzymały się przy niewielkich schodkach prowadzących do tylnego wejścia i pełne niepokoju rozglądały się wokoło. Nagle zza rogu hali wyłonił się jadący z zawrotną szybkością samochód. Długa, ciemna limuzyna o wygaszonych światłach gwałtownie zahamowała. Kara instynktownie sięgnęła po broń i dotykając śliskiego materiału, uprzytomniła sobie w tej samej sekundzie, że jej tam nie znajdzie. Zasłoniła sobą dziewczynki i patrzyła z przerażeniem, jak przyciemniona szyba powoli sunie na dół.

– Gdzie ona jest? Musimy się stąd natychmiast zwijać!

Zarumieniona twarz pani Eweliny wyrażała pełną determinację i chęć natychmiastowego działania. Starsza pani energicznie wysiadła, po czym uchyliła tylne drzwi i oczom zdumionej trójki ukazała się Malta, która już ruszyła w ich stronę, kiedy zdecydowany głos pani Eweliny zatrzymał ją w miejscu.

– Malta, szukaj Kasi, nie czas teraz na powitania!

Malta zastygła, chwilę się wahała, ale już sekundę później ruszyła w stronę wielkiej skrzyni, zza której wyłoniła się Kasia.

– Spokojnie, babciu, musiałam sprawdzić, czy nikogo tutaj nie ma.

Kasia czule uściskała Karę i dziewczynki.

– Masz dla mnie jeszcze jakąś niespodziankę? – Kara stała sztywno i nieruchomo w jej objęciach.

– Wybacz, ustaliłyśmy z babcią, że tak będzie lepiej. Znam cię, chciałabyś zastąpić Ewelinę, ale ja nie mogłam narażać cię na kolejne kłopoty. Babcia jako szofer eleganckiej limuzyny to jedyny element naszego planu, który był dla ciebie tajemnicą.

Kara odwzajemniła wreszcie uścisk i zapytała bardzo poważnym głosem:

– Jesteś pewna? To właśnie chcesz zrobić? Przemysł to jeszcze raz, to nie musi się tak skończyć.

Kasia milczała chwilę, szukając w myślach najkrótszej i najbardziej jasnej odpowiedzi. Pokręciła głową i spojrzała na przyjaciółkę.

– Muszę was chronić – zdecydowanie w jej głosie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

– A on? – z wahaniem zapytała Kara, choć z góry znała odpowiedź.

– Kocham go tak, że wybaczyłam mu ten podstęp i kłamstwa, jakimi mnie raził. Muszę jednak wybierać i nie mam żadnych wątpliwości, że to jest słuszny wybór. – Spojrzała na bliźniaczki błyszczącymi oczami i z powrotem zwróciła wzrok na przyjaciółkę. – Opiekuj się nimi i babcią. Spotkamy się wkrótce.

Ewelina, która już wróciła do wozu mruczącego cicho na jałowym biegu, wychyliła się z okna.

– Wsiadaj natychmiast!

Kasia pochyliła się, ucałowała Isię i Misię. Ruszyła w stronę samochodu z sunącą bezszelestnie u jej boku Malta, ale nagle zawróciła, podbiegła do schodków, zdjęła srebrne sandały i oba ustawiła na najniższym stopniu. Spojrzała porozumiewawczo na dziewczynki, łobuzersko przymrużyła oko i pobiegła w stronę limuzyny. Gdy tylko dziewczyna i pies znalazły się w środku, samochód gwałtownie ruszył i po chwili słychać było tylko przeraźliwe piszczenie opon, protestujących przeciwko tak gwałtownym manewrom, a tylne światła błyskawicznie zniknęły im z oczu. Kara ze zdumieniem popatrzyła na dziewczynki.

– Ma licencję rajdową. – Misia ukradkiem otarła łzy i przytuliła się do siostry.

– Opowiadała nam, jak z dziadkiem wygrywali odcinki specjalne – z dumą potwierdziła Isia.

Dziewczynki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, mocno chwyciły się za ręce i stanęły przed Karą, unosząc wysoko podbródki i zaciskając z gniewem usta. Kara zmieszała się, uciekła wzrokiem w bok, ale po chwili przemogła się i niepewnie mruknęła:

– Przynależę, że nic wam nie powiem. Zmusiły mnie, używając gróźb karalnych! – wykrzyknęła w popłochu, nie mogąc znieść pełnego wyrzutu spojrzenia bliźniaczek.

Koliński, ukryty wraz ze Staszkiem kilka metrów dalej w niewielkiej przestrzeni wśród starych dekoracji, już miał wyjść z cienia, gdy nagle detektyw przytrzymał go za ramię. Zamarli w bezruchu, obserwując wbiegającego na placyk mężczyznę, który zatrzymał się przed Karą i bliźniaczkami.

– Gdzie jest wasza siostra! Mówcie natychmiast! Musicie mi powiedzieć!

Kara podeszła do niego bliżej, zostawiając za sobą dziewczynki, dumnie zadarła głowę i nawet nie usiłując ukryć wrogości, krzyknęła ostrym tonem:

– Nic nie muszą, panie Marku! Kasia dała się nabrać, ale ze mną nie pójdzie tak łatwo! I niech pan nie waży się więcej na nie krzyżeć!

Marek bezradnie opuścił ramiona.

– Proszę – powiedział cicho. – Muszę jej wszystko wyjaśnić, wytłumaczyć, błagać o przebaczenie. Bez niej nie mogę żyć, oddychać, ona jest jak tlen, jest moją jedyną nadzieją i przyszłością.

Kara, niewzruszona, stała w milczeniu, gdy nagle usłyszała za sobą cichy, poważny głosik:

– Jeżeli jest tak, jak się domyślałyśmy, że jest, to Kasia zostawiła ręką na dolny stopień schodków.

– Dorosłym się wydaje, że jest coś, co się da przed nami ukryć – z lekką pogardą dodała Misia. – Co nie oznacza, droga Karo, że jak dotrzemy do hotelu, to unikniesz długiego przesłuchania.

– Z krzyżowym ogniem pytań – dorzuciła Isia, aż puchnąc z dumy, że fachowy żargon z amerykańskiego kryminału, czytanego ukradkiem na strychu, znalazł tak idealne zastosowanie.

Marek ze zdumieniem przyglądał się dwóm srebrnym pantofelkom, które nawet w półmroku nędznego światła jedynej latarni lśniły dziwnym, magicznym blaskiem. Delikatnym ruchem uniósł płataninę cieniutkich pasków i nie pojmując, jakie przesłanie może się za nimi kryć, spojrzał pytająco na bliźniaczki.

– Dwa! – postanowiła oświecić go Misia. – Nie jeden pantofelek, tylko dwa!

– Ona nie chce, żebyś ją znalazł – dodała Isia.

– Żegnaj, królewczu – Kara nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu – bal już się skończył.

Podeszła do dziewczynek, wzięła je za ręce i powoli ruszyła przed siebie.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, wąskim promieniem profesjonalnej latarki odnalazł panel alarmu i podłączył miniaturowe urządzenie, które w kilka sekund neutralizowało sygnał. Choć był pewien, że w domu nie ma nikogo, ruszył przed siebie ostrożnie i bezszelestnie, nie obawiając się jednak nieznanego wnętrza, ponieważ jego zmysły działały jak najbardziej czuły radar.

Dopiero w połowie holu spostrzegł, że zalegająca go atramentowa czerń zmienia się na końcu w bardzo delikatną, perłową poświatę, w pierwszej chwili prawie niewidoczną, lecz świadczącą o tym, że w następnym pomieszczeniu jest jakieś niewielkie źródło światła. Wszedł do rozległego salonu i zobaczył na przeciwległej ścianie, w odległości kilkunastu metrów, sporych rozmiarów obraz podświetlony kilku niewidocznymi żarówkami, które wydobywały z mroku zarysy uwiecznionej na nim postaci.

Zaluzje na dużych oknach były szczelnie zasunięte i Scor upewnił się, że jego sylwetka nie zostanie przez nikogo dostrzeżona, choć odległość domu od ulicy i szczelny, gęsty żywopłót dawały pełną gwarancję bezpieczeństwa. Zainstalowany przed chwilą przy zamku furtki mały czujnik ruchu podłączony do jego komórki miał mu dać sygnał, że Koliński przekroczył próg posiadłości i za minutę otworzy wejściowe drzwi. Planował dopaść go właśnie tam, wykorzystując moment zaskoczenia i kontrastu między jasno świecącą nad wejściem lampą a ciemnym wnętrzem.

Wyjął z kieszeni broń i starannie założył tłumik. Kiedy lekki trzask upewnił go o ich prawidłowym zespoleniu, usiadł w pobliskim fotelu. Wyprostowany, z bronią na kolanach, zaczął za pomocą kilku dalekowschodnich ćwiczeń przestawiać organizm na wolniejsze tempo. Już czuł spowalnianie pulsu i za chwilę miał osiągnąć ten stan, który pozwoli mu bez wysiłku i zmęczenia czekać tak długo, jak będzie trzeba, gdy nagle ogarnął go niepokój. Usiłował ustalić źródło, analizując jeszcze raz okoliczności, w jakich się znalazł, lecz nie mógł odkryć niczego, co by usprawiedliwiało napięcie, którego nie mógł się pozbyć. Maksymalnie się skoncentrował i wtem poczuł, że nie jest sam. „To niemożliwe!” – pomyślał. Puls przyspieszył i Scor gwałtownie poderwał się z miejsca, mierząc z pistoletu na oślep, lecz martwy bezruch pokoju nie krył w sobie żadnego celu. Opuścił broń i jego wzrok, jakby wbrew woli, powędrował w stronę obrazu.

Ruszył przed siebie, wabiony dziwnym pulsującym światłem, jakże innym od delikatnego oświetlenia, które zastał kilka minut temu, wchodząc do domu. Stał kilka kroków przed portretem młodej kobiety i spojrzał prosto w jej szeroko otwarte, niewinne i bezbronne oczy. Nagle oczy rozbłysły i zmieniły się, twardej się w jednej chwili i wysyłając w jego stronę groźbę, która obezwładniła go swoją mocą i nieuchronnością. „Nie pozwolę ci na to! Nie pozwolę go skrzywdzić. Jeśli to zrobisz, nigdy nie zaznasz spokoju. Zamienię twoje życie w koszmar gorszy niż to, co sam robiłeś! Wynoś się z mojego domu”. Nie mógł odwrócić wzroku, płonące gniewem oczy trzymały go na uwiecznionej przez omam, którego racjonalnie nie można wytłumaczyć. Ostatnim wysiłkiem wytrenowanego przez lata ciała rzucił się do przodu i gorączkowo zaczął szukać wyłącznika. Był tuż pod obrazem i Scor, padając bezwładnie na podłogę, zdołał go wcisnąć. Ocknął się po kilkunastu sekundach, cały drżący i zlany potem. Kiedy odważył się w końcu otworzyć oczy, z niepomiarnej ulgą stwierdził, że wokół panują całkowite ciemności. Ruszył na czworakach w stronę fotela, chwycił jego poręcz i z trudem podniósł się, nie do końca pewny swoich sił. Stał przez chwilę, koncentrując się i odzyskując siły. Gdy upewnił się, iż odrętwienie minęło, ruszył przed siebie, nie odwracając głowy w stronę obrazu, tak jakby się bał, że znowu może nim zawładnąć i nie będzie potrafił po raz drugi wyzwolić się z jego mocy.

Stał w kącie holu, tuż przed wejściowymi drzwiami, postanawiając tam czekać na Kolińskiego. Pomyślał, iż pora na urlop. Zbyt intensywnie ostatnio pracował i widocznie już to odczuwał. Potrząsnął głową, tak jakby chciał wyrzucić z niej złe wspomnienia, i zaśmiał się głośno. „Gdybyś komuś opowiedział, że przestraszyłeś się obrazu, byłoby po tobie. Jesteś przemęczony, Scor, to wszystko”. Znalazszy racjonalne usprawiedliwienie sytuacji sprzed kilku minut, całkowicie się uspokoił i myślał już tylko o jednym. Zlecenie musi być wykonane...

Jechała przez wyludnione o tej porze miasto, nie zważając na prędkość i ignorując światła. Cały czas miała przed oczyma twarz Kasi i słyszała wewnętrzny głos, który z wyrzutem, ale i bólem mówił: „Kiedyś taka byłaś, co się z tobą stało, kto zabił w tobie umiejętność odróżniania dobra od zła?”. Coraz mocniej naciskała pedał gazu, tak jakby chciała uciec przed tym głosem, ale on natrętnie dźwięczał w głowie, powtarzając pytanie, na które nie umiała i nie chciała odpowiedzieć.

Nagle zauważyła psa, który powłócząc łapami, zmierzał w kierunku środka jezdni. Gwałtownie zahamowała, wpadła w lekki poślizg i zatrzymała się tuż przy krawężniku ulicy. Wysiadła z samochodu, rozejrzała się dookoła i nagle uświadomiła sobie, że stoi przed domem, w którym się wychowała.

Opanowała ją dziwny lęk. Otuliła się szalem, choć noc była upalna, i odważyła się w końcu spojrzeć na kamienicę, której obraz przez tyle lat ukrywała w zakamarkach pamięci.

Nagle usłyszała jęk, dobiegający spod muru budynku. Opanowując strach, powoli ruszyła w tamtą stronę. Z mroku wyłoniła się kupka szmat, okrywająca zwiniętą w kłębek postać. Zauważyła rękę kurczowo zaciskającą się na plastikowej reklamówce i siwe, zmierzwiłone włosy wylaniające się spod grubej wełnianej czapki.

– Halo! – zawołała niepewnie. – Co się dzieje?

Kupka szmat gwałtownie się poruszyła.

– Ircia? To ty, córeczko?

Nie wierzyła własnym uszom. Nie zważając na smród unoszący się z kupki łachmanów, przykucnęła i zaczęła je gorączkowo rozgarniać. Ujrzała pomarszczoną, pokrytą ropiejącymi krostami twarz, oczy częściowo przesłonięte przez bielmo i bezzębne usta, rozciągnięte ni to w grymasie bólu, ni to uśmiechu.

– Mama?!!

– Wiedziałaś, że wrócisz!

Irena usiadła, przyciągnęła do siebie matkę, ułożyła jej głowę na kolanach i odsuwając skręcone, siwe strąki, przyłożyła rękę do czoła. Było bardzo rozpalone. Staruszka łapczywie chwyciła powietrze, usiłując wyciągnąć dłoń w stronę córki. Irena, gładząc ją cały czas po głowie, chwyciła rękę i uspokajająco uściśnęła.

– Mamo, co ci jest, zaraz wezwę pogotowie?!

– Nie trzeba, Ircia, ja po prostu umieram...

– Mamo, nie... – Wyciągnęła z kieszeni komórkę i myśląc się kilka razy, wybrała wreszcie numer pogotowia. – Kobieta, na ulicy, bardzo zły stan, przyjeżdżajcie natychmiast. – Nie miała kłopotów z podaniem adresu.

Znowu pochyliła się nad matką.

– Zaraz przyjadą, uratują cię, zaopiekują się tobą, zobaczysz. – Czuła, jak pieką ją oczy, ale nie potrafiła uronić nawet jednej łzy. Dawno temu wypłakała wszystkie.

Matka nagle ścisnęła jej dłoń z ogromną siłą.

– Powiedz, szanują cię, masz poważanie u ludzi?

Z trudem wydobywając z siebie głos, Irena zaczęła opowiadać:

– Tak, mamuniu. Bardzo mnie szanują. Mieszkam w pięknym domu, mam męża, który jest profesorem uniwersytetu, dwoje dzieci. Jasia, ma imię po tobie, kończy studia i będzie lekarzem. Młodszy, Stasio, jest w liceum. Najlepszy uczeń. Ja skończyłam prawo i

prowadzę fundację, która pomaga dzieciom z biednych rodzin.

Pełne zachwytu westchnienie matki było wystarczającym za kłamstwa, które przed chwilą wymyśliła.

– Znaczy, szanują. Mąż pewnie książki pisze? Mówią na ciebie „pani profesorowa”. – Matka westchnęła ciężko. – Tak bym chciała poznać przed śmiercią wnuki... Masz może zdjęcie? Chociaż potrzymam, bo i tak nic nie zobaczę.

Irena nerwowo sięgnęła do torebki i wyciągnęła folder „Najpiękniejszej”. Matka z czcią wzięła w dłonie kredowy papier i gładząc go czule, poprosiła:

– Opowiedz mi, jak wyglądają.

– Janka jest bardzo podobna do ciebie. Ma takie same jasne włosy i niebieskie oczy. Jest bardzo zaradna. W wakacje pracuje w szpitalu jako wolontariuszka, to znaczy za darmo. Chce być pediatrą, leczyć dzieci. Staś dużo czyta i ciągle dyskutuje z ojcem o historii. Jest bardzo do niego podobny, taki samodzielny i odważny.

– A ty, córciu? Czy ty jesteś szczęśliwa?

Irena spojrzała na matkę i szepnęła:

– Tak. Teraz, kiedy cię odnalazłam, całkowicie...

Nagle zamglone oczy matki rozjaśniły się, spod bielma wyrzał czysty błękit i miłość.

– Pamiętaj, zawsze będę przy tobie. Powiedz, czy mi w końcu wybaczyłaś?

– Tak, mamu, już dawno, ale wstyd mi nie pozwalał...

– Cicho, to nieważne. Jestem taka dumna z ciebie! Tak cię Kocham!

Powieki powoli opadały, zasłaniając jarzący się uczuciem błękit.

– Mamu, nie odchodź!

Z oddali dobiegał dźwięk syren...

Stara Zawiślakowa patrzyła z góry na kupkę szmat okrywających nędzną postać i kobietę, szarpiącą z rozpaczą jej rękę. Tak by chciała być tam na dole, przy córce, ale jakaś nieznaną siłą kazała jej się odwrócić. Zobaczyła przed sobą złocisty, promieniejący łuk i drogę, przy której stały jakieś istoty. Powoli się wyprostowała. Stwierdziła ze zdumieniem, że nic ją nie boli. Poglądziła z przyjemnością rękaw karakułowego futra, jakie miała na sobie, i dotknęła głowy. Na starannie zaondulowanych włosach tkwił aksamitny toczek z piórkiem, taki sam, jaki pani Ozimkiewiczowa wkładała na pasterkę. Mocno trzymając w dłoni rączkę lakierowanej torebki, drugą zacisnęła na parasolce i ruszyła w stronę łuku, który ją wzywał pulsującym światłem.

Ludzie stojący wzdłuż drogi rozstępowali się z respektem, a Zawiślakowa kroczyła przed siebie z dumnie podniesioną głową.

– Uszanowanie, pani Zawiślakowa! To doniesienie o melinie to była pomyłka, proszę wybaczyć! – Dzielnicy zasalutował i pochylił głowę w ukłonie.

– Ta grzywna to przez przeoczenie, już ją anulowałem! Proszę pozdrowić zięcia, uwielbiam jego książki. – Sędzia z sądu grodzkiego skłaniał głowę i nerwowo gładził ciężki łańcuch.

– Szanowna pani Zawiślakowa! Proszę w imieniu magistratu przyjąć przeprosiny. Eksmisja była całkowicie nieuzasadniona, może pani wrócić do mieszkania. Będzie dla nas zaszczytem mieć panią wśród naszych mieszkańców. – Myszowaty urzędnik w satynowych zarękawkach wyciągał w jej stronę pismo i giął się w ukłonach.

– Droga sąsiadko! Specjalnie dla pani upiekłam! Jak się miewa córka, to znaczy pani profesorowa? Proszę przekazać ukłony! – Balikowa stała w swojej najlepszej świątecznej sukni i wyciągała przed siebie talerz z eklerkami pokrytymi czekoladą.

– Jak tylko Irena z rodziną panią odwiedzi, proszę przyjść do mnie na herbatkę. Będzie to dla mnie zaszczytem. – Pani Ozimkiewiczowa skinęła głową, a towarzysząca jej Kaziuńcia z szacunkiem dygnęła.

Zawiślakowa nadal szła przed siebie, przyjmując łaskawie i z godnością te wszystkie hołdy. Jej serce wypełniały duma i szczęście. Ludzie zostali w tyle, a ona stanęła wreszcie przed strzelistym, złotym łukiem, wypełnionym drgającym, przyzywającym światłem.

– Pani Janina Zawiślakowa, szanowana przez wszystkich obywatelka i matka! Witaj! – usłyszała grzmiący głos i nie oglądając się za siebie, przekroczyła świetlisty łuk, wchodząc do swojego rajy...

Sanitariusz pochylił się nad Ireną.

– Nie żyje. Czy pani ją znała?

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Jak to nie żyje? Dlaczego?!

– Sekcja wykaże. Na moje oko starość, wycieńczenie i alkohol. Serce chyba nie wytrzymało. Zna ją pani?

Nagle z ciemności wynurzył się obszarpany mężczyzna z kulejącym psem przy boku. Przyjrzał się zmarłej i zawołał:

– O kurde! Wreszcie się wykończyła!

– Wie pan, kto to? – zainteresował się sanitariusz.

– No pewnie, to Lejdi, bezdomna, nurkowała od lat w śmietnikach.

– Ale jak się nazywa?

– Tego to nikt nie wie.

I mężczyzna wraz z psem zniknął w ciemnościach.

– Ja też nie wiem. – Irena wstała i otrzepała fałdy sukni. – Zatrzymałam się, by zadzwonić, i spostrzegłam coś w bramie. Potem was wezwałam.

– Straszny koniec, na ulicy, w samotności. – Sanitariusz był młody i jeszcze nie zdążył oswoić się ze śmiercią.

Irena bez słowa odwróciła się i poszła powoli w kierunku samochodu. Telefon w torebce wygrywał melodyjkę i wibrował, aż w końcu sięgnęła do środka lakierowanej koperty i wyłączyła go, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni.

Cichy, prawie niezauważalny szmer klimatyzacji; uśmiechnięta hostessa z wdziękiem podająca kawę; pewność, że prywatny odrzutowiec wkrótce będzie gotowy do startu, i wreszcie niewielka teczka, która od kilku minut leżała bezpieczna na jego kolanach – wszystko to sprawiało, że Pan Nowak prawie był zadowolony. Ten stan nie ogarniał go zbyt często, nie czuł się więc zaskoczony, kiedy jego precyzyjny umysł zaczął podsuwać różne niepokojące sygnały. Jeszcze raz zastanowił się, czy aby na pewno może powierzyć Karolowi Hydrę, lecz nie znalazł żadnego słabego punktu w swoim planie. Machinalnie gładził gładką powierzchnię teczki i nagle uświadomił sobie, że nie zrobił najważniejszego! „Ty idioto – pomyślał o sobie ze złością. – Masz chyba gąbkę zamiast mózgu, jak mogłeś nie sprawdzić teczki i płyty?!”

Pan Nowak nie lubił źle o sobie myśleć, wręcz przeciwnie, normą było to, iż ma na swój temat wyjątkowo dobre zdanie, więc po chwili usprawiedliwił to niepojęte zaniedbanie ową nadzwyczajną sytuacją, jaką było opuszczenie Polski.

Z podrecznego nesesu wyjął laptop. Otworzył czarna teczkę i sięgnął po zapieczętowane papiery, odkładając na bok opakowanie z



płytą. Zanim komputer się załaduje, sprawdzi dokumenty. Zerwał pieczęć i powoli przeglądał gruby plik kartek. Uśmiech zadowolenia zagościł na jego twarzy. Wszystko jest! Haki trzeba mieć i na wrogów, i na przyjaciół. Po chwili włożył do laptopa płytę, wprowadził dezzyfrujący kod i spokojnie czekał, aż pliki wyświetlą się na ekranie. Zerkał przez chwilę na migające obrazki w wyciszonym plazmowym telewizorze, zawieszonym tuż obok niego, lecz kiedy laptop piknął, uważnie spojrział na kilkanaście plików, które pojawiły się na monitorze. Już miał otworzyć jeden z ostatnich, by sprawdzić, czy nikt nie szperał w danych, gdy ekran ściemniał i w rogu pojawiła się mała, pulsująca zielonym światłem ikonka. Pulsowanie zwiększało swój rytm, natrętnie atakując wzrok Pana Nowaka, aż poczuł się wręcz zmuszony, by kliknąć w źródło tego drażniącego impulsu. Gdy zorientował się, iż otwiera plik wideo, szybko podłączył słuchawki, bo choć w dużym salonie dla VIP-ów oprócz niego nikogo nie było, chciał mieć absolutną pewność, że nikt nie usłyszy treści wiadomości, którą ktoś, zadając sobie wiele trudu, chciał mu przekazać.

Twarz Kolińskiego rozpoznał natychmiast. Nie wyrażała żadnych emocji, a lekko przymrużone oczy, skierowane prosto w obiektyw kamery, patrzyły zimno, z całkowitą obojętnością.

– Jeśli to oglądasz, to jesteś w Hydrze ważną osobą, o ile nie najważniejszą. – Pan Nowak pochylił się nad ekranem laptopa i zatopił wzrok w oczach, które patrzyły na niego bez drgnienia powieki. – Słuchaj uważnie, bo tylko raz będziesz mógł to usłyszeć. Mój przekaz zaraz zniknie, więc skup się maksymalnie. Mam dość twojej organizacji i nie chcę mieć z nią więcej do czynienia. Wypełniłem swoją część umowy, ale nie mam pewności, czy tego samego mogę oczekiwać od Hydry. Powiem więcej – jestem przekonany, że nie macie zamiaru dotrzymać warunków naszej umowy. Już raz podnieśliście rękę na moją córkę i nie mogę dopuścić, by zdarzyło się to ponownie. Dlatego skopiowałem wszystkie materiały znalezione w skrytce. Jeśli Agacie lub mnie stanie się krzywda, to człowiek, któremu powierzyłem kopię, będzie wiedział, co ma robić. I nie myśl, że wystarczy ci kilka miesięcy, by zatrzeć ślady tego etapu działalności Hydry, który jest udokumentowany na dyskietce. Te dane, nawet po latach, pozwolą FBI i FED rozpracować waszą strukturę nie tylko w Polsce. Nie obchodzą mnie ludzie, na których masz haki w tej papierowej teczce, szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie nic poza bezpieczeństwem mojej córki. Wyjeżdżam z Polski, choć mam zamiar tu wracać, i sądzę, iż powinieneś modlić się codziennie, byśmy – ja i moja córka – żyli jak najdłużej, by nie przydarzył się nam jakiś nieszczęśliwy wypadek.

Pan Nowak obserwował z bezsilną wściekłością, jak lekki, drwiący uśmiech Kolińskiego powoli rozpada się na ekranie w tysiące mikroskopijnych kwadracików, by po sekundzie bezpowrotnie zniknąć. Znowu pojawiły się pliki, ale nie było wśród nich pulsującej małej ikonki. Pan Nowak podjął błyskawiczną decyzję. Chwycił za telefon komórkowy, szybko wybrał numer i rzucił krótko do słuchawki:

– Odwołuję drugie zlecenie. Oczywiście, że zapłacę, i niech pan, Scor, zapomni na razie o tym człowieku. Może kiedyś wrócimy do sprawy.

Wyłączył laptop, schował papiery i dyskietkę do czarnej teczki i lekko oparł dłonie na kolanach, rozluźniając jednocześnie napięte mięśnie. Jeszcze raz pomyślał, już na spokojnie, czy Koliński zagraża realnie Hydrze. Jego analityczny umysł w pełni potwierdził podjętą instynktownie decyzję. Śmierć Kolińskiego teraz mogłaby zagrazić Hydrze, jego życie – na razie nie. Czas, jaki zyskują, pozwoli opracować plan i podjąć w spokoju dalsze działania, jeśli w ogóle będzie ono potrzebne w tej sprawie.

Skinął ręką na hostesę, zamówił drinka i poprosił o podanie pilota do telewizora. Przełączył na jeden z kanałów informacyjnych i czekał na aktualne wydanie wiadomości, cierpliwie znosząc migające w zawrotnym tempie reklamy, których nie cierpiał.

Mocno upudrowany prezenter rozciągnął wąskie usta w powitalnym uśmiechu i oznajmił z przejęciem:

– Krwawy finał zabójstwa Ministra! Morderca, otoczony przez brygadę antyterrorystyczną, zaatakował i zginął.

Na ekranie pojawiła się zaszepiona twarz młodego mężczyzny. Czarno-białe zdjęcie podkreślało ostre rysy, a krótko ostrzyżone na jeża włosy nadawały jego wizerunkowi jeszcze surowszy charakter.

– Maks Z. był komandosem. Przeżył podczas misji polskich wojsk w Afganistanie załamanie nerwowe. Odesłany do kraju i zwolniony ze służby poddał się leczeniu w zamkniętym ośrodku psychiatrycznym, skąd uciekł po kilkunastu dniach – kontynuował lektor.

Na ekranie pokazano stojące w sosnowym lasu budynki, potem kamera zajrzała do nowoczesnego gabinetu i siedzący za biurkiem starszy, dystyngowany pan przemówił:

– Nasz pacjent cierpiał na schizofrenię paranoidalną. Choroba ujawniła się w ekstremalnych warunkach wojskowej misji w Afganistanie. Gdyby pozostał w naszym ośrodku, moglibyśmy mu pomóc. A tak...

– Panie profesorze, czy to choroba spowodowała tę tragedię? – dociekał reporter.

– Istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż tak – ostrożnie ocenił profesor. – Z. zapewne słyszał głosy, które kazały mu zabić.

– Czy Minister był przypadkową ofiarą?

– Można przypuszczać, że głosy wskazały mu konkretną osobę i Maks uwierzył, iż to właśnie Minister jest odpowiedzialny za nieszczęście, jakim było dla tego chorego człowieka wydalenie z wojska.

Reporter, odwracając się do widzów, podsumował temat:

– Tak więc sprawa zabójstwa Ministra jest zamknięta. Niestety, cała akcja antyterrorystów dla dobra śledztwa jest ściśle tajna, nie wiemy więc, w jaki sposób Maks Z. zwabił Ministra na miejsce zbrodni i kto w efekcie naprowadził policję na ślad mordercy. Możemy tylko zadać sobie pytanie, jak chory psychicznie człowiek znalazł się w elitarniej grupie komandosów i czy Ministerstwo Obrony podjęło kroki, by w przyszłości wojskowe służby medyczne wnikliwiej badały kandydatów do zawodowej służby w naszej armii.

Pan Nowak sięgnął po szklankę z alkoholem i aż przymknął oczy, gdy pierwszy, spory łyk trunku zwilżył mu gardło. „Za Hydrę!”. Ponownie przechylił naczynie i z satysfakcją przyznał, iż sprawa usunięcia Ministra została przez organizację rozegrana perfekcyjnie. Żadnych śladów, żadnych świadków, morderca i motyw podane na tacy – to jest fachowa robota. Jego uwagę przykuł znowu ekran telewizora. Aż się wychylił z miejsca, by nie przegapić twarzy, która mignęła przed chwilą na drugim planie telewizyjnej relacji z sali posiedzeń Rady Ministrów.

– ...przyjęty we wtorek przez rząd projekt zmian pakietu ustaw gospodarczych wpłynął już do sejmu. Postulowane od dawna przez środowisko polskich przedsiębiorców zmiany ułatwiające funkcjonowanie prywatnych firm na rynku mają szansę być uchwalone jeszcze przed końcem tego roku...

„Banda próżnych osłów – pomyślał z pogardą Pan Nowak – wydaje im się, że mają władzę, podczas gdy naprawdę kto inny rządzi”.

Kamera wolnym przejazdem dotarła do końca owalnego stołu w sali obrad Rady Ministrów, gdzie siadywali zwykle urzędnicy obsługujący posiedzenia rządu, legislatorzy i zaproszeni goście. A wśród nich mignęła ponownie twarz, którą Pan Nowak znał doskonale. Pospolita, przeciętna, nie do zapamiętania dla normalnego obserwatora. Twarz wiernego urzędnika, przez którego ręce od prawie dwudziestu lat przechodziły najbardziej poufne dokumenty. Który wiedział wszystko o planach ministrów, premiera, inicjatywach klubów poselskich. Wiedział wcześniej niż inni i potrafił to znakomicie wykorzystywać. Czasami wystarczyło nie przeszkadzać w tworzeniu prawa, które dawało się obejść. Czasami trzeba było użyć bardziej brutalnych metod. Odwieczny zastępca dyrektora w kancelarii premiera. Chodzący stereotyp idealnego urzędnika, mały, szary człowieczek broniący się przed awansem, który mógłby wysunąć go poza bezpieczną strefę cienia. Pan Karol – od niedawna bezwzględny i wszechmocny szef Hydry w Polsce.

Pan Nowak zgrzytliwie zachichotał i pomachał do hostessy pustą już szklaneczką. Gdy ją napelniła, sięgnął po pilota i już miał wyłączyć telewizor, gdy nagle błysk płomieni na ekranie sprawił, że uważniej popatrzył na szklany prostokąt.

– I wiadomość z ostatniej chwili – podekscytowany głos lektora wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego – doszczętnie spłonęła przeznaczona do rozbiórki zabytkowa kamienica na Pradze. Straż gasi żarzące się ruiny, policja nie jest w stanie określić, czy w środku byli ludzie. Jeśli tak, to wydaje się niemożliwe, by można było zidentyfikować szczątki. Okoliczni mieszkańcy

twierdzą, iż budynek był w tak złym stanie, że nawet bezdomni omijali go szerokim łukiem. Mamy więc nadzieję, że nikt nie zginął wśród szalejących z wyjątkową siłą płomieni.

– Chapeau bas!, prezesie Koliński, pańskie zdrowie – z uznaniem w głosie wyszeptał Pan Nowak i przechylił szklaneczkę. Poczuł respekt dla przeciwnika, który planował swoje kolejne pociągnięcia z taką precyzją. Wyłączył telewizor i już miał wygodnie usadowić się w fotelu, gdy nagle drzwi do salonu VIP-ów rozsunęły się bezszelestnie i do środka wpadł wielki pies, który zatrzymał się tuż za progiem i z narastającym w gardle warkotem wpatrywał się w Pana Nowaka.

– Spokój, Malta! – zdecydowany głos przywołał ovczarka do porządku. Pan Nowak z ulgą dostrzegł smycz hamującą agresję psa, a na jej drugim końcu zjawiskową istotę. Ze zdumieniem przyglądał się wkraczającej do saloniku bosej dziewczynie w wieczorowej sukni, która z ujmującym uśmiechem przeprosiła za zachowanie psa.

– Malta jest prowincjuską – oznajmiła, siadając naprzeciw Pana Nowaka i klepiąc psa po głowie – proszę jej wybaczyć to zachowanie, ale pierwszy raz w życiu widzi wielkie miasto, setki samochodów i samoloty, które starują tuż przed jej nosem.

Pan Nowak z rezerwą przyglądał się psu, który warując u bosych stóp dziewczyny, nie odrywał od niego wzroku, gotów do natychmiastowego ataku, gdyby nieznajomy wykonał jakikolwiek gest mogący zagrażać jego pani.

Wiedział, że nie należy nawiązywać kontaktu wzrokowego z niespokojnym zwierzęciem, ale nie mógł się oprzeć pokusie. Zimne, prawie bezbarwne, wyrażające jedynie bezdenną pustkę oczy Pana Nowaka skrzyżowały się z bursztynowobrązowym spojrzeniem psa, który po chwili zaskomlił i odwrócił głowę, przegrywając ten pojedynek. Malta instynktownie wyczuła ogrom zła, emanującego z człowieka, który rzucił jej wyzwanie, i nie mogła mu sprostać. Zaczęła drżeć na całym ciele i mocniej wtuliła się w stopy dziewczyny, która zaaferowana nowym miejscem i sytuacją, nie zauważyła owego dziwnego, trwającego zaledwie kilkanaście sekund incydentu. Pan Nowak triumfował, nie zauważając, że suka uspokoiła się i znowu zwróciła głowę w jego stronę. Bursztynowe oczy zaczęły jarzyć się czerwonym blaskiem i moc, którą Pan Nowak przez chwilę posiadał, już nie działała na psa.

– Mademoiselle Catherine? – Młody człowiek w białym mundurze pojawił się w drzwiach i skinąwszy uprzejmie głową obecnym, zameldował: – Bagaże już na pokładzie, samolot pana de Viterliers jest gotowy do startu, zapraszamy.

Dziewczyna poderwała się szybko, twarz jej rozjaśnił uśmiech i zwracając się do Pana Nowaka, powiedziała:

– Wie pan, zaczynam nowe życie... – W jej głosie było tyle nadziei, radości, oczekiwania i optymizmu, że lekka nutka obawy i niepokoju, a także jakiegoś żalu mogła być wychwycona jedynie przez człowieka, który sam uczuciami się nie kierował.

– Powodzenia – odpowiedział grzecznie Pan Nowak. – Ja też zaczynam nowe życie.

Ale dziewczyna już zniknęła i słowa mężczyzny wróciły do niego echem w pustym pomieszczeniu, wzbudzając niepokój i po raz kolejny sięjąc wątpliwości, czy postępuje rozsądnie. Stłumił je, z ulgą przyjmując zapowiedź hostessy, że jego samolot też jest już gotowy do startu.

I wyruszył w to nowe życie, nie oglądając się za siebie, tak jak to robił zawsze, od dawna wiedział bowiem, że przeszłość może zniszczyć przyszłość, a rozpamiętywanie doznanych klęsk, przegranych bitew i straconych okazji nie przynosi nic dobrego.

# Część siódma

Nina

Widziała kiedyś wschód słońca z okienka samolotu. Wpatrywała się w bezdenną czerń, nie mogąc zasnąć w niewygodnym fotelu, gdy nagle zauważyła cienką, poziomą kreskę, przecinającą nieprzenikloną ciemność nieba. Patrzyła w niemym zachwycie, jak kreska grubiała, pochłaniając z obu swoich stron mrok, który przedzielała. Po chwili czerwony blask całkowicie przesłonił horyzont. Wstał nowy dzień i jego narodziny były cudownym misterium, które przeżyła z dziwnym wzruszeniem i nadzieją.

Gdy wychodziła z redakcji tuż przed świtem, stanęła przy krawężniku jezdni, czekając na służbowy samochód, spojrzała w górę i przypomniała sobie, patrząc na atramentową czerń nieba, ów wschód słońca, który dawno już spoczywał w zakamarkach jej umysłu, przyspany kurzem niepamięci. Świt czałł się gdzieś w pobliżu, ale nic jeszcze nie zapowiadało jego nadejścia i Anita wiedziała doskonale, że na firmamencie nie pojawi się żadna czerwona kreska, sygnalizująca jego przybycie.

Samochód zatrzymał się bezszelestnie, kierowca wyskoczył i uchylił przed nią drzwi. Skinęła bez słowa głową i wsunęła się na tylne siedzenie, z ulgą opadając na miękkie poduszki tapicerki.

– Do domu, pani redaktor? – grzecznie zapytał kierowca.

– Tak – odpowiedziała krótko i przymknęła oczy, czując pod powiekami pieczenie. Kilka godzin pracy przy komputerze zrobiło swoje. Adrenalina coraz wolniej krążyła w jej organizmie i Anita poczuła nagle, że jest potwornie zmęczona. Ogromna satysfakcja, poczucie triumfu, sukcesu i ulga, gdy zyskała pewność, że ocalała swoją pozycję, ulotniły się i zastąpiła je pustka tak bolesna, że Anita w popłochu usiłowała natychmiast ją czymś wypełnić. Próbowła przywołać wspomnienia luksusowych hoteli, w których spędzała wakacje; wytwornych kolacji, którymi ją podejmowano; twarzy mężczyzn, którzy za nią szaleli, ale zamiast tego pustkę zaczęły zagarniać obrazy, których od lat nie dopuszczała do swojej świadomości, wymazane dokładnie, blokowane skutecznie aż do tej chwili. I poczuła ten zapach... Gwałtownie uchyliła okno, choć klimatyzacja działała bez zarzutu, ale zapach nie ustępował.

Woń biedy, beznadziei i rozpacz na zawsze skojarzyła się jej z mieszaniną zapachu gotowanej kapusty, taniego mydła i cuchnącego oleju, używanego do smażenia przez matkę. Ale najgorszym składnikiem tego swoistego „aromatu” był zapach przetrawionego alkoholu, który czuła codziennie, wracając po szkole do domu.

Nie mogła sobie uświadomić, kiedy to się zaczęło. Chyba po śmierci babci, która trzymała rodzinę żelazną ręką.

Zapach świeżo zapastowanej podłogi, wykrochmalonej pościeli i bulgoczącego na kuchni rosółu niepostrzeżenie został wyparty przez tę mieszaninę, której wspomnienie nawet dziś wywoływało u Anity mdłości. Pili coraz więcej. Ojciec, spokojny i mało mówny człowiek, kochający książki i święty spokój, ulegał namowom matki i coraz częściej towarzyszył jej przy kieliszku. Anita z rozpaczą obserwowała, jak czysty, poukładany dom zamieniał się w melinę. Rodzice praktycznie nie trzeźwieli, matkę wyrzucono dyscyplinarnie z pracy, ojciec, złota rączka, dorabiał na boku, by mieć na alkohol i uspokoić napady szału żony, gdy nie mogła się napić. Anita codziennie z rozpaczą wracała do domu, czując za każdym razem wręcz fizyczny ból na widok, który zastawała po przekroczeniu progu mieszkania. Zlew pełen brudnych naczyń, matka zaśliniona, w pijackim śnie bełkocząca coś od czasu do czasu i ojciec, który usiłował nieudolnie przyrządzić sobie coś do jedzenia, by w końcu z rezygnacją wychylić kolejny kieliszek i przestać myśleć czy cokolwiek czuć.

Nie miała siły z tym walczyć. Próbowła wylewać znaleziony alkohol, ale matka była tak przebiegła w wyszukiwaniu kolejnych kryjówek, że Anita się w końcu poddała. Wracała tylko na noc i usiłowała przespać te kilka godzin, wtykając nos w poduszkę, naciągając na głowę koc, by przytłumić dobiegające z drugiego pokoju chrapanie pijanych do nieprzytomności rodziców.

Tamtego dnia wróciła do domu wcześniej i z niedowierzaniem patrzyła na ojca, który siedział w uprzątniętej pobieżnie kuchni i palił papierosa. Po trzech tygodniach niustającego ciągu widziała go pierwszy raz w miarę trzeźwego. Matka, bez sztucznej szczęki, której brak sprawiał, że wyglądała jak staruszka, w nylonowej podomce i siatce na resztkach brudnych włosów, leżała jak zwykle na kanapie w kuchni, nie wiedząc, gdzie jest, nieobecna aż do pierwszego promienia świadomości, który niósł tylko jedno pragnienie. Napić się znowu i znaleźć z powrotem w tym świecie bez konturów, kolorów, smaków i zapachów, bo od dawna tylko ten świat znała i nie chciała wracać do życia, którego zawilości nie potrafiła nigdy zrozumieć. Anita usiadła naprzeciwko ojca i cierpliwie czekała, aż podniesie na nią wzrok. W końcu spojrzał na nią i poczuła ulgę, gdy spostrzegła, że jego oczy są trzeźwe i rozumne.

– Tato, nie możesz tak dłużej. Nie widzisz, że matka ciągnie cię na dno? – Nie mogła powstrzymać gniewu. – To prymitywna kobieta, która w życiu nie przeczytała ani jednej książki, urodziła mnie, ale ja nic nie czuję, czasami życzę jej śmierci.

Ojciec nagle poderwał się i uniośł rękę. Anita skuliła się, myśląc że pierwszy raz w życiu ją uderzy, ale ojciec tylko wskazał drzwi i krzyknął:

– Wynocha! Jak ci się nie podoba, wynoś się stąd natychmiast. Nie pozwolę obrażać matki. – Podszedł do kanapy i usiadł obok żony.

Gdy po kilkunastu minutach wychodziła z domu, by nigdy tam nie wrócić, widziała, jak ojciec gładzi po głowie matkę, powtarzając cicho:

– Śpij, Jadziunia, śpij spokojnie, nikt ci nie zrobi krzywdy.

– Zatrzymaj samochód – krzyknęła. Gdy zdumiony kierowca gwałtownie zahamował i zjechał na pobocze, zdążyła tylko otworzyć drzwi i wychylić się tak, że efekt gwałtownych torsji, które wstrząsnęły jej ciałem, ozdobił chodnik, a nie wnętrze samochodu. Gdy minęły, wysiadła, oparła się o maskę auta i skinęła uspokajająco kierowcy, który wpatrywał się w nią, zaniepokojony i przejęty. Po chwili ostrożnie zaczerpnęła powietrza i uspokoiła się, kiedy nie wywołało to gwałtownej reakcji organizmu.

Śmiała się zawsze z prób tłumaczenia przez poważnych psychologów, iż dzieciństwo w przeważającym stopniu determinuje przyszłość człowieka. „Gówna prawda, orzeszki!” – przypomniała sobie powiedzenie jednej z redaktorek, która tłumaczyła stażystce z prowincji, zachwyconej wiewiórkami w łązienkach, iż to wstrętne drapieżniki, które wyjadają jajka i pisklęta z gniazd bezbronnych ptaków.

Powtórzyła to sobie teraz w duchu. W sumie miała szczęśliwe dzieciństwo i powolny upadek rodzinnego domu obchodził ją o tyle, o ile stawał się dla niej niewygodny. Z ulgą skorzystała wtedy z pretekstu, jakim był gniew ojca, żeby uciec stamtąd i spokojnie zapomnieć, że gdzieś tam dwoje ludzi zmierza nieuchronnie ku unicestwieniu. Przecież wiedziała, że ojciec wróciłby do butelki i natychmiast zapomniał o incydencie, ale była wtedy taka młoda... Jeszcze potrzebowała usprawiedliwienia przed samą sobą. Bała się, że wyrzuty sumienia zmuszą ją kiedyś do powrotu. A potem okazało się, że tak naprawdę to nie ma sumienia i tylko zapach, który dopadał ją po takich chwilach napięcia, był przestrogą i przypomnieniem. Nie spieprzy sobie życia tak jak rodzice. Pociągnęła nosem i kiedy poczuła jedynie woń skropionego przez polewaczkę, parującego asfaltu, była pewna, że tym razem zapach zatracającego się w morzu alkoholu rodzinnego domu wrócił do niej po raz ostatni.

Wsiadła do samochodu i kazała kierowcy jechać na Stare Miasto. „Wraz ze świtem muszę skończyć swoje porachunki. Jeden rozdział przed chwilą zamknęłam. Ale mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia”. I przypomniała sobie tybetańskie przysłowie: lepiej żyć jeden dzień jak tygrys niż sto jak owca. Pomyślała, że jeden dzień to za mało. Chce ich więcej. Wyjęła puderniczkę i z precyzją zaczęła naprawiać spustoszenie, jakie incydent sprzed kilku minut poczynił na jej twarzy.

Zniósł z góry przygotowane wcześniej dwie walizki, zostawił je w holu i jeszcze raz wrócił do salonu. Usiadłszy w fotelu przed portretem żony, głęboko się zamyślił. To, że jakiś natręt zakłócił spokój jego domu, wiedział od momentu przekroczenia progu. Poczł w powietrzu nieprzyjazne fluidy, zapach agresji, siły i wręcz zwierzęcej zawziętości. Kiedy zorientował się, iż oświetlenie portretu zostało wyłączone, był już pewien, że nieproszony gość czekał tu na niego. To nie był jakiś złodziej, włamywacz łasy na kosztowne drobiazgi. Obejście skomplikowanego alarmu wymagało najwyższego profesjonalizmu, a pobieżna lustracja wewnątrz potwierdziła to przypuszczenie, wszystko bowiem było na swoim miejscu. Wstrząsnął się, kiedy pomyślał, że stapał po cienkiej i mogącej w każdej chwili załamać się kładce. Gdyby jego komunikat nie dotarł w porę do Hydry, gdyby wcześniej wrócił do domu, gdyby... Wiedział, że prawie wyczerpał swój limit szczęścia, i tylko błagał los, by jeszcze w jednej ważnej sprawie zechciał mu sprzyjać.

Koliński spojrzął na oświetlony znowu portret żony. Łagodny uśmiech nadal gościł na jej twarzy, ale oczy były puste i bez życia. Tyle wieczorów spędził, prowadząc niemy dialog, wpatrzony w jej twarz, w której oczy odpowiadały na każde jego pytanie, rozwiewały wszelkie wątpliwości i podtrzymywały wrażenie, że jest ciągle przy nim i wspiera go, tak jak kiedyś, we wszystkich działaniach.

„Dlaczego nie odpowiadasz? – pytał w duchu, niepewny i zagubiony. – Chciałbym, żebyś mnie zrozumiała, to nie jest zdrada, zawsze cię będę kochał, choć tyle lat już minęło od twojego odejścia, ale ta dziewczyna może mnie przywrócić do życia, sprawić, że będę znowu szczęśliwy”. Patrzył na dwie niebieskie plamki okolone długimi, czarnymi rzęsami i nic nie mógł odczytać, czy nic mu nie chciały odpowiedzieć. „Daj jakiś znak!” – błagał niemo. W końcu bezradnie opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

Gdy po dłuższej chwili zerknął ponownie na portret, zerwał się z fotela, podszedł bliżej do płótna i z niedowierzaniem zaczął wpatrywać się w trzymającą jedną różę rękę żony. Z serdecznego palca zniknęła obrączka. „Dziękuję” – wyszeptał i wybiegł z salonu.

Od dłuższej chwili leżała z szeroko otwartymi oczami, jak zwykle doskonale wiedząc, gdzie się znajduje. Nigdy do tej pory nie zdarzyło się jej obudzić i zapytać samą siebie: gdzie ja jestem? Delikatnie zwróciła głowę w bok i z namysłem zaczęła przyglądać się profilowi mężczyzny, który leżał obok na wąskim, niewygodnym motelowym łóżku. Zsunięte prześcieradło odsłaniało znakomicie umiejętną klatkę piersiową i Anita pomyślała z przyjemnością, iż instynkt jej nie zawiodł. Wybrała doskonałe ciało pozbawione mózgu, nie potrzebowała bowiem intelektualnych igraszek słownych, podchodów i gry wstępnej, tylko mięśniaka, niestrudzonego w braniu i dawaniu fizycznej przyjemności.

Wysłuchana w regularny i głęboki oddech mężczyzny, cofnęła się myślami do chwili, gdy pozostawiona przez kierowcę błędziła uliczkami Starego Miasta, z każdą minutą tracąc nadzieję na odnalezienie BARU. Już kilka kamieniczek wprowadziło ją w błąd, łudząc, że to właśnie ta i że za chwilę rozpozna drzwi składające się z małych matowych szybek, uchyli je i wejdzie do środka, usiadzie przy barze obok Niny i nie spoglądając nawet w jej stronę, opowie ze szczegółami, jak właśnie wygrała kolejny raz. I jak sobie przyrzekła, że nigdy nie wydarzy się nic, wobec czego będzie bezsilna, bo właśnie to, że nie ma zasad i sumienia, pozwoli jej wyjść zwycięsko z każdej opresji. Przemilczy chwilę słabości, do której nie chciała się już przyznać nawet przed samą sobą, dokładnie wymazując z pamięci to, co zaszło w mieszkaniu Ireny, i swoje bredzenie o samotności, miłości, chęci zerwania z poprzednim życiem. Nie powie ani słowa o Marku, spojrzy z politowaniem na niemodny strój Niny i dumnie podnosząc głowę, wyjdzie z baru, zostawiając za sobą kobietę, która żyje złudzeniami i nie chce dopuścić myśli, że przegrała wszystko.

Skręciła w kolejny zaułek i mocno już znużona zajrzała do małego barku, chcąc choć na chwilę przysiąść i dać ulgę zmęczonym nogom. Skinęła na barmana.

– Byłam kiedyś na Starówce w takim barze – i tu szczegółowo opisała kamienicę i wnętrze lokalu – a teraz nie mogę go znaleźć.

Barman w zamyśleniu podkręcił siwego, sumiastego wosa.

– Był taki bar, przed wojną, zbierała się tam warszawska bohema, w czasie okupacji aktorki robiły za kelnerki, ale zaraz po wojnie go zlikwidowano. Niewiele osób o nim pamięta. A pani, taka młoda, wie o nim... pisze pani o historii Starego Miasta?

– Tak – odpowiedziała niedbale i zerknęła w stronę napakowanego młodzieńca, który od kilku minut prężył tors i rzucał jej powłóczyście spojrzenia. Wstała zza baru, kiwnęła niedbale ręką w stronę zaskoczonego mężczyzny i wyszła na zewnątrz.

– Masz mieszkanie czy jedziemy do motelu?

Właśnie takiego potrzebowała – prymitywnego samca, który mówi tylko „o, kurde”, by na zakończenie ich seksualnych wyczynów powiedzieć z zachwytem:

– No, w te klocki to jesteś mistrzyni świata.

Anita powoli wstała z łóżka, cichutko szepnęła:

– Żegnaj, amebo. – Wyjęła z torebki kilka banknotów i rzuciła na poduszkę, na której jeszcze widniał odcisnięty ślad jej głowy.

Cichutko się ubrała i wyszła z motelu, wkraczając w szarość poranka. Dumnie zadarła głowę i pomyślała, że ma wszystko, czego chciała. Zapach obcego mężczyzny, który jeszcze czuła na sobie, utwierdzał ją w przekonaniu, że instynkt jest silniejszy od uczuć. Że można brać rozkosz od kogoś, kim się pogardza. I najważniejsze – to ona dyktuje życiu swoje warunki, a nie odwrotnie. Energicznie ruszyła przed siebie, zostawiając to, co się wydarzyło, w kolejnej szufladce pamięci, do której nigdy nie sięgnie. „Głupia Nina” – pomyślała z satysfakcją i zaczęła nucić: *Non! Rien de rien! Non! Je ne regrette rien...* Przystanęła na chwilę, potrząsnęła głową i krzyknęła głośno: – Niczego nie żałuję! – W kanonie pustej uliczki nie odpowiedziało jej nawet echo.

Nie miała siły podnieść głowy, którą złożyła na rękach, gdy na chwilę usiadła przy stole w drodze z kuchni do sypialni. Była taka zmęczona! Nagle poczuła zimno, choć jedna z ostatnich nocy lata była wyjątkowo upalna. Uniósł głowę i poprzez dwie szklanki mleka stojące na blacie stołu zobaczyła mężczyznę, który siedział naprzeciwko i wpatrywał się w nią bez drgnienia powiek. Nim zdążyła się oderwać z krzesła, mężczyzna uspokajająco pokiwał ręką i powiedział:

– Proszę się nie denerwować. Jestem tylko projekcją.

– Jaką projekcją? – wyszeptała przerażona Nina.

– To trudne do wytłumaczenia, zresztą nie mam upoważnienia Szefa, by wprowadzać panią w szczegóły, mam tylko przekazać trzy

słowa: Jeszcze nie teraz. – Mężczyzna wskazał na szklanki z mlekiem.

– Skąd pan wie?!

– My wiemy o wszystkim i ta wiedza jest ciężarem, który dźwigamy do momentu, aż będzie nam dana łaska zapomnienia i spokoju. Musimy zapłacić za decyzje, które podjęliśmy. Moja służba dobiega końca i powstrzymanie pani przed ostatecznym krokiem jest moim ostatnim zadaniem.

Nina wyprostowała się i przyjrzała mężczyźnie z uwagą. Miał siwe skronie i poorly zmarszczkami twarzy. Starannie wyczyszczony garnitur nie ukrywał swojego wieku, a misternie zawiązana muszka ostatkiem sił trzymała się w poziomie. Nina sięgała w głąb pamięci, była bowiem przekonana, że kiedyś spotkała tego mężczyznę.

– To pan... – wyszeptła.

– A jednak pani mnie pamięta.

Mężczyzna spojrzał jej prosto w oczy.

– Opisałaś moją historię w gazecie, lecz nic to nie pomogło. Nie wytrzymałem napięcia, patrząc, jak ostatnia nadzieja obraca się w perzynę, nicłość i nie mam żadnego pretekstu, by dalej żyć. Popeliłem grzech i dopiero teraz kończy się moja pokuta. Byłaś nią ty – miałem pilnować, byś nie poszła moją drogą. Twoje życie musi wypełnić się do końca i nie ty będziesz decydowała o jego kresie. Bo kara, tak jak i miłosierdzie, nie ma granic.

Nina z trwogą patrzyła na mężczyznę, którego otoczyła dziwna poświata, a jego postać rosła w jej oczach.

Mężczyzna podszedł do niej i położył dłoń na jej czole.

– Nazywam się Gabriel i każę ci żyć. Ja zaaranżowałem twoje spotkanie z Anitą. Nie pamiętasz, co jej mówiłaś, nie pamiętasz tego spotkania, bo ono miało być przestrogą dla niej, nie dla ciebie. A teraz przywracam na chwilę to wspomnienie... Chcesz przegrać? Chcesz, by to Anita miała rację? Szukała dzisiaj w nocy BARU, którego nie ma. Chciała ci rzucić w twarz, że znowu wygrała, bo obce jest jej poczucie przyzwoitości i jakiegokolwiek zasady. A ty chcesz to wypić i napić tym tego chorego człowieka, bo nie możesz znieść myśli, co się z nim stanie, jeśli ciebie zabraknie? Nie wiesz, że każda chwila, kiedy odzyskuje pamięć i widzi twoją twarz, jest dla niego wsparciem? Nie wiesz, że tylko ty sprawiasz, że nie pogrąża się w swojej chorobie ostatecznie, że jeszcze próbuje walczyć, i tylko ty dodajesz mu sił w tej potyczce z własnym ciałem? Nino, cóż ty chciałaś uczynić?

– Nie mamy pieniędzy na lekarstwa, nie mogę znaleźć pracy, wszystko już sprzedałam. Jak mamy żyć? – Gorące łzy zaczęły spływać po twarzy kobiety.

Gabriel mocno przycisnął dłoń do jej czoła i cicho zaczął mówić. Głowa Niny pochylała się coraz niżej.

– Nino, póki żyjesz, wszystko może się wydarzyć. Ja już wiem, że nadzieja umiera ostatecznie.

Ocknęła się przy zlewie w kuchni. Szarość wstającego dnia lekko rozjaśniała biel mleka w szklankach, które trzymała w dłoniach. Spojrzała w stronę sypialni, skąd dobiegał ciężki oddech chorego mężczyzny, a potem zerknęła na szklanki. Wiedziała już, że inaczej postąpić nie może...

Nie czuł zmęczenia, choć słońce, które weszło kilkanaście minut temu, już zdążyło nagrzać przednią szybę samochodu i wywoływało w nim rozleniwienie. Na to nie mógł sobie teraz pozwolić. Skupił się na obserwacji wejścia do hotelu, gotów do natychmiastowej akcji, gdyby tylko w drzwiach ukazała się oczekiwana osoba, lecz ciągle miał nadzieję, że Koliński wróci, zanim to nastąpi. Zerknął na zegarek i z niepokojem stwierdził, że minęło sporo czasu od rozstania z prezesem, ale choć korciło go, żeby zadzwonić, nie mógł działać wbrew instrukcjom.

Wreszcie z ulgą dostrzegł w tylnym lusterku znajome ciemne bmw.

– Już myślałem, że będę musiał rzucić się na ziemię i udawać atak serca, żeby zatrzymać te panie, kiedy opuszczą hotel.

– Spokojnie, panie Staszku. – Rafał Koliński wygodnie usadowił się w fotelu obok detektywa. – Przecież ustalili pan, na którą zamówiły budzenie. Wiedziałem, że muszę tu być wcześniej.

Staszku spojrzał na niego z wyrzutem.

– A gdyby zmieniły zdanie?

– Rzuciłby się pan na ziemię i udawał atak serca.

Spojrzenie, jakim Staszku obrzucił Kolińskiego, nie wywarło na tym ostatnim najmniejszego wrażenia.

– Wyjadę stąd na jakiś czas, panie Staszku. Lepiej, jeśli tylko tyle będzie pan wiedział. Proszę tylko, żeby wysłał pan portret, który wisi w moim domu, i ten, który odbierze pan w galerii. Adres jest w tej kopercie. – Wręczył detektywowi mały prostokąt.

Staszku otworzył kopertę i ze zdumieniem wpatrywał się w czek, spięty razem z kartką, na której widniał wspomniany adres.

– Panie prezesie, to za dużo, nie mogę tego przyjąć. – Odpiął czek od kartki z adresem i wyciągnął w stronę Rafała.

– To da panu wolność i pozwoli starannie dobierać zlecenia. Życie Agaty i moje w dużej mierze zależy teraz od pana. Tylko panu mogę zaufać. Nie chcę nawet wiedzieć, gdzie schował pan te kwity.

– Na pewno nie w banku – mruknął złośliwie detektyw. I nie czekając na ripostę, kontynuował z uporem: – Nie mogę, zawdzięczam panu tak wiele, to dla mnie ulga, że choć w części mogłem spłacić swój dług.

– Panie Romanie – Koliński pierwszy raz zwrócił się do niego, używając imienia, co sprawiło, że Staszku umilkł i z uwagą popatrzył na zwróconą w jego kierunku twarz – został pan niesłusznie oskarżony i wyrzucony z firmy, której pan poświęcił najlepsze lata swojego życia. Mówimy o tym ostatni raz, ale kiedy pana wtedy spotkałem, natychmiast wyczułem, że jest pan o krok od podjęcia szalonej decyzji. Nie mogłem na to pozwolić. I nie mogłem postąpić inaczej. Pan skorzystał z szansy, potrafił znaleźć nowe miejsce w życiu i to już pana zasługa. A teraz, po kilku latach, odplacił mi pan z nawiązką.

Staszku milczał przez chwilę, a potem, czując, że dla nich obu sytuacja staje się niezręczna, szybko zmienił temat.

– Kwity schowam tak, że nikt ich nie znajdzie. Mam takiego Wita Stwosza, co skrytkę wyrzeźbi nawet w lasce. W tym wypadku potrzebna będzie większa, ale spoko, mój artysta robi i natychmiast zapomni. To z powodu tych zaników pamięci jest tak cenionym fachowcem. – Detektyw łobuzersko przymrużył oko, wyciągając rękę w stronę Rafała. Koliński uściśnął ją z uśmiechem.

– Na mnie już czas. Niech pan się modli, panie Staszku, jeśli pan potrafi.

Ewelina siedziała w mrocznym hotelowym pokoju i patrzyła na niespokojnie przewracającą się na łożku Karę. Nie mogła zasnąć, nie potrzebowała zresztą wiele snu, a poza tym adrenalina jeszcze krążyła w jej żyłach.

Zajrzała do pokoju bliźniaczk, potem usiadła w małym saloniku, a w końcu jakiś dziwny niepokój przywiódł ją tutaj. Zasłony nie były szczelnie zaciągnięte i pierwsze promienie słońca błyskały złocistymi iskierkami na tapecie, przesuając się w stronę twarzy Kary. Nie chcąc, by słońce obudziło dziewczynę przed czasem, Ewelina podeszła do okna, ale zanim do końca zaciągnęła story, wyjrzała przez okno i zamarła. To musi być on! Stał tam, w oczekiwaniu, z twarzą zwróconą w stronę hotelowych okien. Czy to znaczy, że Kara też odejdzie?

Nie zna tego mężczyzny, nic o nim nie wie, raz spojrzeli sobie w oczy, a ona nie może go zapomnieć. Wczoraj, kiedy bliźniaczki już wybaczyły im konspirację, wyciąwały je i poszły spać, powiedziała Ewelina, że kogoś spotkała, że odnosi wrażenie, jakby go znała przez całe swoje życie, jakby... Ewelina pamiętała to niedokończzone zdanie i dodała w myślach: „jakby od zawsze na niego czekała”. Spojrzała jeszcze raz na mężczyznę i ogarnął ją dziwny spokój. Wiedziała, że instynkt i tym razem jej nie zawiodł. „To przeznaczenie – pomyślała – magia”. Zasunęła story i spoczęła w fotelu. Przymknęła oczy, wiedząc, że sen nie nadejdzie. Nagle usłyszała udręczony głos:

– Muszę otworzyć te drzwi, muszę...

Kara usiadła w łóżku i z zamkniętymi oczami powtórzyła jeszcze raz:

– Muszę otworzyć te drzwi...

Ewelina podeszła do łóżka i delikatnie dotknęła ramienia dziewczyny. Ta spojrzała na nią nieprzytomnie i otrząsając się powoli z sennego koszmaru, powiedziała cicho:

– W końcu je otworzyłam.

– I co zobaczyłaś?

– Jego.

Starsza pani pogładziła splątane, wilgotne od potu włosy dziewczyny i szepnęła:

– On czeka.

Spłoszona Kara podciągnęła zmięte prześcieradło i skryła za nim twarz.

– Co mam robić?

– Wiesz doskonale, moje dziecko. Niepotrzebna ci rada starej kobiety.

Kara wstała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła. W džinsach, białej koszulce, z włosami splecionymi w warkocz, z jasną twarzą bez śladu makijażu wyglądała bardzo młodo i bezbronię. Ewelina objęła ją mocno i stały tak przez chwilę, nic nie mówiąc, bo słowa były niepotrzebne. „Uważaj na siebie” – serce Eweliny biło przyspieszonym tempem. „Ty też” – odpowiedziało serce Kary...

Ewelina podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Spojrzała w dół i aż westchnęła, widząc przygarbioną postać Kolińskiego. Nagle mężczyzna wyprostował się, lecz nadal stał nieruchomo.

Kara wyszła z hotelu, na chwilę się zatrzymała, po czym wolno, stopa za stopą, ruszyła w stronę Rafała.

„Szybciej” – ponaglała ją w duchu Ewelina i nagle przypomniała sobie scenę z bardzo starego filmu z Marleną Dietrich. – *Maroko* – szepnęła, dumna ze swej pamięci. Widziała ostatnią scenę tak wyraźnie, jakby oglądała film wczoraj, a nie kilkadziesiąt lat temu.

Amy Jolly, kabaretowa tancerka, stała na skraju pustyni i patrzyła, jak wraz z oddziałem legii cudzoziemskiej odchodzi jej miłość. Za oddziałem ruszyło stadko kobiet z tobołami, przyzwyczajonych, że pewnego dnia trzeba się spakować i podążyć za mężczyznami. Amy Jolly przyglądała się chwilę tej wędrownicy, po czym zdjęła delikatne szpilki i ruszyła...

Ewelina pomyślała z goryczą: „W moim wieku życie nic już nie daje, tylko odbiera”. I wtedy poczuła, że małe, ciepłe od snu rączki wsuwają się w jej dłonie. „Boże, wybacz, przecież tyle ostatnio dostałam”. – Uśmiech pojawił się na ustach kobiety, która po latach samotności zaczęła kochać i cieszyć się szczęściem innych.

Kara błagała w duchu, by wykonał jakiś gest, ruszył w jej stronę, zatrzymywała się co chwila, rozpaczliwie na to czekając, aż w końcu zrozumiała, że mężczyzna w niczym nie ułatwi jej podjęcia ostatecznej decyzji. Obejrzała się za siebie, zobaczyła w oknie Ewelinę i dziewczynki, pomachała im ręką i ruszyła biegiem, by po chwili znaleźć się w ramionach Rafała. I wtedy, ujmując w dłonie jego twarz i spoglądając mu w oczy, w których widziała bezmiar miłości, zrozumiała, że pójdzie za nim wszędzie, bo tylko on potrafi dać jej duszy spokój i radość.

Szare bmw zniknęło mu z oczu i Staszek dopiero wtedy poczuł wilgoć na policzkach. Skarcił się w duchu, tłumacząc samemu sobie, że oczy mu się pocą. Nie wiedział nawet, że cytuje pewną małą dziewczynkę z książki, której nigdy nie czytał.

Gienia Paluchowa tak gwałtownie zahamowała, że stara, wysłużona damka o mało nie rozpadła się na części. Patrzyła na parking przed barem i nie wierzyła własnym oczom. Trzy wozy satelitarne z krzykliwymi logo największych stacji telewizyjnych i kilkanaście aut tłoczyło się na niewielkim placu, a przed drzwiami baru nerwowo kręcił się Wituś. Gdy tylko zauważył szefową, ruszył gwałtownie w jej stronę, lawirując niezgrabnie między pojazdami.

– Oni... – wychrypiął z przejęciem – oni...

– Co za oni? I dlaczego nie jesteś w barze? – huknęła Paluchowa, patrząc groźnie na wystraszonego chłopaka.

– Pietrasikowa pilnuje, oni... – I znowu przerwał, wlepiając szeroko otwarte oczy w Gienię.

– Zostawiłeś pomywaczkę przy kasie? Czyś ty zupełnie rozum postradał! – Gienia ruszyła żwawo w stronę wejścia.

– Oni szukają Kasi! – zdołał wreszcie wykrztusić Wituś.

Paluchowa zatrzymała się nagle, zawróciła, podeszła do chłopaka i chwyciwszy go oburącz za ramiona, potrząsnęła nim kilka razy.

– Opanuj się i mów po kolei. Jacy „oni” szukają Kasi?

– Telewizja, radio, prasa... Siedzą tam i pilnują się nawzajem, żeby jakiś chyłkiem się nie wymknął i nie był pierwszy w Pszczelinie, u Kasi. Piją kawę, palą papierosy i lada moment ruszą.

– Ale dlaczego, czego od niej chcą? – Zdumiona Paluchowa puściła wreszcie chłopaka, który lekko się zachwiał, pozbawiony oparcia w potężnym ciebie Gieni.

– To wszystko przez ten konkurs. Nie oglądała szefowa wczoraj telewizji?

– Nie! Byłam... zajęta. – Gienia zarumieniła się lekko na wspomnienie cudownych cygańskich romansów, które Paluch, zachwycony przyzwoleniem żony, wygrywał cały wieczór na harmonii, patrząc na nią z uwielbieniem, i tego żaru, jakie rzewne melodie wywoływały w nich później. Szybko jednak przywołała się do porządku i poskromiła rozmarzenie, które ją ogarnęło.

Przysiadła na pobliskiej ławeczce i wysłuchiwała całej opowieści Witusia. Gdy chłopiec skończył, wstała energicznie i ruszyła w kierunku baru, po drodze udzielając mu szczegółowych instrukcji.

– Masz ich tu przytrzymać jak najdłużej. Wykręć korki, udawaj atak serca, zepsuj kasę – nic mnie nie obchodzi, jak to zrobisz, ale jeśli tego n i e z r o b i s z, to mnie popamiętasz.

Weszli do baru. Gienia, starając się nie zwracać na siebie uwagi, chyłkiem przemknęła na zaplecze. Wykonała kilka telefonów i szybko wybiegła tylnym wyjściem. Odnalazła swoją porzuconą damkę i nie zważając na jęki wydawane przez rower pod jej imponującym ciężarem, zaczęła pedałowac. Z ulgą spostrzegła, wjeżdżając w podmiejską uliczkę, że przed domem Kasi jest pusto, a drewniany budynek spowija cisza i spokój budzącego się letniego poranka. Oparła rower o płot i ostrożnie uchyliła furtkę. Nie widząc nigdzie psa, wspięła się z wysiłkiem na ganek, ciężko dysząc po rowerowym rajdzie, i nacisnęła dzwonek. Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i

Gienia zobaczyła... święta! Promienie słońca, zaglądające do wnętrza przez uchylone drzwi, dodawały blasku aureoli wokół głowy drobnej kobietki w kwiecistym szlafroku. Gienia przeżegnała się i dopiero po chwili spostrzegła, że tę jasną aureolę tworzą starannie zakręcone liczne papiloty.

– Kim pani jest? – odezwały się jednocześnie kobiety.

Gienia, trwożnie rozglądając się na boki, prawie że staranowała nieznajomą, wdzierając się do środka.

– Gdzie Kasia, bliźniaczki? Co pani tu robi?

Kobiecinka, lekko przestraszona szarzą potężnej postaci, odpowiedziała natychmiast:

– Panienki bawią w Warszawie z panią radczynią, a ja jestem Marcysia. Pilnuję domu.

– Gienia Paluchowa jestem. Szefowa... była szefowa Kasi. Grozi nam niebezpieczeństwo! Nieprzyjaciel się zbliża! Trzeba się bronić!

Rozgorączkowana Gienia zaczęła opowiadać Marcysi o najeździe dziennikarzy, żądnych informacji, plotek i skandali. Słuchając tej opowieści, Marcysia drżącymi rękami podała Gieni kubek kawy i usiadła naprzeciwko, uważnie patrząc na podenerwowaną kobietę. Gdy ta skończyła, podniosła się energicznie, mocno zacisnęła pasek szlafropa i rzekła zdecydowanie:

– Same nie damy rady. Trzeba wezwać na pomoc panią Marię. Ona coś wymyśli.

– Ja już zaczęłam działać – oznajmiła z dumą Gienia. – W miasteczku wszyscy ich pogonią. Uruchomiłam teściową doktora Pietraszkiewiczza, to kobieta energiczna, zdecydowana, wszystkim zna i nikt niczego nie śmie jej odmówić. Nawet szklanki wody nikt im nie poda – dodała z mściwą satysfakcją.

Pani Maria, wezwana telefonicznie na pomoc, zjawiła się błyskawicznie. Wysłuchawszy relacji Gieni, chwilę pomyślała, a potem sięgnęła po telefon.

– Janeczka? Moje dziecko, połącz mnie natychmiast z burmistrzem! – rzuciła zdecydowanie do słuchawki. Zanim otrzymała połączenie, szepem poinformowała czekające w napięciu kobiety: – Był moim uczniem. Bardzo pilnym i wyjątkowo zdyscyplinowanym.

Po godzinie uliczka przed domem Kasi była zatarasowana parkującymi samochodami, a pod furtką kłębił się całkiem spory tłumek operatorów, fotografów i dziennikarzy, usiłujących sforsować solidne ogrodzenie. Rej wodziła wśród nich anorektyczna gwiazda telewizyjnego magazynu *Skandale Dnia*, namawiająca swojego operatora do przejścia przez płot i aż podskakująca ze złości na jego flegmatyczną odpowiedź, żeby sama sobie przeszła, bo on nie zamierza wdzierać się na cudzą posesję i narażać na pogryzienie przez psa.

Duża tabliczka na płocie z informacją: „Uwaga, zły pies” jak na razie skutecznie chroniła ogród i dom oraz trzy kobiety, które przez szparę w okiennicach saloniku obserwowały całe to zamieszanie. Po chwili pani Maria skinęła głową i Marcysia z Gienią wymknęły się tylnymi drzwiami do ogrodu, a ona wróciła do obserwacji ulicy. Z ulgą spostrzegła dwie charakterystyczne sylwetki. Tyczkowaty mężczyzna, który ścisnął pod pachą wypchaną aktówkę, był z daleka widoczny dzięki zdobiącemu jego pierś krawatowi. Fluorescencyjny pomarańcz wściekle bił w oczy, nie pozwalając dostrzec czarnego wzorku w małe kurczaczki. Tuż za nim podążał drobnymi krokami tłuściutki młodzian, odziany w policyjny mundur i ledwo nadążający za stąpającym bocianimi krokami towarzyszem. Pani Maria uśmiechnęła się lekko i pomyślała, że chłopcy nic się nie zmienili. Tak ich pamiętała ze szkoły – wysoki, chudy, zawsze poważny Sławek i jego wierny przyjaciel, pucułowaty i pękaty Rysio. Szybko podniosła się spod okna i podążyła śladami Gieni i Marcysi. W ogrodzie wszystko było już przygotowane i pani Maria dała sygnał.

Na głowy zgromadzonych pod płotem polały się strumienie wody. Telewizyjna gwiazda zaczęła piszczeć, bezskutecznie usiłując ochronić misterną fryzurę, skonstruowaną dzięki niezliczonym ilościom pianki i lakieru. Jej operator, stojący poza zasięgiem wody, z widoczną satysfakcją filmował na zbliżeniu zwisające, mokre strąki i grymas zaskoczenia oraz wściekłości, wykrzywiający jej nadmuchiwanie silikonem usta. Tłumek rozpieczętował się, ratując sprzęt i własną skórę przed totalnym przemoczeniem. Równie nagle woda przestała się lać i gwiazda, widząc zbliżającego się policjanta, gwałtownie zaczęła wymachiwać rękami, przywołując go do siebie.

– Proszę zrobić z tym porządek! – krzyczała. – To jest naruszenie wolności prasy, zamach na niezależne media!

„Wygłąda jak mokra, zagłodzona kura u dawnego chłoporobotnika” – pomyślał Rysio i ledwo powstrzymał śmiech, kiedy Sławek pochylił się w jego stronę i szepnął z powagą:

– Raczej nie zostanie miss mokrego podkoszulka.

Policjant z powagą rozejrzał się wokoło i oznajmił:

– Obywatelki podlewają ogródek. Mają prawo. To ich ogródek. Trzeba było uważać i nie podchodzić za blisko. Widać, że z dużego miasta są i nie wiedzą, że ogródek rano trzeba podlewać. A w ogóle to proszę się rozejść. To jest nielegalne zgromadzenie.

Ociekającą wodą telewizyjną gwiazdę zatkało i pierwszy raz w swoim życiu milczała, dusząc się z wściekłości. Została pozbawiona naturalnego wsparcia swojej wielkości i sławy, które obce były, jak widać, temu prowincjonalnemu policjantowi. Na domiar złego, słysząc za sobą chichot zawistnych koleżanek i wyraźny śmiech personelu technicznego, uświadomiła sobie, jak musi wyglądać.

– Jestem sekretarzem gminy – oznajmił z powagą chudy młodzieniec – i jako przedstawiciel organu wydającego pozwolenia na organizowanie zgromadzeń, pragnę oświadczyć, że to zgromadzenie jest nielegalne. Proszę się rozejść!

– Tak jest – przytaknął Rysio – proszę się rozejść w spokoju, bo inaczej...

– Pan chyba oszalał – gwiazda odzyskała głos – jakie zgromadzenie, jesteśmy dziennikarzami, mamy prawo...

– Ja też mam prawo – przerwał jej chudzielec. – Prawo o zgromadzeniach. Zna pani tę ustawę? Jest tu więcej niż piętnaście osób? Jest. Zawiadomiono organ samorządowy właściwy ze względu na miejsce zgromadzenia trzy dni przed jego terminem? Nie zawiadomiono. W punkcie szóstym artykułu dwunastego mówi się, że zgromadzenie może być rozwiązane przez przedstawiciela gminy, jeśli narusza przepisy niniejszej ustawy. Narusza? Narusza. Zatem jako sekretarz gminy rozwiązuję to zgromadzenie.

– Proszę się rozejść – powtórzył Rysio – inaczej wezwę posiłki, a panią zatrzymam jako osobę przewodniczącą temu zgromadzeniu i wniosę do sądu grodzkiego o ukaranie pani na podstawie artykułu pięćdziesiątego drugiego paragraf pierwszy punkt drugi kodeksu wykroczeń. Poza tym samochody parkują tak, że uniemożliwiają straży pożarnej potencjalną interwencję i blokują hydrant...

– Jaki hydrant? – Zdumiony kierowca jednego z wozów rozglądał się po uliczce. – Tu nie ma żadnego hydrantu!

– Ale ma być – odpowiedział ze stoickim spokojem Rysio. – Jest w planach, a więc tak, jakby tu był. Mam wezwać lawety czy sami odjedziecie? – I sięgnął po krótkofalówkę.

Gwiazda rzuciła mu jadowite spojrzenie i wyszczała:

– Mamy to wszystko nagrane, opinia publiczna dowie się, jakie bezprawie panuje w tej dziurze.

Sekretarz gminy po raz pierwszy się uśmiechnął i rzucił od niechcenia:

– Czy aby na pewno chce pani, żeby to nagranie zobaczyli widzowie? – I obrzucił kąpiącym spojrzeniem rzadkie, mokre włosy, przemoczony kostium i twarz, częściowo pozbawioną makijażu.

Gwiazda, zachowując resztki godności, odwróciła się na pięcie i skinąwszy na operatora, skierowała się w stronę najbardziej okazałego wozu z anteną satelitarną. Samochody opuściły uliczkę i kolumna wozów przejechała powoli przez miasteczko, w którym wszystkie sklepy, restauracje, pensjonat i hotel, ogródki piwne, nawet poczta i urząd gminy były zamknięte, a wywieszane wszędzie kartki z napisami: „urlop”, „dezynsekcja”, „kontrola Sanepidu”, „miejsz brak”, a nawet „nagle zachorowałam”, krzyczały do przejeżdżających: wynoście się z naszego miasteczka, nikt was tu nie chce. Tak Pszczelin bronił Kasi.

Pani Maria wyszła przed furtkę i uprzejmie skinęła głową dwóm mężczyznom, którzy natychmiast wyprostowali się i równocześnie wyskandowali:



– Dzień dobry, pani profesor!

Pani Maria podeszła do nich, niskiego Rysia pogładziła po głowie, a Sławka poklepała po ramieniu.

– Spisaliście się na piątkę z plusem. Przekażcie rodzicom, że mogą być z was dumni. Do komendanta i burmistrza sama zadzwonię. Nigdy nie wiadomo, co może wymyślić zła kobieta, którą publicznie upokorzono. „Nie zna piekło straszliwszej furii nad wściekłość wzgardzonych mediów” – zacytowała grzmiącym głosem, a chłopcy skwapliwie pokiwali głowami. Zastanawiała się przez moment, skąd ten cytat. Szekspir? Zaśmiała się w duchu. „Szekspir i media, zwiariowałaś, droga Mario, pewnie jakiś amerykański kryminal”. Wróciła do rzeczywistości. – Mam nadzieję, że będzie chciała jak najszybciej o tym zapomnieć, ale... i dalej pamiętajcie o tym, czego was uczyłam.

– Tak jest, pani profesor. Chroń słabszych, nie ulegaj silniejszym!

– Bardzo dobrze! Piątka z plusem!

Marcysia odłożyła słuchawkę i odetchnęła z ulgą. Rozkaz do odwrotu został wydany! Pani radczyni jak zwykle precyzyjnie przekazała dyspozycje, przemawiając kilkanaście minut i nie dając jej dojść do głosu. W ten sposób Marcysia pozbawiona została przyjemności podzielenia się sukcesem, jaki odniosły wraz z panią Marią i tą prostą kobietą z ludu, która okazała się szlachetną i prawą osobą, znającą swoje miejsce w szeregu, ale niepozbawioną wrodzonego poczucia godności.

Ogarnęła spojrzeniem lśniąca czystością kuchnię, jeszcze raz sprawdziła, czy okna w salonie są szczelnie zamknięte, poprawiła jeden z pokrowców okrywających meble i ściskając w ręku klucze, chwyciła małą walizkę. Ruszyła w stronę wyjścia, gdy nagle zatrzymał ją w pół kroku głośny łomot, dobiegający od strony drzwi. Poczuli się niepewnie, gdy w popłochu pomyślała, że bez rozumu Marii i postury Gieni musi się zmierzyć z kolejnymi intruzami, ale gniew dodał jej odwagi, więc odstawiła walizkę, chwyciła wiszący na wieszaku w holu parasol i gwałtownie otworzyła drzwi.

– Domokrażcom wstęp wzbroniony! Nie potrzebuję niczego, co chce mi pan wcisnąć! – rzuciła groźnie, błyskawicznie zaliczając stojącego przed nią mężczyznę do grona natrętów dzwoniących do drzwi i usiłujących sprzedać telefon, odkurzacz czy mikser, którego nie trzeba myć.

Bodzio ze zdumieniem przyglądał się drobnej staruszce wymachującej mu przed nosem parasolem. Ten widok sprawił, że go totalnie zatkało. Obejrzał się za siebie i z ulgą dostrzegł Marka spieszącego mu z odsieczą.

– Łaskawa pani wybaczy, zaszła pomyłka, jestem prezes Marek Wilter, a ten pan jest moim... asystentem – Marek skłonił głowę i złożył pełen szacunku pocałunek na dłoni Marcysi, która wyraźnie złagodniała, widząc przed sobą eleganckiego, przystojnego mężczyznę o prawie przedwojennych manierach. – Szukamy panny Katarzyny Turskiej i mniemam, że dobrze trafiliśmy.

– Panienci nie ma i nie będzie – burknęła Marcysia, pamiętając o zaleceniach pani Eweliny i jednocześnie zastanawiając się, którego amerykańskiego aktora przypomina ten przystojny młody człowiek.

– Proszę nam pomóc. – Miękki głos w połączeniu z błagalnym wyrazem ciemnych, okolonych długimi rzęsami oczu tworzył niebezpieczną mieszankę i Marcysia musiała wykazać wiele hartu ducha, by nie ulec temu urokowi.

– Ja nic nie wiem! – krzyknęła i już miała zatrasnąć drzwi, gdy Bodzio jej w tym przeszkodził, wyciągając rękę nad jej filigranową postać.

– Szefie, szef jest za delikatny, z takim garkotłukiem trzeba ostro. Gdzie ona jest? – ryknął i popatrzył groźnie na starowinkę.

– Garkotłuk? – Marcysia poczerwieniała i mocniej zacisnęła drobną dłoń na parasolce. – Ja ci zaraz dam garkotłuka, ty czarnoszyjcu! Myślisz, że jak włożysz drogi garnitur i krawat, to jesteś panisko? Prawdziwy pan szanuje ludzi, a szczególnie tych z niższej klasy. Wynocha stąd, bo wezwę policję! – krzyknęła i zaczęła okładać Bodzia parasolem.

Zaskoczony Bodzio stanął jak wryty, lecz kolejny cios sprawił, że odwrócił się i ciągnąc za sobą Marka, zaczął uciekać w popłochu. Gdy wreszcie schronili się w samochodzie, zostawiając groźną staruszkę na ganku, spojrzął na szefa i widząc, że ten z trudem hamuje śmiech, wyszeptał ze śmiertelną powagą:

– Ani słowa komentarza. I żadnego pijaństwa z rozpacz. Już raz to przerabialiśmy i wpadliśmy w niezłe gównno. Jak mawiają daltoniści, życie jest jak tęcza – raz białe, raz czarne.

– Nie martw się, Bodziu – Marek z powagą spojrzął na przyjaciela – tym razem się nie poddam. Odnajdziemy Kasię. Wracajmy do domu. Do Luksemburga – dodał, gdy Bodzio spojrzął na niego pytająco.

Kurz, który zostawił po sobie ruszający samochód, zdążył już opaść, gdy Marcysia wreszcie zamknęła za sobą wejściowe drzwi. Poprawiła mały słomkowy kapelusz ozdobiony krwistoczerwoną różą, zeszła po schodkach i już miała ruszyć w stronę dworca autobusowego, gdy nagle spostrzegła postać siedzącą na ganku domu po przeciwległej stronie ulicy. Przeszła przez jezdnię i stanęła przed Marią, która przycupnęła na stopniach, chowając głowę w ramionach.

– Pani profesor – wyszeptęła z szacunkiem. – Co się stało?

Maria uniosła głowę i Marcysia zobaczyła zapłakane oczy. Jaśniały one jednak dziwnym blaskiem, tak jakby po gwałtownej ulewie nieśmiały promień słońca przedzierał się przez parujące powietrze.

– Dzwoniła Kara. Odeszła.

Pod Marcysią ugięły się nogi i nie zważając na piasek pokrywający stopnie, przysiadła obok Marii.

– To straszne!

– Nie, to piękne. Odeszła z mężczyzną, którego kocha.

Maria umilkła, a Marcysia nie przerywała ciszy, czekając cierpliwie, aż ponownie się odezwie. Po dłuższej chwili dotarł do niej głos tak cichy, że miała wrażenie, iż Maria mówi do siebie.

– Byłam małą dziewczynką, gdy któregoś dnia znalazłam w ogrodzie w pobliżu domu pisklę wróbla. Wypadło z gniazda i wiedziałam, że jeśli je tam zostawię, to niechybnie zginie, albo z głodu, albo pożarte przez koty. Przyniosłam je do domu, włożyłam do klatki po kanarku i usiłowałam karmić. Wpychałam mu ziarna kaszy jaglanej, małą łyżeczką usiłowałam wlać do dzióbka wodę. Miało takie przerażone, udręczone oczy. Dwa małe, czarne punkciki, w których koncentrowały się trwoga i ból. Na drugi dzień, kiedy rankiem zajrzałam do klatki, pisklę już nie żyło. Długo prześladowało mnie poczucie winy, byłam przekonana, że je zabiłam, bo nie potrafiłam mu pomóc. Ją także znalazłam pewnego poranka w tym miejscu, w którym dzisiaj siedzimy. Była taka skulona i nastroszona, a kiedy spojrzała na mnie, w jej oczach dostrzegłam taki sam strach, jak u wróblego pisklęcia. Ale ten strach nagle ustąpił nadziei, kiedy zapytała wprost: „Czy pani mnie weźmie?”. Moje serce wyrывało się do niej, ale jednocześnie paraliżował mnie strach. Bałam się, czy ta miłość, którą wzbudziła we mnie, nie będzie ślepa i zaborczą, czy nie skrzywdzę jej tak jak tego pisklaka, czy potrafię ją uratować. Wyrosła na wspaniałą kobietę i przysporzyła mi wielu chwil radości i szczęścia. Czasami sobie wyrzucałam, że jestem zbyt oschła, zbyt wymagająca, że wbrew sobie nie do końca daję ujście uczuciom, które wobec niej żywię. Siadywała tu, gdy odczuwała pustkę i zwątpienie, walczyła ze swoimi demonami i usiłowała znaleźć odpowiedź na wiele pytań, które ją dręczyły. Serce mi pękało, gdy widziałam jej skuloną sylwetkę na tych stopniach, chciałam bieć natychmiast, pocieszyć, przytulić, ale rozum mi podpowiadał, bym tego nie robiła, bym uszanowała jej potrzebę walki z samą sobą, jej wolność i niezależność.

Maria zamilkła, a Marcysia w nabożnym skupieniu rozważała słowa, które poruszyły ją do głębi. Nagły błysk zrozumienia rozjaśnił jej czoło i wstając ze stopni schodków, oznajmiła w dziwnym wizjonerskim przypiływie intuicji:

– Pani dziewczynka znalazła swoją przystań. Ale to pani dała jej stały punkt w życiu, miejsce, z którego wyruszyła i do którego zawsze będzie wracać. Niech Bóg nad panią czuwa. Nie żegnam się, bo nasze drogi jeszcze się skrzyżują.

Marcysia pochyliła się nad Marią i wycisnęła mocny pocałunek na jej pomarszczonym policzku, po czym odwróciła się i energicznie ruszyła przed siebie.

Skrzypienie nienaoliwionych zawiasów furtki wyrwało Marię z odrętwienia. Rozejrzała się wokół nieprzytomnym wzrokiem i ze zdumieniem stwierdziła, że świat odzyskał kolory. „I zapachy” – pomyślała, znowu czując intensywną woń kwiatów starej róży, pnącej się nieopodal ganku, która w tym roku rosła i kwitła jak zaklęta. Nagle usłyszała słodkie trele i spojrzawszy w górę, zobaczyła kosa usadowionego na szczycie słupa telefonicznego i obwieszczającego całemu światu swą radość z pozbycia się piskląt z ostatniego lęgu, które przez ostatnie trzy tygodnie z oddaniem karmił.

„I taka jest kolej rzeczy – pomyślała Maria – dzieci muszą znaleźć swoją drogę”.

Ogarnął ją spokój, skołatane serce zaczęło bić normalnym rytmem, a na ustach pojawił się uśmiech. Czerwień przekwitających róż, radośnie śpiewający ptaszek, dzień chylący się ku zmierzchowi.

Coś się kończy, by dać początek czemuś nowemu.

# Epilog

Kilka tygodni później...

Ten październikowy dzień był jak dar od losu – od rana na błękitnym niebie królowało słońce otoczone lekką mgiełką, a tafla Jeziora Genewskiego była gładka i nieruchoma, tylko czasami jakiś jacht lub łódka wywoływały fale, które lekko obmywały brzegi tam, gdzie trawiaste dywany schodziły ku wodzie.

Zbliżało się południe i goście z przyjemnością zasiedli na białych krzeselkach ustawionych w półokrąg tuż nad wodą. Kapelusze pań, zdobione piórami i kwiatami, wabiły owady, a smokingi panów stanowiły idealne tło dla kolorowych sukien. Taki dzień byłby ozdobą lata, jesienią natomiast jarzył się jak najrzadszy diament i dodawał nadzwyczajnej atmosfery wydarzeniu, które na długo pozostanie w sercach jednych i pamięci drugich.

Pani Maria uchyliła drzwi salonu i cichutko podeszła do dwóch postaci spowitych metrami koronki o barwie kości słoniowej. Po raz kolejny zachwyciła ją uroda młodych kobiet zajętych wzajemnym poprawianiem krótkich welonów – jednego upiętego na złocistym, klasycznym koku, drugiego lekko spoczywającego na ciemnych, wijących się i skręcających w loki włosach.

– Panienki! – klasnęła w dłonie. – Już czas. Karo, zmykaj do pokoju obok, Rafał nie może cię zobaczyć w tej sukni, a musi przyjść po Agatę. Jeszcze nie zdążyłyście się nagadać? Całą noc widziałam w twoim pokoju światło. – Pogroziła palcem Karze.

Dziewczyny otoczyły ją, chwyciły za ręce i zaczęły kręcić się w kółko.

– Mario, przestań gderać! Ciesz się z nami! To najszczęśliwszy dzień naszego życia. – Kara rzuciła się na szyję opiekunce, a Agata objęła je obie.

Zarumienione policzki Marii już nie wywoływały ich niepokoju. Maria przeszła w Szwajcarii operację i dawne dolegliwości jej nie groziły.

– Dlaczego nie ma jeszcze Kasi? – Maria musiała się o wszystko zamartwiać.

– Spokojnie, zdążą, dzwoniła, że mają opóźnienie.

– Ewelina i dziewczynki strasznie się denerwują.

– Mario – Kara uspokajająco poklepała ją po dłoni – Eweliny nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi, a panienki denerwują się swoim występm. W końcu są jedynymi druhami.

Isia i Misia, obie w szmaragdowych sukienkach ze sztywnej tafty, uszytych na wzór kreacji małych hiszpańskich infantek, spoglądały na siebie, usiłując dostrzec jedna u drugiej jakieś oznaki zdenerwowania, ale pokerowa praktyka przynosiła efekty.

– Ta Kaśka zawsze musi się spóźniać – syknęła Misia.

– Ona to robi specjalnie, żeby mieć „wejście” – rzuciła ze złością Isia.

– Nie bądź taka wredna – opamiętała się w końcu Misia. – Kasia nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Ona jest skromna, a ty jesteś złośliwa wydra!

– A ty...

– Dziewczynki! – Głos pani Eweliny jak bicz przeciął rozpoczynającą się kłótnię. – Co to za krzyki? Całe jesteście czerwone! Jak wy wyglądacie? Druhny? Chyba przekupki!

Bliźniaczki jednocześnie spuściły głowy i zaczęły wygładzać fałdy sukienek. Ewelina wręczyła im dwa małe bukietki z drobnych białych storczyków o bladezielonych krawędziach i nerwowo spojrzała na zegarek. „Gdzie ta Kasia? Czy nic im się nie stało? Mogli przyjechać samochodem!”. Ewelina panicznie bała się latać i każdy środek lokomocji wydawał jej się o niebo bezpieczniejszy niż coś, co jej zdaniem unosiło się w powietrzu wbrew prawom fizyki. Nagle poczuła, że coś mokrego dotyka jej nogi.

– Malta! – krzyknęła z radością. – A gdzie Kasia?

– Tutaj!

Ewelina odwróciła się i zobaczyła swoją wnuczkę wspartą na ramieniu wytwornego starszego pana.

– Babciu, to mój opiekun. Miałaś go kiedyś okazję poznać, choć tylko w rozmowie telefonicznej, a teraz stoi przed tobą. Bernard de la Viterliers.

– Madame – mężczyzna pochylił głowę i ucałował wyciągniętą łaskawie dłoń – teraz dopiero wiem, po kim Kasja odziedziczyła tę oszałamiającą urodę.

Ewelina zarumieniła się lekko i w milczeniu skłoniła głowę. Wiedziała, jak dama powinna przyjmować komplementy. Poważny dziewczęcy głos wyrwał ją ze słodkiego rozmarzenia.

– Czy pan podrywa naszą babcię?

– Czy pan ma poważne zamiary?

– Babcia jest osobą z zasadami i nie wda się w przelotny romans.

– Nie pozwolimy, by zламаł jej pan serce!

– Uwiódł i rzucił!

Isia i Misia z zadartymi głowami stały przed panem Bernardem i zasypywały go gradem pytań. Ewelina myślała, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię. Nagle usłyszała wybuch śmiechu. Śmiał się Bernard, śmiali się Kasia i Rafał Koliński, który właśnie podszedł i usłyszał, co wygadują dziewczynki.

– Dziewczynki... – tyle tylko zdołała wykrztusić pani Ewelina.

– Spokój, moje drogie. Wystroili was jak damy, a maniery macie podkuchennych. – Kasia groźnie zmarszczyła brwi, ale znowu wybuchnęła śmiechem, wyobraziwszy sobie Ewelinę w roli uwiedzionej i porzuconej.

– Babciu, Bernard będzie ci towarzyszył na miejsce, a ja zostanę z tymi – znowu parsknęła śmiechem – strażniczkami moralności.

Bernard podał Ewelinie ramię i odeszli w stronę reszty gości, a patrząca za nimi Kasia uśmiechnęła się tajemniczo i pomyślała, że pasują do siebie. Słyszała z oddali perlisty śmiech Eweliny i widziała uśmiechniętą twarz swojego opiekuna.

– Jeśli chcesz jeszcze porozmawiać z dziewczynami, to macie pięć minut. – Rafał przytulił Kasię i delikatnie ucałował jej policzki. – Powiedz, że po tym czasie wchodzę i jedna musi się schować.

– Malta, jesteś gotowa? – Kasia wyjęła z torebki dwa małe pakuneczki przewiązane złotymi sznureczkami. Pies delikatnie chwycił zębami sznureczki i patrzył wyczekująco na swoją panią. – Idziemy.

Gdy po pięciu minutach Rafał wszedł do środka, zastał wewnątrz tylko Agatę. Wskazała gors swojej sukni. Błyszczała na nim broszka – delikatna gałązka z białego złota wypuszczała drobne szmaragdowe listki, podkreślające czerwień rubinowego różanego pączka, który wieńczył jej koniec.

– Kara dostała taką samą. Kasia jest jak ta róża – piękna i bezcenna.

- Chodź, córeczko. Ktoś na ciebie czeka.
- Ale muszę ci coś powiedzieć! Wiem, co się stało z Dziobątem!
- Ja też wiem. – Koliński uśmiechnął się lekko. – Kara powiedziała, że nie zniosłaby żadnych tajemnic między nami, i opowiedziała mi, jak wsadziła go do pociągu, a na następnej stacji zwinęli go koledzy z sąsiedniego powiatu. Był poszukiwany listem gończym za pedofilię. Kara nie chciała wciągać w to Kasi i dziewczynek, dlatego obmyśliła taki plan.
- O Boże, czy ona zawsze musi łamać regulamin! – Agata westchnęła z rezygnacją i podała rękę ojcu.

Jean-Marc odwrócił głowę i z zachwytem wpatrywał się w Agatę. Sunęła w dół trawiastego zbocza, widząc jedynie mężczyznę, któremu za chwilę powie, że nie opuści go aż do śmierci, i usłyszy to samo, głęboko wierząc, iż obie przysięgi zostaną dotrzymane.

Kasia stała samotnie na wzgórku i obserwowała obie składające przysięgę małżeńską pary. Jean-Marc i Agata, Kara i Rafał. Była szczęśliwa, lecz jednocześnie czuła pustkę i żal. Energicznie potrząsnęła głową, tak jakby chciała się pozbyć smutnych myśli, ale to nie pomogło. „Nie mogę teraz iść do nich, wszystko zobaczą jak na dłoni. To moja sprawa i moje zmagania z sobą. Nawet najlepsze przyjaciółki nie pomogą”. Obok leżała Malta, ciężko dysząc w upalnym słońcu.

- Chodź, laleczko, dam ci wody.
- Suka posłusznie wstała i podążyła za Kasią.

Isia i Misia gorliwie obsypywały ryżem młode pary.

- Widzisz, malkontentko, w życiu zdarzają się szczęśliwe zakończenia. – Isia niezbyt delikatnie stuknęła Misie.
- Dobrze, że użyłaś zwrotu „zdarzają się”, Panno Słownik Wyrazów Obcych. Dwa śluby, zupełnie jak w podręcznym romansidzie, takim, jakich Kasia nie pozwoliła nam czytać, twierdząc, że „zepsujemy sobie gust”. – Wygłosiwszy kategorięcznym tonem tę opinię, Misia nie pozostała siostrze dłużna i ta poczuła kopnięcie w łydkę.

Stanęły naprzeciwko siebie, rzucając gniewne spojrzenia i prychając jak dwa młode byczki, które za chwilę ruszą, by tryknąć się głowami.

– Jedyna bajka, która miała takie zakończenie, jak powinna, to ta o Wandzie, co nie chciała Niemca. Nie chciała i się utopiła. A Agata żeni się z żabojadem – wyszczała Misia.

– Ty niedouczona ignorantko – wypluła jadowicie Isia. – To o Wandzie to legenda, a nie bajka, Agata kocha Jeana-Marca i nie „żeni się”, tylko wychodzi za mąż.

– Wszyscy nas zostawiają! Kasia, Kara, Agata – Misia zmieniła ton na płaczący – a gdzie patriotyzm?

Isia spojrzała na nią zdumiona.

– Czyś ty oszalała? Co to, szkolna akademka z okazji jedenastego listopada? Zapomniałaś, że jesteśmy w Europie bez granic? Można sobie jeździć i mieszkać, gdzie się chce.

– Ale nie bez nas! – tupnęła nogą Misia i siostry natychmiast rzuciły się sobie na szyję, gorąco się przepaszając i ściskając. Wtem spostrzegły na horyzoncie oddalającą się samotną postać, której towarzyszył wielki pies.

Isia objęła siostrę i zapytała zatroskanym głosem:

– A co z Kasią?

Na ustach Misi zagościł tajemniczy uśmiech. Pochyliła się w stronę siostry i wyszeptwała cichutko:

– Jej bajka jeszcze trwa...

*Podkowa Leśna, lipiec 2008–luty 2011*

# O wydawcy

MUZA SA  
00-590 Warszawa  
ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6297624, 22 6296524  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360, 22 6293201  
Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB:  
[MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz